

czarna seria

kryminały ze znakiem jakości

Paweł Pollak

Kanalia



Ali-Baba

PAWEŁ POLLAK

KANALIA

Jacek Santorski & Co Agencja Wydawnicza
Warszawa 2006

*

Słowa zawisły w powietrzu. Słysząc było, że nie wypowiada ich pierwszy raz. Brakło w nich tego radosnego zdumienia własnym uczuciem, jakie charakteryzuje początkowe wyznania. Nie pobrzmiwała też nadzieja, że coś zmienią. Raczej prośba: nie krzywdź mnie, przecież nie mówię tego ze złości.

- Kocham cię - te słowa były już tylko echem poprzednich. Dziewczyna opierała się o bramę. Nie wykonała żadnego gestu, że chce odejść, a na jej twarzy pojawił się uśmiech. Nie radości, tylko zadowolenia z posiadanej przewagi.

- Żeby chociaż raz usłyszeć „tak” - chłopak powiedział na głos to, o czym marzył.

-Tak.

- Co „tak”?

- No usłyszałeś. A teraz wynoś się.

18 marca, środa

Uporczywy dźwięk pojawił się najpierw we śnie, ale dobiegał coraz wyraźniej, jakby zza kadru. Wreszcie do świadomości Markowskiego dotarło, że ten dźwięk to nie element snu, tylko jazgot budzika. Usiadł ciężko na łóżku, spuścił nogi na podłogę, potrącając leżącą tam butelkę, i podszedł do regału, żeby wyłączyć budzik. Jazgot jednak nie umilkł, rozsadał mu od środka czaszkę.

Wezbrała w nim fala mdłości. Podniósł butelkę, spojrzął na nią pod światło. Na samym dnie było jeszcze trochę płynu.

Poszedł do kuchni po pieprz i czystą literatkę. Wszystkie jednak, tak jak większość naczyń, znajdowały się w zlewie. Posypał pieprzem język i zapił resztką wódki. Poczul się znacznie lepiej. Zapalił papierosa i sięg-nął po komórkę, żeby sprawdzić datę i dzień tygodnia. Środa. Do 7 kąpeli trzy dni, teraz wystarczyło wyczyścić zęby i przemyć twarz, na którą starał się nie patrzeć w lustrze. Łysawa czaszka, siwa szcecinina na podwójnym podbródku, fioletowy nos faceta, który za rok skończy pięćdziesiąt lat. Naciągnął spodnie, już za ciasne, bo brzuch ciągle rósł. Ze zwału ubrań na krzesło wybrał w miarę niepomiętą koszulę. Obwąchał skarpetki. Jeszcze się nadawały. Najwyżej ten młody prokurator, wyperfumowany jak ciota, będzie się krzywił, gdy będą dokonywali oględzin zwłok. Jakby czasami ich smród nie zabijał skutecznie zapachu niezbyt świeżej koszuli.

Markowski zszedł do samochodu. Ze złością odkrył, że jakiś pies obsikał przednie koło jego nowiutkiego megane. „Skopię, jak dorwę skurwysyna - pomyślał zirytowany. - Jak mu lumpy leją na samochód, to wzywa taką policję, ale kundlowi pozwala wszystko obszczywać”. Pocieszył się perspektywą cosobotniego mycia i przekręciwszy kluczyk, z przyjemnością wsłuchał się w szum silnika. Wrzucił jedynkę i podjechał do pobliskiego McDonalda po bigmaka na śniadanie. Manewrując kanapką tak, by nie pobrudzić siedzeń, włączył się do porannego ruchu na głównej ulicy prowadzącej do centrum. Lubił dojazdy do pracy, atmosferę budzącego się do gorączkowej aktywności miasta. W przeciwieństwie do powrotów do domu. Wiedział, że dzień, w którym pojedzie do pracy po raz ostatni, będzie dniem, w którym wyciągnie z szuflady biurka służbowy pistolet i strzeli sobie w łeb. No ale to za kilkanaście lat, jak poślą go na emeryturę. Przełożeni wprawdzie chętnie wi-dzieliby go na wcześniejszej, bo ostro działał im na nerwy. Nic by mu nawet nie pomogło, że był świetnym policjantem, gdyby nie

wiedział o paru rzeczach, o których szefostwo wolałoby nie czytać w gazetach. Do tego miał plecy, bo jego brat, działacz partyjny za czasów realnego socjalizmu, przefarbował się na demokratę i wysoko zaszedł w szeregach następczyni PZPR. Plecy były wprawdzie okresowe, w zależności od zmieniającej się koniunktury politycznej, i raczej iluzoryczne, bo z bratem nie utrzymywał ściślejszych kontaktów, ale czasami się przydawały. Dzięki nim uniknął „kopa w górę” do przekładania papierków. Odmówił, posługując się argumentem, że wolałby awansować w czasach, gdy brat grzał opozycyjne ławy, żeby nie było najmniejszych wątpliwości, że nie pomogło mu wspólne nazwisko. Został tam, gdzie chciał, czyli przy robocie operacyjnej, i jeszcze wyszedł na człowieka z zasadami. Śmiać mu się chciało.

Przyhamował lekko przed skrzyżowaniem w stronę Polnej, przepuścił tramwaj i jadące z naprzeciwka samochody. Przejechał koło aresztu i zatrzymał się przed ciemnoczerwonym budynkiem komisariatu. Wysiadł z samochodu, wciągnął głęboko w płuca miejskie powietrze, w którym oprócz spalin czuło się nadchodzącą wiosnę, i powiedział półgłosem:

- Dobra dziadu, co dzisiaj wymyśliłeś?

Na jego widok oficer dyżurny pochylił się do okienka.

- Komendant wzywa pana inspektora.

- Coś jednak wymyślił.

- Słucham?

- Nie, nic.

Postanowił, że najlepiej rozmowę ze „starym skurwielem” mieć już za sobą. Zapukał do gabinetu i wszedł, nie czekając na zaproszenie. Komendant Stolarczuk siedział za biurkiem, wysoki i chudy. Wyglądał, jakby miał dostać apopleksji. Markowski zaczął się zastanawiać, czy to jego osoba wywołuje taką reakcję, czy też Stolarczuk ma czerwoną twarz z natury albo z przepicia. Komendant nie był sam. Prężył się

przed nim jakiś gołowąs w mundurze.

Markowski usiadł.

- Pan komendant mnie wzywał.

- Tak. Przydzielam obecnego tu aspiranta, Krzysztofa Lepkę, do pańskiego zespołu dochodzeniowego - oznajmił Stolarczuk bez jakichkolwiek wstępów i odchylił się w fotelu z miną, która mówiła: a to ci dowaliłem.

- Ale ja już mam asystenta - zaprotestował Markowski.

- To rozkaz, odmaszerować - Stolarczuk nawet nie usiłował stworzyć pozorów, że jego decyzja nie jest szykaną. - Za miesiąc oczekuję raportu. Od obu - dorzucił, jakby nie chciał zostawić cienia wątpliwości, że zależy mu na upokorzeniu inspektora.

Markowski wstał i ruszył do wyjścia. Postanowił, że zanim strzeli sobie w łeb, wybije Stolarczukowi zęby. Z aspirantem niepewnie następującym mu na pięty wszedł do swojego pokoju.

Usiadł za kulawym biurkiem, spojrzął na odrapane ściany, maszynę do pisania pamiętającą pewnie lata pięćdziesiąte, szafę z aktami, telewizor marki Rubin i aspiranta z następnej epoki. Starannie ułożone jasne włosy, paznokcie wyraźnie po manicure, zapach wody kolońskiej i zarozumiała mina dwudziestopięciolatka wiedzącego wszystko o świecie. Markowski nie lubił pewnych siebie smarkaczy, czyli w ogóle nie lubił smarkaczy, bo nieśmiałość to była cecha, która dawno wyszła z mody. „Tworzyliby z prokura-torkiem dobraną parkę pedałów - pomyślał. Może nawet nimi są. Świat schodzi na psy, jak pedały mogą się ze sobą żenić”.

- Przede wszystkim zdejmij, synek, ten mundur, to jest, kurwa, dochodzeniówka, a nie kompania reprezentacyjna.

- Tak jest, panie inspektorze! - Lepka rozejrzał się bezradnie, nie wiedząc, czy polecenie ma potraktować dosłownie, czy po prostu w następnych dniach przychodzić do pracy po cywilnemu.

Od chwili, kiedy zobaczył inspektora, uznał go za nieobliczalnego i wcale nie wykluczał pierwszej możliwości. Rozważania aspiranta przerwało wejście asystenta Markowskiego, komisarza Milana Senika. Senik miał czterdzieści dwa lata.

Jego wygląd był polem zmagania między nadchodzącym wiekiem średnim, alkoholem i stresem policyjnej roboty a efektem wielu godzin spędzanych na siłowni i pływalni, wcześniej zaś na matach tatami. Nieco

zniszczona twarz i zakola - rezultat odsuwających się ciemnych włosów - kontrastowały z muskularną, pozbawioną brzucha sylwetką.

- Cześć, co masz? - Markowski zwrócił się do niego i sięgnął po paczkę papierosów. Lepka z niepokojem rozejrzał się za zakazem palenia, ale nigdzie takiej tabliczki nie dostrzegł. Coś mu zresztą mówiło, że tabliczka nie zrobiłaby na inspektorze większego wrażenia.

- Czołem, kto to? - Senik zainteresował się najpierw nowicjuszem.

- Stary skurwiol dał mi aspiranta.

Lepka z przerażeniem stwierdził, że inspektora i komisarza łączy komitywa, co oczywiście spowoduje, że jeszcze trudniej będzie mu uzyskać akceptację. Skrzywił się. Tymczasem Markowski inaczej zinterpretował jego wyraz twarzy.

- Co, notujesz już do raportu?

-Nie, tylko...

Ale Markowski już go nie słuchał i ponownie zwrócił się do Senika:

- Co masz?

- Topielec nad rzeką, przy kładce do Ogrodu Botanicznego, dziewczyna, trochę nieświeża.

- Mordarski dzwonił?

- Tak, już pojechał, bo chce zdążyć, zanim zbiorą się sępy gapie i dziennikarze. Jemu ta naiwność zostanie chyba do

końca kariery.

- Powiedział „sępy”? - zdziwił się Markowski, bo prokurator Sławomir Mordarski nie posługiwał się porównaniami, które mogłyby kogoś choćby lekko dotknąć.

- Skąd, przytoczyłem jego myśl własnymi słowami.

- A wiedzą panowie, jaka jest liczba pojedyncza od „gapie”? Lepka chciał zabłysnąć, ale policjanci spojrzeli na niego, jakby właśnie zaintonował „Bogurodzicę”.

- No bo wszyscy myślą, że ta gapa, a to jest ten gap. Rodzaj męski - dodał aspirant mocno już niepewnie.

- Jedziemy! - Markowski uznał, że najwymowniejsze będzie zignorowanie tej mądrości.

W nadrzecznym parku zima jeszcze tylko chwilami przypominała o sobie przenikliwym wiatrem. Poza tym panowała wiosna, zieleń nabierała soczystości w jasnym świetle słońca.

Spory kawałek terenu nad rzeką odgradzony był policyjną taśmą. Gapie jednak uznali, że lepszy widok będzie z kładki.

Tłoczyli się tam, spoglądając z góry na dwa radiowozy, karetkę pogotowia i krzątających się techników.

Markowski z trudem przeszedł pod taśmą, bo wystający brzuch utrudniał mu schyłanie. Lepka z rozpaczą spoglądał na swoje wypastowane oficerki, wiosna bowiem jeszcze nie wysuszyła grząskiego i błotnatego gruntu. Z grupki osób zebranych nad brzegiem rzeki oderwał się mężczyzna po trzydziestce, średniego wzrostu, gładko ogolony, w garniturze i w gumiakach. Był to prokurator Mordarski.

- No, wreszcie panowie są - powiedział z pretensją w głosie, nie wyciągając na powitanie ręki.

-A co? Denatce gdzieś się śpieszy? - odparował Markowski.

Prokurator spojrział na niego spode łba.

- Mnie się śpieszy. Mam rozprawę.

Przeszli nad rzekę. Tuż przy wodzie leżały całkowicie nagie

zwłoki młodej kobiety. Pochylał się nad nimi doktor Gromowski, lekarz sądowy.

- Nie utonęła, wrzucono ją do rzeki - powiedział na widok podchodzących. - Najpierw zarobiła kulkę w głowę - przekręcił czaszkę, demonstrując słabo widoczną ranę postrzałową, z której woda wypłukała krew.

- Od dawna leży w wodzie?

- Naskórek złuszcza się pod wpływem ucisku, ale nie schodzi w postaci rękawiczek. Biorąc pod uwagę dość zimną wodę i ilość alg, powiedziałbym, że od dziesięciu dni do trzech tygodni.

- Gwałt? - zapytał Senik.

Lekarz pokręcił głową.

- Nie wiem. Możliwe, skoro jest goła. Ale woda ją dobrze obmyła, z samych oględzin nie powiem, konkrety po sekcji. Rutynową konwersację przerwał dziwny odgłos, jakby startującego odrzutowca, tyle że dużo cichszy. Funkcjonariusze odwrócili głowy. Aspirant Lepka przechylał się wpół przy drzwiach karetki i wymiotował.

- Gdzie on mi, kurwa... - Gromowski zerwał się na równe nogi.

- Ja mam po tym chodzić? Rzygaj człowieku gdzieś z boku!

- spojrzal na policjantów.

- Nowy?

- Debiutant - uśmiechnął się Senik.

- No to jak na pierwszego trupa miał pecha.

- Zobaczymy, czy nie zemdleje - Markowski nie odmówił sobie przyjemności zrobienia aluzji do pierwszych oględzin prokuratora Mordarskiego. Oględziny były nietypowe, bo zabójca psychopata po prostu dostarczył prokuratorowi pod same drzwi walizkę ze świeżo pokawałkowanymi zwłokami. Oficjalna wersja brzmiała, że Mordarski poplamiał się krwią przy otwieraniu walizki, fama głosiła zaś, że z wrażenia zemdleł i jakiś czas poleżał sobie w

kałuży krwi wśród porąbanych członków.

- Kto ją znalazł?

Mordarski pokazał palcem na wędkarza, starszego mężczyznę w zaniedbanym ubraniu, kucającego przy brzegu z twarzą ukrytą w dłoniach. Inspektor podszedł do niego.

- Dzień dobry. Proszę mi powiedzieć, jak ją pan znalazł.

Wędkarz podniósł głowę, miał załzawione oczy.

- Ech, panie, co to się na tym świecie dzieje, mam wnuczkę w jej wieku, bandytyzm, panie, tylko kto to za komuny widział, żeby...

- Jak ją pan znalazł? - przerwał mu Markowski.

- Ech, panie, normalnie, siedzę tu od świtu i łowię, bo wie pan, ryba to najlepiej bierze z rana, choć w tym brudzie dużo nie zostało, przed wojną, panie, to podobno woda była tu kryształowa, pstrągi, panie...

Markowski zmuszony był ponownie przerwać staruszkowi.

- Ano tego, panie, no łowię i widzę tam w zaroślach coś białego, podchodzę, a to ona, no to żem zadzwonił do syna, wie pan, syn komórkę mi kupił i pokazał, jak do niego dzwonić, dobrego syna, panie, mam, martwi się, żebym tu nad wodą nie zasłabł, czy co, bo ja, panie, słabe serce mam...

- Syn powiadomił policję?

- Ano musi być on, bo powiedział, że zadzwoni, a on słowny, panie, jest, zawsze...

- Pan ją wyciągnął z wody?

- Boże broń, panie, ja te kryminały oglądam, to wiem, że nic ruszać nie wolno, jak morderstwo było...

- A skąd pan wie, że morderstwo?

- No tego, panie, nie wiem, myślałem, że jak policja... - po raz pierwszy staruszek sam umilkł, jakby zdumiony faktem, że tak oczywista ewentualność nie musiała być prawdziwa.

- Żadnego ubrania pan nie znalazł?

- Nie, panie, golusieńka była, jak ją Pan Bóg stworzył, może, panie, wie pan, ona z tych... — spojrzał na Markowskiego, ale ten przybrał minę wyrażającą niezrozumienie. - No wie pan - staruszek ściszył konfidencyjnie głos - z tych agencji, bo teraz to różne rzeczy się dzieją, sodoma i gomora...

- Widział ją pan kiedyś tutaj?

- Nie, chyba nie, panie, trudno powiedzieć, sam pan widzi, jak wygląda, ale ja i tak na ludzi nie patrzę, tylko na rzekę, bo ludzie, panie, to tam na wale — pokazał ręką za siebie - chodzą, na rowerach jeżdżą, z psami, tu raczej wędkarze...

- Dobrze, dziękuję panu.

Markowski podszedł w stronę techników przeczesujących teren.

- Znaleźliście coś? - zapytał ich szefa, Adama Gryszkę, drobnego mężczyznę o odstających uszach.

- Na razie nic konkretnego - odparł zagadnięty. - Nie ma broni, łuski ani ubrania. Chyba jednak została zastrzelona gdzie indziej.

Dużo śmieci, ale nic, co na pierwszy rzut oka należałoby do niej.

Ostry dźwięk telefonu przerwał rozmowę. Była to komórka inspektora, który nie uznawał żadnych melodyjek.

- Markowski.

Mina inspektora nie zdradzała, jaką wiadomość przekazuje dzwoniący.

- Dobra, dzięki - zamknął klapkę motoroli i wrócił do swoich współpracowników. - Mamy, kurwa, jeszcze jednego denata. Coś dzisiaj jest urodzaj. Narkoman. Dostał czymś twardym w głowę, pewnie pozarli się o działkę.

Spojrzał z udawanym współczuciem na Lepkę.

- Wytrzymasz jeszcze jednego trupa?

Aspirant, którego twarz przybrała kolor bladezielony, wyraźnie się zawahał, ale w podjęciu decyzji pomogła mu

drwiąca uwaga inspektora:

- A może chcesz, synek, do mamusi?

- Nic mi nie jest, mogę jechać.

Odkąd tak zwany trójkąt bermudzki - dzielnica przestępczości i dołów społecznych - został zniszczony przez powódź i wyburzono tam część przedwojennych budynków, narkomani coraz chętniej przynosili się do piwnic i bram kamienic z szarego piaskowca usytuowanych nad miejską fosą. Lokatorzy toczyli z nimi wojnę, na razie przegrywaną wskutek opieszałości policji i straży miejskiej oraz bierności administracji. Narkomani dysponowali potężną bronią, strzykawkami z igłami podobno zakażonymi wirusem HIV, a nikt nie chciał na własnej skórze udowodniać, że to bluff. Za nimi pojawili się wprawdzie streetworkerzy, ale ich metody nie przewidywały nakłaniania podopiecznych do przeprowadzki, więc lokatorzy szybko nadali im miano pogotowia igłowo-gumowego od rozdawanych przez nich jednorazowych strzykawek i prezerwatyw.

Do zabójstwa doszło w budynku koło biura ogłoszeń „Kuriera Miejskiego”. Ledwie Markowski z Senikiem, Lepką i zastępcą prokuratora - Mordarski musiał pojechać na rozprawę - znaleźli się w środku, dobiegł ich przeraźliwy wrzask z piwnicy. Po zejściu na dół zobaczyli dziewczynę, którą przytrzymywali dwaj mundurowi. Krzyczała, płakała, próbowała się wyrwać, kopiąc i gryząc.

- Łapiduchy są? - rzucił Markowski w stronę policjantów, zapalając papierosa. - Niech jej dadzą coś na uspokojenie.

- Już dostała, zaraz powinno zadziałać.

Narkomanka rzeczywiście po chwili oklapła.

- Byli razem? - Senik wskazał na przeraźliwie chudego chłopaka w podartych dżinsach i czarnym podkoszulku, leżącego w nienaturalnej pozycji na ziemi. Jego długie ciemne włosy unu-rzane były we krwi.

- Najprawdopodobniej.

Komisarz pochylił się nad leżącym, wziął go za rękę i przyjrzał się licznym nakłuciom na przedramieniu.

- Kogoś jeszcze złapaliście?

- Nie, reszta związała, ale musiało być ich więcej – funkcjonariusz wskazał na świeże skręty, rozlany alkohol i prowizoryczne legowiska ze zniszczonych karimat i śpiworów.

- Przyciśniemy ją, kto tu był i trzeba będzie wyłapać towarzystwo - stwierdził Markowski. - Chyba że od razu wyśpiewa, kto mu przywalił. Miał przy sobie jakieś dokumenty?

- Tak - policjant podał Markowskiemu dowód.

Inspektor przestudiował plastikową kartę.

- Adam Broda, lat... - policzył w myślach - dwadzieścia sześć, zameldowany na Jasnej 14 mieszkania 20; w starym dowodzie byłaby pewnie pieczętka z miejsca pracy – zauważył z sarkazmem.

- Dobra, dziewczynę bierzemy na komisariat, a wy tu pilnujcie, aż przyjadą technicy. Na razie są zajęci nad rzeką.

- Nie pojedziemy pod ten adres? - Lepka doszedł już nieco do siebie i chciał się wykazać. - Trzeba ustalić relacje rodzinne.

Markowski z Senikiem spojrzeli na siebie rozbawieni.

- Kurwa, synek, to nie jest film o Columbo, tylko realne zabójstwo. Nawet jak facet nie zerwał z rodziną czy raczej rodziną z nim dziesięć lat temu, to i tak poznawanie ich nic nie wniesie do sprawy. Ale jak chcesz, możesz pojechać. Jeśli to przyczyni się do złapania sprawcy, zjem własny kapelusz.

Markowski patrzył na siedzącą przed nim dziewczynę. Wyglądała na trzydzieści kilka lat, mimo że na pewno nie była starsza od stojącego w kącie Lepki. Narkotyki, alkohol i papierosy zniszczyły jej twarz. Straszliwie wychudzona sylwetka świadczyła o tym, że pieniądze - z pewnością z

prostytcji - szły w pierwszej kolejności na używki, dopiero potem na jedzenie. Pierwszy szok spowodowany śmiercią jej chłopaka minął i teraz pochlipywała.

Markowski uznał, że w tej sytuacji najlepsza będzie łagodna technika przesłuchania, na nutę zrozumienia.

- Jak się czujesz?

Dziewczyna podniosła głowę, otarła łzy i spojrzała na inspektora, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie jego obecność. W jej wzroku pojawiło się coś twardego i Markowski już wiedział, że taktyka łagodności zawiodła.

- Ajak ci się, kurwa, wydaje?!

- Ano wydaje mi się, że wiesz, kto mu przywalił. Kto to był?

- Pierdol się!

Markowski podniósł się i spokojnie wyszedł zza biurka. Nie był to pierwszy narkoman, który mu się stawiał. Umiał sobie z ni-mi radzić. Zamachnął się. Dziewczyna przewróciła się z krzesłem na ziemię, z rozbitych ust i nosa poleciała krew. Markowski wrócił za biurko.

- No, co się gapisz? - zwrócił się do osłupiałego Lepki.

- Pomóż jej wstać.

Aspirant wykonał polecenie, uważając, by nie poplamić krwią munduru. Sięgnął do kieszeni po paczkę chusteczek higienicznych i jedną podał dziewczynie.

- Przeklinać możesz sobie do woli, ale jako dodatek do odpowiedzi. Jasne? Bo jak nie, to oberwiesz jeszcze raz. No więc, kto mu przywalił?

- Nie wiem.

- Powiedzmy, że ci wierzę. Kto jeszcze był z wami w tej piwnicy?

- Nikt.

Markowski uczynił ruch, jakby chciał wstać. Narkomanka skuliła się przestraszona i krzyknęła:

- Dzisiaj naprawdę nikt! Przysięgam!

- A ty gdzie byłaś?

- Na dworcu. W kinie.

- Na jakim filmie? - Inspektor i dziewczyna odwrócili głowy, bo pytanie zadał Lepka. Na ich twarzach najpierw odmalowało się zdumienie, a potem oboje się roześmiali. Aspiranta ten wybuch wesołości wytrącił z równowagi, postanowił bronić swoich racji.

- Co ja takiego śmiesznego powiedziałem? Jak powie, na jakim była filmie, to sprawdzimy, czy taki rzeczywiście o tej godzinie grali.

- Nie mogę - Markowski był tak rozbawiony, że uderzał rękami w blat biurka. - Synek, w dworcowym pornosy puszczają, a obecna tu pani dawała dupy jakiemuś widzowi. Odpłatnie, jakbyś miał wątpliwości. W zależności od pozycji ma prawo nie wiedzieć, jaki film grali. A zresztą, ty znasz tytuły pornosów, które oglądasz?

Lepka, czerwony ze złości i upokorzenia, odburknął gniewnie:

- Nie oglądam.

Markowski zignorował tę deklarację i sięgnął po papierosy. Zapalił dwa, jednego podał dziewczynie, która przyjęła go z wdzięcznością.

- O której wróciłaś do piwnicy?

- Nie wiem, nie mam zegarka, ale rano. Adaś już nie żył - znowu zaczęła chlipać.

- Ty wezwałaś policję?

- Nie, wybiegłam przerażona i zaczepiłam jakiegoś przechodnia.

Inspektor podsunął jej przepelnioną popielniczkę i kontynuował przesłuchanie.

- Mielicie jeszcze towar?

- Nie, wzięliśmy ostatnią działkę, dlatego poszłam trochę zarobić.

- Byliście winni szmal jakiemuś dilerowi?

- Jednemu, ale niedużo, zresztą on...

-Co?

- Siedzi.

Markowski z namysłem potarł skronie. Nie wyglądało to dobrze. Dziewczyna zdawała się mówić prawdę. Nie awantura zakończona przypadkowym ciosem, nie odebrane siłą narkotyki, nie egzekucja za długi. Trzeba było wyjść poza środowisko narkomanów, a to oznaczało poważne trudności z ustaleniem sprawy, którym mógł być skin „czyszczący” świat z mętów albo psychopata nękaną głosami każącymi mu zabijać. No, chyba że któremuś z lokatorów z całkowitej bezradności puściły nerwy. Zgasił niedopalonego papierosa w popielnicze, podniósł słuchawkę telefonu i wybrał wewnętrzny numer.

- Miłan?

Zreferował mu pokrótce swoje przemyślenia.

- Trzeba przycisnąć sąsiadów, nie tylko pod kątem co kto widział i słyszał, ale może któryś wziął sprawę w swoje ręce. Zajmij się tym.

Spojrzał ponownie na przesłuchiwaną. Dziewczyna powoli zaczynała zdradzać objawy odstawienia. Lekko się trzęsła, pocila się, w jej wzroku pojawiło się coś błędnego.

- Dobra, nie świruj. Masz tu jeszcze jedną fajkę. Kolega od filmów spisze teraz twoje personalia i całe zeznanie, podpiszesz i będziesz mogła iść.

Aspirant zaniepokoił się, bo nie bardzo wiedział, jak ma się zabrać za wymienione czynności, ale Markowski wyciągnął z szuflady stosowne formularze i rzucił je na biurko.

- Do roboty, synek - polecił. - Ja sobie wyjdę w spokoju zapalić.

20 marca, piątek

Jarzeniówki Zakładu Medycyny Sądowej oblewały białym światłem dwa stoły z leżącymi na nich rozbebeszonymi

zwłokami mężczyzny i kobiety. Aspirant Lepka, już w cywilnym ubraniu, zatrzymał się przy wejściu i, starannie omijając wzrokiem ciała, patrzył to na oszklone szafki, to na gładkie ściany, podczas gdy komisarz Senik witał się z patologiem.

Doktor Gromowski dobiegał wieku emerytalnego, ale był bardzo chudy, przez co wyglądał dużo młodziej. Całkowitą łysinę nadrabiał bujnym siwym wąsem, a blada cera świadczyła o tym, że nader rzadko opuszczał swoje podziemia. Także teraz drugie śniadanie jadł wciśnięty między szafki, a nie w kantynie.

- Cześć - odpowiedział Senikowi i wierzchem dłoni uderzył w gazetę, którą przed chwilą czytał. - Te pismaki znowu rzuciły się na lekarzy, że biorą łapówki. Ja nie biorę!

- Bo twoi pacjenci nie mają portfeli - zaśmiał się Senik.

- Widzę, że przyprowadziłeś nowego - Gromowski ruchem głowy wskazał na Lepkę.

- Niech się hartuje.

Patolog mrugnął do policjanta, wyjął z szafki czystą szklanekę i napełnił wodą z kranu. Lepka nadal wodził wzrokiem po ścianach, nie patrząc w ich stronę, bo po drodze miał zwłoki.

- Jesteś gotowy z sekcją?

- Wstępnie, zostały jeszcze analizy.

- No i? - podeszli do zwłok i skinęli na Lepkę, żeby też się zbliżył. Aspirant zrobił to niechętnie, a przy samym stole pobladł i zebrało mu się na mdłości. Senik rozejrzał się, sięgnął po odstawioną przez lekarza szklanekę i podał Lepce.

- Napij się, to ci pomoże.

Aspirant wypił wszystką wodę, dzięki czemu stłumił odruch wymiotny.

- Pierwsza ofiara to młoda kobieta, wiek między dwadzieścia pięć a trzydzieści, choć jest tak drobna, że pewnie dawano jej mniej. Przyczyna śmierci to strzał w tył

głowy z niewielkiej odległości. Choć jak została wrzucona do rzeki, jeszcze żyła.

- No to jak, zastrzelona czy utopiona?

- Zastrzelona. Nie zdążyła utonąć, bo śmierć nastąpiła wskutek uszkodzenia mózgu. Świadczy o tym ilość wody w płucach.

Trochę było, ale tyle co na szklanekę, za mało na utonięcie. Zresztą sami możecie zobaczyć, odpompowałem ją. O kurczę, gdzie się podziała ta woda? - Gromowski podniósł pustą szklanekę.

Lepka uświadomił sobie straszliwą pomyłkę Senika, poczuł żołądek wznoszący się do góry, ale nie zdążył zwymiotować, bo ugięły się pod nim nogi i zemdlony upadł na podłogę.

Patolog i komisarz przybili piątkę.

- Że też zawsze dają się na to nabierać - Gromowski przechylił się przez stół. - Ale ten to wyjątkowy wrażliwiec, nie za delikatny na policję?

- Przywyknie - Senik przyklęknął i dość bezceremonialnie zaczął cucić Lepkę, potrząsając nim i policzkując. - Skąd ty w ogóle wzięłeś ten patent?

- Zobaczyłem w jakimś serialu, chyba w „Ostatnim świadku”

Gromowski pasjonował się serialami, których bohaterami byli ludzie jego profesji.

Aspirant ocknął się na chwilę. Miał zaraz popaść w ponowne omdlenie, kiedy do jego świadomości dotarły słowa Senika:

-... zwykła kranówka. Taki chrzest bojowy dla kotów. Wstawaj! Lepka podniósł się na niepewnych nogach, ale zdał sobie sprawę, że nie wytrzyma dalszej relacji z sekcji nad otwartymi zwłokami.

- Przepraszam - wymamrotał - muszę wyjść na powietrze.

- Idź - machnął ręką Senik i odwrócił się z powrotem do pa-tologa. - No to jak było naprawdę?

- Śmierć na miejscu od strzału, prawdopodobnie niedługo

potem została wrzucona do wody.

- Czas zgonu?

- Mogę wam zawęzić od półtora tygodnia do dwóch i pół.

- Co dalej?

- Zgwałcona nie została, nie miała też stosunku przed śmiercią.

- Ile strzałów?

- Jeden.

- Z jakiej broni?

- Nie mam pojęcia, nietypowa kula, posłałem do balistyki.

- Identyfikacja?

Gromowski rozłożył ręce gestem mającym powiedzieć, że wprawdzie jest geniuszem, ale nie cudotwórcą.

- Odciski palców pobrałem. Zrobiła jej się skóra praczki, ale wstrzyknąłem glicerynkę. DNA poszło do badania, rentgena zębów pstryknąłem, no ale wszystko wymaga materiału porównawczego.

- Dobrze, że chociaż tego znamy - powiedział Senik, pokazując na zwłoki mężczyzny. Przeszli do drugiego stołu.

- Adam Broda, lat dwadzieścia sześć, narkoman - zaczął referować Gromowski - organizm mocno wyniszczony. Ale bezpośrednia przyczyna zgonu to uderzenie tęnym narzędziem w tył głowy z bardzo dużą siłą. Zgon nastąpił przedwczoraj między godziną dziewiątą a jedenastą rano.

- Jakim tęym narzędziem? - chciał uściślić komisarz.

- Obuch siekiery, młotek, łom, kolba pistoletu, wybierz sobie - zirytował się lekarz tym ciągnięciem go za język. Gdyby potrafił określić dokładniej, czym posłużył się zabójca, zrobiłby to od razu.

- Jedno uderzenie?

- Jedno, z dużym impetem i z zaskoczenia, bo nie ma śladów walki.

- Chyba mieliśmy tym razem pecha - stwierdził Senik.

- I dobrze - Gromowski nie przejął się jego zmartwieniem.

- Trochę się wysilicie, nie może zawsze być tak, że rano daję wam wyniki, a wy po południu jedziecie po mordercę. Porozmawiali jeszcze chwilę, uścisnęli sobie dłonie i Senik wyszedł przed budynek Zakładu, żeby odszukać aspiranta i zabrać go do komisariatu.

Przez miasto przejechali dość szybko, poranne korki już zeszły. Senik od czasu do czasu z niepokojem spoglądał na Lepkę, który wciąż trzymał się za brzuch.

W komisariacie czekał już na nich Markowski.

Senik pokrótce przedstawił ustalenia z sekcji.

- Niewiele tego - stwierdził inspektor.

- Niewiele. Właściwie nie mamy punktu zaczepienia. I zapowiada się, że będziemy musieli wyjść do prasy, żeby ustalić tożsamość dziewczyny, a to nam ściągnie całą masę świrów.

- Jakiś związek między tymi zabójstwami? - Lepka ze zdumieniem spostrzegł, że pytanie inspektora skierowane jest do niego. Przez chwilę gorączkowo myślał, usiłując sobie przypomnieć wszystko, czego dowiedział się na wykładach.

- Nnniee... Chyba nie. Tu broń palna, a tu bezpośredni atak za pomocą jakiegoś narzędzia.

- Bardzo dobrze - pochwalił Senik. - Przy pierwszym morderstwie próba zatarcia śladów, utrudnienie identyfikacji, przy drugim nie. Na razie nic nie wskazuje na to samo środowisko, analiza tok-sykologiczna jeszcze do zrobienia, ale dziewczyna nic sobie nie wkluwała, więc nawet jeśli brała narkotyki, to w innych kręgach.

- Wyniki analiz kiedy będą?

- Powinny być po południu.

- Pierwszy sprawca działał bardziej planowo, drugi spontaniczniej - podsumował inspektor. - Miłan, co ustaliłeś wśród lokatorów kamienicy, gdzie ten ćpun urzędował?

- Dokładnie nic. Większość była o tej porze w pracy.

Zastąpiłem trzy osoby. Osiemdziesięcioletniego staruszka, który oświadczył, że gdyby starczyło mu sił, sam zaciukałby tego narkomana, a my moglibyśmy mu skoczyć, bo ma raka, jakiegoś typka, który powiedział, że z niebieskimi chujami nie rozmawia, i zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Sprawdziłem go, ma u nas kartotekę jak Himalaje, ale wszystko o piractwo: filmy, muzyka, programy komputerowe, nigdy żadnej przemocy, nawet pornografii nie rozprowadzał. No i trzecia, babka, gospodyni domowa na utrzymaniu męża, zajmująca się dziećmi. Nic nie widziała, nic nie słyszała, ją samą trudno o cokolwiek podejrzewać.

- Czyli też, kurwa, nic nie mamy. Chyba że synek na tę Jasną pojechał-zauważył ironicznie Markowski. - Co, synek, pojechałeś?

- Pojechałem - Lepka się zaczerwienił.

-I co?

- Rzeczywiście nic. Kobieta, która tam mieszka, powiedziała, że go nie zna.

Miał pan rację, że rodzina nie będzie się chciała do niego przyznać.

- Krzyczała, klęła, trzasnęła drzwiami?

- Nie, powiedziała to zupełnie spokojnie.

- Przedstawiła ci się?

-Nie.

- A skąd wiesz, że rodzina? Od czasu tej kretyńskiej ustawy o ochronie danych osobowych na klatkach nie ma spisu lokatorów.

Lepka zaczerwienił się jeszcze mocniej.

- No bo ten sam adres, co w jego dowodzie...

Markowski i Senik spojrzeli na siebie.

- Mało prawdopodobne, ale sprawdź - mruknął Markowski. Senik wyszedł. Aspirant stał zdumiony, nic nie rozumiejąc. Inspektor zapalił papierosa i wyjrzał przez brudne okno.

Przez chwilę patrzył na ludzi zdążających chodnikiem w dwóch kierunkach z jakimiś swoimi sprawami, potem głośno pierdnął i z powrotem usiadł. Milczeli do powrotu komisarza.

- Szlag by to trafił - oznajmił Senik. - Dowód jest fałszywy. Na cholerę narkomanowi profesjonalnie sfalszowany dowód? - Coś tu śmierdzi - Markowski nie miał na myśli puszczanego przez siebie bąka. - Dzwon do Gromowskiego. Senik już trzymał telefon w ręce.

- Senik tutaj. Słuchaj, potrzebujemy również identyfikacji chłopaka, dowód był fałszywy. Dobra, dzięki.

- Przecież mnie kochasz, widzę to - chłopak próbował pogłaskać ją po policzku, ale odepchnęła jego rękę.

- Nie wyobrażaj sobie za dużo.

Schowali się w bramie przed ulewnym deszczem, który zaskoczył ich na spacerze. Z mokrymi włosami i w przemoczonej kurtce wyglądała jak mała dziewczynka potrzebująca opieki. Ogarnęła go czułość. Tak bardzo chciał ją przytulić. Długo milczeli. Nie odchodziła. Ale nie pozwalała się dotknąć. Dlaczego?

- To czemu tu ze mną stoisz, czemu poszłaś ze mną na spacer, czemu nie jesteś z nim, jeśli kochasz jego, a nie mnie?

Nic nie odpowiedziała. Miał wrażenie, że w jej oczach zakręciły się łzy. Ale to może tylko kropelki deszczu spłynęły z opadającej na czoło grzywki.

- Wcale go nie kochasz - dodał z goryczą.

Pomyślał, że tamten nie musi prowadzić z nią takich rozmów.

Kiedy oni stoją ze sobą w bramie, po prostu się całują. Przeszył go ból. Ostry, fizyczny ból w okolicach serca.

- Zerwij z nim, daj mi szansę.

-Nie.

Nie spodziewał się innej odpowiedzi, a mimo to ogarnęła go rozpacz. Doskonale znał to uczucie. Bał się go. Bał się chwili,

w której się rozstaną. Wiedział, że w nieskończoność będzie analizował wszystkie słowa, rozmyślał, co mógł powiedzieć inaczej, lepiej, żeby ją przekonać. Wiedział, że spędzi bezsenłą noc, na przemian płacząc i zwijając się z bólu.

- Dlaczego z nim jesteś? Bo ma bogatego starego? Bo może zabrać cię na przejażdżkę samochodem?

Uderzyła go w twarz.

- Bijesz mnie za to, że mówię prawdę?

Uderzyła go jeszcze raz.

Markowski wyjechał swoim megane za rogatki miasta i rozpędził się do stu czterdziestu, ignorując znaki nakazujące jechać dokładnie o połowę wolniej. Krew zagrała mu w żyłach. Jeśli coś jeszcze w życiu naprawdę sprawiało mu przyjemność, to szybka jazda samochodem.

Musiał zresztą odreagować po rozmowie z byłą żoną. Jędzą dopominała się, by jej pomagał, groziła mu pozwem o alimenty.

Piętnaście lat po rozwodzie! Najpierw wyrzuciła go z domu, nastawiła przeciwko niemu dzieci, a teraz chce alimentów! Po jego trupie! Nie mógł zapomnieć, jak kiedyś zadzwonił do syna, próbując odbudować z nim dobre stosunki. Odebrała ta mała. Nie poznał jej, nie spodziewał się, że będzie u Marcina, wziął ją za jego dziewczynę. Usłyszał, że Marcin nie ma ojca. Dopiero po długim czasie znajomi donieśli mu, że to była ta jędzą, chwaliła się bowiem całą sytuacją, gdzie mogła, szalenie z siebie dumna.

Przyhamował na ostrym zakręcie, by po wyjściu z niego natychmiast przyspieszyć, kiedy kierowca jadący z naprzeciwka mrugnął światłami.

Markowski zdjął nogę z gazu i sięgnął po koguta, ale było już za późno. Umundurowany funkcjonariusz stojący na poboczu koło radiowozu miał go już w zasięgu wzroku i nakazywał lizakiem, by się zatrzymał. „Kurwa - zaklął w duchu Markowski - normalnie ci z drogówki tu nie stoją,

jeszcze na dodatek jakieś szczyły, które przejmują się regulaminem i pieprzeniem o policyjnej etyce".

Inspektor westchnął do czasów, kiedy w takiej sytuacji i po prostu pokazywał legitymację i jechał dalej. Odkręcił szybę i wystawił głowę w kierunku podchodzącego wolnym krokiem policjanta.

- Pośpieszcie się, posterunkowy - ryknął, machając legitymacją. - Pościg za przestępcą.

Policjant podbiegł, wziął dokument do ręki i zaraz oddał.

- To czemu nie na sygnale? - zapytał speszony.

- Bo tajna akcja, baranie.

- Przepraszam, radio nic nie podało.

- Bo nie wszystkie pościgi planujemy z trzydniowym wyprzedzeniem. Mogę wreszcie jechać?!

-Tak, przepraszam - zsalutował, prężąc się służbiście.

Markowski ruszył z piskiem opon, śmiejąc się pod nosem.

Gładko poszło. Młody za trzy minuty zacznie się zastanawiać, dlaczego wcześniej nie widział uciekającego auta i co ma kogut do tajności, ale dojdzie do wniosku, że bezpieczniej będzie o tym zapomnieć niż drażnić sprawę i narazić się na śmieszność, że dał się wyrolować, albo na ochrzan, że interesuje się tajnymi akcjami.

Zajechał pod starą gajówkę, położoną malowniczo nad niewielkim jeziorem. Z drewnianego domku wyszedł Senik. Ko-rzystając ze znajomości, za grosze odkupił od nadleśnictwa tę nieużywaną już gajówkę. Markowski pojawiał się tu zazwyczaj na polowanie lub wędkowanie, ale dziś umówili się na piwo i pierwszego w tym roku grilla. Większość gości stanowiły natomiast kobiety, na które komisarz wywierał wprost magiczny wpływ: garnęły się do niego jak groupies do rockmana. Ponieważ mieszkał ze schorowaną matką staruszką, uwił sobie to gniazdko, by mieć gdzie przyjmować swoje fanki.

Senik niósł ogrodowego grilla, którego ustawił na werandzie,

i skierował się do komórki po węgiel. Markowski sięgnął po leżące na przednim siedzeniu piwo i kielbaski. Pogwizdując fałszywie jakąś melodię, rozłożył je na stoliku i wyjął papierosy. Senik wsypał brykiety do grilla, zaal podpałką i rozniecił ogień.

Usiedli na werandzie i czekając, aż ogień rozpali się na dobre, otworzyli po puszcze piwa. Powoli zmierzchało, słońce nad jeziorem zbliżało się do widnokręgu. W lesie rozległo się pohukiwanie puszczyka. Pili w milczeniu.

- Kiedy wybierzemy się na dziki? - zapytał w końcu Senik, wprawnym ruchem trafiając opróżnioną puszką do kosza.

- Jak tylko złapiemy tych gnoi.

Markowski wyrzucił niedopałek i podniósł się, żeby położyć kielbaski na ruszt.

- Daj chleb, też podgrillujemy.

Senik zniknął na chwilę we wnętrzu gajówki.

Markowski wziął drugie piwo.

- No, dzisiaj trzeba mi było browara. Ta kurwa chce ode mnie szmalu. Miałaś szczęście, że nigdy się nie ożeniłaś.

- Może.

- Baby to pazerne kurwy, nic więcej.

- Mhm.

- To biologia, bracie. Kobieta instynktownie chce zapewnić swojemu potomstwu byt, więc wybiera faceta, który będzie potrafił jej to zagwarantować. Kiedyś tego, który przyniósł większy łup z polowania, teraz z grubszym portfelem. I bez trudu wmawia sobie, że się w nim zakochała, a tak naprawdę zakochuje się w szmalu.

To zwyczajnie zaprogramowane kurwy i nie da się tego zmienić.

Wygłosiwszy swoją teorię na temat natury kobiet, Markowski pociągnął potężny łyk piwa.

Nieruchome powietrze potęgowało wrażenie spokoju nadchodzącego z zapadającym zmrokiem. Złudne wrażenie,

bo w lesie i jeziorze zwierzęta wyruszały właśnie na żer. Obaj milczeli. Mimo że znali się i przyjaźnili od lat, poza pracą nie mieli wielu wspólnych tematów, ale też nie należeli do szczególnie ga-datliwych. Milczenie im nie przeszkadzało. Markowski obrócił kielbaski na ruszcie.

- Przyjdiesz do mnie jutro na mecz? - zapytał.

-Tak.

- Myślisz, że nasi się zakwalifikują?

- Jak na razie dobrze im idzie.

- Tylko co z tego, jak potem dadzą dupy jak w Korei i w Niemczech. Takiej drużyny jak za Górskiego, to już nie będziemy mieli. Nie w tym syfie, demokracja, kurwa.

- Mhm.

Gdzieś z wierzchołka drzewa rozległ się głośny, melodyjny śpiew drozda. Przylatywały już po zimie. Mimo słonecznego dnia od wody ciągnął chłód. Było jeszcze za wcześnie na ciepłe noce.

Nagle melodia „Shalala” zagłuszyła ptaka. Była to nokia komisarza. Spojrzał kto dzwoni i odebrał.

- Czołem doktoru, co masz?

Wysłuchał uważnie dłuższego wywodu.

- Żartujesz?

-Co takiego?!

- Ale jaja. Dobra, dzięki - rozłączył się. - Ładnych parę sensacji - zwrócił się do Markowskiego. - Ale najpierw zjemy?

- Tak, chyba już dobrze przypieczone.

Nałożyli kielbaski i chleb na papierowe talerzyki, Senik podał Markowskiemu plastikowe sztućce, ale ten machnął odmownie ręką.

- Daj mi tylko musztardę.

- Proszę.

Otworzyli po kolejnym piwie i jedli, nic nie mówiąc. Dopiero głośne beknięcie Markowskiego oznajmiło, że to koniec posiłku i mogą przejść do spraw zawodowych.

- No i co takiego sensacyjnego oznajmił doktorek? - zapytał, zapalając papierosa.
- Chłopak i dziewczyna są rodzeństwem.
- O kurwa!
- W sumie mieliśmy szczęście, że chłopaczek posługiwał się fałszywym dowodem, bo jakbyśmy znali tożsamość, Gromowski nie miałby powodu porównywać jego DNA z DNA dziewczyny, a przy dwóch anonimowych trupach sprawdził.
- Czyli nie wiemy kim są, ale wiemy, że to rodzeństwo
- skonstatował Markowski.
- Otóż to.
- Zbieg okoliczności czy jednak jeden zabójca?
Senik podrapał się po głowie.
- Inna metoda i inny czas, co wskazywałoby na dwóch zabójców. Z drugiej strony może to być przemyślane działanie, żeby wyprowadzić nas w pole.
- Chłopak był narkomanem. Jeśli przyjmiemy, że to jakaś rodzina z marginesu...
- Dziewczyna miała hiva - przerwał mu Senik. - Gromowski zbadał krew pod tym kątem, bo poszedł tym samym tropem co ty, że może być z grupy zwiększonego ryzyka. Ale nie ćpała.
- Myślisz, że dziwka?
Komisarz wzruszył ramionami.
- Równie dobrze mogła zarazić się od kochającego męża, który na delegacji zadał się z jakąś cichodajką. Ale układanka rzeczywiście wskazuje raczej na margines.
- Byli dorośli, mieli własne sprawy, niewykluczone, że każde podpadło z osobna w swoim środowisku, a w półświatku łatwo oberwać. Chłopak chciał może pohandlować prochami, na przykład sam zużył towar, który miał sprzedać, i potem nie był w stanie za niego zapłacić, a dziewczyna, powiedzmy, zaraziła jakiegoś

gangstera i ten wyrównał rachunki - Markowski skłaniał się raczej ku teorii dwóch zabójców.

- Jednak zbieg okoliczności jest zastanawiający: brat i siostra, żadne nie ma papierów, zabici w odstępie kilku tygodni...

- No dobra, ale jeśli na celowniku była rodzina, a zabójca działał w sposób przemyślany do tego stopnia, że zostawił inny podpis i starał się utrudnić identyfikację - jaki motyw?

- Mamy za mało danych, spekulujemy.

- Racja.

Zamilkli. Obaj mieli świadomość, że trafiły im się trudne, nietypowe zabójstwa. W zależności bowiem od wysiłku, jaki musieli włożyć w złapanie sprawcy, zabójstwa dzieliły się na łatwe, nieistotne, trudne i bardzo trudne. Do łatwych należały sprawy rodzinne: kiedy przyjeżdżali, maltretowana żona zazwyczaj stała jeszcze z zakrwawionym nożem nad mężem, którego zadźgała w chwili desperacji, albo mąż kołysał się na stryczku, uśmierciwszy wprzód żonę i dzieci, których nie potrafił utrzymać. Także libacje alkoholowe, kiedy to zamrozonego denaturatem albo winem owocowym sprawcę odstawiali najpierw do izby wytrzeźwień.

Do nieistotnych zaliczały się porachunki gangsterskie. Oficjalnie policjarobiła wszystko, by znaleźć winnego, ale jeśli wskutek przecieków ze śledztwa kompani zabitego sami wyrównali rachunki, nikt nie robił z tego tragedii. Po co się szarpać, żeby facet dostał piętnaście lat i wyszedł po ośmiu, skoro bez zbierania dowodów i długotrwałych procesów sądowych gość miał kaesa, jak to dawniej określali sami bandyci. No i dwóch łobuzów było mniej na świecie.

Do kategorii trudnych należały zabójstwa rabunkowe, o podłożu seksualnym albo popełniane bez żadnego powodu: dwóch degeneratów wsiada do pociągu, żeby kogoś zabić i mordująprzypadkową dziewczynę. Tutaj śledztwo wymagało

intensywnej pracy operacyjnej i nie raz sprawcy udawało się unikać odpowiedzialności.

Rozwikłanie morderstwa z premedytacją, starannie zaplanowanego przez inteligentnego przestępcę, wymagało nie lada zaangażowania i jeszcze odrobiny fartu. Na szczęście takowe mogli w swojej karierze policzyć na palcach. Ich doświadczenie wskazywało więc na kategorię „trudne”, ale policyjny nos podpowiadał, że muszą brać pod uwagę wyrachowanego zabójcę. W tej sprawie było za dużo dziwnych przypadków, a tacy wyjadacze jak oni nie wierzyli w przypadki.

- To jeszcze nie koniec - powiedział Senik, jakby chciał postawić kropkę nad i - Nie zgadniesz, z jakiego pistoletu została zabita dziewczyna.

- Mów!

- Z izraelskiego uzi.

- Przecież to pistolet maszynowy.

- Jest też przystosowany do strzelania ogniem pojedynczym.

U nasady chwytu masz przełącznik, który przesuwasz w tył lub w przód, w zależności od tego, jaki ogień chcesz prowadzić - broń strzelecka była pasją komisarza.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że dziewczyna była terrorystką? Al-Kaidy i zastrzelili ją pejsaci z Mossadu?

- A skąd. Wojna między Izraelem a Egiptem, która wybuchła w pięćdziesiątym szóstym, po tym jak Naser zamknął Kanał Sueski, zrobiła uzi dobrą reklamę. Najpierw kupili go Holendrzy, później Niemcy i Belgowie, no a że to dobry pistolet, teraz jest tak popularny jak kałasznikow. I niedrogi. Mógł go kupić każdy i wszędzie.

- Tyle że w Polsce bandyci się tym nie posługują.

- Dotąd się nie posługiwali - sprostował Senik.

- Trzeba będzie przycisnąć handlarzy bronią, o takim zamówieniu musiało być głośno w półświatku.

- Jeśli to nie szmugiel z zagranicy.
- Jasne. To co, jeszcze po piwku i kielbasce? Tylko ja się najpierw muszę odlać - Markowski podniósł się i skierował w stronę najbliższej kępy drzew. Senik nałożył na ruszt nowe kielbaski i poszedł w jego ślady.
- Z drugiej strony - kontynuował inspektor, kiedy wrócili na werandę - na jaką cholereę ktoś zamawia specjalnie uzi, żeby kropnąć dziewczynę, zamiast wziąć zwykłego visa czy beretę?
- Może było odwrotnie - zauważył Senik, otwierając piwo. Handlarzowi trafiła się partia uzi i opchnął pistolet potrzebującemu.
- No ale to musiałby być kompletny amator - sprzeciwił się Markowski - bo tylko taki nie zdawałby sobie sprawy, że jak wybiera do tego stopnia nietypową broń, to równie dobrze mógłby sobie powiesić na szyi tabliczkę: „Jestem mordercą”. A kompletny amator nie dotrze tak łatwo do handlarza.
- Racja, może więc jednak szmugiel. Zagranicznik przyjeżdża z tym, co ma, nie zastanawia się, że zostawia wyraźny ślad, albo ma to gdzieś, bo wraca do siebie i jest przekonany, że na niego nie natrafimy.
- Płatny zabójca?
- Nie, ten na pewno nie wzięłby uzi.
Zamilkli, przetrawiając tę wymianę zdań. Od lat pracowali razem i przeprowadzili setki takich rozmów, które - nawet jeśli efekt nie był natychmiastowy - przybliżyły ich do ujęcia sprawcy.
- To co, jemy?
- Jemy.
- Wracasz później do siebie czy przenocujesz tutaj?
Markowski podrapał się po wystającym brzuchu, zastanawiając się, czy jechać z powrotem, czy jeszcze się napić.

- A masz więcej piwa, poza tym co przywiozłem?
- No pewnie.
- No to urznię się do końca.

23 marca, poniedziałek

Inspektor Markowski przeglądał końcowy raport medyczny i ustalenia sekcji technicznej. Przegryzał suchą bułką, żeby zwał-czyć doskwierającego mu kaca - z tego co pamiętał, piątkowe picie zakończył dopiero w niedzielę - okruszki spadały na papier. Strze-pywał je, przewracając strony. Raport Gromowski ego nie wnosił nic ponad to, co lekarz przekazał im ustnie. Również konkluzje techników nie były zbyt optymistyczne. W przypadku dziewczyny zebranie jakichkolwiek śladów DNA mogących wskazywać na sprawcę było niemożliwe - woda wszystko dokładnie wymyła.

Nic nie wskazywało też na związek z przestępstwem przedmiotów, które znaleziono na brzegu rzeki, na tym odcinku, gdzie woda wyrzuciła zwłoki. Potwierdzało to pierwotne przypuszczenie, że zabójstwa dokonano w innym miejscu. Natomiast w przypadku chłopaka problem stanowił nadmiar śladów. Przez piwnicę przewijały się dziesiątki ludzi: narkomani, bezdomni, streetworkerzy, lokatorzy, pracownicy spółdzielni. Także klienci pobliskiej budki z piwem, którzy chcieli zaoszczędzić na płatnej toalecie. W efekcie obecność w tym miejscu niewiele dowodziła. Zamordowany został zaskoczony, nie bronił się, poza raną głowy nie miał innych świeżych obrażeń, pod paznokciami nie było żadnego materiału genetycznego. Policyjna kartoteka nie zawierała odcisków palców ani chłopaka, ani dziewczyny, i identyfikacja tą drogą nie wchodziła w grę. Markowski ze złością rzucił raporty w kąt i wyszedł napić się wody.

Bazar Ludomira od samego rana tętnił życiem. Wśród budek

i stołów przewijał się tłum oglądających i kupujących. Handlowano wszystkim, od odzieży począwszy, na elektronice skończywszy.

Gdzieniedzie pojawiał się patrol straży miejskiej, na którego widok sprzedający chowali część towarów, a osobnicy oferujący coś mruklawie pod nosem czym prędzej znikali.

Komisarz Senik przepychał się przez ciżbę, a że strażników nie było akurat w polu widzenia, co chwila dostawał oferty:

- Bimberek, dobrze kopie.

- Harry Potter, najnowsza część, trzy miesiące przed premierą.

- Kurtki skórzane tanio, pełnowartościowe odpady z fabryki.

- Wódeczka oryginalna bez akcyzy.

- Numerek w bramie, Rosjaneczka palce lizać.

- Komórki do wyboru, do koloru, zgubione przez właścicieli.

- Ostre filmy, psy, konie.

Senik dotarł do niewielkiej drewnianej budki i szarpnął drzwi, ale bez skutku, były zamknięte na klucz. Załomotał pięścią, jednak dobrą chwilę trwało, zanim się otworzyły. Niski mężczyzna w okularach i wyciągniętym swetrze, zobaczywszy policjanta, uśmiechnął się nieszczerze.

- O, witam pana komisarza. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

Senik wyciągnął z kieszeni kurtki dowód wystawiony na Adama Brodę.

- Robiłeś to?

- Ależ skąd, panie komisarzu - zaprzeczył mężczyzna, nawet nie spojrzawszy na dokument. - Ja się już tym nie zajmuję, oczy nie te - zdjął okulary i zademonstrował szkła.

- Ty mi tu, Jarosz, nie opowiadaj andronów, tylko mów, czy to twoja robota, a jak nie, to czyja!

- Rzuciłem to, panie komisarzu, klnę się na pamięć mojej

matki - Jaroszowi w zaklinaniu się niespecjalnie przeszkadzał fakt, że wychował się w domu dziecka.

- Chcesz mieć przeszukanie? Coś długo otwierałeś te drzwi. Groźba poskutkowała.

Falszerz wziął dowód do ręki i uważnie go obejrzał.

- Profesjonalna robota, ale nie moja - oświadczył w końcu.

- Posłuchaj, pacanie - zirytował się Senik. - Tu nie chodzi o podrobienie dowodu, tylko o morderstwo. Chcesz beknąć za współudział?

- Kiedy naprawdę tego nie robiłem, panie komisarzu, klnę się na wszystkie świętości!

-A kto?

- Nie mam pojęcia, nie poznaję. Ale jak mówię, ja już praktycznie wypadłem z branży.

Senik uznał, że nic nie wskóra. Udał, że wziął zapewnienia fałszerza za dobrą monetę, oddalił się i zadzwonił z komórki po ekipę policyjną do przeszukania budy. Może to przyniesie jakiś efekt. Jarosz stawiał niezrozumiały opór. Czyżby zrobił podróbkę dla mafii, której, co naturalne, bał się bardziej niż policji?

Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze godzinę do spotkania z informatorem, który obracał się w kręgu handlarzy bronią. Dojazd zajmie mu dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut. Postanowił już jechać i poczekać w kawiarni, gdzie się umówili. W drodze do samochodu kupił „Przegląd Militarny”.

Kawiarnia Lotos idealnie nadawała się na spotkania z informatorami. Położona w inteligenckiej dzielnicy, nie była odwiedzana przez półświatek, natomiast jej średni standard odstraszał gości z establishmentu, w którym współpraca z przestępcami nie należała do rzadkości.

Senik zajął stolik w rogu i rozejrzał się po praktycznie pustyj o tej porze sali. Poza nim była jeszcze tylko para emerytów pochylających się nad szklankami z herbatą. Stojąca za

barem znudzona kelnerka o latynoskim typie urody wyraźnie ożywiła się na jego widok. Podeszła z szerokim uśmiechem, kołysząc biodrami. Komisarz odwzajemnił uśmiech i zamówił parzoną kawę ze śmietanką. Kiedy wracała do baru, by zrealizować zamówienie, jego wzrok przykuły zgrabne nogi i pośladki opięte krótką spódniczką.

Rozłożył gazetę i zaczął czytać artykuł omawiający uzbrojenie myśliwca F-16, wielozadaniowego samolotu bojowego wchodzącego powoli w skład polskiego lotnictwa. Artykuł go wciągnął, tak że lekko się wzdrygnął, kiedy usłyszał brzęk filiżanki i słowa:

- Proszę, pańska kawa, czy czegoś jeszcze pan sobie życzy?
- kelnerka pochylała się na tyle, że mógł zajrzeć w jej głęboki dekolt.

- Tak, pani numeru telefonu - spojrzał jej w oczy i dodał:

- Miłan mam na imię.

Uśmiechnęła się i odeszła od stolika bez słowa. Komisarz wrócił do czasopisma, lekturę przerwało mu dopiero pojawienie się informatora.

- Spóźniłeś się - zauważył Senik.

- Mogę w ogóle nie przychodzić - odburknął młody mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce z jasnymi włosami związanymi w kucyk i ruchem ręki odprawił kelnerkę, która chciała przyjąć zamówienie.

- Dobra, co masz?

- Nic. To znaczy nie było takiej transakcji. U nas się tym nie handluje, nasi nie lubią uzi.

- Dlaczego?

Młodzieniec zapalił papierosa i wzruszył ramionami.

- Nie lubią i już. Bez powodu.

- Prywatny import?

Informator pokręcił przecząco głową.

- Nawet jak ktoś przywiózł, to się tym nie pochwalił. Gość musi być dyskretny.

Komisarz westchnął. Dwa tropy i dwa razy ślepa uliczka. Na dodatek w poniedziałek, co oznaczało, że pech będzie się za nim włócił przez cały tydzień. Skinął na kelnerkę, że chce zapłacić.

Przyniosła rachunek. Na druczku na samym dole było napisane „Ewelina”, a pod imieniem widniał numer telefonu. Sonik uśmiechnął się, zapłacił z sowitym napiwkiem, a rachunek schował demonstracyjnie do kieszonki na piersi, patrząc na kelnerkę.

Przytaknęła - zrozumiała, że ze względu na towarzystwo młodzieńca nie może się odezwać, ale zadzwoni.

25 marca, środa

Genowefa Wiśniewska z trudem wspinała się po schodach. Odkąd przeszła operację biodra, dotarcie do mieszkania na trzecim piętrze stanowiło nie lada problem. A musiała wychodzić przynajmniej dwa razy dziennie, bo Szarek potrzebował spaceru.

Pies wrywał się teraz do domu, ale nie mogła go puścić, bo gdyby schodził ten podły człowiek spod dziewiątki, znowu zrobiłby awanturę, że Szarek biega bez smyczy. Jakby taki mały jamnik mógł zrobić krzywdę takiemu potężnemu mężczyźnie. Zatrzymała się na pierwszym piętrze, musiała odpocząć. W jej wieku nie przeskakuje się po dwa stopnie. Popatrzyła na drzwi oznaczone dużą srebrną czwórką. Tylko żeby ta wywłoka teraz nie wyszła, nie miała ochoty się jej kłaniać. Nie dość, że puszczałska, to jeszcze przezywają i Ćwiklińską spod szóstki moherowymi beretami.

Podśluchiwała ją, jak mówiła do swojego gacha, że Ćwiklińska jest przygłucha i nastawia Radio Maryja na cały regulator, tak że ona u siebie słyszy. Bezwstydnie się przy tym śmiała. Co prawda, to prawda, że Ćwiklińska jest przygłucha, ale tej wywłoce przydałoby się posłuchać ojca Rydzyka, żeby

moralności trochę nabrała. Sprowadza sobie różnych tych gachów, nawet dziesięć lat młodszych.

Ale w niedzielę odsztafirowana idzie do kościoła. Że jej nie wstyd!

Chciała iść dalej, ale jamnik wywachał coś pod drzwiami i kiedy pociągnęła za smycz, stawiał opór.

- No chodź, Szarek, chodź.

Pies nie ruszył się, tylko zaczął ujadać.

- Cicho, Szarek, cicho, bo ten podlec przyjdzie.

Pies jednak nie umilkł, a zgodnie z obawami Wiśniewskiej na górze otworzyły się drzwi i męski głos krzyknął:

- Niech pani uspokoi tego kundla! Nie jest pani u siebie na wsi!

W Wiśniewskiej krew się zagotowała, łachudra jeden od wsio-wych będzie ją wyzywał!

- To nie jest kundel, tylko rasowy jamnik! A ze wsi to sam pan jesteś!

Na schodach rozległy się kroki i na półpiętrze pojawiła się potężna sylwetka mężczyzny.

- No co się pani wydaje, że sama pani mieszka?! Próbuje pracować, a własnych myśli nie słyszę!

- To niech pan do uczciwej pracy idzie! Kto to widział z domu nie wychodzić!

Szarek nie zwracał uwagi, że naraził panią na awanturę. Nie tylko nie przestał ujadać, ale na dodatek zaatakował pazurami drzwi do mieszkania.

- Zaraz pani Paczkowska wyjdzie i będzie miała pani za swoje, że kundel zniszczył drzwi.

- Nie pański interes, panie Sobczak-to była Ćwiklińska, która, słysząc kłótnię, postanowiła przyjść w sukurs swojej najlepszej sąsiadce. - A Paczkowska nie wyjdzie, musi gdzieś wyjechała, bo nie widziałam jej od tygodnia.

Pani Ćwiklińska większą część wolnego czasu spędzała w oknie.

- Jak to wyjechała? Samochód przecież stoi, ja właśnie myślałem, że jest chora - Sobczak westchnął, ale nie nad dolegliwościami zmożonej pewnie grypą pani Paczkowskiej, tylko z tego powodu, że nie on jest właścicielem nowiutkiego nissana almery, którego mijał w ostatnim tygodniu, wychodząc koło południa po gazetę.

- Na samochodach to ja się nie znam, ale jak mówię, że Paczkowska wyjechała, to znaczy, że jej nie ma - obstawała przy swoim Ćwiklińska.

Sobczak spojrział na szalejącego wciąż psa innym wzrokiem. Zszedł na piętro i zapukał do drzwi. Potem jeszcze raz, zdecydowanie mocniej.

- Coś jest nie w porządku - mruknął. Z kieszeni rozchełstanej koszuli wydobyl komórkę i wystukał numer.

- Niech pani rzeczywiście uspokoi tego psa, bo nic nie słyszę. Zajęte.

Wiśniewska przykucnęła z głośnym sieknięciem. Głaskaniem i pieszczotliwymi słówkami zdołała o tyle uciszyć jamnika, że ten przestał ujadać i ograniczył się do rozpaczliwego skomlenia.

- A gdzie pan dzwoni?

- Jak to gdzie? Na policję. Halo! Moje nazwisko Sobczak, dzwonię z Kraszewskiego 15, chciałem zgłosić, że coś jest nie 34 w porządku, sąsiadka nie pokazuje się od tygodnia, samochód nie był ruszany, a pies wyraźnie

wyczuł coś w mieszkaniu... Nie, nie mój pies, innej sąsiadki... Nazwisko Paczkowska... zaraz opuścił rękę z telefonem - jak ta pani ma na imię?

- Beata - odpowiedziała Ćwiklińska.

- Beata Paczkowska... Tak, czekam... - znowu opuścił rękę.

- Sprawdza, czy ktoś nie zgłosił zaginięcia. Tak, słucham... aha... no ale czy nie moglibyście sprawdzić... nie wiem jak, to wasza praca... niech pan nie będzie bezczelny... - Sobczak umilkł i ze zdumieniem spojrział na telefon.

- Powiedział, że nie było zgłoszenia o zaginięciu, więc pewnie poleciała samolotem na Karaiby, zabawić się, a oni mają poważniejsze sprawy na głowie niż zajmowanie się duperelami, i po prostu się rozłączył - zreferował staruszkom, kiedy nieco ochłonął.

- To co zrobimy? - Wiśniewska miała złe przeczucia, a wiedziała, że przeczucia jej nie mylą. Szarek też był inteligentnym psem, na pewno nie ujadął tak bez powodu. Sobczak przyjrzał się drzwiom.

- Podwójne, dobry zamek, tędy nie wejdziemy. Spróbuję może zajrzeć przez okno.

- Jak przez okno? - zdziwiła się Ćwiklińska, ale Sobczak zbiegał już po schodach. Kobiety pośpieszyły za nim. Na dworze zobaczyły, że wspina się po rynnie, która niebezpiecznie trzeszczała pod jego ciężarem. Kiedy dotarł na pierwsze piętro, zajrzał w okno kuchni, ale najwyraźniej niczego tam nie dostrzegł, bo ostrożnie przesunął się po parapecie w stronę pokoju. Podniósł rękę do czoła, żeby lepiej widzieć, i nagle zamachnął się łokciem, wybijając szybę. Staruszki skuliły się ze strachu. Sobczak otworzył okno od środka i wskoczył do mieszkania. Na chwilę zniknął w głębi, ale zaraz pojawił się z powrotem z telefonem przy uchu.

Kiedy skończył rozmawiać, zawołał do kobiet:

- Ona nie żyje, policja już jedzie!

Markowski z Senikiem rozglądali się po gustownie urządzonej i zadbanym mieszkaniu, w którym uwijali się technicy policyjni w białych kombinezonach ochronnych. Wszystko, od drogich mebli po najnowszej klasy sprzęt elektroniczny, świadczyło o zamożności właścicielki.

- Dziwka? - wytypował zawód inspektor.

- Co ty, za stara, poza tym sąsiadki mówią, że chodziła do pracy w normalnych godzinach.

- Stara nie stara, źle nie wyglądała. A niektórzy wolą

starsze.

- No tak patrząc, to i w tym stanie znalazłaby amatora.

Kobieta, o której była mowa, siedziała związana na krześle stojącym pośrodku pokoju w kałuży zaschniętej krwi. Żyły na przegubach dłoni miała przecięte. Palce u rąk były częściowo pozbawione paznokci. W oczy rzucały się liczne rany na twarzy i szyi, zadane nożem albo innym ostrym narzędziem. Jednak najbardziej makabryczny widok stanowiły obcięte uszy ułożone starannie na stole obok wyrwanych paznokci i jakiejś otwartej książki.

Smród rozkładającego się ciała i ekskrementów był nie do zniesienia.

- Miłan! - Markowski zajrzał do trzeciego, najmniejszego pokoju. - Zobacz - wskazał na ustawioną pod ścianą rysownicę z rozpoczętym projektem. - Chyba architektka.

- Zgadza się - Senik trzymał w ręce plik dokumentów wyciągnięty z jakiejś szuflady. - Tu jest dyplom. Dziwką była tylko z zamilowania, babcie mówią, że ciągle sobie kogoś sprowadzała.

- No i trafiła pewnie na sadystę - inspektor odwrócił się do Gromowskiego, który dokonywał oględzin zwłok. - Sprawdź, czy miała przed śmiercią stosunek, dobrowolny lub nie.

- Na gwałt nie wygląda, chyba że najpierw ją zgwałcił, a potem kazał się ubrać - zauważył lekarz.

- No ale nawet jak nic nie zaszło, to nie wyklucza morderstwa na tle seksualnym przez gościa, któremu staje dopiero na widok krwi - Senik powiedział to, co obaj wiedzieli. - Spermę też szu-kajcie - rzucił technikom.

- Dobra, dobra, zbieramy wszystko. Szkło po tym pacanie też.

Po co on wybijał szybę?

- Mówił, że miał nadzieję, że ona jeszcze jest przy życiu, i chciał ją ratować.

- Pewnie od razu zważał, że nie żyje - technicy mieli specyficzne poczucie humoru, typowe dla nich i grabarzy.
- No właśnie - komisarz spojrzął na Gromowskiego - czas zgonu?
- Lekarz podniósł się z kłeczek i skrzywił się.
- Zawsze musicie wiedzieć od razu. Wnosząc ze stanu zwłok, około tygodnia, dokładniej po sekcji.
- A przyczyna?
- Gromowski pokazał na podcięte żyły na przegubach rąk.
- Pewnie się wykrwawiła. Albo ktoś ją otruł, a żyły podciął dla zabawy. Szczegóły po sekcji.
- Policjanci nie przejęli się zastrzeżeniami Gromowskiego.
- Jego wstępne diagnozy najczęściej się potwierdzały i stanowiły dobry punkt wyjścia dla śledztwa. Z rzadka tylko wynik sekcji wykluczał pierwotne ustalenia.
- Z kuchni wyszedł Gryszko, demonstrując zakrwawiony nóż w foliowym woreczku.
- Chyba mamy narzędzie zbrodni, ale jest to nóż z jej kompletu, więc jak nie będzie na nim odcisków palców, to kicha stwierdził bez nadmiernego optymizmu.
- Policjanci dalej rozglądali się po mieszkaniu. W szufladzie biurka znaleźli plik stuzłotówek.
- Motyw rabunkowy możemy z całą pewnością wykluczyć, pieniądze leżą sobie spokojnie w szufladzie, nie wygląda na to, żeby z mieszkania coś zginęło - zauważył Senik. - Gdzie młody?
- Powinien zaraz być. Chłopaczek ma pecha, trzeci trup w ciągu tygodnia. Zobaczymy, czy znowu rzygnie.
- Daj mu spokój, też byś rzygał, jakbyś na początku kariery miał topielca w kolorach litewskiej flagi.
- Bez przesady, do takiej kolorystyki było jej daleko.
- Myślisz, że jest jakiś związek między tymi zabójstwami? Zapytał Senik.
- Wątpię - Markowski podrapał się po szczecinie. -

Dziewczyna z hivem i narkoman, a tu bogata architektka. Nie, wyłącznie zbieżność czasu.

- Co to za książka?

Obaj policjanci podeszli do stołu, na którym leżał rozłożony zabytkowy wolumin.

- Poplamiona krwią - stwierdził Markowski.

- Wygląda raczej, jakby ktoś krwią zaznaczył ten fragment odezwał się zza ich pleców jakiś głos. Był to Lepka.

- Już ci mówiłem, że za dużo filmów o Columbo oglądałeś zganił go Markowski.

-Nie, czekaj, chłopak może mieć rację. To rzeczywiście jest zbyt regularny kształt jak na przypadkowe poplamienie - Senik pochylił się nad otwartą książką, żeby przeczytać zaznaczony fragment, ale zaraz się wyprostował. - To nie po polsku, jakieś arabskie znaczki.

- Hebrajskie.

Senik spojrział na Lepkę z mimowolnym podziwem.

- Znasz hebrajski?

- Nie, ale wiem, jak wyglądają litery.

Komisarz skierował się w stronę regału i zaczął systematycznie przeglądać księgozbiór ofiary.

- Jedyne obcojęzyczne książki są po niemiecku - skonstatował. - Nie ma też żadnego słownika polsko-hebrajskiego czy jakiegoś podręcznika do nauki. I wszystkie książki, jakie ma, są współczesne, a ta - wskazał ręką wolumin - wygląda na antyk.

- Konkluzja? - spytał inspektor.

- Przyniósł ją sprawca?

- Nie pasuje do teorii przypadkowej znajomości. Gość wychodzący poderwać babkę nie tacha pod pachą Biblii.

- Myślisz, że to Biblia?

- Nic nie myślę, gruba jest, więc tak mi się powiedziało. Synek - zwrócił się do Lepki - weźmiesz to tomiszcze i kopsniesz się do jakiegoś profesorka. Ustalisz, co to za

książka i co jest w tym fragmencie. Nie teraz, kurwa! - wrzasnął, widząc, że Lepka sięga po wolumin. - Później, z laboratorium.

Blady i przestraszony aspirant odsunął się od stołu.

Spod bramy patrzyli na wóz opancerzony stojący na zaśnieżonym podwórku i żołnierzy grzejących się przy koksowniku.

Zapadający zimowy zmierzch potęgował grozę tego widoku.

- Chciałaś się ze mną zobaczyć?

- Wyjeżdżam. ,

- Dokąd?

- Do Niemiec.

- Przecież granice są zamknięte.

- No nie jedziemy jutro. Mój ojciec jest na tyle wysoko w partii, że za jakieś dwa, trzy tygodnie do NRD nas puszczą, tam przyjedzie facet z Berlina Zachodniego, za którego wychodzę za mąż, i w ramach łączenia rodzin będę mogła do niego wyjechać.

Milczał, przetrawiając tę wiadomość.

- Chodził za mną długo i teraz się zgodziłam.

Pomyślał, że tak długo jak on nikt za nią nie chodził.

- Jeśli wszystko dobrze pójdzie, ślub będzie za miesiąc.

- Równy za miesiąc?

-Tak.

-Akurat w moje urodziny.

Ból i rozpacz przeszły we wściekłość:

- Po co chciałaś się ze mną zobaczyć?! Żeby mi powiedzieć, że się po raz drugi sprzedałaś?! Za możliwość wyjazdu? Że robisz mi na urodziny prezent w postaci swojego ślubu?! Czy ty wiesz, jak ja się czuję?! Kocham cię, zrobiłbym dla ciebie wszystko! Dla ciebie to się nie liczy, a wystarczy, że podjedzie facet samochodem czy z zagranicznym paszportem i od razu wskakujesz mu do łóżka!

Nienawidzę cię!

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i szybko odszedł.

26 marca, czwartek

Budynek uniwersytecki mieszczący filologię znajdował się nad samą rzeką, ale ustawiony był do niej bokiem. Naprzeciwko stała hala targowa, której konkurencja supermarketów, wnioskując z tłumu klientów, najwyraźniej nie zaszkodziła. Przed neogotyckim frontonem uczelni stali w grupkach studenci. Jedni zawzięcie dyskutowali, inni odreagowywali stres zajęć papierosem.

Lepka zaparkował swojego malucha za mostem, w ślepej uliczce przechodzącej w trakt spacerowy, gdzie nie trzeba było płacić za parking. Wstydził się też podejżdzać pod samą uczelnię wykładowcy, a nawet studenci często mieli lepsze samochody.

Żwawo przeszedł przez most, oglądając się za dziewczynami, które ciepły wiosenny dzień skłonił do założenia miniówek i odsłonięcia nóg.

Instytut Orientalistyki mieścił się na czwartym, ostatnim piętrze. Dyrektor hebraistyki, profesor Wikliński, już na niego czekał w małym pokoiku wykładowców. Podał Lepce rękę - miał mocny, zdecydowany uścisk dłoni - i wskazał mu krzesło. Był to wysoki, przystojny mężczyzna około pięćdziesiątki, ubrany w nienagannie skrojony garnitur. Na gładko wygolonej twarzy rysował się lekki uśmiech, mający zapewne dodać otuchy rozmówcy czy zalek-nionemu studentowi wchodzącemu na egzamin. Uśmiechały się również jasne oczy za szklami w eleganckich rogowych oprawkach. Profesor należał do szczęśliwców, których proces łysienia ominął, ale bujne włosy były zupełnie siwe.

- Słucham pana? - miękki, melodyjny głos hebraisty pozwoliłby mu wygrać każdy konkurs na stanowisko prezentera radiowego.

Aspirant powtórzył to, co powiedział już przez telefon: przy ofercie morderstwa znaleźli książkę, która, według ich wiedzy, jest po hebrajsku, z być może zaznaczonym fragmentem, i podał przyniesiony tom profesorowi.

Ten wertował go długo, w skupieniu przyglądał się oprawie, potem zatrzymał się na owym fragmencie.

- To chyba nie... krew?

- Niestety, krew. Szkoda, że nie zabójcy, tylko ofiary.

- Do kogo należała ta książka?

- Nie wiemy, chyba nie do ofiary, bo w jej mieszkaniu nie było podobnych książek ani nic po hebrajsku, a na tej nie została odcisków palców. Czy to Biblia?

- Nie, to Talmud, konkretnie Talmud Jerozolimski, XIX-wieczne wydanie z Żytomierza, wielka rzadkość u nas. Wie pan, czym jest Talmud?

Aspirant wielokrotnie słyszał to określenie, ale zbyt pewien nie był.

- Święta księga żydów?

- Niezupełnie. Świętą księgą żydów jest Biblia, oczywiście tylko Stary Testament. Jak każdą świętą księgę trzeba ją jednak było interpretować, dostosowywać znajdujące się w niej prawa i przepisy do rozwoju i zmieniających się warunków społecznych.

Zajmowali się tym uczeni w Piśmie. Powstała w ten sposób bogata tradycja ustna, która na początku III wieku po Chrystusie została spisana pod kierownictwem rabiego .ludy ha-Nasi, tworząc tak zwaną Misznę. Później Miszna sama podlegała komentowaniu, a zbiór tych komentarzy nosi nazwę Gemara. Miszna i Gemara składają się właśnie na Talmud. Są dwie wersje Talmudu - Jerozolimski i Babiloński. Różnią się Gemarą, spisaną po aramejsku.

Babilońska jest znacznie obszerniejsza. Natomiast Miszna, spisana po hebrajsku, jest w obu wersjach praktycznie taka sama. Miszna dzieli się na sześć porządków: szisza sedarim,

są to profesor uniósł dłonie i zaczął odliczać na palcach - Zeraim, czyli nasiona, zasiewy, traktaty o obrzędach i prawodawstwie związanych z rolnictwem, Moed, czas wyznaczony, święto, traktaty zawierające prawa dotyczące obchodzenia świąt, świętowania szabatu i odprawiania postów, Naszim, kobiety, rozprawy o życiu rodzinnym, o prawie rodzinnym i małżeńskim, Nezikin, szkody, to kodeks prawa cywilnego i karnego, Kodaszim, świętości, obejmuje prawa zajmujące się ofiarami, ubojem rytualnym i porządkiem kultu świątynnego, i ostatni, Tohorot, oczyszczenia, rozprawy i przepisy dotyczące czystości rytualnej. Te sześć porządków, zawiera sześćdziesiąt traktatów względnie... widzę, że pana zanudzam - przerwał profesor, bo aspirant lekko ziewnął.

- Nie, nie - zaprzeczył Lepka, czerwieniąc się.

- Żeby nie przedłużać. Zaznaczony fragment znajduje się w trzecim porządku, Naszim, w traktacie Sota, czyli kobieta zameżna podejrzana o cudzołóstwo.

- A co w tym fragmencie pisze?

—Jest napisane - poprawił machinalnie profesor. - Cytowałem go chyba w mojej książce „Talmud - nauczanie i prawodawstwo”.

Chwileczkę, powinienem ją tu mieć - profesor wyciągnął szufladę biurka i w poszukiwaniu książki zaczął wykladać na blat jej zawartość: skrypty, notatniki, papier do drukarki, indeksy, luźne kartki, podręczny słownik, z którego wypadła na podłogę jakaś fotografia. Aspirant podniósł ją i podał profesorowi. Przedstawiała Wiklińskiego i starszego od niego, również siwego mężczyznę o pociągłej twarzy.

- O proszę, szukam tego zdjęcia od wieków. Miałem w swojej karierze epizod jako attache kulturalny w Tel Awiwie i wtedy poznałem Amosa Oza, to właśnie on. No niestety, książki nie ma, zawsze znajduje się coś innego, niż się szuka. Mam ją pewnie w domu, musiałbym zajrzeć i

sprawdzić, czy zamieściłem ten cytat.

Jeśli nie, potrzebowałbym trochę czasu na popracowanie nad tłumaczeniem, żeby oddać nie tylko treść, ale i specyficzną formę tekstu.

- Naprawdę chodzi wyłącznie o treść, dla naszych potrzeb forma jest mało istotna - aspirant z dumą usłyszał, że wypowiada się jak doświadczony policjant. - Byłbym wdzięczny, gdyby panprofesor zechciał przetłumaczyć mi teraz, od razu... nie jest tego przecież dużo.

Wikliński lekko westchnął, ale powiódł palcem po tekście.

Lepka wyciągnął z kieszeni notes i długopis.

- „Miarą, jaką człowiek mierzy, sam będzie mierzony. Wystroić się do grzechu, dlatego Bóg ją zesześcił; obnażyć się do grzechu, dlatego Bóg wystawił ją na pośmiewisko; zaczęła grzech biodrami i kontynuowała brzuchem, dlatego najpierw zostaną ude-rzone biodra, potem brzuch, i nie uniknie tego reszta ciała”.

- Obcięte uszy... - mruknął aspirant, przebiegłszy jeszcze raz oczami tekst, kiedy Wikliński zamilkł.

- Słucham?

- „Bóg ją zesześcił”. Paczkowska, znaczy się ofiara, miała obcięte uszy i rany na twarzy, które pewnie pozostawiłyby blizny.

Wygląda na to, że ten fragment rzeczywiście zaznaczył zabójca i nie zrobił tego przypadkowo.

- A ta pani była żydówką?

- Nniee... wydaje mi się, że nie. Dlaczego pan pyta?

- No bo kto stosowałby żydowskie zwyczaje wobec nieżydówki? Chyba że jej mąż jest żydem.

- Z tego co wiemy, nie była zamężna. Ale może rozwiedziona - zastanowił się aspirant.

- No tak, ale rozwód... wie pan, jak wygląda rozwód w kulturze żydowskiej?

Lepka myślał, że żydom nie wolno się rozwodzić, ale się do

tego nie przyznał.

-Nie.

- Mąż wręcza żonie list rozwodowy. Jeśli żona nie wyraża zgody, sprawę rozstrzyga sąd bejt din. W odwrotnej sytuacji, kiedy to żona chce rozwodu, a mąż odmawia, bejt din może tylko próbować nakłonić męża, by zmienił zdanie. Dawniej sprawę zała-twiano prosto: bito go, aż się zgodził. Jak pan widzi, każdy przepis można obejść - uśmiechnął się profesor. - Ale wracając do rzeczy.

W przypadku zdrady rozwód był jej konsekwencją. A skoro mąż już się z nią rozwiódł, po co potem jeszcze ją maltretował? Zła kolejność. No i do tego zabójstwo. Prawo Mojżeszowe przewidywało wprawdzie kamienowanie cudzołożnic, ale proszę mi wierzyć, że żydzi byli znacznie bardziej praktyczni i życiowi, i właśnie Talmud złagodził wiele surowych przepisów Starego Testamentu.

Profesor postukał palcami po blacie.

- Przepraszam, ale chyba wchodzę w pańskie kompetencje, usiłując odgadnąć, czym kierował się zabójca...

-Wygłasza pan tylko opinię eksperta - zapewnił Lepka, nieco speszony, że usprawiedliwia się przed nim dwukrotnie od niego starszy naukowiec. - Proszę mi powiedzieć, gdzie taką książkę można kupić.

- Najłatwiej w izraelskim antykwariacie.

- Mógłby pan podać adres? - Lepka pstryknął długopisem.

- Izraelski w sensie, że w Izraelu, nie że sprzedający literaturę izraelską - uśmiechnął się pobłaźliwie profesor. - Jeśli już szukać w Polsce, to w antykwariatach ze starodrukami, ale wątpię, by ta pozycja się u nas pojawiała.

Aspirant zastanowił się, czy jeszcze o coś powinien zapytać, ale nic więcej nie przyszło mu do głowy. Pożegnał się, prosząc o pozwolenie na skontaktowanie się z profesorem, gdyby potrzebował dodatkowych wyjaśnień.

- Ależ oczywiście - Wikliński najwyraźniej należał do ludzi

uczynnych - proszę dzwonić w każdej chwili.

Ale grzeczność za grzeczność. Czy pozwoliłby pan na skserowanie strony tytułowej?

Miałbym ciekawostkę na zajęcia ze studentami.

Lepka nie widział przeszkód i profesor zniknął z woluminem w przyległym pokoju. Aspirant usłyszał charakterystyczny odgłos kserokopiarki i po chwili miał książkę z powrotem w ręku.

Znalazłszy się na dworze, Lepka przeanalizował rozmowę z profesorem, kontemplując urodę studentki w obcisłym czarnym sweterku, pod którym rysowały się krągłe piersi. Dziewczyna spostrzegła, że jest obserwowana, i zalotnym gestem odgarnęła burzę czarnych włosów. Była świadoma swojej urody. Lepka z pewnym żalem porównał ją z szarą myszką, z którą mieszkał. Ale kochał tę swoją Myszkę i nie zamieniłby jej nawet na Monikę Bellucci. Wrócił myślami do sprawy i postanowił przejść się po antykwariatach.

Miał czas, inspektor wyznaczył odprawę dopiero na osiemnastą.

Pewnie znowu wyśmiałyby go, że prawdziwe śledztwo to nie film o Columbo, ale przecież nie musiał się tą wyprawą chwalić, jeżeli nic by z niej nie wynikło. Zauważył, że jeśli tylko wykonywał polecenia inspektora, ten nie interesował się, co robi w pozostałym czasie i czy rzeczywiście pracuje. Najwyraźniej był zadowolony, kiedy narzucony asystent schodził mu z oczu.

Zaczął od swojego ulubionego antykwariatu, w którym od czasu do czasu kupował książki. Odpowiadała mu atmosfera, jaką tworzyły setki woluminów, częstokroć starodruków, oprawnych w skórę, z wymyślnie ozdobnymi tytułami, w obramowaniu łukowatych sklepień, i zapach będący niepowtarzalną mieszanką woni papieru, skóry, drewna pólki i tytoniowego dymu. Wprawdzie nie znosił dymu, ale dla tego miejsca czynił wyjątek: cygaro doskonale pasowało

do antykwariusza, gruboskórnego zasuszonego staruszka, który zdawał się nie opuszczać tego miejsca od pięćdziesięciu lat, całkowicie obojętny na przemiany zachodzące za drzwiami jego królestwa. Pewnie bardzo by się zdziwił, gdyby mu powiedziano, że został wprowadzony zakaz palenia w miejscach publicznych. I pewnie by się nim nie przejął, tak jak nie przejmował się komunistami, którzy chcieli cenzurować jego asortyment. Za czasów realnego socjalizmu nachodzili go esbecy, ale nie mogli sobie poradzić z krew-kim antykwariuszem, który wiedział, że książki przetrwają każdy ustrój, szczególnie taki, który ustanawiał listy zakazanych tytułów.

Ciężkie drzwi zaskrzypiały jak zwykle i Lepka wszedł do środka. Chciał skorzystać z okazji i najpierw pobuszować między półkami. Wyjmował książki, przeglądał, studiował noty na okładkach. Na jednej przeczytał: „Najlepsza szwedzka powieść miłosna”. Może kupić na prezent dla Myszki? To przecież ona zaraziła go pasją czytania. Spojrzał na tytuł: „Niebłahe igraszki”.

Brzmiało frapująco. Nazwisko autora: Hjalmar Söderberg. Chyba Myszka zachwycała się jakąś jego powieścią. Czy to nie on napisał „Doktora Glasa”? Otworzył na chybił trafił i zaczął czytać:

„Milczał, ona też.

- Możesz mi powiedzieć jedną rzecz - odezwała się w końcu
- gdzie leży Jezioro Taunickie?
- Jezioro Taunickie?

Nazwa wydała mu się znajoma, ale w tej chwili nie mógł sobie przypomnieć, gdzie ją usłyszał czy przeczytał.

- Nie, nie wiem... Zapewne gdzieś w Niemczech lub w Szwajcarii. Dlaczego pytasz? Chcesz tam pojechać?
- Chciałabym. Gdybym się tylko dowiedziała, gdzie się znajduje.
- To chyba nie takie trudne?

- Obawiam się, że wcale nie łatwe. Nie mogłam dzisiaj w nocy zasnąć i przyszedł mi na myśl fragment z „Gdy powstaniemy z martwych”. Cały czas brzmiało mi w uszach: „Piękne, piękne było życie nad Jeziorem Taunickim!”. I pomyślałam sobie: tego jeziora z pewnością nie ma. I może właśnie w tym cały urok.

- W ten sposób... Tak, chyba masz rację. To jezioro raczej trudno będzie znaleźć na mapie.

Zamilkli oboje.

Szeptem powiedziała, bardziej do siebie niż do niego:

- Ale raz w tym nędznym życiu ma chyba człowiek prawo spróbować odnaleźć swe Taunickie Jezioro...

Nic nie mówiąc, pogłaskał ją po ręce.

- Lydia - wymamrotał - moja mała Lydia...

A potem zapytał:

- Jak układa ci się z mężem?

- Bardzo dobrze.

I z lekko pogardliwym uśmiechem dodała:

- Przebywanie z nim jest takie kształcące. On tak dużo wie.

-I miałaś wielką podróż poślubną?

- Tak. Kopenhaga, Hamburg, Brema, Holandia, Belgia, Paryż! Riwier, Mediolan, Florencja, Rzym! Z Brindisi do Egiptu i piramid. Tam trzy tysiąclecia, a może cztery albo sześć, nie pa-miętam, patrzyły na małą Lydię Stille. I podróż powrotna przez Wenecję, Wiedeń, Pragę, Drezno, Berlin i Trelleborg...

- Do Jeziora Taunickiego nie dotarliście?

- Nie, tam nie. Nie ma go w bedekerze".

- Panie, tu nie czytelnia - wyrwał go z lektury zrzędlawy głos.

Kupuje pan albo nie!

Lepka wzdrygnął się, bo na moment znalazł się w innym świecie, potem spojrzął na cenę i oszacował stan książki. Miała oderwaną tylną okładkę, ale za to była tania.

- Okładka jest oderwana.

- Przykleję, chyba że pan bierze, to już sobie pan sam przyklei.

- Wezmę.

Zapłacił, po czym sięgnął po legitymację, jednocześnie podając staruszkowi Talmud. Miał niejasne przeczucie, że legitymacja okazałaby się wątlm argumentem, gdyby policja miała do antykwariusza sprawę niezwiązaną jego zainteresowaniami.

-Aspirant Krzysztof Lepka z policji. Chciałbym zapytać, czy w ostatnim czasie sprzedał pan komuś tę książkę.

Staruszek z wyraźnym poruszeniem wziął Talmud do ręki i przeprowadził podobne oględziny jak profesor.

- Ej nie, panie, u nas to biały kruk, wydanie żytomierskie z tysiąc osiemset sześćdziesiątego szóstego. W Izraelu może trochę tego jest, co diaspora uratowała przed faszystami, ale też nie za dużo, bo żydzi mają zwyczaj grzebania uszkodzonych ksiąg i przedmiotów rytualnych.

- Rozmawiałem wcześniej z profesorem Wiklińskim, mówił, że to rzadkość.

Staruszek cmoknął.

- Najwybitniejszy hebraista w Polsce. No cóż, przez moje ręce ta książka nie przeszła, niech pan popyta u innych, ale szczerze powiedziawszy, wątpię, żeby ktoś poza mną wziął ją do sprzedaży. Ci parweniusze - antykwariusz z wyraźną pogardą splunął do spluwaczki, którą zapewne wypożyczał do kręcenia filmów na podstawie „Przygód dobrego wojaka Szwejka” - ci parweniusze nie biorą niczego, co nie schodzi od ręki. Tfu! - splunął jeszcze raz. - A ten Talmud musiały trochę poleżeć.

Lepka nie wiedział, co znaczy „parweniusz”, ale nie miał problemów z domyśleniem się, że nic pochlebnego.

- Dziękuję, mimo wszystko spróbuję. A - zatrzymał się z ręką na kłance - kto napisał „Gdy powstaniemy z

martwych"?

- Ibsen, a bo co? - antykwariusza wyraźnie irytowały takie luki w czytaniu.

- W tej książce było o Jeziorze Taunickim...

- Symbol szczęśliwych chwil w życiu, czego was w tych szkołach teraz uczą? - staruszek przewrócił oczami.

Trop się rwał, ale aspirant wolał chodzić po mieście niż wracać do komisariatu. Następny antykwariat w niczym nie przypominał poprzedniego. Był to po prostu sklep z używanymi książkami.

Ledwo sprzedawca zobaczył tekst, pokręcił przecząco głową.

- Nie, nie prowadzimy arabskich książek.

Fiaszkiem zakończyły się również wizyty w kolejnych znanych Lepce antykwariatach. Wstąpił do kawiarenki internetowej i poszukał w sieci dalszych adresów. Znalazł dwa, z których jeden był w pobliżu. Kierując się w stronę nieodległej kamienicy, zatrzymał się przed budką z hot dogami. Poczul, że zgłodniał. Zamówił zapiekankę i colę i solennie obiecał sobie, że nie wygada się przed Myszka o tym posiłku. Była fanką zdrowego żywienia i wiedział, że za taki zestaw dostałby burę. Gryząc gumowatą zapiekankę, dotarł na miejsce i rozejrzał się bezradnie. Numer się zgadzał, ale antykwariatu nie było. Wszedł w podwórze, gdzie dwóch umoru-sanych dziesięciolatków okładało się piściami. Lepka rozdzielił ich i kiedy zmusił do wzajemnych przeprosin, zapytał:

- Gdzie tu jest antykwariat?

Chłopcy nie odpowiedzieli. W pierwszej chwili aspirant pomyślał, że jest to forma buntu, ale zaraz zorientował się, że po prostu nie wiedzieli, o co pyta.

- Sklep z książkami.

- Tam - malcy wskazali brudnymi paluchami w kąt podwórza.

Aspirant podszedł, starając się nie wdepnąć w walające się

wszędzie psie kupy.

Nic dziwnego, że nie zobaczył antykwariatu, nie było żadnego szyldu. Zresztą określenia: „antykwariat”, „sklep” czy „księgarnia” zdecydowanie tu nie pasowały. Była to komórka, w której na podłodze walały się książki, głównie podręczniki szkolne, a jedyny wolny skrawek, tuż za drzwiami z szybą upstrzoną przez muchy, zajmowało krzesło sprzedawcy, w tej chwili puste.

„Tu się nie handluje białymi krukami” - uświadomił sobie aspirant.

Zastanawiał się, czy jechać pod ostatni adres, czy nie będzie go tam czekał podobny widok. Poczucie obowiązku jednak przeważało: ten mały kapral w nim samym, który nie pozwalał mu odpuścić, zrobić po łebkach.

Wrócił do samochodu i z pewnym trudem uruchomił silnik.

Miał słaby akumulator. Z rozpaczą pomyślał o jego wymianie.

Najmarniej sto pięćdziesiąt złotych, a jeszcze nie zobaczył swojej pierwszej pensji, której wysokość czy raczej niskość nie uwzględniała psującego się malucha. Wyjechał na zatłoczone o tej porze ulice i zaraz utknął w korku. Wzbierającą rzekę pojazdów wiozących właścicieli z pracy do domu zatamował remont jezdni. Lepka musiał zmienić pas, bo znajdował się na tym zamkniętym, ale illa kierowcy, który niedawno ściągnął zielony listek, nie był to wcale najprostszy manewr. Za długo oceniał, czy przepuszczający go samochód zostawia mu wystarczająco dużo miejsca, i zniecier-pliwieni kierowcy jechali dalej. W końcu któryś zorientował się, że ma do czynienia z nowicjuszem, i mrugnął mu światłami. Uszczęśliwiony Lepka przeskoczył do przodu i dojechał do skrzyżowania.

Nagle silnik zaczął niebezpiecznie rzeźić i zgasł. Aspiranta oblał zimny pot. To był jego czarny sen: samochód unieruchomiony na największym skrzyżowaniu w mieście.

Spróbował ponownie zapalić i z wyraźną ulgą usłyszał, że tym razem silnik zaskoczył.

Nie znał osiedla, na które dojechał. Dostrzegłszy galerię sklepów, zaparkował tuż obok, przekonany, że poszukiwany antykwariat znajduje się wśród nich. Spotkało go rozczarowanie, a numeracja wskazywała, że jest jeszcze dość daleko od właściwego miejsca. Zaczepił jednego z przechodniów:

- Przepraszam, gdzie jest numer 142?

- 142? - zagadnięty wyglądał przez chwilę na zdezorientowanego. - Tu jest 68... - powiedział, podnosząc wzrok na szyld z numerem. To musi być na samym osiedlu - pokazał ręką na skupisko czteropiętrowych bloków.

- A czego pan szuka?

-Antykwariatu.

Mężczyzna zrobił zdumioną minę.

- Pierwsze słyszę, żeby tu był jakiś antykwariat. Może chodzi panu o tę księgarnię? - tym razem ruchem głowy wskazał na nie odległą wystawę.

- Nie, nie sądzę, ale rzeczywiście może w księgarni będą wiedzieć. Dziękuję.

Księgarz był jednak tak samo zdziwiony jak przechodzień.

- Nic mi nie wiadomo...

Aspirant postanowił jednak sprawdzić szukany adres, skoro już tu przyjechał. Okazało się, że była to brama w bloku. Na domofonie widniały same numery, żadnych nazw. Lepkę zbiło to z pantałyku. W Internecie numeru mieszkania nie podano. Żałował teraz, że nie spisał telefonu. Zadzwoił domofonem pod jedynekę.

Nikt nie odpowiedział. Pod dwójką opryskliwy kobiecy głos posłał go do diabła. Pod trójką miał szczęście.

- Ja wprawdzie sprzedaję książki tylko na zamówienie, ale proszę.

Drzwi otworzył jasnowłosa, szczupły trzydziestolatek w roz-

ciągniętym swetrze. Na widok policyjnej legitymacji szeroko się uśmiechnął.

- Popeliłem jakieś przestępstwo?

- Nie, skąd, chciałbym tylko zapytać pana o pewną książkę

- Lepka zademonstrował trzymany w ręce tom.

- Proszę - blondyn gestem zaprosił go do środka. Dość rozległy przedpokój umożliwił postawienie dwóch krzeseł i stolika dla klientów, tak by nie zastawiały przejścia.

- A gdzie ma pan antykwariat? - Lepka rozejrzał się za książkami.

- W komputerze - uśmiechnął się ponownie mężczyzna.

- Sprowadzam na zamówienie książki z zagranicy. Ogłaszam się w Internecie, a zamówienia przyjmuję przede wszystkim e-mailem i telefonicznie, bo mam klientów z całej Polski. Te wszystkie panoramy firm nie wiedziały, gdzie mnie wpisać, no a że większość sprowadzanych przeze mnie książek jest używana, bo są po prostu tańsze niż nowe, zrobili ze mnie antykwariusza.

Usiedli.

- Rozumiem. Czy tę książkę też pan sprowadził?

Bukinista wziął ją do ręki tylko na krótką chwilę.

- Tak. Pierwsze zlecenie na tamten rejon. Podciągnąłem się w hebrajskich literkach, no ale klient nasz pan, zresztą byłbym głupcem, gdybym odmówił. Dobrze na tym zarobiłem - znowu uśmiech. Lepka doszedł do wniosku, że ma do czynienia z człowiekiem zadowolonym z życia.

- Jest pan całkowicie pewien, że to ten sam egzemplarz?

- Tak, widzi pan to uszkodzenie grzbietu? - blondyn zademonstrował miejsce po oderwanym sporym kawałku oprawy w kształcie rombu. - Klient domagał się obniżenia ceny z powodu tej usterki.

- Proszę dokładnie opisać przebieg całej transakcji.

- No, gość zadzwonił, że szuka Talmudu Jerozolimskiego, wydanie XIX-wieczne. Powiedział, że przyjdzie osobiście,

bo musi mi dać napisany tytuł, wiadomo, po hebrajsku by mi nie przedyktował, i zapłacić zaliczkę.

Powiedziałem, że tytuł może zeskanować i przysłać mailem, a zaliczkę przelać na konto, ale okazało się, że nie ma maila. Czasami zapominam, że jeszcze nie dla wszystkich jest to normalny sposób komunikowania się. No ale nie ma problemu, klient nasz pan, chce osobiście, proszę osobiście. No i przyszedł.

- Kiedy to było? - Lepka pilnie notował.

- Jakies dwa miesiące temu. Przyszedł, dał mi karteczkę z tytułem, zapłacił zaliczkę, wziął pokwitowanie, zostawił numer telefonu i poszedł.

- Ten tytuł napisał przy panu?

- Nie, miał już zanotowany. Zresztą, jak się okazało, z błędem, ale oczywiście w niczym to nie przeszkodziło.

- Podał panu swoje nazwisko?

- Nnie... To znaczy może się przedstawił, ale nie pamiętam. W każdym razie rachunku... - blondyn gwałtownie urwał, uświadamiając sobie, że rozmawia z przedstawicielem władz. Aspirant domyślił się, o co chodzi.

- Proszę mówić otwarcie, nie jestem z urzędu skarbowego i podatki mnie nie interesują, prowadzimy śledztwo w sprawie o morderstwo.

- Morderstwo? O kurczę! No jak mówię, rachunku nie chciałem, więc nazwiska nie zapisałem.

- A przy numerze telefonu?

- Szczerze powiedziawszy, notuję sam numer i o jaką książkę chodzi, a jak już ją mam, wtedy dzwonię do klienta.

- Nie spisuje pan umów z klientami?

- Zbędna papierkowa robota.

- Nie boi się pan, że ktoś pana oszuka?

- Jak dotąd się nie zdarzyło. Ludzie kupujący książki są chyba trochę uczciwsi od reszty społeczeństwa. Poza tym

biore przecież zaliczkę na zakup, więc w najgorszym razie będę stratny na swoim zarobku, a książkę i tak wcześniej czy później sprzedam przez Allegro lub E-bay.

- A zachował pan chociaż ten numer telefonu?

- Tak, wpisuję sobie do komputera, bo karteluszeki notorycznie gubię. Moment.

Blondyn zniknął w pokoju. Po chwili Lepka usłyszał szum drukarki i gospodarz wrócił z wydrukiem.

- Komórka, nie stacjonarny - skonstatował aspirant.

- A tę kartkę, na której napisany był tytuł, też pan może ma?

- Tak, zeskanowaną.

- Ze skanu to nie zdejmujemy odcisków palców, ale niech pan da.

Gospodarz powtórzył ceremonię drukowania.

-I co było dalej?

- Ściągnięcie książki zajęło mi około miesiąca. Zadzwoiłem do gościa, odebrał i zapłacił.

- Mógłby go pan opisać?

- Jakieś metr sześćdziesiąt, całkiem łysy, tłusty, właśnie tak, nie gruby czy otyły, ale wręcz tłusty.

- W jakim wieku?

Bukinista zrobił niezdecydowaną minę.

- Z oceną wieku to zawsze mam kłopoty. Sześćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć lat?

- Całkiem dobrze go pan zapamiętał - pochwalił aspirant.

- Może dlatego, że miał takie nietypowe zlecenie.

Lepka podziękował i pożegnał się. Był z siebie szalenie zadowolony. Ciekawe, co teraz powie inspektor.

Powoli zmierzchało, kiedy podjechał pod komisariat. Zmiana czasu miała nastąpić dopiero w najbliższy weekend. Mimo ustalenia losów książki znalezionej na miejscu zbrodni ociągał się z wejściem. Nie był wcale pewien, czy inspektor doceni ten sukces, czy też zdezawuuje w typowym dla siebie,

mało delikatnym stylu.

Jego wahanie dało czas żebrakowi kręcącemu się po parkingu.

- Przepraszam pana, głupio mi tak prosić, ale jestem po operacji i wszystko wydałem na lekarstwa, jakby mnie pan poratował złotówką na bułkę...

Lepka dał mu pięćdziesiąt groszy.

- Dziękuję panu.

Inspektor Markowski i komisarz Senik już na niego czekali.

- O, jesteś, synek. Dobra, Miłan, leć, co mamy - Markowski założył ręce za głowę.

Senik sięgnął do swoich notatek i odchrząknął.

- Ofiara nazywa się Beata Paczkowska, lat czterdzieści dziewięć, skończyłaby w każdym razie w przyszłym miesiącu, z zawodu architekt. Odnaleziona w środę 25 marca, według lekarza sądowego zgon nastąpił tydzień wcześniej, 18 marca, ale przedział godzino-wy jest długi, od dwunastej w południe do drugiej w nocy. Zmarła wskutek wykrwawienia, zabójca podciął jej żyły nożem wziętym z kuchni. Przed śmiercią była przez wiele godzin torturowana.

Sprawca obezwładnił ją chloroformem - niestety nie zdołała go przy tym podrapać, więc nie mamy jego DNA - i związał na krześle.

Później obciął jej uszy, wrywał paznokcie, pociął twarz i szyję, choć akurat te rany nie stanowiły zagrożenia dla życia. Z sekcji wynika natomiast, że ani jej nie bił, ani nie zgwałcił - Senik podniósł wzrok znad notatek. - To zdecydowanie nie był atak szału, tylko wyrachowana egzekucja.

- Dobra, dobra, wnioski później, teraz fakty.

- Nie mamy bezpośrednich świadków morderstwa, na nożu nie ma odcisków palców. Dzwoniłem do jej firmy, we wtorek była jeszcze w pracy, więc uwięziona mogła zostać najwcześniej we wtorek po południu, równie dobrze jednak

tuż przed zabójstwem, a w środę nie poszła do pracy z innych przyczyn. Sąsiadki, mimo że wścibskie, nie zaobserwowały, czy ktoś ją odwiedzał we wtorek albo w środę. Z jej komórki niewiele da się wywnioskować. Ani we wtorek, ani w środę z niej nie dzwoniła, są odebrane rozmowy we wtorek, ostatnia bardzo krótka. W zasadzie o niczym to nie świadczy, mogła odebrać z nożem przy szyi, a w środę nie miała telefonów. Musimy poczekać na billingi stacjonarnego.

- A badania obrażeń?

- Nie da się ustalić dokładnie, czy powstały we wtorek, czy w środę. Z zeznań sąsiadek wynika, że prowadziła dość rozwiązły tryb życia i często przyjmowała różnych mężczyzn. Stąd w mieszkaniu znaleźliśmy sporo śladów, w tym spermę. Nie wiemy jednak, czy któreś z odcisków palców należą do mordercy, a sperma raczej na pewno nie, skoro nic nie wskazuje na przestępstwo o podłożu seksualnym - Senik wołał jednak fakt od razu opatrzyć konkluzją.

Markowski dał się w to wciągnąć.

- Może podniecił się widokiem krwi, a spuścił nie na nią, tylko na łóżko albo w kondom.

- No ale to by ją chociaż rozebrał. Takie gnoje tną gołe babki nie tylko po szyi i rękach. A ten podchodził do niej jakby... z szacunkiem - Senik sam się zdziwił, że użył takiego słowa w stosunku do psychopatycznego zabójcy. - Ubrana była w zapinaną bluzkę i spódnicę do kolan. Nie tylko nie porwał ubrania, ale nawet nie rozpiął bluzki ani nie zadarł spódnicy. Pod ubraniem nie było draśnięcia.

- Może ją rozebrał, a potem ubrał? - wtrącił Lepka.

- Bez sensu. Rozebrał, a potem pilnował, żeby nie drasnąć jej od kolan po szyję? Z jakiego powodu?

- Czy jakieś ślady zidentyfikowaliśmy? - Markowski uznał kwestię ubrania za zamkniętą.

- Spernę i odciski palców niejakiego Witolda Karaski, siedział za gwałt. Reszta nie figuruje w kartotece. Jak mamy do czynienia z debiutantem, nie dotrzemy do niego w ten sposób.

- Jak to się, kurwa, stało, że nikt przez tydzień nie zainteresował się, gdzie jest ofiara?

- Mieszkała sama. Sąsiadki mówią - a są tak wścibskie, że można im wierzyć - że nie miała żadnej rodziny, a przynajmniej nikt z rodziny jej nie odwiedzał. Najwyraźniej też z nikim nie utrzymywała na tyle regularnych kontaktów, by jej tygodniowe nieodzywanie się kogokolwiek zaniepokoiło. Niby chodziła do pracy, ale projekt mogła równie dobrze rysować w domu. W firmie byli przyzwyczajeni, że nie pojawiała się w pracy i że o tym nie uprzedzała. Prezes powiedział mi, że była solidna i nie wykorzystywała tej możliwości, by zrobić sobie dodatkowy urlop, tylko rzeczywiście przysiadła fałdów. Co prawda takie nieobecności trwały dwa, góra trzy dni, ale teraz pomyśleli, że po prostu potrzebowała więcej czasu.

Lepce przyszło do głowy, że to znak współczesnych czasów.

Człowiek umiera, a nikt o tym nie wie i nikogo to nie obchodzi. Jakie szczęście, że ma Myszkę. Gdyby tak na przykład dostał udaru, nie umierałby przez tydzień, tylko miałby go kto ratować.

- Czego się, synek, dowiedziałeś u profesorka? - wyrwał go z tych rozważań Markowski.

Lepka przytoczył rozmowę z Wiklińskim. Kiedy doszedł do tłumaczenia fragmentu z Talmudu, zdobył się na odwagę i wyraził swoje zdanie, że pasuje on do obrażeń Paczkowskiej.

- Wybiórca interpretacja, synek - zgasił go Markowski.

- Słyszałeś przed chwilą, że nie była bita, więc co z tymi biodrami i brzuchem?

Senik zajrzał do protokołu sekcji.

- Wnioskowanie, że nie była bita, opiera się na braku

obrażeń wewnętrznych i wyraźnych uszkodzeń skóry, sińce po stosunkowo słabych ciosach są nie do odróżnienia od plam opadowych.

- A wystawianie na pośmiewisko? - inspektor nie dawał za wygraną.

- Może to, że siedziała we własnych odchodach.

Markowski pokręcił głową, że argumenty komisarza nie do końca go przekonują, i kazał Lepce mówić dalej.

Aspirant opisał, jak wyśledził losy książki. Przemilczał jedynie okoliczność, że było to wynikiem długotrwałych poszukiwań.

Powiedział, że miał po drodze i wstąpił do bukinisty. W sumie sam nie wiedział, dlaczego wołał przedstawić swój sukces jako efekt przypadku.

- Dobra robota - pochwalił Senik. - Poważny kandydat na zabójcę. Kupuje książkę, którą pomazaną krwią ofiary znajdujemy na miejscu zbrodni.

- Jak wyglądał z twarzy ten zleceniodawca? - zapytał Markowski, nie komentując ustaleń aspiranta.

- Z twarzy?

- Brodę miał, wąsy, okulary?

- Nie wiem... - Lepka poczerwieniał, wyrzucając sobie, że przegapił tak oczywistą rzecz.

- No to masz, synek, pół rysopisu. Zadzwoń do tego od książek i dopytaj. O ubranie też. Dobra, teraz topielica. Co tam, Miłan, z tym uzi?

- Tak jak ci mówiłem, mój stały informator nie słyszał ani o transakcji, ani o prywatnym imporcie. Drażyłem temat, ale na nic nie natrafiłem.

- Kurwa, może rzeczywiście mamy mord polityczny i zbyt pochopnie odrzuciliśmy ten trop. To, że uzi jest do kupienia na całym świecie, nie zmienia przecież faktu, że posługują się nim głównie pejsaci. A biorąc pod uwagę nasze przygotowanie na atak terrorystyczny, nie byłoby nic

dziwnego w tym, że Mossad wolał wziąć sprawy we własne ręce. Może wyszła za Araba, ubrała się w tę kapotę i chciała się gdzieś wysadzić. To by też wyjaśniało, dlaczego nikt nie zgłosił jej zaginięcia.

-Ale arabskimi terrorystami są przede wszystkim mężczyźni

- odważył się zaoponować aspirant.

- Wcale nie - sprzeciwił się z kolei Senik. - Palestynki coraz częściej dokonują samobójczych zamachów. Trzeba dać cynk do CBS, że jest takie podejrzenie, niech pracują nad tym równolegle.

Jak się potwierdzi, to sprawa i tak przechodzi do nich. A na razie musimy ustalić tożsamość dziewczyny, wtedy będziemy mądrzejsi.

- Jasne - zgodził się Markowski. - Wiemy, że miała hiva, więc burdele mogą być jakimś tropem, lepszym w każdym razie niż zwracanie się do pismaków. Trzeba się przejść ze zdjęciem i popytać.

Inspektor przerwał i wybuchnął rehotliwym śmiechem:

- He, he! Popatrz, Miłan, na synka, zrobił minę, jakby od samego wejścia do burdelu miał złapać hiva!

Lepka rzeczywiście przeraził się, że jemu przypadnie w udział-le to zadanie. Nie umiałby ukryć tego przed Myszką, a dęsałaby się, że chodzi w takie miejsca, i pomyślałaby sobie Bóg wie co, chociaż powinna wiedzieć, że nigdy nie poszedłby do prostytutki.

- Nie bój się, synek, pewnie byś nawet nie umiał znaleźć burdeli, już widzę, jak szukasz ich w książce telefonicznej, ha, ha - zaśmiewał się Markowski.

- Sam się tym zajmę. Ty weźmiesz zdjęcie Paczkowskiej i przejdiesz się po dyskotekach czy raczej po dansingach. No w każdym razie po takich, które mają starszą klientelę, od trzydzieści pięć wwyż. Może zresztą miała stały lokal, gdzie lazała, jak ją swędziało. A ty, Miłan, ustal, czy komórka tego gościa, co kupił książkę, to abonament czy

karta, i ściągnij billingi, od razu dowiemy się, czy dzwonił do Paczkowskiej. To chyba wszystko, bo z Brodą stoimy w martwym punkcie. Koniec odprawy.

- A właśnie - przypomniał sobie komisarz - w poniedziałek zleciłem

przeszukanie budy Jarosza, jestem prawie pewien, że albo sfalszował dowód Brody, albo wie, kto to zrobił, ale nie chce puścić pary z gęby. Dzisiaj dowiaduję się, że chłopaki nie zrobili przeszukania, myślałem, że normalnie zawalili, ale mówią, że ich odwołałeś. O co chodzi?

Inspektor z zakłopotaniem podrapał się po pięciodniowym zarościu.

- Sorry, zapomniałem ci powiedzieć. Polecenie z góry, Jarosz jest informatorem CBS i mamy go nie ruszać.

- Przecież to sprawa o morderstwo!

- Powiedziałem im to samo, ale stanęli okoniem, najwyraźniej gość jest dla nich bardzo ważny.

Markowski podniósł się, jakby chciał podkreślić, że w tej kwestii na razie nic nie wskórają.

Senik i Lepka schodzili razem na dół.

- Jeszcze raz gratuluję dobrej roboty - odezwał się komisarz, kiedy minęli półpiętro. - Tym rysopisem się nie martw, na początku każdy robi błędy. Ciesz się raczej, że nie zawaliłeś nic poważnego, byłoby gorzej.

Wyszli na dwór.

- Inspektorem za bardzo się nie przejmuj, taki ma już charakter, ale to świetny glina, dużo się przy nim nauczysz. Twój? - wskazał na zaparkowanego malucha.

-Tak.

Senik zamachał kluczykami do stojącego obok golfa.

- Doradzam jakiś kredycik i wzięcie czegoś lepszego, bo...

- Przepraszam panów, głupio mi tak prosić, ale jestem po operacji i wszystko wydałem na lekarstwa, jakby mnie panowie poratowali złotówką na bułkę... - żebrak wyłonił

się z mroku tak niespodziewanie, że Lepka aż się wzdrygnął.

- A ta bułka to w płynie czy w proszku? Spadaj, cwaniaczku, bo jak nie, to cię przymknę na czterdzieści osiem - pogroził Senik.

Żebrak zniknął jeszcze szybciej, niż się pojawił.

- Może mówi prawdę...?

- A ty co, z Marsa wczoraj przyleciałeś? Jakby naprawdę był głodny, siedziałby u Brata Alberta i wtrząchał darmową zupę.

Myślisz, że menele nie wiedzą, gdzie darmo jeść i spać dają? Ale wody i prochów nie, na to trzeba mieć kasę. Nic, do jutra.

- Do widzenia.

Odprowadził ją pod bramę, na której wciąż wisiał plakat z kandydatem na posła w towarzystwie Lecha Wałęsy, mimo że wybory odbyły się przed tygodniem.

Nadal nie wiedział, dlaczego zadzwoniła do niego po tak długim czasie, dlaczego nalegała na spotkanie. Rozmowa w kawiarni niczego nie wyjaśniła. Prosiła go o wybaczenie tego, co wydarzyło się przed laty, ale nie chciała powiedzieć, z jakiego powodu jej na tym zależy. Opowiedziała, że rozwiodła się z mężem.

Stała tuż przy nim, niemal czuł ciepło jej ciała. Mimo perfum docierał też do niego ten zapach, który tak doskonale pamiętał: kiedy na spartakiadzie dobiegała spocona do mety, a on podchodził i gratulował jej zwycięstwa. „Zapach kochanego człowieka nigdy nie jest smrodem - pomyślał. - Wystarczy, że poczuję jej zapach, i wiem, że nadal ją kocham”.

Nagle trzymał ją w ramionach i całował. Czy to ona go obejmowała i całowała? Bo kiedy zorientował się, co się dzieje, próbował ją odsunąć.

- Nie, nie, za późno.

Ale całowali się dalej. Po raz pierwszy.

Potem położyła głowę na jego piersi. Pogłaskała ją czule po włosach.

Spojrzała mu w oczy.

- Kocham cię. Tylko ty potrafisz dać mi miłość, jakiej potrzebuję.

Nic nie odpowiedział na te słowa, na które czekał całe życie. Tylko mocniej ją do siebie przytulił.

Markowski postanowił się zdrzemnąć przed obejściem agencji, mimo że nie planował całonocnej wyprawy. Wiedział, że dziewczyny zmieniały lokale, bo z czasem nudziły się klientom, co wymuszało rotację „personelu”. Spodziewał się, że w ciągu kilku godzin natrafi na właściciela agencji, który rozpozna ofiarę, jeśli faktycznie pracowała w tej branży.

Przeszedł do jednego z pokoiów wyposażonych w kozetkę.

Kozetka była wolna, ale pokój zajęty; koleżanka Markowskiego, Kamińska, przesłuchiwała podejrzanego. Kontrast między nimi rzucał się w oczy: policjantka była potężną kobietą z wyraźnie rysującym się wąsem, natomiast przesłuchiwany drobnej budowy dwudziestoparolatkiem.

- Cześć - przerwał im Markowski. - Długo jeszcze masz?

- Cześć, góra kwadrans.

- To ja się walnę.

Markowski wyciągnął się na kozetce i zanim zasnął, dotarła do niego końcowa część przesłuchania.

- A czemu u ciebie zrobili rewizję? - Kamińska mówiła tonem niepozostawiającym wątpliwości, kto w tej relacji rządzi, a chrapliwy głos jeszcze to podkreślał.

- Nie wiem. Jak sobie posiedziałem, to odechciało mi się handlować, nic nie biorę, tylko czasami trawkę palę.

-I gdzie tę trawkę miałeś?

- W kuchni na parapecie.

- Pokaż ręce.

Chłopak podciągnął rękawy, demonstrując przedramiona.

- Sama pani widzi, że nie daję w żyłę.
 - Hm, to co mam napisać, że zeznajesz? Może że palisz czasami dla odprężenia, bo masz dużo stresu z szukaniem pracy, a żona ci wypomina, że nie zarabiasz?
 - O tak, tak! - skwapliwie zgodził się przesłuchiwany. - Niech pani tak napisze.
- Kamińska wystukała tekst na maszynie.
- Podpisz tu i zaczekaj.
- „No tak - pomyślał Markowski - pierdzistołki w sejmie wymyślą sobie, że kilka jointów kwalifikuje człowieka do kryminału, a potem dziwią się, że przestępczość rośnie. A jak ma nie rosnąć, jeśli zamiast łapać handlarzy, tracimy czas na drobnych narkomanów?”.
- Policjantka podeszła do drugiego biurka, bo na swoim nie miała telefonu, i wybrała numer.
- Cześć, Kamińska tutaj. Kto tam z prokuratorów siedzi u was na dyżurze?
 - Oj nie, Zajączkowska to zołza jest. Kto jeszcze?
 - Ten też nie, za surowy.
 - O, dobra, daj mi go.
 - Dzień dobry, panie prokuratorze. Kamińska z trzeciego komisariatu.
- Mam tu podejrzanego z drobną ilością na własny.
- Marihuana.
 - Karany za handel, rok odsiedział, ale pięć lat temu, od tamtego czasu czysty.
 - Na pewno na własny, bo nawet tego nie chował, miał na wierzchu.
 - Nie pracuje, ale szuka pracy, ma rodzinę.
 - Zaraz sprawdzę w protokole.
- Policjantka zakryła ręką słuchawkę.
- Ty, ile tego miałeś?
 - Tak na dziesięć lufek.
 - I na jak długo ci to starcza?

- Tak z półtora miesiąca.

Policjantka skinęła głową i zwróciła się znowu do słuchawki:

- Siedem, osiem lufek i mówił, że wypala to w dwa miesiące.

- Nie, posłałam go na korytarz.

- Nie, nie, w ogóle nie wygląda na narkomana, rześki taki bardzo jest.

- Dobrze, dziękuję.

Kamińska wróciła do swojego biurka i wkręciła nowy formularz w maszynę do pisania.

- Prokurator proponuje dobrowolne poddanie się karze.

Osiem miesięcy w zawieszeniu na dwa lata. Pasuje ci?

- No pewnie, dzięki.

- Dobra, to piszemy ten formularz i fajrant.

Markowski obudził się po półgodzinie. Mógłby według swojej popołudniowej drzemki odprawiać pociągi. Spał zawsze równo pół godziny i ani wiek, ani niezdrowy tryb życia nie powodowały żadnych zmian. W pokoju już nikogo nie było. Podniósł się ociężale z kozetki i rozprostował ramiona. Ziewnął przeciągle, czując parcie na pęcherz. Pęczniejąca prostata zmuszała go do coraz częstszych wizyt w toalecie.

Na dworze było już ciemno. Postanowił obejść najpierw agencje w śródmieściu, a jeśli to nic nie da, podjechać do dzielnicy zwanej popularnie Jebusiowem. Zapalił papierosa i ruszył niespiesznym krokiem w stronę komunalnych kamienic za domem towarowym przemianowanym na centrum handlowe. Wszedł w śmierzdzącą moczem bramę, którą okupowało trzech młodzieńców. Na widok przechodnia oderwali się od ściany i zbliżyli do Markowskiego. Prowodyr trzymał w ręku łańcuch, którym powoli zaczął kręcić kółka.

- Co, dziadku, kurewek się zachciało? Ale tu jest opłata za przejście.

- Mam kartę wolnego wstępu - Markowski odsunął połą kurtki, demonstrując kaburę pod pachą.

Młodzieńcy cofnęli się z wyraźnym respektem.

Inspektor wszedł na podwórko. Pod oświetlonym na czerwono szyldem z sylwetką nagiej kobiety i napisem „Euforia” stało dwóch bramkarzy; ich ogolone na łyso głowy łączyły się bezpośrednio z korpusem.

- Cześć, żyrafy - odezwał się Markowski.

Jak się domyślał, żart nie został zrozumiany.

- Spadaj - mruknęli obaj jednocześnie.

- Nie tak prędko - inspektor machnął legitymacją. - Dużo macie dziś klientów?

- A bo co?

- A bo jak mi pomożecie, to powiem wam, czemu tak mało.

Bramkarze spojrzeli na siebie zdumieni.

- Skąd wiesz? - znowu zapytali naraz. Markowski doszedł do wniosku, że ma do czynienia z klonami, o których tylko dlatego nie było głośno, że proste organizmy łatwo sklonować.

- Najpierw pomoc - pokazał im fotografię. - Pracowała u was?

- Nie - pokręcili głowami.

- Przyjrzyjcie się uważnie. Jakies metr sześćdziesiąt, biust dwójka, drobna, blond włosy.

- Na pewno nie. Ja takie lubię, tobym ją dmuchnął - ochroniarz spojrzął na swego klona, jakby zdumiony, że tamten nie nadażył z kwestią, ale jego replikant zaraz się zrehabilitował: - Też takie lubię, a tej nie dmuchałem.

- No dobra - Markowski schował zdjęcie. - W bramie stoi trzech łebków z łańcuchem i pobiera myto.

Bramkarzom wystarczyły słowa na „I”, nie musieli wiedzieć, co to jest myto. Ruszyli kołyszącym się krokiem i tak wolno, że przypominali walec, który zgniecie na drodze tylko to, co nie jest w stanie się ruszać. Był to

jednak pozór, na który pewnie dali się też nabrać młodzieńcy, spodziewając się, że w razie czego umkną bez

problemu. Do bramy ochroniarze wpadli już z niesłychanym impetem. Markowski przez chwilę obserwował, jak uderzeniami potężnych pięści powalają prowodyra, a pozostałych dwóch rzucają na ściany, które z pewnością zabarwiły się na czerwono.

- Tylko pamiętajcie, uszkodzenia ciała do najwyższego tygodniowego leczenia, to wtedy nic nie widziałem.

- Spoko, mamy wprawę - odpowiedzieli ochroniarze; jeden kopał leżącego prowodyra, a drugi w tym samym rytmie tłukł jego głową o bruk.

Przed pójściem do następnej agencji Markowski postanowił przepytać prostytutki pracujące na ulicy. Ruszył wzdłuż doskonale znanych mu kamienic. Sam wyrósł w tej dzielnicy, której po zmroku pozostali mieszkańcy miasta unikali. Co sprawiło, że został policjantem, a nie przestępcą? Przecież łatwo mógł znaleźć się po drugiej stronie barykady. Z pewnością zawdzięczał to ojcu. Z jednej strony wymagał, by synowie się uczyli, bo w tym widział szansę swoich dzieci na wyrwanie się z tej dzielnicy - posłał ich nie do zawodówki, tylko do liceum zawodowego - z drugiej strony, dopóki na świadectwie nie było ocen niedostatecznych, pozostawiał im sporą swobodę. Ta metoda wychowawcza okazała się nader skuteczna. Markowski zdał maturę, dzięki punktom za pochodzenie - ojciec był kolejjarzem, matka szwaczką - dostał się na studia, wybrał socjologię, i wprawdzie ledwo, ledwo - studiowanie łączył z dorywczą pracą - ale zaliczył pierwszy rok. Wtedy wydarzyła się tragedia. Ojciec został skatowany na śmierć przez bandytów, którzy prawdopodobnie wzięli go za kogoś innego. Markowski chciał go pomścić, a jednocześnie stanął przed koniecznością utrzymania schorowanej matki i młodszego brata. Uznał, że upieczenie na jednym ogniu, wstępując do milicji. Miał wprawdzie na sumieniu drobniejsze grzeszki, włamania do kiosków czy samochodów - w tej dzielnicy nie dało się tego

uniknąć - ale ponieważ nigdy nie wpadł - bojąc się ojca, wykazywał się ogromną przezornością-miał czystą kartotekę. Matura, rok socjo-logii i właściwe pochodzenie sprawiły, że przyjęto go z otwartymi ramionami. Oczywiście rzeczywistość szybko zweryfikowała jego wyobrażenia, że będzie ścigał morderców ojca. Zamiast tego patrolował ulice i uczestniczył w szkoleniach.

Ale nie zrezygnował, comiesięczna pensja była nie do pogardzenia. Dość szybko zorientował się, że liczy się lojalność, a nie uczciwość. Zapisał się do PZPR, a później brata namówił na stricte partyjną karierę. Mając takie plecy, mógł „dorabiać” na boku, bez obawy, że skończy się to wyrzuceniem. Przeciwnie, awansował, przełożeni dostrzegli, że miał zadatki na coś więcej niż zwykłego stójkowego.

Po chodniku, czekając na klientów, przechadzały się dwie dziewczyny - jedna w mini ledwie zakrywającej pośladki, druga w obcisłych spodniach, a trzecia stała z boku, paląc papierosa. Była to wysoka blondyna z imponującym biustem. Markowski ją znał.

- Cześć, Lidka!

- Spieprzaj, dzisiaj muszę zarobić - niechętnie wykrzywiła mocno umalowane usta.

- Nie stawiaj się, bo cię zwinę i chuj zarobisz - zirytował się Markowski.

-Niby, kurwa, pod jakim zarzutem?

- Zaśmiecania ulicy - Markowski pokazał leżące na chodniku niedopałki.

- Nie te czasy.

- Żebyś się nie zdziwiła.

- Weź sobie jedną z nich - wskazała głową koleżanki, które zatrzymały się, gotowe przyjść w sukurs napastowanej.

- Dobra, dobra, dzisiaj jestem służbowo.

Wyciągnął zdjęcie i pokazał blondynie.

-Znasz ją?

Lidka długą chwilę przyglądała się fotografii.

- Nie, chyba nie. Co jej się stało?

- Kulka uszkodziła jej mózg. Może wy ją znacie? - zwrócił się do pozostałych dziewczyn. Te podeszły i przyjrzały się, ale też pokręciły przecząco głowami.

- Nie, nie znamy.

- Nic, dzięki - Markowski na pożegnanie klepnął blondynę w pośladek. Pokazała mu wyprostowany środkowy palec.

Druga agencja, do której dotarł, również mieściła się w podwórzu, również miała czerwony szyld, tylko z inną nazwą, ale drzwi nie pilnowali ochroniarze. Wszedł do środka i rozejrzał się po przyciemnionym i zadymionym pomieszczeniu. Po lewej stronie mieścił się bar, barman serwował akurat drinki siedzącej tam parze: ciemnowłosej szczupłej dziewczynie w czarnym gorsecie, stringach i butach na wysokim obcasie, i mężczyźnie o wyglądzie przedstawiciela handlowego. Pośrodku znajdowała się okrągła scena z rurą, wokół której w rytm niezbyt głośnej muzyki owijała się półnaga tancerka, a na kanapkach okalających scenę siedziały roznegliżowane panienki.

Markowski zbliżył się do baru.

- Piwo - rzucił barmanowi, wyciągając papierosy. Ten sięgnął po czysty kufel i nalał piwa z beczki.

- Osiem złotych.

Inspektor udał, że szuka w portfelu drobnych, po czym zrobił taki gest, jakby nie znalazł wystarczającej liczby monet, i sięgnął do drugiej przegródki, z której wyjął jednak nie banknot, tylko legitymację.

- Kurwa - powiedział barman. - Firma zaprasza.

- O, bardzo dziękuję - uśmiechnął się szeroko Markowski.

- Na panienkę też?

- Oczywiście - barman zrobił minę niepozostawiającą wątpliwości, że gdyby to od niego zależało, gliniarz stałby na dnie rzeki w zabetonowanej donicy.

- Dzisiaj jednak nie skorzystam. Pracowała u was? - pokazał zdjęcie.

Zapytany, wycierając szklanki, ledwo rzucił okiem.

-Nie.

- Popatrz dokładnie.

- Już patrzyłem.

- Mogę zarządzić przeszukanie w związku z podejrzeniem, że tu została zabita.

- Nie dostaniesz nakazu przeszukania.

- Za dużo się, kurwa, naoglądałeś amerykańskich filmów. Po co mi nakaz?

- Pokaż - barman wziął zdjęcie do ręki. - To Mariola, zniknęła przed kilkoma tygodniami.

Markowski tym razem uśmiechnął się w duchu. W policyjnej robocie trzeba było mieć nie tylko nosa, ale i szczęście.

- Jak się naprawdę nazywała?

- Nie wiem, idź do szefa.

Inspektor zabrał kufel z piwem i skierował się w głąb lokalu. Otworzył drzwi ukryte za zasłoną i znalazł się w wąskim korytarzyku, z którego wszedł do niewielkiego kantorka. W środku za biurkiem siedział mężczyzna o przeciętnym wyglądzie. Na ulicy nikt nie wziąłby go za gangstera, osławionego Komika. Ksywka wzięła się stąd, że swoim ofiarom domalowywał szminką uśmiech klauna.

- O, witam pana inspektora, czym mogę służyć? - wskazał krzesło naprzeciwko.

Markowski usiadł.

- Personaliami. Barman mówi, że to twoja dziewczyna - podał zdjęcie przez biurko.

- Pewnie nie był zbyt uprzejmy, przepraszam cię za niego.

- Nie szkodzi, poradziłem sobie. No więc?

- Moja. Iza Bielecka. Zniknęła jakieś trzy tygodnie temu. Szukałem jej przez swoje kontakty, ale nie było śladu.

Markowski zastanowił się.

- Czyli nie robota konkurencji?

- Nie sądzę. Zresztą nie zabijamy sobie dziewczyn, to wbrew piątemu przykazaniu - gangster zaśmiał się z własnego dowcipu.

- Jakiś klient?

- Wątpię, chyba że gdzieś poszła bez mojej wiedzy i bez ochroniarza.

- W takim razie to nasza sprawa, nie wtrącajcie się.

- Nie mamy zamiaru, aż tyle warta nie była, tu co weekend ustawia się kolejka babek, które chcą dorobić. Pewnie ktoś miał do niej prywatne pretensje albo znalazła się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu.

- Masz jej adres?

- Mieszkała z Sandrą.

Markowski zgasił papierosa w popielniczce.

- Okej, to jednak skorzystam z oferty barmana i pogadam z nią już na górze.

Wrócił do głównej sali i skinął na Sandrę, krągłą trzydziestolatkę o jasnych włosach, która siedziała na kanapce z dwiema koleżankami. Podniosła się, demonstrując obfity biust rozsadzający biały gorset. Markowski puścił ją po schodach przodem, rozkoszując się widokiem szerokich pośladków i masywnych nóg w białych pończochach.

Weszli do prosto urządzonego pokoiku: szerokie łóżko, obok nocny stolik, lampa osłonięta czerwonym abażurem, bordowe zasłony, fotel. Markowski rozebrał się i usiadł w fotelu, dziewczyna wyjęła z szuflady stolika prezerwatywę i przykleknęła przed policjantem, biorąc do ręki członek. Kiedy ten po kilku ruchach stwardniał, nałożyła prezerwatywę i kontynuowała usta-mi. Markowski przytrzymał jej głowę, chwilami tak brutalnie, że dławiła się członkiem. Potem rzucił ją na łóżko i ściągnął jej majtki. Pozwolił, by przez dobrą chwilę bawiła się piersiami i masowała w kroku, szeroko rozkładając nogi, a kiedy się

napatrzył, ostro w nią wszedł. Krzyknęła. Objęła go nogami i ruchami bioder wychodziła mu naprzeciw. Jęczała coraz głośniej, by w końcu doprowadzić go do szczytowania.

Ciężko dysząc, przewrócił się na plecy i sięgnął do kurtki po papierosa. Podał jej i zapalili.

- Komik mówi, że mieszkałaś z Izą.

- Tak, zniknęła.

- Nie żyje. Dostała kulkę.

Sandra uniosła się na łokciu, jej oczy rozszerzyły się ze strachu i żalu.

- Co za skurwysyn jej to zrobił?

- Nie wiemy, dopiero co ją zidentyfikowaliśmy, zresztą będzie potrzebna jeszcze oficjalna identyfikacja; skoro z nią mieszkałaś, poprosimy ciebie. Kiedy widziałas ją ostatni raz?

- 5 marca. Wyszła gdzieś koło osiemnastej i więcej się nie pokazała. Kojarzę datę, bo piątego mam imieniny i Iza dała mi w prezencie pluszowego miśka. Następnego dnia powiedziałam Komikowi, że chyba coś się stało. Zdecydował, że odczekamy dwa dni i jeśli się nie pokaże, sami zaczniemy jej szukać. Zabronił zgłaszać na policję, powiedział, że nie chce, żebyście mu się kręcili po firmie.

- A gdzie wyszła?

- Powiedziała tylko, że jest z kimś umówiona.

- Miała jakichś wrogów, zaplątała się w coś ostatnio? Jacyś klienci, o których Komik nie wiedział?

Sandra opadła z powrotem na poduszki, wydmuchnęła dym.

- Dwóch. Jeden to ksiądz, więc normalka. Oni panicznie boją się ujawnienia, dla większości w grę wchodzi tylko prywatne wizyty bez ochroniarza, ale dziewczyny na to idą, bo księżulki są niegroźne. Alfonsi nawet jak wiedzą, specjalnie się nie czepiają, często traktują to jako bonus dla dziewczyn, bo zdają sobie sprawę, że jak taki księżulo ma cykora, to w życiu nie wejdzie do agencji.

- Wiesz, jak się nazywa ten ksiądz albo z jakiej jest parafii?

-Nie.

- A ten drugi klient?

- Nic o nim nie wiem, Iza nie chciała nic powiedzieć.

Markowski rozważył te informacje. Mógł to być jakiś trop: dziewczyna na przykład spotykała się ze zbrojcem, który szczo-drze płacił za zaspokajanie swoich perwersji, i zaniedbała środki bezpieczeństwa.

- Będziemy musieli przeszukać wasze mieszkanie. Wynieś, co masz trefnego, z piwnicy też, ale rzeczy Izy nie ruszaj.

- Dobra, dziękuję.

- Czy te podziękowania mogłyby przybrać jakąś bardziej konkretną formę? - policjant położył rękę dziewczyny na okłapyłm członku.

27 marca, piątek

Ten poranek zapowiadał pochmurny i chłodny dzień.

W powietrzu zalegała mgła, a zimno zmusiło Lepkę do zawrócenia do domu i włożenia cieplejszej kurtki. Wilgoć unieruchomiła malucha. Mimo rozpaczliwych prób nie chciał zapalić. Aspirant widział już oczami wyobraźni, jak dostaje burę za spóźnienie: na taksówkę nie było go stać, a tramwajem by nie zdążył. Ktoś zapukał w szybę.

- Co, panie sąsiedzie, nie chce zaskoczyć?

Lepka wysiadł z samochodu.

- Akumulator mam słaby.

- A świece kiedy ostatnio pan zmieniał?

Mina aspiranta świadczyła o tym, że dość dawno.

- Popchnę - zaofiarował się sąsiad - może zaskoczy.

Wypchnęli auto na prostą drogę, Lepka z boku, kręcąc kierownicą, sąsiad z tyłu, opierając ręce na pokrywie silnika; kiedy nieco rozpędzili samochód, Lepka wskoczył i spróbował jeszcze raz zapalić - zaskoczyło!

- Dziękuję bardzo.

- Nie ma sprawy. Jak byłem młody, sam tym szmelcem jeździłem i inni mnie pchali. Trzeba się zrewanżować.

W komisariacie, wchodząc do pokoju Markowskiego, zderzył się w drzwiach z Scnikiem, który również szedł do inspektora.

- Co ustaliłeś w dyskotekach? - zaczął bez powitania inspektor.

Aspirant zmartwiał.

- Je... jeszcze nie by... y... łem, dziś planowałem... - wyjąkał.

- Kiedy, kurwa, dziś?

-No zaraz...

Markowski poderwał się rozszłoszczony z krzesła.

- Czego was w tych pierdolonych szkółkach uczą?! A co teraz ustalisz? Nie obilo ci się o uszy, że dyskoteki są otwarte w nocy, a nie rano?!

Aspirant nie wiedział, co odpowiedzieć. Spojrzał bezradnie na Senika, ale ten ani myślał bronić go przed uzasadnioną reprimendą.

- Dlaczego nie poszedłeś wczoraj wieczorem?

- No bo... bo było już po... po pracy.

Markowski zbliżył się do niego na tyle blisko, że Lepka poczuł nieświeży oddech, i wycedził:

-Posłuchaj, smarkaczu - złość inspektora przerodziła się w taką wściekłość, że, co paradoksalne, przestał krzyczeć; Lepka nie wiedział, co gorsze, krzyk czy te cedzone słowa. - Posłuchaj, nie sie-dzisz na sraj stołku w urzędzie. Praca jest skończona, jak wszystko zrobione; chcesz pracować do siedemnastej, wypierdajaj z policji.

Markowski usiadł z powrotem na krzesło.

- W takim razie ustalisz wszystko o tych dwóch zabitych kobietach. Ta z rzeki nazywa się Izabela Bielecka, ostatni raz widziana piątego koło osiemnastej - powiedział spokojniej - a wieczorem idziesz do dyskotek i żebyś nie

ważył się, kurwa, wrócić do domu, dopóki nie dowiesz się, czy Paczkowska dzień lub dwa przed za-bójstwem nie wyszła stamtąd z jakimś facetem. Choćby ci to zajęło czas do rana i miałbyś prosto z dyskotek przyjść jutro do pracy. Aspirant wolał nie prostować, że następnego dnia jest sobota i ma wolne.

Inspektor zwrócił się do stojącego spokojnie Senika:

- Ustalilesz komórkę tego gościa od Talmudu?

- Tak. To znaczy tyle, że nie jest na abonament. Dzwoniłem na ten numer wczoraj wieczorem i dzisiaj rano. Nikt nie odbiera.

Teraz chłopaki lokalizują aparat.

Markowski przedstawił swoje ustalenia.

- Dziwka, czyli trop terrorystyczny upada. Mam adres, bierzemy ekipę i jedziemy na przeszukanie.

Inspektor z komisarzem wyszli, nie troszcząc się o Lepkę, któremu sprawiło to wyraźną ulgę.

Prostytutki zajmowały trzypokojowe mieszkanie na nowo wybudowanym strzeżonym osiedlu w peryferyjnej dzielnicy. Wysokie ogrodzenie, budka ze strażnikiem - tak reagowali zamożni ludzie na bezradność policji, łapiącej włamywaczy i złodziei samochodów jedynie od okazji do okazji, i na daleko posuniętą tolerancję straży miejskiej dla różnej maści pijaczków, wandalii i właścicieli psów zasrywających trawniki.

Senik zatrzymał się przed wywieszonym na klatce schodowej regulaminem osiedla: „Prowadzenie prac remontowych dozwolone jest wyłącznie w godz. 10-20”, „Zakazuje się głośnego słuchania muzyki także za dnia”, „Właściciele zwierząt zobowiązani są po nich sprzątać”, „Wyprowadzanie psów na terenach rekreacyjnych osiedla jest zabronione”.

- U mnie na klatce wisi podobny regulamin, tylko zamiast tych prac remontowych jest cisza nocna od dwudziestej drugiej do szóstej - powiedział Senik. - No ale oczywiście

nikt się nim nie przejmuję, a tu przeszedłem od bramy i nie wdepnąłem w żadne psie gówno. Szok.

- Wystawiaj mandaty, masz prawo.

- Eee, sam wiesz, ile to papierkowej roboty. Lepsza była-by akcja „niewidzialna ręka”. Zostawianie kup właścicielom na wycieraczkach z karteczką: „Zapomniał pan sprzątnąć po swoim psie”. Szybko nauczyliby się porządku.

Zadzwonili do drzwi, otworzyła im Sandra trzymająca na rękach biało-czarnego kotka. Wiedziała już od strażnika, kto idzie, więc od razu usunęła się, robiąc przejście policyjnej ekipie. Technicy rozeszli się po mieszkaniu.

- Który pokój zajmowała pani przyjaciółka?

- Ten - dziewczyna wskazała drugie drzwi po lewej od wejścia.

Senik z Markowskim weszli do pokoju ofiary. Jego wystrój wskazywał raczej na nastolatkę niż dorosłą kobietę. Haftowane poduszeczki i pluszowe maskotki na tapczanie, plakaty z piosen-karzami na ścianach, zegar stylizowany na kwiat. Na półkach poza ozdobnymi drobiazgami dominowały płyty i kasyety, książek nie było. Senik przejrzał ten zbiór: Ich Troje, Madonna, Doda Elektro-da, Edyta Górniak, „Titanic”, „Angielski pacjent”, „Love story”, własne nagrania „Big Brothera”.

Markowski wyjął z biurka obie szuflady i położył je na blacie. Pierwsza zawierała szereg papierów. Przerzucił je: rachunki, codzienne notatki, listy, zdjęcia. W drugiej znajdowały się dziesiątki drobiazgów: klucze, spinki, gumki, pinezki, dziurkacz, płyty CD, dyskiety, długopisy, żarówki, nożyczki, wszystko, co potrzebne, a na tyle małe, że trudne do utrzymania w porządku.

- Te papiery i płyty trzeba będzie przejrzeć.

- Znalazłeś jakiś pamiętnik albo terminarz?

-Nie.

Markowski wysypał zawartość szuflad do worka, który podał

technikowi.

- Zabieramy to.

Miał już z powrotem włożyć szuflady, kiedy spostrzegł, że różnią się wysokością dna. Odwrócił do góry nogami tę z wyższym dnem i zaczął ją opukiwać, szukając otwierającej konstrukcji. Nie znalazł, poszedł więc do kuchni po nóż i wyciął dyktę. Pod nią schowana była kasetka wideo.

- Zobaczmy - mruknął.

Przeszedł do dużego pokoju, gdzie znajdował się telewizor, i włożył kasetę do magnetowidu. Sięgnął po pilota.

Na ekranie ukazała się sypialnia, na łóżku jakaś para uprawiała seks. Zauważył, że kobieta jest stroną aktywną i tak dobiera pozycje, by twarz mężczyzny wielokrotnie znalazła się w obiektywie kamery. Niewątpliwie wiedziała, że stosunek jest filmowany. Inspektor rozpoznał w niej Bielecką. Po intensywnej końcówce klient wytrysnął jej na twarz i zniknął poza kadrem. Markowski poczuł, że członek uwiera go w spodniach. Nie minęło dużo czasu i mężczyzna znowu pojawił się w kadrze. Był w sutannie. Podał Bieleckiej pieniądze. Ta przeliczyła je na tyle demonstracyjnie, by również widzowi umożliwić podsumowanie. Inspektor stwierdził, że kwota znacznie przekraczała wynagrodzenie za tego typu usługę.

- Zaliczka za tę małą. Przyrowadzisz mi ją następnym razem?

-Tak.

- Góra trzydzieści lat, jak się umawialiśmy?

- Tak, tak.

-1 dziewica, a nie żadna Tajka, którą przeleciało już pół batalionu.

- Rozumie się, płacisz masę kasy, towar będzie zgodnie z zamówieniem.

Na tym dialogu nagranie się skończyło. Markowski przewinął na podglądzie do końca, ale kasetka nie zawierała nic więcej.

- Miłan! - zawołał.

Komisarz stanął w drzwiach.

- Popatrz - Markowski puścił mu ostatnią sekwencję.

- No nieźle, ksiądz pedofil.

- Sandra, chodź tutaj! - Markowski jeszcze raz zademonstrował końcówkę filmu.

Dziewczyna postawiła kotka na ziemi i zasłoniła ręką usta.

- Niemożliwe - wyszeptała.

- Wiedziała pani o tym?

- Wiedziałam, że ma klienta księdza, ale nie że to zboczeniec.

Ale Iza z pewnością by tego nie zrobiła.

- Czego?

- No nie przyprowadziłaby mu nieletniej.

- Czemu jesteś taka pewna?

- Komik na to nie pozwala, mówi, że tyle osiemnastek chce zarobić, a niektóre wyglądają na dużo młodsze, że nie ma sensu podejmować tak dużego ryzyka dla dodatkowych paru groszy.

Niech sobie klient weźmie taką młodą i wyobraża, że posuwa czternastkę.

- Mogła działać za jego plecami.

- Jest jeszcze coś... - Sandra zamilkła.

-Tak?

- Iza nigdy nie powiedziała tego wprost, ale z półsłówek do-myśliłam się, że w dzieciństwie była wykorzystywana. Nie wiem, ojciec, dziadek czy jakiś wujek. Nie - pokręciła głową - każda, ale nie Iza.

- Na kasecie nie ma spotkania z tą trzynastolatką - zauważył

Senik. - Skoro nagrała to, nagrałaby i tamto, jeśli chciała go szantażować. A właściwie tamto drugie by wystarczyło, mocniejszy materiał, facetowi groziłaby nie tylko ekskomunika, ale i więzienie. Za to - wskazał ręką na ekran -

trudno będzie go wsadzić.

- Myślisz, że na tym poprzestała?

- Wystarczy na szantaż. Księżulo wyleciałby z Kościoła, gospodynię w sypialni by mu wybaczyli, ale nie prostytutkę, u której zamawia sobie nieletnią, zwłaszcza że był na tyle nieostrożny, że dał się sfilmować. Wiadomo, nagranie może trafić do prasy. A jakie możliwości w cywilu ma gość, który, powiedzmy, studiował teologię? Z wygodnego życia na koszt parafian do łopaty, gdzie nie dość, że płacą grosze, to jeszcze na jedną łopatę jest trzech chętnych.

- Zabił ją, bo go szantażowała?

- W każdym razie nie jest to wykluczone.

- Rozpoznajesz może tego klechę? - Markowski spojrzał na Sandrę.

- Nie. Ten pokój na filmie też widzę pierwszy raz.

Sandra przyklękła, wzięła ponownie na ręce kotka, który lasił się do jej nóg, przytuliła go i zaczęła chlipać.

- Dlaczego... po co ona to robiła... przecież nie miałyśmy źle...

Senik położył jej rękę na ramieniu.

- Pieniądze zaślepiają ludzi. Ile by człowiek nie miał, chce jeszcze więcej.

W drzwiach pokazał się szef techników, Gryszko.

- Czyściutko, nic nie wskazuje na to, że została zamordowana tutaj. Potrzebujemy jeszcze kluczy do piwnicy. Co z samochodem pani koleżanki?

Sandra otarła łzy.

- Stoi w garażu na dole.

- Nie wzięła go, kiedy ostatni raz wychodziła? - zdziwił się Markowski. - Dlaczego?

- Nie mam pojęcia.

- W takim razie potrzebujemy też kluczyków do samochodu.

Znalezienie obu kompletów kluczy zajęło Sandrze dobrą chwilę.

Wręczyła je Grysze, szczegółowo objaśniając, gdzie znajduje się piwnica i gdzie stoi samochód. Technicy i policjanci opuścili mieszkanie.

Lepka zaczął od naprawienia błędu z poprzedniego dnia. Zadzwoił i dopytał o wygląd i ubiór kupującego Talmud. Ze stroju bukinista zapamiętał ciemnoszary płaszcz w jodełkę i beret takiego samego koloru. Nie potrafił powiedzieć, co klient miał pod spodem, bo ten się nie rozbierał, obie wizyty trwały raptem około kilku minut. Był natomiast pewien, że kupujący nosił okulary i nie miał zarostu.

Następnie aspirant postanowił wziąć dokumenty z urzędu stanu cywilnego. Z komisariatu poszedł na piechotę. Nie było daleko, a obawiał się, że jeśli podjedzie samochodem, to i tak nie znajdzie miejsca do parkowania. USC zajmował starą kamienicę w samym centrum. Obok postawiono wprawdzie wielopiętrowy parking, ale dzierżawca pobierał tak wygórowane opłaty, że kierowcy rzadko z niego korzystali. Woleli tłoczyć się w ciasnych uliczkach wokół rynku.

Ranny chłód się utrzymał, o wczorajszej zapowiedzi prawdziwej wiosny przypominało tylko blade słońce. Lepka, podobnie jak większość przechodniów, szedł szybkim krokiem. Cieszyło go, że jest w tej wspólnocie ludzi mających coś ważnego do zrobienia.

Przypomniał sobie, jak Myszka przez pół roku nie mogła znaleźć pracy: była przybita, czuła się niepotrzebnym, niewiele wartym człowiekiem.

Zatrzymał się na światłach, bo właśnie zapaliło się czerwone; młody mężczyzna przebiegł przed nadjeżdżającymi samochodami.

„Mógłbym dać mu mandat” - pomyślał Lepka. Świadomość posiadania władzy sprawiła mu przyjemność. Ogarnął wzrokiem kamienicę po drugiej stronie przejścia,

do której miał za chwilę wejść. Odnowiona fasada dobrze świadczyła o radnych. Niestety wewnątrz już nie. Wytarty czerwony dywan mający ze trzydzieści lat, jeśli nie więcej, odrapane ściany nieokreślonego koloru, sfatygowane sprzęty, wszystko to nadawało się na scenografię do filmu Barei, a nie na oprawę ślubu. Ślub. Planowali pobrać się z Myszka w przyszłym roku. Na szczęście oboje byli katolikami i chcieli wziąć kościelny, konkordatowy. W USC musieli tylko pobrać zaświadczenia dla księdza, że są wolni.

Zapukał do drzwi i wszedł do sekretariatu. Za kontuarem siedziała korpulentna urzędniczka w wieku przedemerytalnym, zajęta dokumentami. Nie zaszczyciła petenta spojrzeniem.

- Dzień dobry - przywitał się Lepka. - Przepraszam, chciałbym. ..

- Zaraz - burknęła urzędniczka, nie podnosząc głowy. Aspirant zamilkł zdeprymowany. Rozejrzał się niepewnie za kimś innym, kto mógłby go obsłużyć, ale więcej osób w tym pomieszczeniu nie pracowało. Musiał poczekać. W końcu, kiedy już zaczął przestępować z nogi na nogę, kobieta oderwała się od swoich papierów.

- Słucham?! - zapytała tonem niepozostawiającym wątpliwości, że przeszkadza jej w pracy.

- Chciałbym otrzymać dokumenty, jakie mają państwo o Izabeli Bieleckiej i Bea...

- A pan kto jest, rodzina? - przerwała ostro.

- Nie, przepraszam - aspirant uświadomił sobie, że się nie wylegitymował - jestem z policji.

- Aha - mina urzędniczki zdradzała, że wcale nie jest szczęśliwa, iż trafił się petent, którego musi obsłużyć. - Jakie to były nazwiska? - wzięła długopis, żeby odnotować.

- Izabela Bielecka i Beata Paczkowska.

- Niech pan zaczeka - podniosła się z kartką w ręce i wyszła do sąsiedniego pomieszczenia, pewnie archiwum. Wróciła po dwudziestu minutach. Aspirant podejrzewał, że tyle czasu zajęło jej nie tylko szukanie, ale i pogawędka z koleżankami.

- Są - oświadczyła krótko. - Chce pan odpisy wszystkich?
- Tak.

- A kto za to zapłaci?

- Zapłaci? - Lepka był zaskoczony.

- A co pan myślał, że tu jest instytucja charytatywna? - urzędniczka uniosła brwi, jakby się dziwiła, że ktoś mógłby ją podejrzewać o zaangażowanie w dobroczynność.

- Jeden odpis kosztuje dwadzieścia pięć złotych.

- Przepraszam na chwilę, zaraz ustalę - wyszedł na korytarz i wyciągnął komórkę, błogosławiąc swoją systematyczność i pedanterię, którą koledzy w szkole złośliwie nazywali kujonizmem - dzięki niej miał wpisane do książki telefonicznej wszystkie wydziały komisariatu. Sprawdził, ile mu zostało darmowych minut z abonamentu. Jeszcze mógł zadzwonić, ale jeśli rozmowa potrwa dłużej, następnym razem będzie musiał skorzystać z budki. Wybrał numer księgowości i dowiedział się, jak płaci się w takich przypadkach.

Wrócił do sekretariatu.

- Proszę wystawić rachunek na komendę policji, zapłacimy przelewem.

Urzędniczka skrzywiła się i zasiadła do sporządzania odpisów. Lepka rozejrzał się za krzesłem, ale tych dla petentów nie przewidziano. Czekał, nudząc się. Pomyślał, że musi nosić przy sobie książkę, z pewnością takie sytuacje częściej będą mu się zdarzały.

W końcu kobieta była gotowa, podała mu rachunek i odpisy.

Dwa akty urodzenia i dwa akty ślubu. Lepka przejrzał je. Izabela była mężatką, wyszła za Romana Bieleckiego. Jej

nazwisko panięskie brzmiało Elert. Aspirant rozważył tę informację. Nazwisko nie należało do częstych, co dawało szansę na ustalenie personaliów brata.

- Coś jeszcze? - pytanie zostało zadane tonem wskazującym, że odpowiedź twierdząca nie będzie mile widziana.

- Tak. Czy mogłaby pani sprawdzić nazwisko Elert? - aspirant wolał się narazić urzędnicze niż dostać reprimendę od inspektora, że nie doprowadził sprawy do końca.

- A imię?

- Nie wiem, ale to jest rzadkie nazwisko, nie powinno być ich tak dużo.

- Myśli pan, że będę przerzucać całe archiwum? Bez imienia nie szukam - kobieta założyła ręce, demonstrując, że pretekst jest na tyle wiarygodny, że nawet policja nie musi jej do ruszenia się z miejsca.

Lepka zastanowił się. Falszywe personalia brzmiały: Adam Broda. Przypomniał sobie zeznania narkomanki. „Adaś już nie żył”. Albo nie znała jego prawdziwego imienia, albo w fałszywym dowodzie zmieniono tylko nazwisko. Zresztą nie miał innego punktu zaczepienia, a chodziło o to, by skłonić urzędniczkę do pójścia do archiwum. Jeśli znajdzie tam dokumenty innego Elerta, raczej powinna je przynieść.

- Niech pani spróbuje Adam, Adam Elert.

Urzędniczka podniosła się niechętnie i wyszła. Tym razem wróciła znacznie szybciej.

- No, miał pan szczęście.

Lepka wziął dokumenty, podziękował i z ulgą się pożegnał. Po powrocie do komisariatu jeszcze raz przejrzał odpisy. Faktycznie Adam i Iza byli rodzeństwem. Na obu aktach urodzenia widnieli ci sami rodzice: Magdalena Ostrowska-Elert i Piotr Elert. Iza miała dwadzieścia sześć lat, Adam był od niej o półtora roku młodszy.

Beata Paczkowska również wyszła za mąż, ale na jej akcie ślubu widniała adnotacja, że małżeństwo z Rafałem Kalinowskim zostało rozwiązane przez rozwód i że wróciła do panińskiego nazwiska. Nic nie wskazywało na powiązania z zamordowanym rodzeństwem. Aspirant był

trochę zawiedziony. Miałby prawdziwą bombę, gdyby nie tylko ustalił nazwisko brata, ale i powiązał całą trójkę. Żył przekonanie, że te trzy morderstwa się ze sobą wiążą.

On sam nazwałby to intuicją, Markowski i Senik, każdy w innych słowach, brakiem doświadczenia i łączeniem zdarzeń tylko na tej podstawie, że nastąpiły mniej więcej w tym samym czasie.

Zdecydował, że spróbuje znaleźć mężów obu kobiet. Sięgnął po książkę telefoniczną, otworzył na literze B i cicho rzucił „cholera”

- takich przekleństw jak inspektor, od których puchły uszy, nie używał. Bieleckich trochę było, Romanów wprawdzie znacznie mniej, ale telefon mógł być na kogoś z rodziny. Najpierw wykręcił numery abonentów o imieniu Roman. U jednego nikt nie odebrał, u drugiego zgłosiła się automatyczna sekretarka. Inni nie byli żonaci z Izabelą.

Wreszcie trafił na właściwy numer.

- Tak, to mój syn - powiedziała kobieta, która odebrała telefon. - Policja? Czy coś się stało?

- Chciałbym porozmawiać z nim samym.

- Proszę - aspirant usłyszał, jak woła „Romek” i po chwili w słuchawce odezwał się męski głos.

- Słucham?

- Aspirant Lepka z III Komisariatu Policji. Pana żonajest Izabela Bielecka?

-Tak, ale...

- Mam dla pana bardzo złą wiadomość. Jej ciało znaleźliśmy w poprzednią środę, została zamordowana.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

- Halo? - Lepka oczekiwał jakiejś reakcji.
- To straszne, ale małżeństwem jesteśmy tylko formalnie. Iza wyprowadziła się trzy lata temu i zerwała wszelkie kontakty.
- Dlaczego?
- Sam chciałbym wiedzieć.
- Nie wystąpił pan o rozwód?
- Miałem nadzieję, że wróci, poza tym nie było takiej potrzeby, nie mam narzeczonej. Czy... - Bielecki się zawahał.
- Tak?
- Czy o czymś takim policja nie powinna powiadomić mnie osobiście?

Aspirant zawstydził się.

- Przepraszam - zaczął się tłumaczyć - miałem tylko pana nazwisko i dzwonię do wszystkich Bieleckich z książki telefonicznej. Jeszcze raz przepraszam - Lepka złożył kondolencje, podziękował i rozłączył się.

Otworzył spis na literze K. Kalinowskich było jeszcze więcej niż Bieleckich. Teraz dzwonił po kolei, ale bez efektu. Spisał numery telefonów, gdzie nikt nie odpowiedział, żeby spróbować później. Uświadomił sobie, że speszony wyrzutem Bieleckiego za wcześnie zakończył rozmowę i nie zapytał o kilka istotnych rzeczy. Wybrał ponownie numer.

- Przepraszam, że jeszcze raz przeszkadzam, ale mam kilka dodatkowych pytań.

- Nie szkodzi, właśnie chciałem dzwonić do komisariatu.

Pomyślałem, że pewnie nikt Izę się nie zajmie, więc my byśmy wyprawili jej pogrzeb. Oficjalnie jestem jej mężem. Kiedy będę mógł odebrać ciało?

Aspirantowi takie praktyczne szczegóły nie były znane. Gorączkowo szukał w pamięci informacji z wykładów, na jakim etapie wydaje się rodzinie ciało, ale w końcu przyznał:

- Nie wiem. Ustalę to i panu przekażę. Dlaczego pan

uważa, że nikt inny nie zajmie się pogrzebem?

A jej rodzice?

- Nigdy o nich nie wspominała, nie miała z nimi kontaktu. Nie zaprosiła ich nawet na nasz ślub. Ma jeszcze brata, ale z tego co wiem, jest narkomanem, więc nie sądzę, żeby chciał czy mógł zająć się pogrzebem.

- Brat też został zamordowany - poinformował Lepka.

- O! - zdumiał się Bielecki. - Przez tego samego człowieka?

- Nie wiemy. Proszę mi powiedzieć, czy pana żona miała jakichś wrogów.

- Każdy człowiek ma wrogów, ale nie potrafiłbym wymienić nikogo, kto chciałby ją zabić. No ale jak powiedziałem, nie mam pojęcia, co się z nią działo przez ostatnie trzy lata.

Aspirant uznał, że lepiej będzie, jeśli przemilczy profesję jego żony.

- A jak układało się państwa małżeństwo?

- Mnie się wydawało, że dobrze, ale odejście Izy świadczy o tym, że się myliłem. Szkoda, że nie zdecydowaliśmy się na dzieci, może wtedy by nie odeszła - powiedział melancholijnie Bielecki.

- Czy coś panu mówią nazwiska Rafał Kalinowski i Beata Paczkowska, względnie Beata Kalinowska?

- Nie, nic. Czy to podejrzeni?

- Nie, pewnie nic ich nie łączy z tą sprawą, ale wołałem się upewnić - Lepka jeszcze nie nauczył się, że pytania przesłuchiwa-nych należy ignorować. - Przepraszam, ale muszę pana o to zapytać: gdzie pan był w czwartek 5 marca po godzinie osiemnastej?

- Hm, to już jakiś czas temu... proszę poczekać - Bielecki odszedł od telefonu, wrócił po chwili. - Mam tu swój grafik... dobrze, że pan zadzwonił przed końcem miesiąca, bo nieaktualne grafiki wyrzucam... czwartek, piątego... byłem w pracy, miałem drugą zmianę.

- A gdzie pan pracuje?

- Jestem kelnerem w Grand Hotelu.

Aspirant zakończył rozmowę, prosząc o telefon, gdyby Bieleckiemu coś się przypomniało. Od razu zadzwonił do hotelu, żeby sprawdzić podane przez niego alibi. Szef kelnerów potwierdził, że podwładny był tego dnia w pracy.

- Ile u nas może być czarnych? Dziesięć tysięcy? Markowski wyjechał na drogę ku centrum, a widząc zapalające się na skrzyżowaniu żółte światło, dodał gazu. Był jednak za daleko, żeby zdążyć.

- Przejechałeś na czerwonym - zauważył Senik.

- Na późnym żółtym - zarechotał Markowski. - To jak myślisz, ile tych czarnych może być?

- Nie mam bladego pojęcia.

Inspektor sięgnął po komórkę, wybrał numer i przytrzymał telefon ramieniem przy uchu, żeby uwolnić rękę do zmiany biegu.

- Markowski. Słuchaj, synek, zadzwoń do jakiegoś biskupa i dowiedz się, ile u nas jest klechów.

- No w mieście i okolicach, oni mają tam jakiś swój podział, diecezja czy jakoś tak.

Minęli centrum handlowe, szyldy znanych marek zachęcały do zakupów: Obi, Ikea, Castorama, Media Markt, Géant. Mimo stosunkowo wczesnej pory na parkingach stało sporo samochodów.

-Wiesz, że kasjerce w supermarkecie nie wolno się wysikać, dopóki nie skończy zmiany? Noszą pampersy. Chcieli, kurwa, kapitalizmu, to go mają.

- Mhm.

Przejechali koło stacji Shella.

Senik rzucił okiem na ceny paliwa.

- Cholera, benzyna znowu drożeje. Jak dojdzie do pięciu złotych, przerabiam swojego golfa na gaz.

- Irak, kurwa, okupujemy i nic z tego nie mamy, nawet

taniej ropy.

Miejska zabudowa gęstniała, domki jednorodzinne przeszły w bloki, pojawiła się pierwsza pętla tramwajowa. Nagle radio zaskrzeczało:

- Uwaga! Do wszystkich jednostek, kradzież forda focusa, kod J-23.

Kod J-23 oznaczał, że poszkodowanym jest policjant i sprawa ma najwyższy priorytet.

- Srebrny metalik, numer rejestracyjny NW 6012E.

Po kilku minutach radio zaskrzeczało ponownie. Tym razem nie była to centrala, tylko jeden z radiowozów.

- R-52, mamy go, w środku czterech łebków, jadą Głogowską w stronę wylotu z miasta.

- Jest tam jakiś patrol drogówki?

- Tak, stoimy na wysokości szpitala.

- Zatrzymajcie ich, dowód rejestracyjny był w samochodzie, więc powinni stanąć. R-52? Jedźcie za nimi, jakby próbowali brykać, ale dyskretnie, żeby nie spłoszyć.

- Jedziemy.

Markowski z Senikiem spojrzeli na siebie. Złodzieje kierowali się w ich stronę. Wycofali samochód w boczną uliczkę i czekali na dalszy rozwój wypadków.

-R-52? Jak jadą?

- Spokojnie, tak jak wszyscy, osiemdziesiąt na godzinę, ale tu jest ograniczenie do sześćdziesięciu, nie powinni podejrzewać, że to coś innego niż zwykła kontrola drogowa.

- Super.

Markowski zapalił papierosa.

-Ale dostaną wpierdol, jak ich złapią. Amatorzy, nie wiedzieli, czyj wóz kradną.

- Złodziej musi ponieść karę - stwierdził sentencjonalnie Senik.

- No właśnie, a sąd ich, kurwa, puści, bo niska

szkodliwość, albo da w zawieszeniu, co oni i tak olewają. Zamilkli. Markowski wydmuchiwał kółka dymu, drapiąc się w krocze, a Senik wpatrywał się w radio.

- Drogówka? Uważajcie, zaraz u was będą.

Po jakiejś minucie rozległ się zdenerwowany głos:

- Potrącili Jacka i uciekają! Dawajcie mi karetkę, szybko!

- Tu R-52. Gonimy ich na sygnale.

Inspektor wyrzucił papierosa i ruszył z piskiem opon, a komisarz wystawił na dach koguta, ale okazało się, że byli za blisko patrolu i nie zdążyli zajechać złodziejom drogi. Znaleźli się z tyłu za fordem i radiowozem.

- Wszystkie jednostki w okolicy wylotu Głogowskiej, pościg za srebrnym focusem, numer rejestracyjny...

Trzy samochody gnały dwupasmową jezdnią. Pozostali kierowcy, słysząc sygnał uprzywilejowania, zjeżdżali na prawy pas.

Złodzieje ciągle przyśpieszali i radiowóz zaczął odstawać. Stary, wysłużony polonez nie miał większych szans. Senik sięgnął po radio.

- Tu P-12. Przejeliśmy pościg. Kierują się w stronę centrum handlowego.

- Zrozumiałem. Za centrum dajcie znać, gdzie pojechali, będziemy ustawiać blokadę.

Pościg z szaleńczą prędkością trwał: srebrny focus, a za nim ciemnozielone megane. Przechodnie przystawali, patrząc cieka-wie na scenę rodem z filmu sensacyjnego. Za centrum złodzieje ominęli zjazd na autostradę, wybierając trasę na Warszawę.

-P-12. Jadą na Warszawę.

- Zrozumiałem. Stawiamy blokadę w punkcie K-9.

Szyfr był potrzebny, żeby przestępcy, mogący podsłuchiwać policyjną częstotliwość, nie wiedzieli, w którym miejscu mają się spodziewać blokady. Po około piętnastu kilometrach focus gwałtownie skręcił w boczną

drogę. Przy skręcie tak nim zarzuciło, że tyłem zahaczył o drogowskaz z nazwą miejscowości: Lipno 3 km.

- P-12. Uciekają do Lipna.

- Gdzie to jest?

- Skręt na piętnastym kilometrze.

- Dobra, kieruję tam radiowozy.

Pościg odbywał się teraz nie tylko w innym krajobrazie, ale jakby w innej rzeczywistości, obojętnej na zmiany zachodzące od lat w pobliskim mieście: wałące się chałupy, zapuszczone podwórka, porzucane maszyny rolnicze na polach. Wyminęli pijanego rowerzystę na starej ukrainie i wóz zaprzężony w wychudzonego konia.

- Jak kogoś nie zabiją, to będzie cud - mruknął Markowski.

Jakby na potwierdzenie jego słów kierowca focusa stracił panowanie nad kierownicą, samochód wypadł z drogi, staranował drewniany płot posesji, przejechał ją mimo rozpaczliwego hamowania i wbił się w ścianę stodoły. Na szczęście na podwórku było tylko stadko kur. Część zdążyła uciec, ale większość zginęła pod kołami forda. Z domu wypadła kobieta i zaczęła głośno lamentować.

Markowski wcisnął gwałtownie hamulec, ale przy tej prędkości droga hamowania była długa. Wrzucił wsteczny i błyskawicznie się cofnął. Wyskoczyli z auta i pobiegli w stronę stodoły. Z rozbitego forda wygramolili się dwaj młodzi mężczyźni i rzucili do ucieczki przez pola. Po chwili trzeci, ale tego Senik zdążył dopaść, przewrócić na ziemię i skuć kajdankami. Markowski zajrzał do środka. Boczna szyba była zakrwawiona, kierowca miał rozbity głowę. Leżał w nienaturalnej pozycji, ale żył i nie stracił przytomności. Jęczał.

- Dla niego trzeba karetkę.

Rozległy się syreny nadjeżdżających radiowozów, policjanci w żółtych kamizelkach na mundurach wyskakiwali z

samochodów. Inspektor wskazał w stronę pól.

- Dwóch tam ucieka. Za nimi. Pewnie zwiewają do siebie. Jak natraficie na jakąś wiochę, przeszukać domy.

Funkcjonariusze rozwinęli się w tyralierę, ruszając w pościg. Senik prowadził skutego złodzieja do radiowozu. Dopadła ich lamentująca gospodyni.

- Ty skurwysynu, zapłacisz mi za moje kury! Kto mi za to zapłaci? - rozpląkała się, pokazując na zniszczenia.

- Niech się pani uspokoi, zaraz ktoś panią przesłucha i spíše protokół strat.

- I policja mi zapłaci?

- Nie, jak nie jest pani ubezpieczona, to może pani wystąpić z pozwem cywilnym przeciwko sprawcom - wyjaśnił Senik.

- Że co? - nie zrozumiała kobieta.

- No będzie pani mogła domagać się w sądzie, żeby oni zapłacili.

- Akurat! Przecież to golce!

Komisarz wzruszył ramionami, że nic na to nie poradzi i wepchnął młodzieńca do radiowozu. Nadjechała karetka. Sanitariusze wyjęli nosze i wbiegli na podwórko. Kobieta poszła za nimi. Ostrożnie wyciągnęli rannego z rozbitego samochodu, lekarz go zbadał.

- Okej, powinien przeżyć, ale chyba skończy na wózku.

- I bardzo dobrze - stwierdziła gospodyni - za moją krzywdę. Możecie go poleczyć pavalonem!

- Niech się pani tak nie żołądkuje. Jak przyjdzie ptasia grypa, to i tak będzie pani musiała wybić całe stado - odgryzł się lekarz.

- A przynajmniej ma pani rozwiązany problem dzisiejszego obia-du: na pierwsze rosół, na drugie kurze udka.

Sanitariusze parsknęli śmiechem. Przenieśli rannego do

karetki i odjechali na sygnale.

Markowski usłyszał dzwoniący w samochodzie telefon.

Zanim jednak zdążył podejść, komórka zamilkła. Sprawdził nieodebrane połączenia. Numer się zachował, ale Markowski go nie skojarzył. Wcisnął opcję oddzwon. Zgłosił się Lepka.

- Dowiedziałem się, panie inspektorze, o tych księżach. Około półtora tysiąca.

- Tylko?

- Tak.

Markowski się rozłączył.

Pierwsi funkcjonariusze wracali już z pola.

- Mamy ich, rzeczywiście zwiewali do swojej wiochy.

Pierwszego złapaliśmy tuż przed samą wiochą. Najpierw robił za tańczącego z wilkami, że nic nie powie, ale jak zarobił ze dwa razy w czapę, to zaraz wyśpiewał, gdzie kumpel mieszka.

- Dobra. Jeden zostaje, żeby przesłuchać tę babę, wezwać pomoc drogową, łebków na komisariat, reszta do swoich zajęć.

Koniec akcji.

W drodze powrotnej Markowski poinformował Senika, że aspirant ustalił liczbę księży i że jest ona mniejsza, niż przypuszczali.

- No to prosta sprawa - stwierdził komisarz. - Rozsyłamy zdjęcie po parafiach i za dwa dni mamy podejrzanego.

- No właśnie się nad tym zastanawiałem. Jak nie podamy, o co chodzi, mogą zlekceważyć, a jak podamy, to przecież wiesz, jak czarni w Polsce reagują na oskarżenia o pedofilię. Wszędzie na świecie wyłażą na jaw skandale pedofilskie, nawet w takiej świętojebliwej Irlandii, a u nas niby wszyscy czyści jak łąza. Proboszcz, żeby się nie wydało, że nasze księżulki też lubią sobie posunąć nieletnią, gotowy wysłać tego gnoja na misję do jakiegoś bantustanu, z którym nie mamy umowy o ekstradycję. I wtedy

chuj. Facet zamiast cwelem w pierdłu zostanie kacykiem, który na zawołanie będzie miał młode Murzynki.

- Możemy wymyślić jakiś pretekst, na przykład, że szukamy go w charakterze świadka w sprawie o morderstwo. Co w zasadzie jest zgodne z prawdą.

-A jak facet sam jest proboszczem albo korespondencja trafi w jego ręce? Też nam pryśnie.

- Święta, nomen omen, racja. Co proponujesz?

- Operacyjną robotę. Zaczniemy od analizy kasety, może coś da. Trzeba będzie też pojutrze wysłać cywilnych na msze, może go rozpoznają.

- Duchowa strawa dobrze im zrobi - uśmiechnął się Senik.

- Zwołam na jutro odprawę i popuszczam im film, żeby zapamiętali jego ryło i wsłuchali się w głos.

- No dobra, synek, jeden-jeden - stwierdził Markowski po wysłuchaniu relacji aspiranta z jego dokonań. - Ładnie ustaliłeś nazwisko braciszka, dałeś dupy z tym alibi. Tam, gdzie ludzie pracują na grafik, często się zamieniają. Ten jego szef pamiętał, że gość był w pracy, czy po prostu zajrzał do grafiku? Ustaliłeś, czy się z kimś nie zamienił? Poza tym jak na razie alibi na czwartek po osiemnastej wyklucza jedynie, że był z nią umówiony na spotkanie o tej porze. Nie wiemy, kiedy została zabita, mogła po tym spotkaniu pojechać do jakiegoś klienta, który sprezentował jej kulkę.

Lepka milczał zawstydzony. Zastanawiał się, kiedy przestanie popełniać błędy. Z opresji wybawił go komisarz.

- Na razie nic na tego Bieleckiego nie wskazuje, znaleźliśmy dużo gorętszy trop - Senik opowiedział o kasecie.

Markowski indagował jednak dalej:

- Do rodziców zadzwoniłeś?

-Nie, chciałem osobiście... - aspirant przerwał, niepewny, czy to wystarczające usprawiedliwienie, i już skulił się w

oczekiwaniu na reprimendę, kiedy otworzyły się drzwi i ukazała się w nich rozwichrzona czupryna technika.

- Miłan, powiedzieli mi, że tu jesteś. Masz tu billingi, Paczkowskiej i z komórki tego gościa, który kupował Talmud - wręczył mu wydruki. - Usiłujemy ją namierzyć, ale jest cały czas wyłączona.

- Dziwne - powiedział Senik. - Jak dzwoniłem wcześniej, była włączona, tylko nikt nie odbierał.

- Czemu dziwne? Normalni ludzie czasami wyłączają komórki, to tylko ty zapomniałeś PIN-u do swojej, bo nigdy jej nie wyłączasz. - Technik zaśmiał się na wspomnienie sytuacji, kiedy musiał ratować komisarza, któremu rozładowała się bateria i nie mógł ponownie uruchomić telefonu, gdyż nie pamiętał numeru PIN.

- Obawiam się raczej, że facet zrobił to, co się robi z komórką użytą do przestępstwa: położył na torach i zaczął na pociąg.

Senik sprawdził numer telefonu Paczkowskiej i poszukał go na drugim wydruku.

- Bingo!

- Co? - spojrzał na niego Markowski.

- Ten od Talmudu dzwonił do Paczkowskiej w poniedziałek, rozmowa trwała cztery minuty i czterdzieści dwie sekundy.

- Za mało, żeby przedyskutować ważną sprawę, akurat, żeby umówić się na spotkanie.

- Na spotkanie można się umówić w dwie minuty - sprostował Senik. - Ale jak trzeba kogoś namawiać, to trwałoby blisko pięć.

- No chyba że najpierw pogadali o pogodzie, a później postanowili się spotkać - zauważył Markowski.

- Może. Ale facet szedł do niej z konkretnym zamiarem, specjalnie kupił Talmud, który zostawił jej na wieczną pamiętkę.

- Pewności nie mamy, ale jest to co najmniej prawdopodobne - przytaknął Markowski. - Synek, dowiedziałeś się o resztę rysopisu?

- Tak - Lepka podał szczegóły.

- Na kanapie i na jej ubraniu znaleziono włókna pasujące do takiego płaszcza - skojarzył Senik z raportu sekcji technicznej.

- Facet wyrasta nam na murowanego podejrzanego. Ściągnij tu, synek, tego księgarza, posadź z rysownikiem, niech sporządzą portret pamięciowy.

- Tak jest, panie inspektorze - aspirant zawahał się, nie wiedząc, czy ma się za to zabrać od razu, czy później.

- Wykonać! - huknął Markowski.

Aspirant wyszedł.

Senik wrócił do analizy billingów Paczkowskiej, rozmów z telefonu stacjonarnego, zarówno przychodzących, jak i wychodzących.

- Czekaj, jest dosyć długa rozmowa przychodząca w środę 18 marca o 15.23, ponad dziewiętnaście minut. Trochę za długo jak na rozmowę pod przymusem, czyli możemy założyć, że wtedy jeszcze nie była uwięziona.

- Trzeba ustalić, kto dzwonił, pewnie to ostatnia osoba, która rozmawiała z nią przed śmiercią.

28 marca, sobota

Laboratorium kryminalistyczne mieściło się w niepozornym budynku na tyłach sądu. Odrapana fasada, zaniedbane schody i skromny szyld nie ujawniały, że laboratorium należy do najnowocześniejszych w Europie.

Analitik obrazu siedział przed monitorem, na którym widniał film ze spotkania księdza z prostytutką, klatka po klatce. Kliknął na jedną z nich i zdjęcie powiększyło się na cały ekran.

- Tutaj - wskazał na pośladek mężczyzny. Markowski z Senikiem nachylili się. - Znamię w kształcie półksiężyca. Niestety to jedyny znak szczególny. Poza tym to, co sami widzicie: mężczyzna trzydzieści- trzydzieści pięć lat, z lekkim brzuszkiem, ale w niezłej kondycji fizycznej, brunet.

- A sutanna? - zapytał Senik.

- Sutanna jak sutanna. Może ją nosić każdy katolicki duchowny od alumna po biskupa. Choć biorąc pod uwagę wiek, najprawdopodobniej jest wikarym albo proboszczem.

- Czyli kicha? Poza tym, że jak dorwiemy drania, to po ściągnięciu mu spodni - czy klechy noszą spodnie pod sutannami? - będziemy mieli dowód, że to on?

- Niezupełnie. Większe pole manewru miałem przy analizie pomieszczenia. Już samo umeblowanie wskazuje, że raczej nie jest to pokój hotelowy. I rzeczywiście, tu w lustrze odbiło się wejście do kuchni, jak się dobrze przyjrzyecie, zobaczycie fragment lodów-ki - analityk wskazał na kolejny powiększony obraz. Markowski i Senik przyjrzeni się, ale żadnej lodówki nie zobaczyli.

- Ja nic nie widzę.

- Ja też nie.

- No przecież tutaj - analityk pokazał palcem na białą plamkę.

Inspektor z komisarzem uznali, że muszą mu uwierzyć na słowo.

- Z kolei refleksy w oknach pokazują, że po prawej nie ma żadnego pomieszczenia. Czyli kawalerka z kuchnią, kamera ustawioną jest gdzieś koło wejścia z przedpokoju, prawdopodobnie w szafie.

- A nie może to być wejście z przechodniego pokoju?

- Nie sądzę. Kuchnie, do których wchodzi się nie z korytarza, tylko z pokoju, znajdują się na ogół w

kawalerkach.

Analityk podniósł się i podszedł w stronę ekspresu do kawy. Patrząc na policjantów, zrobił pytający gest, ale ci pokręcili odmownie głowami. Nalał więc ciemnego napoju tylko do jednego kubka i wysypał kopiastrą łyżeczkę cukru.

-Najciekawsze jest jednak to, co znalazłem za oknem. Spójrzcie tutaj

- powiększył klatkę z lewego dolnego rogu.

- Jakaś brama - stwierdził Markowski.

- Nie poznajecie? Brama starego ZOO.

- Jak to? Przecież nie ma napisu - wyraził wątpliwość Senik.

- Odkąd zamknięto je dla zwiedzających, napis zdemontowano.

- Czyli ten pokój mieści się w którymś z domów naprzeciwko starego ZOO?

- Nie w którymś. Wyraźnie widać, że to nowe budownictwo. A naprzeciw ZOO jest przedwojenna zabudowa i tylko jedna nowa plomba. Trzy bramy, cztery piętra, na każdej kondygnacji jest jedna kawalerka. Macie do sprawdzenia piętnaście mieszkań

- analityk odchylił się na krześle, zadowolony z siebie, oczekując pochwał, że tak inteligentnie zlokalizował miejsce nagrania. Nie doczekał się.

- A żeby cię szary bocian osrał. Czemu nie mówisz od razu, tylko nam dyrdymały o lodówkach opowiadasz? - zirytował się Senik. - Wydrukuj nam trochę zdjęć tego pokoju.

Analityk wcisnął na klawiaturze Ctrl+P, mrużąc pod nosem o rzucaniu pereł przed wieprze, które nie rozumieją, że piękno logicznej zagadki leży nie w rozwiązaniu, tylko w dojściu do rozwiązania. Laserowa drukarka zaczęła wypluwać kolorowe kartki.

Senik wziął je do ręki i przejrzał.

- Okej, myślę, że wystarczy. Czy coś wskazuje na czas powstania nagrania? Tylko przejdź z łaski swojej od razu do rzeczy.

- Tak - analityk wywołał na ekran klatkę przedstawiającą przysadziste drzewo z nastroszonymi gałęziami.

- Wierzba iwa przy bramie ZOO. Zaczyna kwitnąć, więc powiedziałbym, że początek marca.

Plomba na Zwierzynieckiej - tak nazywała się ulica, przy której położony był stary ogród zoologiczny - powstała w miejscu wy-burzonego kina Bałtyk. Konkurencja multipleksów, nieznanych za PRL, okazała się zabójcza dla innych kin. Te większe przetrwały, ale ledwo wiązały koniec z końcem, mniejsze podzieliły los Bałtyku.

Senik z Markowskim rozdzielili się przed wejściem do ładnego budynku w pastelowych kolorach. Inspektor wszedł do pierwszej bramy od lewej, komisarz do środkowej. Kiedy Markowski wrócił z rekonesansu, Senik już na niego czekał.

- Co masz?

- Pudło - odparł Markowski, zapalając papierosa. - A ty?

- Dwa mieszkania na pięć puste, przy jednym sąsiad nie potrafił powiedzieć, kto tam mieszka.

- Może być to, ale sprawdźmy jeszcze ostatnią bramę.

Na parterze nikogo nie zastali. Zadzwonili do sąsiadów, otworzyła im dystyngowana starsza pani uczesana w kok. Z dezaprobatą spojrzała na inspektora.

- Młody człowieku, zgaś tego papierosa, tu na klatce nie palimy.

Markowski najchętniej zgasiłby go staruszce na koku, ale nie mógł kobiety drażnić, potrzebowali od niej informacji.

- Przepraszam - mruknął, wyciągając paczkę i chowając w niej zgaszonego papierosa. - Policja - pokazał legitymację.

- Czy pani wie, kto mieszka w tej kawalerce?

- A dlaczego panowie pytają?

- Proszę po prostu odpowiedzieć na pytanie - wtrącił

Senik, który bał się, że Markowski wybuchnie.

- Moja przyjaciółka, pani Antoniewicz.

- W pani wieku?

- Młodzińcze, kobiety o wiek się nie pyta!

- Inspektorowi chodzi o to, czy panie są mniej więcej w jednym wieku, czy też może pani Antoniewicz jest młodą osobą? - znowu pośpieszył w sukurs Senik.

- Oczywiście, że w moim wieku, nie przyjaźnię się z podlotkami.

Dla nich mogę być co najwyżej mentorką.

- Dziękujemy pani.

- Proszę.

Staruszka zamknęła drzwi, a policjanci ruszyli na górę. We wszystkich pozostałych kawalerkach zastali lokatorów - było sobotnie przedpołudnie - ale krótki rzut oka na mieszkanie wystarczał, by stwierdzić, że nie jest to poszukiwany przez nich lokal.

- To co? Zostaje nam ta kawalerka w środkowej bramie, gdzie sąsiedzi nie potrafili nic powiedzieć o lokatorze.

- Tak, obejrzymy ją sobie - Markowski na nowo wyciągnął papierosa i zapalił.

Zeszli na dół i skierowali się do środkowej bramy. Interesujące ich mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze. Inspektor załomotał pięścią w drzwi.

- Policja, otwierać!

Jego wezwanie nie wywołało żadnej reakcji, otworzyły się za to sąsiednie drzwi i wyjrzała z nich łysa głowa starszego mężczyzny. Markowski wyjął legitymację.

- Policyjna akcja! Proszę się schować i nie wychodzić, może być niebezpiecznie.

Przestraszony sąsiad cofnął się do swojego przedpokoju.

Markowski pytającym wzrokiem wskazał na trzecie drzwi. Senik pokręcił głową.

- Nikogo nie było, ale sprawdzę.

Wcisnął dzwonek, nikt nie otworzył.

- Dobra - Markowski zlustrował zamek, stwierdził, że ma do czynienia z typowym cylindrycznym zamkiem z bolcem, mruknął, że łatwizna, po czym sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął z niej mały płaski śrubokręt i kawałek drutu zagięty przy końcu.

- Zawsze to ze sobą nosisz? - zdziwił się Senik.

- Byłem przygotowany na taką ewentualność.

Wsunął śrubokręt do dziurki, przekręcił go lekko, imitując ruch klucza, potem włożył drut i zaczął manewrować zagiętą końcówką.

Ustawienie elementów zamka w pozycji, do jakiej w sekundę doprowadziłby je właściwy klucz, trwało dobrą chwilę.

Senik zaczynał się powoli niecierpliwić, bojąc się, że na schodach pojawi się jakiś sąsiad, kiedy Markowski nacisnął klamkę i weszli do mieszkania. Ledwie przekroczyli próg pokoju, rozpoznali kawalerkę z filmu: szerokie łóżko zajmowało poczesne miejsce na środku. Na prawo od wejścia znajdowała się nie szafa, tylko regał z książkami, bibelotami i sprzętem grającym. Komisarz zaczął to wszystko przeglądać w poszukiwaniu kamery. Znalazł ją ukrytą w pluszowym dalmatyńczyku. Obiektów wychodził przez nos, nawet z bliska trudno było zobaczyć, że kawałek nosa usunięto, by umożliwić filmowanie.

-No proszę, gniazdko szantażystów!

-Albo szantażystki, Bielecka mogła działać sama. Co robimy?

- Proponuję na razie kocioł. Później wezwiemy techników. Tu raczej nie została zamordowana, bo wtedy kasetka by stąd nie wyszła, ale może znajdą coś, co pozwoli nam zidentyfikować księdza.

- No chyba że rozwalili ją tutaj kto inny - zauważył Markowski.

- Zabrałby kamerę - dla podkreślenia swoich słów Senik uniósł dalmatyńczyka.

- Jeżeli motywem faceta było odkrycie, że jest filmowany. Ale w takim przypadku zatłukłby ją z wściekłości, a nie zastrzelił z zimną krwią. A ile osób stale nosi przy sobie broń?

- Parę by się znalazło. Ale mimo wszystko możemy najpierw zrobić kocioł.

- Jasne, przecież wcale nie protestuję.

Rozejrzeli się w kuchni i łazience, ale nie znaleźli nic więcej godnego uwagi. Mieszkanie wyglądało na używane sporadycznie, nie było w nim zbyt wielu rzeczy. Inspektor rozsiadł się w fotelu i od palonego papierosa zapalił następnego. Senik przejrzał książki na regale, wybrał sobie jedną, usiadł w drugim fotelu i zagłębił się w lekturze.

Zegar w mieszkaniu na dole wybił kolejną godzinę. Markowski wyrzucił niedopałek do popielniczki, przyjął wygodniejszą pozycję i zamknął oczy. Obudził się po dwóch kwadransach.

Spojrzał na Senika, który nadal czytał, sięgnął po pilota i włączył telewizor. Bez większego zainteresowania przerzucił kanały.

W końcu zatrzymał się na jakimś meczu i zaczął śledzić zmagania piłkarzy.

- Może daj bez głosu, żeby nie spłoszyć ewentualnych gości.

Markowski posłusznie wcisnął na pilocie przekreślony głośnik.

Po kilku godzinach bezowocnego czekania zrezygnowali i wezwali techników. Poszły w ruch pędzelki do pobierania odcisków palców i luminol do wykrywania krwi. To drugie badanie dało wynik negatywny, w mieszkaniu nie popełniono żadnej zbrodni.

- Mam coś - oznajmił Gryzko przeszukujący fotel, na którym wcześniej siedział Markowski. Zademontrował trzymany w ręku srebrny krzyżyk z miniaturową postacią

Jezusa.

- Księdza nie pomoże nam to znaleźć - Senik nie wykazał entuzjazmu. - Co najwyżej potwierdzi jego obecność tutaj, jeśli zostawił na tym odciski palców, ale te są pewnie wszędzie.

- To jest lepsze od odcisków palców, bo dowodzi nie tylko, że tu był, ale też że ściągał sutannę - stwierdził Gryszo. - Widzisz? - wskazał na kawałek łańcuszka stanowiący przedłużenie pionowej belki krzyża.

- No widzę, łańcuszek...

- Od różańca. Krzyżyk musiał wysunąć się z kieszeni sutanny i zahaczyć na fotelu, ksiądz podniósł sutannę, żeby ją nałożyć, siłą rzeczy przytrzymał wtedy różaniec i jakieś nadwerężone ogniwo puściło.

- Czyli mógł tego nie zauważyć - Senik sformułował konkluzję, na którą naprowadził go technik.

- Otóż to. A jeśli nie zauważył od razu, może do dziś chodzi z niekompletnym różańcem w kieszeni.

- Bez przesady. Nie wiemy dokładnie, kiedy tu byli, ale trochę czasu minęło, na pewno zdążył się już pomodlić.

- Co nie znaczy, że od razu zmienił różaniec - upierał się przy swoim Gryszo. - Większość ludzi, jeśli stara rzecz jako tako nadaje się do użytku, zwleka z zakupem nowej, często z braku pieniędzy, ale równie często z lenistwa.

- Poza tym modlitwa nie musi być ulubionym zajęciem klechy pedofila - wtrącił Markowski.

Ileż potem było we mnie niepewności, nie wiedziałem, co mam o tym wszystkim sądzić. Pierwszy raz w życiu miałem uczucie, że tak naprawdę mam dziewczynę. Tę wysnioną, wymarzoną tę, którą tak bardzo kocham. I było to cudowne uczucie, mimo że się przed nim broniłem, mimo że mąciły je ogromna niepewność, co się dalej wydarzy, świadomość, że nasze szczęście będzie równoznaczne z krzywdą dwóch osób, obawa, że jednak się ode mnie odwrócisz, lęk przed bólem,

który tak dobrze pamiętałem.

Okazuje się, że „nic mi nie obiecywałaś, nic nie wyznawałaś”, że wszystko sobie wymyśliłem. Nie wiem, dlaczego tak bardzo zaskoczyło mnie Twoje zachowanie. Może dlatego, że w moim myśleniu o Tobie było tyle czułości, tyle miłości. Nie umiałem o Tobie myśleć jak o złym człowieku. Zresztą mam wrażenie, że tylko wobec mnie taka byłaś. Wydaje mi się, że wobec innych potrafiłaś być w porządku. Ale gdy chodzi o mnie, jakby diabeł w Ciebie wstępował, nie cofałaś się przed niczym. Nie wiem, dlaczego akurat dla mnie miałaś zawsze twarde „nie”, dlaczego zawsze mnie od-pychałaś, niejednokrotnie dawszy mi wcześniej tyle nadziei. Mam wrażenie, jakbym miał do czynienia z dwiema osobami. Jedna była mi przychylna, potrafiła gestem, wzrokiem, nawet słowami dać mi do zrozumienia, że wiele dla niej znaczę, a druga (tę spotykałem częściej) była dla mnie pełna nienawiści, pogardy. I ta druga, gdy doszła do głosu, musiała tę pierwszą zakrzyczeć, unicestwić jej słowa i gesty. Bo nigdy nie zdarzyło się, żebyś przyznała „tak, wydawało mi się, że coś do ciebie mam, dałam temu wyraz, ale teraz zmieniłam zdanie”. Nie, zawsze udawałaś pełną zdziwie-nia, zaskoczenia, wszystkiemu zaprzeczałaś, nazywałaś mnie megalomanem, pisałaś: „Ty chyba masz klepki nie po kolei, bo u mnie wszystko w porządku, przynajmniej do tego stopnia, żeby nie zakochać się w kimś takim jak Ty!!!”. Dla tej drugiej osoby ob-darzenie mnie uczuciem byłoby czymś zdrożnym, wstydliwym, godnym potępienia. Bardzo bym chciał wiedzieć dlaczego. Innym, nawet jeżeli sprawiałaś im cierpienie, potrafiłaś dać szczęście, ja byłem tym trędowatym. A przecież nie kochałem Cię mniej niż inni.

Nie wiem, czy więcej. Na pewno inaczej. Na pewno inną jest ta miłość, która nie spotyka się ze wzajemnością, która nie niesie ze sobą ani odrobiny szczęścia, która jest tylko bólem rozrywającym piersi. Na pewno kocha się inaczej, gdy nie

można mówić o swojej miłości, gdy trzeba się z nią chować, gdy jest się pośmiewiskiem dla innych. Bo człowiek kochający ze wzajemnością jest piękny - ktoś zakochany w dziewczynie, która go nie chce, która na dodatek ma chłopaka, jest śmieszny, jest żaloszny. Moje uczucie musiało być inne, skoro nigdy nie było Cię przy mnie i nie mogłem przeżyć tych wszystkich pięknych chwil, które niesie ze sobą miłość, skoro mogłem tylko domyślać się, co znaczy być szczęśliwym z drugą osobą. Ale czy z tego powodu było ono mniej warte?

- Masz adres tego Karaski? - zapytał Markowski, kiedy zeszli do samochodu.

Senik wyciągnął karteczkę z tylnej kieszeni dżinsów.

- Osiedle Jana Pawła II 22/48.

- Słynne z sex shopów, co za debil nazywa imieniem papieża osiedle z sex snopami? - inspektor splunął i zajął miejsce za kierownicą.

- A ty od kiedy taki religijny jesteś?

- Ja może, kurwa, religijny nie jestem, ale papież był jednak autorytetem moralnym.

Komisarz spojrział zdumiony na kolegę, jakby ten właśnie oświadczył, że od tygodnia nie pije, nie pali i nie przeklina, i uznał, że lepiej nie prowokować pytaniem, pod jakim względem był autorytetem dla Markowskiego i czy był autorytetem zawsze, czy stał się nim dopiero po śmierci.

Dziesięciopiętrowe bloki z wielkiej płyty, mające stanowić dumę socjalizmu, były świadectwem niezdolności najlepszego z ustrojów do stawiania ładnych i funkcjonalnych budynków.

Policjanci wjechali brudną i zdewastowaną windą na ósme piętro. Karaska, który otworzył im domofonem, czekał na nich przed drzwiami mieszkania. Był to czterdziestokilkuletni mężczyzna o dość masywnej, ale proporcjonalnej budowie ciała.

- Pan Karaska?

- Tak, o co chodzi? - zapytał wyraźnie zdenerwowany.

- Nie zaprosi nas pan do środka? - Senik wskazał ręką na drzwi.

Karaska poszedł wzrokiem za jego ręką i niepewnie zaprotestował:

- Wolałbym, żeby żona nie słyszała...

- To chodźmy do okna - zaproponował komisarz.

Trzej mężczyźni podeszli do niemytego od dawna okna. Senik spojrział na rozpościerającą się panoramę miasta - blok stał na skraju osiedla.

- W mieszkaniu pani Beaty Paczkowskiej znaleźliśmy ślady pańskiej spermy. Mógłby pan to wyjaśnić?

Zapytany zrobił zdumioną minę.

- Nie znam nikogo takiego.

- Kraszewskiego 15/4.

Karaska zastanowił się, przesuując dłonią po rzadniejącej czuprynie.

- Chyba kojarzę. Powiedziała mi, że ma na imię Jolka. O nazwisko nie pytałem. Poznaliśmy się w Delcie. Potem pojechaliśmy do niej taksówką na numerek, stąd przypominam sobie nazwę ulicy, ale przysięgam, że sama chciała, chyba nawet bardziej niż ja.

- Kiedy to było?

Karaska policzył w pamięci.

- W sobotę, dwa tygodnie temu.

Markowski z Senikiem spojrzeli na siebie: cztery dni przed zabójstwem. Jeśli Karaska mówił prawdę, był niewinny.

- A nie przypadkiem w środę, 18 marca?

- W środę nie, mogę się wyrwać tylko w weekend, jeśli żona pojedzie do teściowej. Po tamtej sprawie, panowie wiedzą, musiałem jej przysiąc, że nigdy więcej jej nie zdradzę, ale co mam zrobić, jak ona nie chce mi dawać, tylko ciągle ją boli głowa albo jest niedysponowana? Ta

pani chyba nie twierdzi, że ją zgwałciłem? - spojrział z przestrawieniem na policjantów. - Bo z babami to nigdy nie wiadomo. Wtedy, przyznaję, poniosło mnie i przesadziłem, ale babce odwiedziało się, jak już była rozebrana do rosółu, to kogo by nie poniosło?

- Co pan robił w środę 18 marca, po południu, tak po szesnastej? - zapytał dla porządku Senik. Obawa Karaski, że grozi mu oskarżenie o gwałt, nie sprawiała wrażenia udawanej, żeby zatuszować poważniejsze przestępstwo.

- O piątej kończę pracę. A później... środa... nie było wtedy Ligi Mistrzów? Tak, mecz oglądałem.

- Jaki?

- Liverpool-Anderlecht. Coś fantastycznego. Anglicy przegrywali już dwiema bramkami, a mimo to wygrali trzy do dwóch. Chociaż ten karny dla nich był wątpliwy, Deschacht skosił Mellora chyba jednak za linią. No ale przez blisko godzinę mieli miażdżącą przewagę, więc im się należało.

Policjanci nie mogli mieć wątpliwości, że była to relacja kibica, który rzeczywiście oglądał mecz i się nim pasjonował. Zapytali jeszcze o alibi na resztę wieczoru i noc. Karaska podał, że spędził je u boku żony, jak zwykle w dzień powszedni, co ta z pewnością potwierdzi.

Sobota okazywała się dla policjantów pracowitym dniem.

Jeszcze zanim opuścili blok Karaski, otrzymali telefonicznie wiadomość z komisariatu, że ustalono właściciela mieszkania, w którym Bielecka spotkała się z księdzem. Postanowili od razu do niego pojechać, żeby dowiedzieć się, czy wynajmował kawalerkę bezpośrednio jej, czy też komuś innemu. Tym razem znaleźli się w dzielnicy nowych willi wybudowanych przez ludzi mających dużo pieniędzy i za grosz dobrego smaku.

Senik z pewnym zdumieniem spoglądał na złocenia na płocie, na kolumnienki wzorowane na antyczne i łukowate okna domu, do którego mieli wejść. Mieli, ale nie weszli, bo

do ogrodzenia podbiegł biały buldog amerykański i warcząc, groźnie wyszczerzył kły. Zadzwonili do furtki. Po dłuższej chwili w drzwiach pojawił się zwalisty mężczyzna.

- Czego, kurwa? - zawołał.

- Policja, proszę zabrać psa i otworzyć.

- Reks! Do mnie!

Pies niechętnie wykonał komendę i podbiegł do swojego pana, ten złapał za obrozę i nacisnął guzik domofonu. Rozległ się brzęczyk.

- Pan Leszek Modrzewski?

- Tak, o co chodzi? - małe oczka w nalanej, nieogolonej twarzy podejrzliwie świdrowały funkcjonariuszy. Nie ulegało wątpliwości, że Modrzewski niejedno ma na sumieniu, tylko nie wie, które z jego przewinień policja wykryła.

- Jest pan właścicielem kawalerki w plombie przy Zwierzynieckiej?

- Tak, proszę do środka - Modrzewski wyraźnie się rozluźnił, kiedy usłyszał, że rzecz dotyczy mieszkania. Zapewne nie służyło mu do przestępczej działalności. Zamknął psa w garderobie i wprowadził policjantów do pokoju, do którego meble dobierał

według zasady: najbrzydsze, ale najdroższe. - Wynajmuję ją.

- Komu? - komisarz zrobił odmowny ruch ręką, kiedy gospodarz do stojącego na marmurowym stoliku kieliszka chciał dostawić dwa dalsze.

- Izie Bieleckiej. Coś się z nią, kurwa, stało?

- Dlaczego pan tak myśli?

- No bo wy tu, kurwa, jesteście, a nie zapłaciła mi, kurwa, czynszu. Po raz pierwszy, kurwa, od półtora roku, od kiedy wy-najmuję jej tę, kurwa, kawalerkę. Próbowałem się z nią, kurwa, skontaktować, ale komórka, kurwa, nie odpowiada.

Modrzewski używał przekleństwa w charakterze przecinka.

- Jak płaciła panu czynsz?

- Przelewem, kurwa. W terminie do szóstego, kurwa, każdego miesiąca. Zawsze najpóźniej szóstego miałem, kurwa, pieniądze na koncie.

- A kiedy usiłował się pan z nią skontaktować?

- Dopiero, kurwa, w ostatnich dniach, ostatecznie nie była to, kurwa, żadna pilna sprawa. Jak ktoś płaci tak solidnie jak ona, to raz można mu wybaczyć spóźnienie - Modrzewski, który dość zaskakująco powiedział całe zdanie bez przerywnika, uśmiechnął się diabolicznie, demonstrując poźółkłe od tytoniu zęby, i uderzył pięścią w otwartą dłoń, żeby nikt nie miał wątpliwości, co może przydarzyć się tym, którym nie wybacza spóźnienia.

- Czy poza tym łączą pana z Bielecką jakieś stosunki?

Pytanie okazało się cokolwiek nieszczęśliwie skonstruowane, bo Modrzewski wydobył z siebie przeciągły rechot.

- No jeden, kurwa, stosunek. Raz ją, kurwa, bzyknąłem, odliczyła to sobie od czynszu.

- Poza tym?

- Nie, nie mieliśmy, kurwa, kontaktów, inna branża. Ja sprowadzam, kurwa, samochody z Niemiec i inwestuję w nieruchomości.

- Po co była jej ta kawalerka, przecież w niej nie mieszkała?

- Nie mam, kurwa, pojęcia. Lokator ma, kurwa, płacić i nie dewastować mieszkania, a co tam robi, to jego, kurwa, prywatna sprawa.

- Widział ją pan tam może z kimś?

- Nie, kurwa. Jak lokator płaci, nie ma, kurwa, powodu, żebym go odwiedzał.

Wszystko wskazywało na to, że Modrzewski mówił prawdę i że nie miał żadnego związku z zabójstwem. Dłużników się bije, a nie zabija. Poza tym, gdyby chciał zataić fakt, że Bielecka mu nie płaciła, twierdziłby, że czynsz regulowała

gotówką, a nie przelewami, które łatwo sprawdzić.

29 marca, niedziela

Posterunkowy Malicki przypomniał sobie stare czasy, kiedy to chodzenie na mszę należało do jego coniedzielnych obowiązków. Ponieważ sama ceremonia go nudziła, zjawiał się dopiero na kazaniu, ale potem musiał zostać do końca, żeby donieść swoim przełożonym z IV Departamentu MSW, czy w kościele śpiewano

„Boże, coś Polskę” i z jakim refrenem.

Jeden z obserwowanych przez niego klechów mocno angażował się w opozycję, wydawało mu się, że jest jakimś Popiełuszką albo Jankowskim. Kazanie zaczynał od pokazania znaku zwycięstwa, potem zawsze mówił o zniewoleniu narodu przez władzę narzuconą przez Sowietów, a na jego mszach śpiewano „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie!”. Skrupulatne raporty Malickiego sprawiły, że księdzem zajęła się grupa specjalna Służby Bezpieczeństwa. Został pobity przez „nieznanych” sprawców i zmarł w szpitalu, nie odzyskawszy przytomności.

Po upadku PRL Malicki nie przeszedł pozytywnie weryfikacji, właśnie dlatego, że inwigilował księdza, którego zamordowano.

Przez cztery lata starał się zahaczyć gdzieś na stałe, ale umiejętności polegające na szpiegowaniu duchownych nie były na wolnym rynku specjalnie poszukiwane. Dopiero kiedy jego dawni mocodawcy powrócili do władzy, tym razem nie na radzieckich bagnietach, tylko całkiem legalnie, wygrywając wybory, spróbował wkręcić się do policji. Pociągnął za odpowiednie sznurki - zostało mu sporo znajomości - posmarował i dopiął swego. Przyjęto go wprawdzie z najniższym stopniem, bez widoków na awans, ale na tym Malickiemu akurat nie zależało. Chciał mieć pracę

i dotrzeć do emerytury bez grzebania w śmietnikach.

Teraz z pewnym sentymentem rozglądał się po kruchcie.

Przejrzał ogłoszenia parafialne wywieszane w gablocie, przeczytał nekrologi. Potem zamoczył palce w kropielnicy i przeżegnał się. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że nie musiał tego ro-bić. Ludzie w kościele nie wypatrywali już podejrzliwie esbeków, osoba nieprzestrzegająca ceremoniału nikogo nie obchodziła: ot, jakiś ciekawski czy wierny, który w danej chwili skupił się na własnych przeżyciach, a nie na obrządku.

Przeszedł główną nawą i zajął miejsce w jednej z przednich ławek, żeby móc obserwować księży z bliska.

Zacząła się msza. Celebrans nie był poszukiwanym duchownym, pod żadnym względem nie przypominał mężczyzny na filmie z wczorajszego pokazu w komisariacie. Na to wspomnienie Malicki poczuł sztywniejący członek. Uśmiechnął się do siebie - policyjna robota miała swoje uroki, no i była w tym pewna ironia: w sobotę film porno, w niedzielę msza święta. „Choć tak, jak ka-tolicy przestrzegają przykazań, to dla wielu pewnie jest normalny weekendowy program” - pomyślał. Skupił się na obserwowaniu pozostałych księży, którzy pomagali przy mszy bądź pojawiali się w zasięgu wzroku. Także oni nie odpowiadali rysopisowi, jaki za-konotował sobie w pamięci. Nie spodziewał się zresztą, że będzie inaczej. Wiedział, że dochodzeniowcy nie mieli żadnych wskazówek, w jakiej parafii posługuje poszukiwany, i w związku z tym akcja objęła wszystkie kościoły w mieście. Prawdopodobieństwo, że znajdą go akurat w tym czy w dwóch kolejnych, do których miał się udać, odsiedziawszy dwie, trzy msze i pokręciwszy się po parafii, było więc nikłe. Pierwsza msza dobiegła końca. Malicki wyszedł rozprostować nogi, po czym wrócił na swoje miejsce.

Drugą mszę odprawiał ten sam ksiądz, toteż znudzony

Malicki przyglądał się ozdobnym witrażom. Postanowił, że na następną przeniesie się do ostatnich ławek i zdrzemnie. Poczul jednak, że już teraz kleją mu się oczy i zbytnio się nie opierał.

- Obudźcie się! - wyrwał go ze snu donośny głos. Rozejrzył się przestraszony, ale nie było to wezwanie pod jego adresem, tylko początek kazania, wygłaszanego tym razem nie przez cele-bransa, który mówił znacznie ciszej. - Obudźcie się i powstańcie z grzechu, bo bliski jest dzień kary! Nie pławcie się w rozpuście, bo czeka was ogień piekielny! Zaprawdę powiadam wam... - Malicki patrzył na bogato rzeźbioną ambonę, z której niczym razy spadały na wiernych te słowa. Kaznodzieją był trzydziesto-, trzydziestopięcioletni brunet i Malicki nie miał żadnych wątpliwości.

Rozpoznał twarz z filmu. Głos też.

A jednak. Podniósł się i wyszedł na dwór. Wiał zimny wiatr, więc okrył się szczelniej kurtką, wyciągnąwszy uprzednio komórkę z wewnętrznej kieszeni.

- Tu Malicki. Parafia Świętej Trójcy. Mam go. Wygłasza teraz kazanie.

- Tak, jestem całkowicie pewien.

Wrócił do środka i znowu odruchowo przeżegnał się przy wejściu. Po dziesięciu minutach w kruchcie pojawili się policjanci w cywilu. Malicki pokazał dyskretnie na ambonę. Markowski skinął głową i przeszli z Senikiem do zakrystii.

Przebywający tam proboszcz zachnął się na ich widok.

- Panowie, trwa msza święta, nic nie jest tak ważne, żeby zakłócać mszę.

- Owszem, jest - nie zgodził się Senik, pokazując legitymację

- wyjaśnienie morderstwa. Jak się nazywa ksiądz, który wygłasza teraz kazanie?

- A dlaczego panowie pytają?
 - Słuchaj pan, albo pan odpowie, albo zapytamy jego, tylko wtedy najpierw skujemy go na ambonie - zdenerwował się Markowski.
 - Edward Bendyk - proboszcz wolał nie wdawać się w dalszą dyskusję z gburem, który zwracał się do niego per pan.
 - Kim jest w parafii?
 - Wikarym.
 - Ile jeszcze będzie trwało kazanie?
 - Już dobiega końca.
 - Czy z kościoła są jakieś dodatkowe wyjścia, poza głównym i przez zakrystię.
 - Jest jeszcze jedno, ale zamknięte na klucz.
 - Czy ksiądz mógłby poprosić któregoś z ministrantów - przejął pałeczkę Senik - żeby zaprowadził tam naszego człowieka?
 - Nie sądzę, żeby ksiądz Edward miał klucz.
 - Mimo wszystko.
- Proboszcz skinął na ministranta przygotowującego kadzielnice.
- Michałek, bądź tak dobry i pokaż panom, gdzie to jest.
- Drobny blondynek posłusznie odstawił kadzielnice i spojrzał pytająco na Senika.
- Policjanci stoją przy wejściu - komisarz podniósł krótkofalówkę do ust.
 - Zaraz podejdzie do was ministrant, niech jeden z nim pójdzie i obstawi ostatnie wyjście.
- Kazanie rzeczywiście dobiegło końca. Ksiądz Bendyk nie zorientował się, że w kościele dzieje się coś niezwykłego, i spokojnym krokiem wrócił do zakrystii. Popatrzył obojętnie na gości proboszcza, ale we wzroku tego ostatniego dostrzegł zaniepokojenie.
- Panowie są z policji - wyjaśnił mu pryncypał.

- Czy moglibyśmy z księdzem porozmawiać na osobności?
- Dlaczego? Nie mam nic do ukrycia.
- Nalegamy.
- Najpierw proszę powiedzieć, o co chodzi.
- Zna ksiądz jakąś Izabelę Bielecką?
- Nie, nigdy o niej nie słyszałem. Kto to jest?
- Dziwka o pseudonimie artystycznym Mariola - wyjaśnił bez ogródek Markowski.
- Nie - pokręcił przecząco głową wikary. - Kiedyś pracowałem z kobietami upadłymi, ale to już przeszłość. Teraz zajmuję się dziećmi.
- Dziećmi? - powtórzył drwiąco inspektor.
- Tak - potwierdził proboszcz. - Ksiądz Edward odprawia msze dla najmłodszych, organizuje pomoc dla rodzin wielodzietnych, prowadzi kółka zainteresowań dla młodzieży, której nie stać na płatne zajęcia, jeździ z nimi na wycieczki.

Markowski z Senikiem spojrzeli na siebie.

- Czy ksiądz ma różaniec?
- Różaniec?! — nagle zmiana tematu zaskoczyła wikarego.
- Co mój różaniec ma wspólnego z tępianiem?
- Nic, po prostu chcielibyśmy go zobaczyć.

Wikary westchnął, jakby chciał powiedzieć, że trzeba spełniać życzenia wariatów, by ich nie drażnić, i sięgnął do kieszeni.

Wyciągnął różaniec i zademonstrował go, zawieszony na podniesionej ręce. Wtedy sam zauważył brak.

- Oj, krzyżyk mi się urwał.
- No właśnie, a my pokażemy panu, gdzie się urwał, ale to już na komisariacie. Proszę z nami - powiedział Markowski.

-A jeśli odmówię?

- Będziemy musieli księdza aresztować - zagroził Senik.
- Edek, co zrobiłeś? - nie wytrzymał proboszcz.

- Zareczam, że nic, to jakieś kolosalne nieporozumienie.
- Skoro ksiądz nic nie zrobił, to chyba również nie będzie miał nic przeciwko temu, że przeszukamy jego mieszkanie?
- Rozumiem, że nawet jeśli odmówię, panowie i tak je przeszukają?
- Zgadza się - potwierdził komisarz.

Wikary westchnął ponownie z lekką rezygnacją, z drugiej kieszeni sutanny wyciągnął klucz i podał komisarzowi.

- Proszę, to do mojego pokoju na plebanii. Łazienkę i kuchnię mamy wspólną z proboszczem.

- Panowie, tylko jak ksiądz Edward idzie z panami dobrowolnie, to bardzo prosiłbym dyskretnie...

- Bez obaw, księżę proboszczu, jesteśmy nieoznakowanymi wozami, wszyscy po cywilnemu - uspokoił go Senik i przez krótkofalówkę wydał instrukcje dotyczące przeszukania. Potem wyszli na zewnątrz i po chwili kolumna samochodów odjechała przed kościoła.

Pokój przesłuchań miał wielkość trzy i pół na cztery metry, na umeblowanie pozbawionego okien pomieszczenia składały się stojące pośrodku stół i trzy krzesła. Jedno zajmował wikary Bendyk, po drugiej stronie stołu siedział Markowski, Senik zajęty był przygotowaniem magnetofonu. Włożył wtyczkę do przedłużacza, przewinał kasetę i wcisnął czerwony przycisk nagrywania:

- Przesłuchanie, niedziela, 29 marca, godzina... która, kurde, jest? Nie mam zegarka.

-Dziesiąta trzydzieści - odczytał Markowski z wyświetlacza swojej komórki.

- Nazwisko i imię, adres zamieszkania, data urodzenia - Senik zaczął od spraw formalnych.

Wikary podał żądane informacje.

- Dobra, teraz pański szef nie słyszy - przejął Markowski, zapalając papierosa - więc przestań pan rżnąć głupa.

Mamy dowody, że waliłeś tę dziwkę i że miała ci sprowadzić nieletnią.

- Nie wiem, o czym pan mówi - ksiądz założył ręce na piersi.

- Bielecka nagrała wasze ruchanko na kasecie wideo.

- Nie mogła nic nagrać, bo żadnego, jak to pan określił, ruchanka, nie było.

Inspektor skinął głową na Senika, ten wyszedł i wrócił po chwili, pchając przed sobą stolik na kółkach z telewizorem i ma-gnetowidem. Ustawił go w rogu pokoju, wsunął kasetę i wcisnął „play”. Wikary wyraźnie pobladł, kiedy zobaczył pierwsze pół minuty filmu, potem odwrócił wzrok, ale uważnie wysłuchał końcowej rozmowy.

- Zlokalizowaliśmy tę kawalerkę, pobraliśmy odciski palców i znaleźliśmy to - Senik usiadł na krześle i na wyciągniętej dłoni pokazał urwany krzyżyk. - Chyba nie ma sensu dalej zaprzeczać czy twierdzić, że nagranie jest spreparowane. Inaczej będziemy musieli pobrać od księdza odciski palców do porównania, a pewnie nie chciałby ksiądz figurować w kartotece jak pospolity przestępca. Poza tym laboratorium bez trudu wykaże, że ten krzyżyk pochodzi z różańca księdza.

- A jakbyś chciał utrzymywać, że na filmie jest twój sobowtór albo brat bliźniak, to ściągniemy ci gacie i obejrzymy sobie znamię.

Wikary nie odpowiedział, długo milczał.

- Czekamy - ponaglił Senik.

Wikary nadal milczał.

- No nic, w takim razie dzisiejszą noc spędzi ksiądz w areszcie. Porozmawiamy jutro.

- Jak panowie usłyszeli od księdza proboszcza, pracuję z dziećmi, siłą rzeczy również, czy w przeważającej części, z dziećmi z rodzin patologicznych. Darzą mnie zaufaniem, powierzają mi swoje największe sekrety i w ten sposób

dowiedziałem się o istnieniu siatki pedofili, do których te dzieci trafiały. Postanowiłem sprawę zbadać i stąd to spotkanie. Zdaje się, że w panów zawodo-wym języku nazywa się to prowokacją. Chciałem zdobyć dowody, które mógłbym przedstawić policji. Niestety ta pani więcej się do mnie nie odezwała.

Markowski zerwał się, aż przewrócił krzesło i walnął pięścią w stół.

- Posłuchaj, skurwielu - wysyczał, nachylając się w stronę przesłuchiwanego. - Masz nas za durniów czy co? Chcesz nam wmówić, że z obrzydzeniem zerznąłeś tę babkę, żeby wyciągnąć od niej dowody? Jakoś tego na filmie nie widać. Ruchanko sprawia ci niezłą przyjemność, masz w tym wprawę. Nie piłujesz po mi-sjonarsku, tylko na wszystkie sposoby. No i ta końcówka na twarz, niezły z ciebie zboczek.

- No cóż, do stanu duchownego trafiłem dość późno, miałem za sobą tak zwaną burzliwą młodość, jak święty Augustyn, jeśli wiedzą panowie, o kim mówię. A wydaje mi się, że jeśli nie zademonstrowałbym pewnego, hm, rozpasania seksualnego, to wykazywanie zainteresowania w stronę seksu z nieletnią byłoby zbyt dużym przeskokiem i ta pani mogłaby się domyślić prowokacji.

- Proszę powiedzieć, jakie informacje uzyskał ksiądz o tej siatce.

- Dzieci powiedziały, że pani Mariola, która pracuje w tej samej dzielnicy, proponowała im prezenty albo pieniądze, jeśli pojedą do wujka i będą grzeczne. Potem grożono im, że jeśli coś powiedzą, stanie się im krzywda. Musiałem wyteńczyć cały swój talent pedagogiczny, żeby nakłonić je do zwierzeń.

- Gdzie ci wujkowie mieszkali albo kim byli, tego dzieci już nie wiedziały?

- Nie, jedyny kontakt był przez tę Mariolę, dlatego przez nią próbowałem zdobyć dowody.

- Proszę podać nazwiska dzieci, które zwierzyły się księdzu z molestowania.

- Nie mogę, zawiódłbym ich zaufanie. Zapewniłem, że nikomu nie powiem. I muszę te zwierzenia traktować jak spowiedź, a spowiedź objęta jest tajemnicą. Proszę mi wierzyć, że opowiedziały wszystko, co było im wiadomo. Nic więcej się panowie od nich nie dowiedziecie, a narazicie je na niepotrzebny stres.

- Ja mu, kurwa, przypierdolę.

Senik podniósł się i położył koledze rękę na ramieniu.

- Wyjdźmy.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Markowski zapalił kolejnego papierosa i wysłuchał wyrzutów Senika.

- Co ty wyprawiasz? Przecież w ten sposób nic nie uzyskasz.

- Jakoś, kurwa, mam alergię na pedofili.

- Chodzi o to, żeby go zamknąć, a nie żebyś dawał wyraz swojej alergii.

Markowski głęboko się zaciągnął i wypuścił dym nosem.

- Chyba temu zboczeńcowi nie wierzysz?

- Ani trochę. Łże jak pies, ale jego wersja jest spójna, dobrze ją sobie przemyślał w czasie filmu i potem. To dlatego tak długo się nie odzywał. A my nie mamy żadnych dowodów - komisarz spojrział w sufit, jakby miał nadzieję, że jakieś dowody spadną wraz z osypującym się tynkiem. - Wróć teraz do niego, zagram dobrego glinę, a potem pozwolimy mu się podusić we własnym sosie i będziemy czekać na techników. Powinni coś u niego znaleźć, pedofile mają na ogół bogate kolekcje zdjęć i filmów.

- Dobra.

Markowski udał się do swojego pokoju, włączył elektryczny czajnik i wsypał do kubka dwie czubate łyżeczki kawy. Zaczekał, aż woda się zagotuje, i zalał wrzątkiem. Usiadł przy biurku i zaczął segregować akta pozostałych spraw, nad

którymi pracował.

Na biurku kładł te, które wymagały podjęcia pilniejszych działań, pozostałe odkładał na parapet. Kiedy skończył, dopił kawę, zgasił papierosa i przystąpił do wypisywania zleceń dla biegłych, formularzy dla prokuratury i wezwań na przesłuchania. Zajęło mu to blisko godzinę. Potem zszedł na dół, żeby odszukać Senika.

Znalazł go pogrążonego w rozmowie z młodą aspirantką, którą najwyraźniej podrywał.

- No i co, są technicy?

- Dzwoniłem do nich przed chwilą, już jadą z powrotem.

- Coś mają?

- Wygląda na to, że nie.

Markowski ordynarnie przeklął i skierował się do toalety. Nie spuścił po sobie wody. Pisuar ze spłuczką uznawał za fanaberię dobrą dla wypomadowanych fircyków. Rąk też nie umył. Jego urolog stale powtarzał, że ręce należałoby myć przed, a nie po.

Kiedy wrócił, technicy wchodzili właśnie po schodach. Gryszko zatrzymał się przy nich.

- No niestety, czyściutko. Nic, nichts, nothing.

- Może ma jeszcze jakieś inne mieszkanie - wyraził przypuszczenie Senik.

- Pomyślałem o tym, ale na plebanii nie znaleźliśmy niczego, co wskazywałoby na drugie mieszkanie. Żadnych kluczy, dokumentów, proboszcz też nic nie wiedział.

- Trudno się spodziewać, żeby się nim chwalił.

- No ale klucze musiałyby gdzieś przechowywać.

- Zaczekajcie chwilę - Senik zniknął w pokoju przesłuchań, ale wróciwszy, pokręcił przecząco głową. - Przy sobie też nie ma... - podrapał się w zamyśleniu po brodzie. - Samochód! Sprawdziliście samochód?

- Nie, nie było polecenia. Szukaliśmy przede wszystkim materiałów porno, a tego nie trzyma się w samochodzie.

- No to sprawdźcie.

- Dobrze, ale nie teraz. Mamy wezwanie na cmentarz. Satanistom kompletnie odbija, dzisiaj w nocy do czarnej mszy rozkopali grób i otworzyli trumnę. A wiecie, że Stolarczuk w zależności od wyniku wyborów jest ateistą albo głęboko wierzący, no i teraz kazał nam się zająć tym tak dokładnie, jakby chodziło o morderstwo. Jak będziemy gotowi, weźmiemy się za samochód. Będziemy mieć zresztą blisko, bo tak się składa, że to cmentarz przy tym samym kościele.

- To nie mogliście podjechać od razu?

- Wezwanie przyszło, jak już praktycznie byliśmy pod komisariatem. Zresztą musimy uzupełnić sprzęt. Aha - przypomniał

sobie - na kamerze były tylko odciski palców Bieleckiej.

Markowski z Senikiem zostali sami na korytarzu. Rzadko się zdarzało, żeby mieli taką pewność, że zatrzymali właściwego człowieka, a jednocześnie nie dysponowali żadnymi dowodami winy.

- Przyciśniemy go o morderstwo? - zaproponował taktykę Markowski.

Tu mamy jeszcze mniej niż przy pedofilii, wyłącznie przypuszczenia.

- Co nam pozostaje?

- Dobra, spróbujmy, może coś chlapnie.

Weszli z powrotem do pokoju przesłuchań. Wikary stał w rogu z rękami założonymi na plecach.

- Proszę usiąść - Senik wskazał na krzesło.

Wikary usiadł bez słowa.

- Mamy wrażenie, że ksiądz nie do końca zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Pani Izabela Bielecka vel Mariola została zamordowana. W jej mieszkaniu znaleźliśmy ten film. Domyśliłyśmy się, że szantażowała księdza, grożąc ujawnieniem kompromitującej kasyety.

- Nic takiego nie miało miejsca - zaproponował duchowny.
 - Zresztą, jakbym ją zabił, to przecież zabrałbym kasety.
 - Może ksiądz nie wiedział, gdzie jest. Albo Bielecka się za-
bezpieczyła i zrobiła kopię.
 - Nonsens.
 - Wiemy, że spotkał się pan z nią w czwartek 5 marca po
godzinie osiemnastej - zablokował Markowski.
 - W czwartki nie mam dodatkowych zajęć o tej porze
jestem zwykle na plebanii. Odmawiam brewiarz albo
czytam. I tak było też piątego.
 - Skoro ma pan wolne, mógł pan wyjść na spotkanie. Ktoś
może potwierdzić, że pan nie wyszedł? - dopytywał się
inspektor.
 - Proboszcz, jeśli wtedy był na plebanii.
 - Ale nie jest ksiądz tego pewien, nie spotkaliście się na
przykład w kuchni?
 - A pan pamięta, czy spotkał się z żoną w kuchni prawie
miesiąc temu?
 - Czyli proboszcz też nie będzie pamiętał, czy akurat tego
dnia ksiądz był w swoim pokoju?
- Wikary nie odpowiedział.
- Ma ksiądz broń?
 - Broń? Ależ skąd!
 - Potrafi ksiądz strzelać?
- Nieco już zmęczony wikary podniósł wzrok.
- Została zastrzelona?
 - Proszę odpowiedzieć na pytanie.
 - Tak, potrafię, w młodości należałem do klubu
strzeleckiego.
- Senik się zastanowił, po czym przypuścił ostatni,
desperacki atak.
- Proszę księdza. Zbrodnia ma swoje trzy klasyczne „M”:
motyw, miejsce i możliwość. Motyw ksiądz miał,
możliwość też, umie ksiądz strzelać i spotykał się z ofiarą.

Jeszcze nie potrafimy udowodnić, że ksiądz był na miejscu zbrodni. Powiedziałbym, że na razie dwa zero dla nas. Jak będzie trzy zero, ten łańcuch poszlak wystarczy, żeby księdza skazać. Przyznanie się wpłynie na łagodniejszy wymiar kary. No i księdzu ulży, czytał ksiądz „Zbrodnię i karę”?

- Oczywiście, że czytałem. Ale w przeciwieństwie do Raskol-nikowa nikogo nie zabiłem.

Komisarz zrezygnowany spojrział na kolegę. Ten nieznacznie się skrzywił. Nic nie mieli. Pedofilii nie zdołali mu udowodnić, a przy morderstwie był zaledwie kandydatem na podejrzanego.

Wbrew temu, co Senik naprędce wymyślił, żeby zasugerować, że mają sporo atutów w rękę, mogli wskazać jedynie motyw. Nie znaleźli narzędzia zbrodni, nie wiedzieli, czy to wikary był umówiony z Bielecką feralnego dnia, nie znali nawet daty zabójstwa - Bielecka mogła zostać zamordowana dopiero w następnych dniach.

Policjanci opuścili pokój przesłuchań.

- Co robimy? - spytał Senik.

- Zamkniemy go na czterdzieści osiem. Może Gryzko natrafi na coś w samochodzie. Jak do pojutra nic nie znajdziemy, pomagujemy jeszcze skurwysyna o pedofilię, zabójstwo jest na razie poza zasięgiem.

- Pytanie, czy rzeczywiście on ją kropnął. Mam wątpliwości.

- Trzeba zbadać jego kontakty, pedofile nie działają z wyrachowania, więc popełniają błędy. Musiał zostawić jakieś ślady.

Markowski skinął na funkcjonariusza, który chciał wejść do pokoju, żeby pilnować podejrzanego.

- Zatrzymanie na czterdzieści osiem, zaprowadź go na dołek, papiery załatwię sam - odczekał, aż posterunkowy zniknie im z oczu, i mrugnął do Senika. - Oczywiście nie

będę się śpieszył.

Jak Stolarczuk zobaczy, że trzymamy klechę bez niczego, to każe go, kurwa, puścić.

Zimny wiatr ustał, ale Gryscko poczuł dojmujący chłód, kiedy wprowadził ekipę swoich techników na cmentarz. Zwykle kiedy przechodził lub przejeżdżał koło cmentarza, odwracał wzrok, a pogrzebów unikał, tłumacząc się każdorazowo wezwaniem na miejsce zbrodni - na szczęście pracę miał taką, że te tłumaczenia były wiarygodne. Bał się śmierci i wszystkiego, co się z nią kojarzyło. Wydawało mu się, że przyglądanie się grobom albo czytanie o chorobach jest kuszeniem kostuchy, by szybciej po niego przyszła. Pozornie dziwne w przypadku człowieka, który na co dzień miał do czynienia z denatami, ale to było coś innego. Żywił niezachwiane przekonanie, że gwałtownej śmierci uniknie - podobnie jak żołnierz jest pewien, że kule osiągną nie jego, lecz innych - samobójstwa nie miał zamiaru popełniać, a przed wypadkiem czy mordercą, jak uznawał, chroniła odpowiednia doza ostrożności. Zmarli leżący na cmentarzu unaoczniali straszliwą prawdę, że śmierć wskutek choroby czy starości jest tylko kwestią czasu.

Na cmentarzu było pustawo, gdzieś tylko jakaś staruszka nalewała z pompy wodę do słoika albo porządkowała grób.

Proboszcz poprowadził techników między nagrobkami.

- Co za okropny dzień dzisiaj, najpierw zabrali księdza Edwarda - mam nadzieję, że to nieporozumienie szybko się wyjaśni - a teraz zbezczeszczenie miejsca pochówku. O tutaj - wskazał głową.

Gryscko spojrział na dwa rozkopane groby i pozostawio-
ne przedmioty: czarne świece, częściowo spalony modlitewnik,
butelki po piwie, niedopałki, zużyte prezerwatywy. Nad tym
pobojowiskiem wznosił się ustawiony do góry nogami krzyż z
przybitym czarnym kotem. Zwierzę było martwe, miało

podcięte gardło i rozpruty brzuch.

- W zgłoszeniu była mowa o jednym grobie... - szef techników zrobił pytający ruch ręką w stronę drugiego wykopu.

- Nie, nie, tamto to świeża mogiła, jutro będzie pogrzeb.

Jesteśmy w najnowszej części cmentarza, ta kobieta została pochowana raptem w poprzedni piątek, kamieniarz jeszcze nie zrobił nagrobka.

Gryszko wzdrygnął się.

- Nawiasem mówiąc, ceremonię prowadził ksiądz Edward.

Nic, zostawię panów.

Proboszcz oddalił się, zgarbiony, jakby przybity złem tego świata.

- No chłopaki, do roboty.

Technicy przystąpili do rutynowych działań. Dokładnie sfo-
tografowali miejsce zdarzenia, zalali ślady butów gipsem,
żeby porobić odlewy, pozbiali do foliowych woreczków
wszystkie przedmioty mogące doprowadzić do sprawców.
Jeden z techników podniósł z ziemi gliniane skorupy
niewielkiej miseczki, poskrobał palcem, spojrzął na kota i
podeszedł do Gryszki.

- Szefie, nie chcę nic mówić, ale oni chyba pili krew tego kota.

Gryszko przesunął ręką po oczach.

- Wiesz, różne rzeczy w swojej karierze widziałem, ale to już nie jest bestialstwo ani zboczenie, to jest... chore.

Podeszli do krzyża.

- Wyrwali krzyż z grobu i ustawili do góry nogami, potem przybili kota i podcięli mu gardło - technik przedstawił prawdopodobną wersję wydarzeń.

- Nie odwrotnie?

- Raczej nie, bo krew łatwiej pobierać od unieruchomione-
go niż wyrywającego się kota. A jakby przybijali
krwawiącego, to sporo krwi by im przypadło. Z kolei

przybijanie martwego niespecjalnie by ich chyba rajcowało.

- Dobrze, że teraz za zabicie zwierzaka są dwa lata. Jak dokładnie udokumentujemy tę... paranoję

- Gryszce zabrakło właściwego słowa wyrażającego skalę odczuwanego obrzydzenia - to może raz sąd nie zawiesi wyroku.

Spojrzeli w dół na trumnę z dzielonym wiekiem, którego górna część była otwarta i odsłaniała zwłoki kobiety w średnim wieku.

- Po co rozkopywali grób? Nie słyszałem, żeby sataniści to praktykowali - wyraził zdziwienie technik.

- Człowiek ciągle potrzebuje nowych podniet, nawet jeśli prowadzą do destrukcji. Stare mu już nie wystarczają. Pewnie na-stępnych zwłok nie zostawią w trumnie, tylko wyniosą na ziemię, a dalej nie wiem co... zjedzą?

- Szkoda, że nie możemy po prostu tej trumny zamknąć i zakopać...

- Niestety, skoro ją otworzyli, znaczy się, schodzili na dół, i musimy

zrobić to samo. Poza tym mogli majstrować przy zwłokach - Gryszko też wolałby uniknąć prac w głębi grobu, ale wiedział, że to nierealne.

- Chyba poszukam sobie innej roboty - westchnął technik.

- Jakiejś ciepłej posadki ciecia albo czegoś w tym rodzaju.

- E tam, lubisz tę robotę, a że czasami zdarza się syf... tak jest w każdym zawodzie.

- No fakt.

Nałożyli maseczki i zsunęli się w głąb.

- Że też chciało im się kopać, to przecież ponad metr - zwrócił uwagę technik.

- Zgadza się, warstwa ziemi musi mieć minimum metr, ale naćpali się amfetaminą, to nie brakowało im energii - skonstatował Gryszko.

Przyklękając na zamkniętej części wieka, przyjrzeni się zwłokom. Nie wyglądały na ruszane. Gryszko odsłonił szczękę zmarłej.

- Złoty zębów nie miała, hien cementarnych tu nie było.

- Teraz złote zęby kradną na etapie zakładu pogrzebowego, hieny biorą znicze i ozdoby z nagrobków.

Przejrzeli odsłoniętą część trumny, ale nic nie znaleźli. Zamknęli górną część wieka i otworzyli dolną. I tutaj oględziny nic nie dały. Starając się zmieścić na wąskim skrawku gruntu, podnieśli całe wieko, żeby odwrócić zwłoki. Muchy trumienne zerwały się do lotu. Jednak poza tymi towarzyszami człowieka w podróży na tamten świat niczego nie odkryli. Już mieli położyć z powrotem zwłoki, kiedy Gryszko zwrócił uwagę na podłużne wybrzuszenie pośrodku trumny.

- Masz nożyk?

Technik podał mu scyzoryk. Gryszko rozpruł obicie i wyciągnął owinięty w płótno pakunek. Zajrzał do środka i przeciągle gwizdnął.

A więc jednak coś się wydarzyło, coś mi wyznałaś, coś mi obiecałaś. I co? Ani słowa wyjaśnienia, usprawiedliwienia, dlaczego wcześniej z całym cynizmem usiłowałaś wmówić mi, że nic się nie wydarzyło, zrobić ze mnie wariata, który swój wyimaginowany świat bierze za prawdziwy. Tamten Twój list był dla mnie szokiem, nie mogłem zrozumieć tego udawania, że o niczym nie wiesz. I co?

Jak rozumiem, jesteś zdania, że żadne wyjaśnienie mi się nie należy.

Jak rozumiem, zawiodła jedna metoda, by się ode mnie uwolnić, to próbujesz drugiej, ale dlaczego miałabyś się tłumaczyć?

Przez blisko osiem lat nie przyszło Ci do głowy zainteresować się tym, co robię, nigdy nie przyszło Ci na myśl napisać czy zadzwonić i powiedzieć „przepraszam”. Dopiero wtedy, gdy

zacząłem Ci się śnić, gdy Ci na mnie zaczęło na nowo zależeć, dopiero wtedy usłyszałem „przepraszam”. Na przyzwoitość zebrało Ci się dopiero wtedy, kiedy czegoś ode mnie chciałaś, a kiedy Ci przeszło, natychmiast zapomniałaś o jakiegokolwiek przyzwoitości.

Doskonale wiedziałaś, że byłaś miłością mojego życia, miłością, którą, o czym byłem przekonany, straciłem przez własną głupotę. Setki razy zastanawiałem się nad tym, jak próbowałem zdobyć Twoje względy. Analizowałem każde zdarzenie, każde słowo, które padło między nami. I obwiniałem siebie za to, że się nie zesłiśmy, bo przecież w każdej sytuacji mogłem postąpić inaczej, lepiej. A mimo to, kiedy przyjechałaś, to Ty mnie przepraszałaś, a nie ja Ciebie, to ja się Ciebie bałem, a nie Ty mnie. Kiedy nalegałaś, byśmy się spotkali, bałem się, że znowu wykręcisz mi jakiś numer, ale w najczarniejszych snach nie spodziewałbym się, że zdobędziesz się na tego rodzaju podłość.

Naiwnie, gorzej niż małe dziecko, uwierzyłem, że miłości nie da się oszukać, że jesteśmy sobie przeznaczeni, jesteśmy tymi słynnymi dwiema połówkami pomarańczy. Kiedy przyjechałaś, kiedy mówiłaś, że mnie kochasz, naiwnie uwierzyłem, że spełnia się to, o czym już nawet nie marzyłem. A Ty mnie po prostu oszukałaś, w pełni świadomie, w perfidny, ordynarny sposób.

Rozdrapałaś stare rany, zadałaś nowe i mało Cię to wszystko obchodzi. A skąd miałem wiedzieć, że Twoje słowa nie są zapowiedzią szczęścia, lecz wstępem do nowego koszmaru? Że Twoje wyznania są kłamstwem, fałszem obliczonym na rozbicie mojego życia?

Nikt nie bronił Ci przemyśleć sobie wszystkiego, zanim się ze mną spotkałaś, a skoro już się zdecydowałaś na spotkanie, to zanim rozbudziłaś we mnie nadzieje i uczucia, należało dojść najpierw do ładu z własnymi. Skonfrontować swoje sny z rzeczywistością. Mogłaś poczekać z wyznaniem do

momentu, w którym miałabyś pewność, że się z nich nie wycofasz. Nie „mogłaś”. Miałaś taki obowiązek. Bo już raz mnie skrzywdziłaś nas oboje, odmawiając nam przeżycia miłości.
Skrzywdziłaś.

30 marca, poniedziałek

Senik przystanął przy kiosku, żeby kupić „Kurier Miejski”. „Kuriera” już dla zwykłych śmiertelników nie było, bo znowu do dziennika dołączono jakiś darmowy gadżet, na który rzucił się zachłanny naród. Redakcja nic sobie nie robiła z protestów stałych czytelników, którzy chcieli jedynie mieć możliwość kupienia bez problemów swojej codziennej gazety. Liczył się wyłącznie zysk z dodatkowo sprzedanego nakładu, mimo że sama gazeta lądowała zapewne w koszu. Podstawowe niegdyś zadanie prasy - przekazywanie informacji - stało się drugorzędne. Teraz chodziło o to, by gazeta została kupiona, a nie przeczytana. Na szczęście Senik mógł polegać na kioskierce, nieocenionej pani Eli, która jako stałemu klientowi zostawiała mu „Kuriera”. Z własnej inicjatywy, nie musiał nawet wcześniej prosić, dzięki czemu nie był zmuszony do śledzenia, kiedy coś będzie dołączane. Wziął dziennik, podziękował, spojrzął na wiadomość dnia na czołówce, zapłacił i poszedł do samochodu.

Po zimnym weekendzie wiosna obwieszczała ostateczne zwycięstwo. Zrobiło się naprawdę ciepło. Senik, ruszywszy, odkręcił szybę w samochodzie. Przypomniawszy sobie swoje szczeniące lata. Taki dzień był świętem, dzieciaki pytały rodziców o zgodę i szły do szkoły w samych swetrach. Czy raczej w fartuszkach, bo wtedy coś takiego się nosiło. Fartuszek z tarczą i buty na zmianę w worku. A w drzwiach szkoły stali dyżurni i sprawdzali, czy ma się te wszystkie akcesoria. Biada było delikwentowi, który czegoś zapomniał

albo, co gorsza, świadomie próbował pominąć jeden z elementów obowiązkowego stroju. On sam paradował kiedyś po szkole w skarpetkach. Poprzedniego dnia pobił się z chłopakami po lekcjach i stracił worek. Rodzicom nic nie powiedział, bo bał się, że ojciec spuści mu lanie. Liczył na to, że zastraszy dyżurnych, już wówczas pięści miał nie od parady. Niestety w drzwiach stała mieszana para, a głupio mu było grozić dziewczynie.

Skręcił na zatłoczony parking przed nowoczesnym biurowcem: stal, chrom i lustrzane błyszczące szyby. Znalazł wolne miejsce między niebieskim passatem a zieloną octavią i energicznie wyskoczył z samochodu. Wszedł do budynku, zatrzymał się przed wielokolorową tablicą, na której widniały loga i stylizowane nazwy firm. Odszukał tę właściwą: Biuro Architektoniczne Dedal.

Logo przedstawiało labirynt.

- Pan do kogo? - zapytał portier zza szyby po drugiej stronie.

- Do Dedala.

- Czwarte piętro, tam jest winda.

Senik wybrał schody. To między innymi dzięki takim nawykom zachowywał dobrą kondycję i szczupłą sylwetkę. Pchnął przeszklone drzwi i wszedł do sekretariatu. Uśmiechnął się do długonogiej sekretarki, która sięgała właśnie po segregator z półki, a słysząc otwierane drzwi, odwróciła się. Odwzajemniła uśmiech.

- Dzień dobry. Słucham pana?

- Dzień dobry. Miłan Senik z policji, ja do prezesa Nowaka.

- Proszę uprzejmie - ponownie obdarzyła go promiennym uśmiechem, wskazując wypielegnowaną dłońią o paznokciach pomalowanych na perłowo wejście do gabinetu.

- Prezes już pana oczekuje.

Postura prezesa Nowaka była równie niepozorna i pospolita

jak jego nazwisko. Na ulicy Senik wziąłby go za drobnego urzędnika, i to niezbyt rozgarniętego. „Jak to się dzieje - pomyślał - że człowiek wyglądający na takiego, co do trzech zliczyć nie potrafi, tworzy prężnie działającą firmę? A może zaczął właśnie od kariery w urzędzie miejskim, a teraz od dawnych kolegów dostaje zlecenia, hojnie się oczywiście rewanżując?”. Niby obowiązywały przetargi, ale przecież nie nastęrczało żadnych trudności sformułowanie wymagań tak, by spełnić je była w stanie tylko wybrana firma.

Komisarz wyciągnął rękę przez biurko, po czym usiadł, starając się stłumić złe wrażenie, jakie wywarł na nim słaby uścisk dłoni prezesa. Nie lubił mężczyzn podających rękę jak uczennica z liceum urszulanek.

- Napije się pan czegoś, kawy, herbaty? Wiem, że na służbie policjanci nie piją nic mocniejszego - wskazał na przypominający współczesną instalację artystyczną barek zastawiony markowymi alkoholami.

W pierwszym odruchu Senik chciał podziękować, ale uznał, że może to być okazja do poznania imienia sekretarki - jeśli się nie mylił co do biurowych obyczajów.

- Poproszę kawę, ze śmietanką bez cukru.

- Bez cukru - prezes Dedala uśmiechnął się pobłaźliwie, że policjant nie odróżnia nowoczesnej firmy od baru Gromada, gdzie śmietanki i cukru nie podawano osobno, tylko od razu w kawie, i wcisnął guzik interkomu.

- Pani Aniu, dwie kawy poprosimy.

Senik w duchu pochwalił siebie samego za przemysłność.

Ania, ładnie.

- Tak, to straszne, co spotkało panią Paczkowską a dla nas niepowetowana strata - prezes pierwszy poruszył sprawę, o której mieli rozmawiać.

- Czy już mają panowie kogoś podejrzanego?

- Nie wolno mi zdradzać ustaleń śledztwa - odparł Senik.

- Tak, rozumiem. W czym mogę pomóc?

- Czy pani Paczkowska miała w firmie jakichś wrogów?
- Wrogów? Nie, skąd, była powszechnie lubiana. Nawet bardziej niż lubiana. Mimo swego wieku była bardzo atrakcyjną kobietą i niektórzy nasi pracownicy, także ci młodszy, deptali do niej ścieżki, jeśli wie pan, co mam na myśli.

- Którzy to pracownicy? I czy owo deptanie dało jakieś efekty?

- Efekty? Z tego co wiem, to nie. Pani Paczkowska była dość pryncypialna w rozdzielaniu życia zawodowego od prywatnego.

A kto konkretnie do niej uderzał, tu bardziej pomoże panu nasza sekretarka, wie pan - mrugnął okiem - kobiety chętniej plotkują w firmie, ja nie mam na plotki czasu ani mnie też specjalnie nie interesują.

Komisarz pomyślał, że jak na niezainteresowanego prezes jest niezłe zorientowany w relacjach swej pracownicy z męską częścią ekipy. Kto wie, może sam należał do depczących. Senik oceniał go wprawdzie na swojego rówieśnika, ale prezes sam przed chwilą przyznał, że w przypadku Paczkowskiej wiek nie stanowił przeszkody.

- Będę też potrzebował listy wszystkich pracowników.

- Wszystkich pracowników? Oczywiście, też panu da sekretarka. O wilku mowa.

Drzwi się otworzyły i sekretarka wniosła na srebrnej tacy kawę w wytwornych filiżankach. Kiedy stawiała je na biurku, Senik dyskretnie kontemplował zgrabny tyłeczek opięty kusą spódniczką.

- Pani Aniu, proszę przygotować dla pana inspektora listę wszystkich pracowników z zaznaczeniem tych, których wiązały z panią Paczkowską jakieś prywatne relacje.

- Oczywiście, panie prezesie.

- Dziękujemy, to wszystko.

Komisarz zorientował się, że sekretarka jako kobieta nie

wywiera na prezesie większego wrażenia. Albo już z nią spał, może w ogóle był to warunek przyjęcia na to stanowisko, i mu się znudziła, albo prywatnie wolał starsze. Senika nie opuszczało przekonanie, że ofiara była dla niego kimś więcej niż tylko pracownicą.

- Jakies zawodowe niesnaski, zawiść? - komisarz kontynuował zadawanie pytań.

- Zawiść? O projekt? Pewnie, ale żaden architekt z tego powodu nie morduje. Nic by w ten sposób nie osiągnął. W firmie pracujemy zbiorowo, a indywidualne prace startują zazwyczaj w konkursach. Skuteczniejsze byłoby przekupienie członków jury, jeśli w ogóle by się dało.

- Rozumiem. To może odwrotnie, czy z kimś szczególnie się przyjaźniła?

- Przyjaźniła? Nie, mówiłem już panu, że ściśle rozdzielała życie zawodowe i prywatne.

- Od jak dawna pracuje w waszej firmie?

- W naszej firmie? Od pięciu lat.

- A gdzie pracowała wcześniej?

- Wcześniej? Nie wiem, ale na pewno będzie w CV, które musiała złożyć przy przyjmowaniu do pracy.

- Czy zna pan tego człowieka? - Senik wręczył mu portret pamięciowy grubasa, o którym wiedzieli, że kupił Talmud i dzwonił do ofiary.

- Tego człowieka? - prezes przyjrzał się uważnie rysunkowi, ale pokręcił przecząco głową. - Nie, nie znam.

- Na pewno? - nalegał komisarz. - To ważne, może odwiedził ją kiedyś w firmie?

- W firmie? Nie

- Nowak ponownie pokręcił głową- nigdy go nie widziałem.

- Po co dzwonił pan do pani Paczkowskiej w środę 18 marca o godzinie 15.23?

Senik spodziewał się sakramentalnego powtórzenia ostatnich słów pytania, ale zaskoczony prezes milczał. Komisarz

zrozumiał, że zadając rutynowe pytanie, trafił na jakiś trop, co potwierdziła kłamliwa odpowiedź.

- Nie dzwoniłem, może ktoś z firmy.

Senik przechylił się ku niemu i wycedził:

- Z pańskiej komórki?

Widać było, że prezes nie chce się przyznać do tego telefonu i rozpaczliwie szuka w głowie wyjaśnienia, które miałyby ręce i nogi. Komisarz ani myślał mu na to pozwolić.

- Panie prezesie, nie ma sensu zaprzeczać, pogarsza pan tylko swoją sytuację. Z naszej wiedzy wynika, że był pan ostatnią osobą która rozmawiała z nią przed śmiercią. Równie dobrze możemy sobie wyobrazić, że umówił się pan z nią na spotkanie, a potem zabił.

Nowak pobladł i otworzył usta, łapiąc powietrze jak ryba wyjęta z wody.

- Dzwoniłem - przyznał w końcu, poluzowując sobie krawat

- ale się z nią nie spotkałem. Przeciwnie, zakończyła rozmowę, bo kogoś oczekiwała.

- Kogo?

- Nie wiem, nie powiedziała mi.

- Czy sprawiała wrażenie zdenerwowanej albo przestraszonej tym spotkaniem?

- Nie, wcale - Nowak zapomniał o swojej manierze powtarzania ostatniej frazy pytań.

- Dzwonił pan do niej jeszcze później?

- Tak, powiedziała, żebym zadzwonił koło szóstej. Zadzwoniłem, ale nie odbierała. Później próbowałem jeszcze o ósmej, ale też nie odebrała. Przyjąłem, że nie chce ze mną rozmawiać. Na stacjonarnym miała identyfikator numerów i wiedziała, kto dzwoni. Miewała takie napady, więc postanowiłem się jej na razie nie narzucać.

- Mogła wyjść z domu. Czemu nie zadzwonił pan na komórkę?

- Nigdy nie podała mi numeru.

- Nie zaniepokoiło pana, że nie przysłała następnego dnia do pracy?

- Nie było jej też w środę, pracowała nad projektem w domu.

Zresztą właśnie w tej sprawie dzwoniłem.

Senik wprawdzie nie uwierzył w taką motywację prezesa, ale uznał, że informacje o bezskutecznych próbach dodzwonienia się nie są zmyślane. Zwłaszcza że prezes miał świadka swoich telefonów.

- Ktoś może potwierdzić, że pan w tę środę do niej nie pojechał?

- Moja żona. No i... sprzedawczyni w saloniku prasowym, do którego schodziłem, żeby zadzwonić... żeby żona nie słyszała.

Senik już nie wnikał, dlaczego telefon w sprawie projektu nie był przeznaczony dla uszu żony.

- Dobrze, to by było na tyle.

Pożegnał się skinieniem głowy i wrócił do sekretarki. Przysiadł na biurku, dzięki czemu mógł zaglądać w głęboko wycięty dekolt.

- Jak tam moja lista?

- Gotowa, panie inspektorze - podała mu wydruk.

- Nie jestem inspektorem, tylko komisarzem, a najlepiej Milan - wyciągnął rękę.

- Ania.

- Chyba będę musiał cię aresztować.

- Dlaczego? - udała zdumioną.

- A bo nie zaznaczyłaś tych, którzy deptali do Paczkowskiej ścieżki, jak to określił prezes.

- Sam deptał - wygięła pogardliwie usta, rzucając okiem na interkom, czy aby na pewno jest wyłączony - a raczej latał za nią jak kot z pęcherzem. Ale, tak jak inni, nic nie wskórał.

- Dlaczego jej nie zwolnił?

- Nie wiem, pewnie chciał ją mieć przy sobie. Może cały czas miał nadzieję, póki nie miała nikogo na stałe.

- A skąd wiedział, że nie miała?

- A bo śledził ją, nachodził też w domu.

- To dlaczego z kolei ona się nie zwolniła?

- Bardzo dobrze jej płacił, nie zarobiłaby tyle w innej firmie.

Poza tym miałam wrażenie, że ta sytuacja wcale jej nie męczy, raczej bawi. Umiała trzymać go na dystans, a to, że za nią latał, tylko jej schlebiało - wyszła zza biurka, przysiadła koło niego i wskazywała kolejne nazwiska na liście.

- Ten próbował, ten, ten też...

Senik zaznaczał, czując rosnące podniecenie jej bliskością.

- Już mnie nie aresztujesz? - mrugnęła do niego figlarnie.

- Może jednak prewencyjnie - uśmiechnął się, demonstrując kajdanki.

- Och - ułożyła usta w ciup.

- Daj mi swój numer telefonu, żebym mógł wezwać cię na przesłuchanie.

Na wpół położyła się na biurku, by napisać numer na karteczce.

- Musiałbym przejść się po firmie i przepytac pracowników, czy znają tego gościa - pokazał rysunek.

- Ja nie znam. Oprowadzę cię.

Obchód zakończył się sukcesem pod tym względem, że w pustym pokoju wymienili się namiętym pocałunkiem. Kiedy jednak włożył jej rękę pod spódniczkę, odsunęła go:

- Później, nie tutaj.

Natomiast podejrzanego z portretu pamięciowego nikt nie rozpoznał.

„Prywatnie dobrze, zawodowo gorzej” - pomyślał, opuszczając biurowiec. Zastanowił się, co dalej. Liczył na to, że w firmie dowie się, kim na przykład była najlepsza przyjaciółka Paczkowskiej.

Niemal każda kobieta miała taką powiernicę, ważniejszą nawet od męża. Z billingów rozmów, a tym bardziej z notatnika adresowego nie wynikało, aby z kimś kontaktowała się szczególnie często.

Sięgnął po ten notatnik. Zabrał go ze sobą by móc od razu zadzwonić i pojechać do wskazanej osoby. Liczba wpisów nie była ani duża, ani mała, przy części brakowało zresztą nazwisk, widniały same imiona. Ale musiał to odłożyć. Postanowił rozejrzeć się w jej poprzednim miejscu pracy, może wtedy jeszcze nie była tak skrupulatna w ukrywaniu swych prywatnych spraw. „To dopiero na starość ludziom odbija, a babom w szczególności” - pomyślał.

Zajrzał do otrzymanego od sekretarki CV. Firma architektoniczna Konstruktor. Poszukał numeru telefonu w notatniku, ale ten najwyraźniej pochodził z nowszych czasów. Rozejrzał się po okolicy, dostrzegł szyld poczty, ale książki telefoniczne dawno już stamtąd zniknęły. Zaklął. Od dawna obiecywał sobie wrzucić książkę do samochodu i wozić ze sobą ale ciągle o tym zapominał. Może czas w końcu to zrealizować. Wsiadł do golfa i podjechał do najbliższego BOK-u Telekomunikacji. Okazało się, że książka telefoniczna nie jest wyłożona, tylko trzeba stanąć w wijącym się ogonku i specjalnie o nią poprosić. Na szczęście nie była na łańcuchu. Kiedy Senik odstał swoje i dostał ją od naburmuszonej pracownicy, obsługującej tak ślamazarnie, że przed pracą powinna dostawać zastrzyk adrenaliny albo dawkę elektrowstrząsów, cofnął się pod drzwi i udawał, że szuka jakiegoś numeru. Gdy pracownicę za-słoniłi klienci, spokojnie wyszedł z książką pod pachą Położył ją na przednim siedzeniu i odjechał. Na najbliższym skrzyżowaniu sprawdził, gdzie mieści się firma Konstruktor. Nie zdążył przed zapaleniem się zielonego światła i kierowca za nim zaczął trąbić.

- Dobra, dobra, pojedziesz na następnej - mruknął,

ruszając z piskiem opon.

Aspirant, poziewując, analizował wyciągi z rachunku bankowego Izabeli Bieleckiej. Zasiadzieli się poprzedniego wieczora z Myszką. Wypożyczyli sobie „Amadeusza” Miłosa Formana, planując obejrzeć go na dwa razy, ale film tak ich wciągnął, że ani się spostrzegli, jak minęły trzy godziny i pora pójścia spać.

Wyciągi nie wykazywały żadnych znaczących wpłat, co oznaczało, że ksiądz albo zapłacił szantażystce gotówką albo nie zapłacił i rzeczywiście rozwiązał problem inaczej. Ponadto, poza tym, że potwierdzały wersję właściciela kawalerki, że Bielecka czynsz płaciła wyjątkowo regularnie, nie zawierały nic ciekawego, więc Lepka dla porządku przebiegał je wzrokiem, myślami będąc przy zdarzeniach z filmu i dylemacie Salieriego: dlaczego Bóg obdarzył geniuszem nie jego, tylko taką kreaturę jak Mozart.

Ta niesprawiedliwość znalazła wyraz nawet w tytule filmu, który tak właściwie był o Salierim. No ale to samo życie - szczęście spotyka ludzi, którzy, gdyby przyznawano je według obiektywnych kryteriów, nie zawsze na to zasłużyli.

Skończywszy przeglądać wyciągi, zabrał się za analizę poczty elektronicznej Bieleckiej. Według polecenia inspektora miał ustalić, czy w ten sposób nie kontaktowała się z księdzem. Informatyk dostarczył mu plik wydruków, także skasowanych już e-maili odzyskanych z twardego dysku. Znakomitą większość stanowiły plotki o wspólnych znajomych i babskie tematy: ciuchy, kosmetyki i problemy sercowe. Aspiranta zdziwiło wprawdzie, że prostytutki również miewają problemy sercowe, ale najwyraźniej tak było. Przystudiował długi e-mail o błyszczycach, szukając w nim jakiegoś szyfru, bo jawnej korespondencji z księdzem nie znalazł, ale doszedł do wniosku, że e-mail rzeczywiście dotyczył błyszczyków. „Jak można debatować o czymś takim, i to o wół do trzeciej nad ranem?” - pomyślał, patrząc na

godzinę wysłania maila. Przejrzał daty wysłania i otrzymania pozostałych maili. Bielecka zajmowała się swoją pocztą regularnie późnym wieczorem, na ogół między jedenastą a pierwszą w nocy. Nie codziennie, zapewne tylko w te dni, kiedy nie pracowała. Aspirant wrócił do wyciągów. Widział już nitkę prowadzącą do kłębka, ale jeszcze nie potrafił jej uchwycić. Skoncentrował się na tym, żeby jej nie zgubić. Płatności za kawalerkę wychodziły z konta między pierwszym a piątym każdego miesiąca i pokrywały się z datami wysyłania i ściągania maili.

Aspirant zadzwonił do banku, ale po raz kolejny przekonał się, że ponad stutrzydziestoletni wynalazek nie zadomowił się w Polsce na tyle, żeby można było za jego pomocą załatwić prostą sprawę. Musiałby pofatygować się osobiście i pokazać legitymację, chociaż wcześniej ten sam bank przekazał im wyciągi, a informacja, którą chciał uzyskać, nie stanowiła w tej sytuacji tajemnicy bankowej. Poprosił informatyka, żeby jeszcze raz zajął się komputerem Bieleckiej, zarekwirowanym podczas przeszukania jej mieszkania.

Otrzymawszy wydruk, przejrzał go i poszedł do inspektora. Zaaferowany odkryciem nie zapukał. Markowskiego nie było, ale aspirant wywnioskował, że niedługo wróci, skoro nie zamknął drzwi na klucz. Zbliżył się do biurka i coś go podkusiło, żeby usiąść na krześle inspektora. Wyobraził sobie, że on tu jest szefem i wydaje polecenia. Wziął leżącą na biurku fotografię i podał ją wymaginanemu podwładnemu.

- Gdybym sam się za to nie zabrał, posterunkowy Kowalski, to nigdy byście jej nie znaleźli. Macie tu zdjęcie podejrzaney, roześlijcie do wszystkich komi...

Drzwi się otworzyły, aspirant się poderwał, czerwieniejąc na twarzy.

- Co ty, kurwa...?

Markowski szybkim krokiem podszedł do biurka, wyjął aspirantowi zdjęcie z ręki i wrzucił je do szuflady. Miał taki wściekły wyraz twarzy, że Lepka nie na żarty przestraszył się, że go uderzy.

Ale nic takiego nie nastąpiło, nawet nie zaczął krzyczeć. Żeby jakoś rozładować napięcie, aspirant pokazał papiery, które ze sobą przyniósł, i powiedział niepewnym głosem:

- Bardzo przepraszam, panie inspektorze, ale chyba znalazłem coś interesującego. - i dlatego grzebiesz mi na biurku?! Mów!

- Mailem się z księdzem nie kontaktowała, ale z jej poczty elektronicznej wynika, że korzystała z komputera zazwyczaj tak koło północy w te dni, kiedy miała wolne. Sprawdziłem godziny realizowania przelewów, bo te płaciła przez swoje konto internetowe. Pokrywają się z mailami. Za kawalerkę płaciła w ostatni wolny dzień przed szóstym, tak żeby właściciel szóstego miał pieniądze na koncie. Wiemy, że 5 marca wyszła koło osiemnastej i już nie wróciła. Ale skoro nie zapłaciła jeszcze czynszu, oznacza to, że nie planowała całonocnej wyprawy, tylko miała zamiar wrócić gdzieś najpóźniej do północy i jeszcze przed snem usiąść do komputera.

Markowski przez dłuższą chwilę analizował słowa aspiranta, złość najwyraźniej już mu przeszła.

- Dobrze wykombinowane, synek, wiemy, że nie wyszła nagle, tylko była z kimś umówiona, co potwierdza twoje rozumowanie. Czyli czas zabójstwa możemy z dużym prawdopodobieństwem zawęzić od osiemnastej do północy, powiedzmy do pierwszej czy drugiej. Walnij się do proboszcza i ustal, czy klecha był wtedy rzeczywiście na plebanii, jak twierdzi.

Aspirant wyszedł na korytarz i dopiero teraz poczuł, jak pozorne było jego opanowanie, jak przeraził się tej zimnej wściekłości tak niepodobnej do Markowskiego. Oparł się o

ścianę, starając się opanować drżenie kolan.

Z sąsiedniego pokoju wyszedł Senik.

- Coś taki blady? - zapytał, zobaczywszy wystraszonego Lepkę.

- Podpadłem inspektorowi, ale nie krzyczał, tylko miał tak wściekłą minę, jakby chciał mnie uderzyć. I to było gorsze niż krzyk.

- Musiałeś nieźle nabroić. Zwykle wpada w taki zimny szal, jak ktoś porusza temat jego byłej żony albo śmierci ojca. Jego ojciec zginął tragicznie, był zmuszony z tego powodu przerwać studia, socjologię. .. - Senik umilkł, uświadomiwszy sobie, że niepotrzebnie wtajemnicza aspiranta w życiorys przełożonego. Zapukał do drzwi i nie czekając na „proszę”, wszedł do pokoju inspektora.

31 marca, wtorek

Markowski czekał na przyprowadzenie księdza z policyjnego aresztu i jeszcze raz analizował odkrycie Gryszki. W trumnie zostały ukryte ubranie i pistolet. Czerwona bluzka, czarny sweter i czarna spódniczka. Na swetrze były ślady krwi Bieleckiej, co jednoznacznie ustaliło laboratorium. Ponadto Sandra potwierdziła, że te właśnie rzeczy Iza miała na sobie, kiedy wyszła z domu 5 marca.

Należały do jej ulubionych. Co więcej, na swetrze i spódniczce znaleziono włókna pasujące do sutanny Bendyka. Pistolet okazał się nie jakąś tam tetetką ale najprawdziwszym izraelskim uzi. Wersją mini, produkowaną, jak wyjaśnił mu Senik, na bazie podstawowego modelu od osiemdziesiątego drugiego roku. Analiza balistyczna wykazała, że pocisk, od którego zginęła Bielecka, pochodził z tego pistoletu. Nic nie wskazywało, żeby broń ukryli sataniści, gdyż ktoś starannie zaszył obicie, a wątpliwe, by zdołał zrobić to w nocy tylko przy świetle świec, na dodatek w

stanie głębokiego upojenia alkoholowego. Właściciela broni trzeba było szukać między zakładem pogrzebowym a cmentarną kaplicą. Zakład sprawdzili, okazała się nim niewielka rodzinna firma, która nie miała żadnych powiązań ze światem przestępczym. Ba, przedsiębiorca był do tego stopnia uczciwy, że jako jeden z nielicznych nie dawał pracownikom pogotowia ła-pówek za informację o zgonach pacjentów i po wykryciu afery łowców skór mógł spać spokojnie.

Pozostała więc kaplica cmentarna i ceremonia pogrzebowa. Gryzsko od razu skojarzył, że proboszcz wspomniał, iż pogrzeb odprawiał wikary Bendyk. Okazji do ukrycia broni miał dosyć, a kryjówka była idealna. Kobieta zmarła na raka trzustki, a nie w wyniku przestępstwa, nie istniały zatem żadne powody do ekshumacji. Jej krewni dbali o groby bliskich, tak że ksiądz miał prawo zakładać, że za dwadzieścia lat wniosą stosowną opłatę, skoro, co można było sprawdzić w księgach kościelnych, dotychczas to robili, i grób nie będzie przenoszony. A po trzydziestu latach morderstwo się przedawniało.

Gdyby nie sataniści, którzy do czarnej mszy potrzebowali martwego świadka - innego powodu rozkopania grobu technicy nie ustalili — uzi na zawsze zniknąłby pod ziemią i niczego by księdzu nie udowodnili. W samochodzie nic nie znaleźli. Klecha był nie w ciemną bity. Albo wcześniej starannie się pilnował, nie przecho-wując kompromitujących materiałów w miejscach, które w razie podejrzeń zostałyby przeszukane przez policję, albo, co bardziej prawdopodobne, usunął je po zabójstwie Bieleckiej. Pewnie włożył do innej trumny. Markowski wyobraził sobie stateczną bogobojną parafiankę zaopatrzoną na tamten świat w dziecięcą pornografię.

Za kilka tysięcy lat archeologowie będą mieli niezłą zagwozdkę, jaki to zwyczaj czy religia powodowały tym prymitywnym

ludem, że zmarłym wkładano do trumien obrazki z nagimi i gwałconymi dziećmi. Inspektor rozważał przez chwilę ewentualność ekshumacji wszystkich pochowanych na parafialnym cmentarzu w ostatnim miesiącu, nie mogło przecież być ich tak dużo, ale doszedł do wniosku, że spodziewany rezultat nijak miałby się do zakrojonej na tak szeroką skalę akcji. Materiały byłyby dowodem tylko na pedofilię i to pod warunkiem, że udałoby się powiązać je z wikarym. Nie wnosiły wiele do sprawy o morderstwo, a skoro za morderstwo siedziało się dłużej, mogli ograniczyć się do tego oskarżenia. Zwłaszcza że i bez pedofilskich kaset i zdjęć potrafili wskazać motyw: szantaż, że nagranie z prostytutką trafi do władz kościelnych. Ludzie zabijali z dużo błahszych powodów. A znaleziony pistolet i włókna z sutanny na ubraniu Bieleckiej całkowicie klechę pograżały.

Drzwi się otworzyły i wszedł Lepka.

- Pan inspektor mnie wzywał?

- Tak, synek, masz mi asystować przy przesłuchaniu, ale mor-da w kubel. Ja przesłuchuję, a ty się uczysz.

Wprowadzono księdza. Twarz miał bladą ale spokojną. Zobaczywszy Markowskiego w towarzystwie jakiegoś młodzika, rozejrzał się za komisarzem, ale wyglądało na to, że dziś był wydany na pastwę tego tramwajowego antyklerykała.

Markowski zapalił papierosa, pozwolił wikaremu usiąść na krzesło i odczekał, aż ten zacznie zdradzać objawy zniecierpliwienia. Wtedy rzucił na stół pistolet w foliowej torebce.

- Poznajesz? Wikary wzdrygnął się na dźwięk stali uderzającej o laminowany blat.

- Nie, skąd?

Markowski podniósł się i przechylił przez stół.

- Posłuchaj! Dość, kurwa, tej szopki. Wczoraj nie mieliśmy przeciwko tobie nic. Wydawało ci się, że nigdy nie

znajdziemy pistoletu. Sprytnie go schowałeś, bardzo sprytnie, ale mamy swoje sposoby. Teraz nie pozostaje ci nic innego, jak się przyznać. Jest narzędzie zabójstwa i motyw, nawet nie musimy szukać, gdzie tę dziwkę walnąłeś. Dożywocie masz jak w banku.

Książd popatrzył na Markowskiego i powiedział dobitnie:

- Nie zabiłem tej dziewczyny i nigdy nie miałem w rękach tego pistoletu. Nigdzie też go nie chowałem.

- Myślisz, że sąd uwierzy w twoją bajeczkę, że zerznąłeś tą panienkę, poświęcając się, żeby wykryć pedofilów?

- To policja ma udowodnić mi winę, a nie ja mam udowadniać swoją niewinność.

-Nie dociera, kurwa, do ciebie, że właśnie ci udowodniliśmy? Motyw: szantaż. Niech ci nawet będzie, że dokonałeś prowokacji.

Sąd może musiałby przyjąć takie wyjaśnienie, ale twój biskup na pewno nie. Została zastrzelona z tego pistoletu, który schowałeś w grobie. Ile osób miało motyw, żeby zabić Bielecką, i możliwość schowania broni w trumnie babki, której ty odprawiałeś pogrzeb?

-Co?! W trumnie?!

- Dobra, dobra, nie zgrywaj się. Wiem, że masz zdolności aktorskie. Widać to na filmie, gdzie wspaniale udajesz napalonego faceta - zadrwił Markowski.

- Pierwszy raz widzę ten pistolet, na pewno nie ma na nim moich odcisków palców.

Inspektor odchylił się zadowolony na krześle, zaciągnął się papierosem. Było dobrze: przesłuchiwany przestał wyłącznie zaprzeczać, próbował przedstawiać argumenty, że jest niewinny.

-Ani żadnych innych. Zabójca starannie wytarł pistolet.

-A skąd niby miałem go wziąć? Policji się wydaje, że księża handlują bronią?

- Zdziwiłbyś się, czym to księża nie handlują. I doskonale

wiesz, że kupienie czegoś nielegalnego to betka. Broń, narkotyki, filmy z małymi dziewczynkami - znowu zadrwił Markowski.

-Albo po prostu dokonałeś wymiany z jakimś rabinem.

- Z rabinem? - zdziwił się ksiądz. - Dlaczego z rabinem?

- Bo to izraelski uzi - odparł machinalnie Markowski. Błąd. Zdumienie klechy było prawdziwe? Grał? Nie wiedział, jaki pistolet kupił? Nie musiał znać się na broni, handlarz mógł mu wmówić, że wielu przestępców posługuje się tym pistoletem. To by wyjaśniało, dlaczego użył tak nietypowego. Albo był całkowicie pewien kryjówki. Ale skoro był pewien kryjówki, po co wycierał odciski palców? Pewnie zabezpieczał sobie tyły, podwójny kamuflaż jest lepszy od pojedynczego. Zresztą od zabójstwa do pogrzebu minęło kilkanaście dni. Przez ten czas musiał się liczyć z ryzykiem wpadki.

- Dobra, to jeszcze raz od początku. Gdzie zabiłeś dziewczynę?

- Niech mi pan wierzy, nie zabiłem jej - głos mu drżał, najwyraźniej dopiero teraz uświadomił sobie, że to nie przelewki, że faktycznie grozi mu oskarżenie o morderstwo.

- Jeśli nie ty, to kto? Kto schował broń w trumnie? Sprawdziliśmy zakład pogrzebowy, żałobników, pracowników cmentarza.

Nikt nie miał styczności z Bielecką jej współlokatorka też nikogo nie rozpoznała. A ciebie Bielecka mogła szantażować. Ksiądz skulił się.

- Ktoś mógł się włamać do zakładu albo do kaplicy.

- Ale się nie włamał. Też to sprawdziliśmy.

Ksiądz milczał. Markowski wyłożył drugi atut.

- A jak wyjaśnisz, że na swetrze i spódnicy Bieleckiej były włókna z twojej sutanny?

Wikary przez chwilę się zastanawiał.

- Objęliśmy się na powitanie. Podczas tego... spotkania,

które zostało nagrane.

- Kiedy się spotkaliście?

- Dokładnej daty nie pamiętam, ale gdzieś na początku marca.

- Zawsze się tak czule witasz z dziwkami?

Retoryczne pytanie pozostało bez odpowiedzi.

- Z przyznaniem czy bez, mamy cię, więc lepiej, żebyś się przyznał.

- Nie mam do czego się przyznawać.

Markowski zirytowany podniósł się, zgasił papierosa w popielniczce, wyszedł na zewnątrz i opierając się o ścianę, zapalił następnego.

- Twarda sztuka, kurwa, nie pęka - powiedział do Lepki, który wyszedł za nim.

- Może rzeczywiście jest niewinny.

Inspektor spojrział na niego z politowaniem.

- Synek, od takich niewinnych roją się więzienia. Facet nie ma alibi i na dodatek łął. Sam rozmawiałeś z proboszczem.

W czwartki grywa w brydża, więc klecha doskonale wiedział, że w tym dniu nikt nie wykryje jego nieobecności na plebanii. Motyw, broń, włókna. Ludzi wsadza się przy dużo słabszych dowodach i wierz mi, że naprawdę nie są niewinni. Jemu nawet nie trzeba przypierdolić. Jak dalej nie będzie chciał się przyznać, wystarczy to, co jest. Nie przyznał się, ale tym razem nie dał rady sklecić trzymającej się kupy bajeczki.

- Może ktoś go wrabia? -i w tym celu tak zakopał broń, że gdyby nie cholerne szczęście, to znaleźliby ją dopiero archeolodzy? Myśl, synek!

Wrócili do wikarego. Dalsze przesłuchanie przebiegało jednak podobnie. Ksiądz obstawał, że jest niewinny, mimo że nie potrafił wyjaśnić, dlaczego wszystkie poszlaki wskazują na niego, ani obalić twierdzenia, że był szantażowany. W końcu inspektor zrezygnował z prób nakłonienia księdza do

przyznania się. Kazał odprowadzić go do celi, a Lepce przygotować dokumenty dla prokuratury, żeby można było wystąpić do sądu o tymczasowe aresztowanie.

Przed wypełnieniem dokumentów aspirant miał odnieść pistolet do depozytu. Wziąwszy foliową torebkę, nie potrafił się jednak oprzeć i wyciągnął z niej uzi. Ostatecznie broń przeszła już badania balistyczne i daktyloskopijne, nie mógł niczego zepsuć.

Z ciekawością obejrzał pistolet, który znał tylko ze zdjęć. Kiedy dowiedział się, że Bielecka została zastrzelona z uzi, przeczytał o nim w Internecie wszystko, co zdołał znaleźć. Zważył go w ręce i złożył się do strzału. Wtedy odezwał się w nim mały chłopiec: zaczął biegać po pokoju

przesłuchań, strzelając do wymyślonych wrogów, przestawiał przełącznik to na ogień ciągły, to na pojedynczy. Nagle się zatrzymał - litery oznaczające położenie przełącznika nasunęły mu skojarzenie: skąd kupujący Talmud wiedział, jak zapisać hebrajski tytuł? Znał hebrajski? To by znacznie zawężyło krąg podejrzanych, bo ile jest takich osób w Polsce? Musiałby zapytać profesora. A jeśli nie znał, zapewne kogoś poprosił albo zlecił tłumaczenie.

Lepka udał się do swojego pokoju, który dzielił z dwoma innymi aspirantami. Do dyspozycji mieli tylko jeden telefon, ale akurat nikt z niego nie korzystał. Tłumacząc się przed sobą że musi załatwić sprawę, póki telefon jest wolny, z ulgą odłożył na później pracę nad dokumentami dla prokuratury. Obowiązki policjanta przewidywały znacznie więcej papierkowej roboty, niż się spodziewał. Cały wczorajszy dzień, wyłączwszy rozmowę z proboszczem, spędził za biurkiem nad stosem akt z kilkunastu dochodzeń. To też było dla niego pewne zaskoczenie, że nie pracuje się nad jedną sprawą tylko równoległe nad wieloma.

Wziął protokół z oficjalnego przesłuchania bukinisty, spisany, gdy ten zjawił się w komisariacie, żeby pomóc przy

sporządzaniu portretu pamięciowego. Klient złożył zamówienie na Talmud przed dwoma miesiącami, tytuł zawierał błąd. Aspirant sięgnął po książkę telefoniczną i otworzył na dziale „Tłumacze”. Żadne biuro tłumaczeń nie wymieniało w ofercie hebrajskiego, indywidualny tłumacz był tylko jeden. Przysięgły. Lepka zawahał się - tłumacz przysięgły raczej nie popełniłby błędu - ale nie miał innego punktu zaczepienia. Zadzwoił. Mimo godziny jedenastej w słuchawce odezwał się wyraźnie zaszpany głos. Okazało się, że jego właściciel nie wykonywał tego tłumaczenia, ale podał aspirantowi kilka biur, które czasami zlecały mu przekłady. Lepka obdzwoił je, ale również bez efektu, co w sumie było logiczne: gdyby klient przyszedł do nich, tłumaczenie trafiłoby do przysięgłego, z którym współpracowali.

Nieco zrezygnowany oparł się na łokciu i z niechęcią spojrzął na formularze czekające na wypełnienie. W zasadzie powinien się cieszyć: to znaczyło, że kupujący Talmud znał hebrajski, pewnie słabo, skoro zrobił błąd, ale znał. Czy jednak nie? Komu jeszcze można zlecić przekład na hebrajski? Wzrok Lepki zatrzymał się na dużej reklamie biura o nazwie Pisanek - WSZYSTKIE JĘZYKI.

Wybrał numer.

- Hebrajskiego nie prowadzimy - poinformował pracownik, kiedy dowiedział się, o co chodzi.

- Reklamują się państwo, że tłumaczą wszystkie języki.

- Wszystkie normalne. Oczekuje pan, że jak będzie pan chciał porozmawiać z Siuksem w jego narzeczu, to załatwimy tłumacza?

Niech pan zadzwoni do Hieronima, oni obsługują różne dziwne języki.

Niezbyt przejemna rada okazała się strzałem w dziesiątkę.

Właściciel Hieronima skojarzył zlecenie, ale poprosił Lepkę o telefon trochę później, gdyż był akurat bardzo zajęty i nie miał czasu na rozmowę. Aspirant, który jeszcze nie nauczył

się, że jako policjant może żądać, by rozmówca wszystko rzucił i odpowiadał na jego pytania, zaproponował, że podjedzie osobiście, jak załatwi swoje formularze. Po półtorej godziny, z czego część spędził, obserwując muchę wędrującą po szybie, był gotów i pojechał do Hieronima. Biuro mieściło się przy dworcu kolejowym.

Już na schodach usłyszał odgłosy awantury. Kiedy otworzył drzwi opatrzone tabliczką z nazwą Hieronim, zobaczył dwóch kłócących się mężczyzn. Gruby był czerwony ze złości, chudy tak blady, jakby brakło mu powietrza. Ich fizyczne przeciwieństwo przywiodło Lepce na myśl Flipa i Flapa. Adwersarze byli tak zaciętrzewieni, że bynajmniej nie zamierzali kończyć kłótni z powodu wejścia aspiranta.

- Albo mi pan płacisz całą kwotę, albo jutro wysyłam pozew do sądu - groził chudy.

- Wysyłaj pan sobie. Nie zapłacę, bo tłumaczenie było pełne błędów, klient się skarżył! - odparował gruby.

- Bo pan żadnej korekty nie przeprowadzasz, za co pan bierzesz pieniądze? Za wykonywanie telefonów? Klient ma przynieść papiery do tłumaczenia i odebrać, ja mam przyjść po papiery i odnieść, a pan za jeden telefon bierzesz dwa razy tyle prowizji, co ja za tłumaczenie!

- Nie podoba się, nie musisz pan dla mnie pracować, ale nie będziesz pan miał klientów! Klienci przychodzą do mnie!

- Bo nabierają się na pańską reklamę: sprawdzeni tłumacze, fachowa korekta! Koń by się uśmieł! Jakby wiedzieli, że ci sprawdzeni tłumacze to banda fuszerów dobieranych na zasadzie który tańszy, to byś pan splajtował.

- Sam pan do tej bandy należysz, więc o co chodzi? Byłbyś pan dobry, nie potrzebowałbyś biura.

Wyglądało na to, że właściciel wygrał dyskusję, bo ostatnie stwierdzenie zbiło tłumacza z pantałyku i nie znalazł na nie odpowiedzi. Mruknął tylko, że na tym nie koniec, odwrócił

się na pięcie i wyszedł szybkim krokiem, potrącając czekającego Lepkę.

Aspirant przedstawił się. Grubas wskazał mu krzesło i otarł czoło rękawem.

- Widzi pan, z kim muszę się użerać? Nie umie dobrze zrobić tłumaczenia, ale pieniądze brać potrafi!

Aspirant wyartykułował nieokreślony dźwięk, co miało dać do zrozumienia, że nie chce mieszać się do sporu.

- O co pan pytał? Aha, o ten hebraj...

W tym momencie gwałtownie otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich głowa tłumacza.

- Dobrzy też potrzebują biur, bo kradniecie im zlecenia! - wygłosiwszy ten klasyczny esprit d'escalier, trzasnął drzwiami tak mocno, że omal nie wyleciały z framugi.

Właściciel nie przejął się tym wystąpieniem, mruknął tylko pod nosem „spieprzaj, dziadu”.

- Tak, hebrajskie zlecałem profesorowi Wiklińskiemu...

- Wiklińskiemu?! - Lepka nie potrafił powstrzymać zdumienia. Dlaczego profesor przemilczał, że proszono go o tłumaczenie tytułu książki, którą potem zakrwawioną trzymał w ręce? Odpowiedź okazała się nader prosta.

- Tak, ale był za drogi, nie opłacało mi się. Teraz zlecam jego studentom. To mój patent na te rzadkie języki, studenci egzotycznych filologii.

To wyjaśniało również sprawę błędu. Aspirant nie pytał już, czy dzięki tej oszczędności klienci mieli tańsze tłumaczenia, czy właściciel biura większy zysk. Poprosił o opisanie transakcji.

Przebiegła standardowo: klient przyszedł, uiścił zapłatę z góry („drobne tłumaczenie, nowy klient, gdzie ja go potem będę ścigał?"), po kilku dniach odebrał. Rysopis? Właściciel Hieronima był znacznie mniej spostrzegawczy niż bukinista i podał daleko mniej szczegółów, ale aspirant nie miał wątpliwości: tłumaczenie zlecił ten sam człowiek, który kupił

Talmud.

Markowski wracał po pracy zadowolony. Do tego stopnia, że kierowcę malucha, który zajechał mu drogę, zamiast zwykłą wiązańką skwitował jedynie stwierdzeniem „patrz, jak jedziesz, baranie” i nawet nie zatrąbił. Ujęcie przestępcy zawsze wprawiało go w dobry nastrój, a teraz w wyśmienity, zważywszy na fakt, że ksiądz bliski był wyśliznięcia się im z rąk. Wymuszenie przyznania się biciem w tym przypadku nie wchodziło w grę. Ksiądz należał do grupy podejrzanych znających swoje prawa i zrobiłby aferę. Bić można było tych, którzy ten argument traktowali jako naturalny i uznawali, że silniejszy ma prawo posłużyć się pięścią bez względu na to, co jająłowi zapisali w kodeksach.

Zatrzymał się przed monopolowym i kupił butelkę Finlandii. Zamknięcie sprawy na ogół świętował lepszą wódką. Potem podjechał do pizzerii, która jako jedyna oferowała pizzę z samym mięsem, i zamówił na wynos.

- Grube ciasto i podwójny ser.

Wrócił do samochodu i wystawił na dach koguta. Ani myślał wlec się w rzędu pojazdów, by jeść potem odgrzewaną pizzę. Zresztą nie bardzo miał w czym odgrzać: piekarnik mu się zepsuł, a mikrofalówki nie posiadał.

W domu rozsiadł się wygodnie na kanapie, nalał sobie wódki i otworzył karton z pizzą. Jadł palcami prosto z kartonu. Włączył telewizor i zaczął przerzucać dziesiątki kanałów kabłówki.

W końcu natrafił na kanał sportowy i odłożył pilota. Oglądał mecz futbolu amerykańskiego, starając się odgadnąć zasady. Podobało mu się, że zawodnicy atakują się nawzajem, a nie, jak w rugby, tylko tego z piłką. Każcie przyłożenie fetował kieliszkiem wódki, tak że z końcowym gwizdkiem był mocno wstawiony. Przełączył na kanał pornograficzny, który miał dzięki zarekwizowanym pirackim kartom. Podkładało się w depozycie stare karty, stan się zgadzał, a nikt przecież nie

sprawdzał, czy są jeszcze ważne.

Wypił kolejny kieliszek wódki, zrzucił pusty karton na podłogę i wyciągnął się na kanapie, sięgając ręką do rozporoka.

Fajerwerki rozświetliły niebo, huknęły korki szampanów. Ludzie stojący na zaśnieżonym placu padali sobie w ramiona i składali życzenia. Od grupy odłączył się całkowicie pijany mężczyzna z butelką szampana w ręku, z której mimo swego stanu nadal popijał.

Był w samym swetrze, bo wyszedł z imprezy na dwór jedynie na przywitanie Nowego Roku, ale nie czuł mrozu. Lekko się zatacza-jąc, minął oświetlone wille, z których znowu zaczynała dochodzić głośna muzyka. Bawiący się powoli wracali do tańców. Dotarł do nadrzecznego parku. Refleksy sztucznych ogni na śniegu sprawiały, że między drzewami było widno. Mężczyzna wdrapał się na wał i stanął pod rozłożystym dębem. Ze złością wzniosł butelkę i z całą siłą uderzył nią w pień, jakby chciał drzewo za coś ukarać.

Butelka rozprysła się, obryzgując go szampanem i kalecząc twarz odłamkami szkła. Nie poczuł bólu. Odwrócił się i ściągnął spodnie.

Przykucnął i załatwił potrzebę, potem wziął gołą ręką stolec i wtarł go w korę. „Tyle jesteś warta, kurwo” - wymamrotał. Przerwał, bo usłyszał znajome głosy.

- Gdzie on poszedł?

- To nie on? Tam, pod drzewem.

Szukali go. Chciał się schować, ale zaplątał się w opuszczonych spodniach i upadł. Poczł mdłości, zwymiotował. Ktoś się nad nim pochylił.

- O kurwa, ale się schlał. Uuuch - komentujący poczuł odór rzygowin i odchodów.

- Weź, przytrzymaj dziewczyny, żeby tu nie podchodziły - zwrócił się do kolegi - nie ma powodu, żeby oglądały go w takim stanie. Każdemu może się zdarzyć.

Jeden z trójki, która pierwsza dotarła pod drzewo, cofnął się i zawrócił nadchodzącą grupę. Dwaj pozostali wzięli leżącego pod pachy i zaczęli wlec po śniegu.

- Tylko ostrożnie, głównem się upaprał.

- Będziemy musieli wrzucić go do wanny.

Pijany mężczyzna bełkotał coś na wpół zrozumiale: „To... kurwa... a ja... miłość... tutaj... zamiast... portfel... kurwa... miłość...”.

- Co on mówi?

- Że ma ochotę na miłość, mamy mu kurwę sprowadzić, a pieniądze wziąć z portfela.

Obaj wybuchnęli śmiechem.

2 kwietnia, czwartek

Samolot kołował na niewielkim lotnisku. Markowski z zaciekawieniem wyglądał przez owalne okienko. Leciał pierwszy raz w życiu i zażyczył sobie miejsca przy oknie. Senik, który latanie odkrył wcześniej, tylko się uśmiechnął. To właśnie dzięki niemu wybrali samolot. Markowski, kiedy usłyszał tę propozycję, był sceptyczny.

- A kto ci podpisze na to delegację?

- Podpisze, podpisze, bo jest taniej niż samochodem czy pociągiem, od kiedy latają tanie linie. Co prawda w ostatniej chwili bilety są drogie, ale część ludzi, którzy kupili dużo wcześniej, nie może lecieć i odsprzedaje bilety. W Internecie jest normalna giełda. Bilet trzeba przepisać na nowe nazwisko, więc jest podkładka do zwrotu pieniędzy.

Konieczność wyjazdu pojawiła się, kiedy również z firmy Konstruktor Senik wrócił z pustymi rękami, a sprawdzenie alibi prezesa Nowaka i innych adoratorów Paczkowskiej wykluczyło ich jako sprawców. Jak wynikało z CV, wcześniejsze lata Paczkowska spędziła w Berlinie.

Ponieważ ślad w Polsce się urwał, uznali, że muszą rozejrzeć się w Niemczech. Aspirantowi nie udało się odnaleźć byłego męża Paczkowskiej, choć teraz już, za podpowiedzią Senika, nie szukał w książce telefonicznej, tylko w biurach meldunkowych. To nasuwało podejrzenie, że mąż, który mógł być owym tajemniczym osobnikiem kupującym Talmud, należał do jej niemieckiej przeszłości. Wzięcie ślubu w Polsce niczego nie przesądzało. Wiele par mieszanych czy mieszkających za granicą z różnych względów pobierało się w Polsce. Łatwiej na przykład było przyjechać dwóm osobom, niż całą rodzinę narażać na koszty zagranicznego wyjazdu. Wcześniej ze względów poli-tycznych mogło to stanowić problem - wielu emigrantów dostało paszporty tylko w jedną stronę - w latach dziewięćdziesiątych już nie. Gdyby hipoteza o mężu w Niemczech się potwierdziła, powrót z emigracji byłby wyraźną cezurą w życiu Paczkowskiej: wcześniej zameżna, teraz preferowała kontakty typu one night stands.

A ten trop też nic nie dał. Lepka znalazł wprawdzie jej ulubiony lokal, Deltę, ale obsługa była całkowicie pewna, że w dniach poprzedzających morderstwo go nie odwiedziła, gdyż przychodziła wyłącznie w weekendy, w piątki lub w soboty.

Kontakt z berlińską policją potwierdził ich przypuszczenia: ponieważ nazwisko Kalinowski występowało w stolicy Niemiec dużo rzadziej, tamtejsi policjanci szybko odnaleźli Rafała Kalinowskiego, który przyznał, że jest tym właściwym, był żonaty z Beatą Paczkowską a żona po rozwodzie wróciła do kraju. Przefaksowane przez Niemców zdjęcie Kalinowskiego wykluczyło go wprawdzie jako kupca Talmudu, nie pasował do rysopisu, ale inspektor uznał, że przy całkowitym braku punktów zaczepienia w Polsce uzasadniony będzie wyjazd w celu przesłuchania eksmęża ofiary. Uzasadnienie potrzebne było dla komendanta Sto-

larczuka, żeby zechciał wyłożyć pieniądze podatników.

Samolot jechał powoli po pasie startowym, ale nagle nabrał takiej prędkości, że Markowskiego wcisnęło w fotel, i oderwał się od ziemi. Markowski poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

Ogarnęła go fala paniki. Mimowolnie zamknął oczy. Kiedy maszyna znalazła się na docelowej wysokości, odwrócił głowę w stronę Senika.

- Musimy zamienić się miejscami - wydukał.

- Nie wiedziałeś, że boisz się latać - Senik przechylił się i zasłonił okno.

- Dobra, ale za moment, jak pozwolą rozpiąć pasy.

Rzeczywiście po chwili zgasyły lampki sygnalizujące konieczność zapięcia pasów i policjanci się przesiedli. Markowski zauważył, że ręce ma spocone, jakby dopiero co wyjął je z wody.

- Muszę zajarać.

- Nic z tego, zakaz jest.

- Mam w dupie zakaz, kibla tu nie mają? Zajaram sobie w kiblu.

- Kibel jest, z czujnikiem dymu. Możesz napić się wódki, ale w tanich liniach nie dają za darmo, kosztuje pewnie majątek.

- Pierdołę takie podróżowanie, więcej do tego nie wsiądę! Czemu mi nie powiedziałaś, żebym wziął ze sobą piersiówkę?

- Nie jestem jasnowidzem. Mówiłeś, że nie boisz się latać.

- Nigdy nie latałem, to skąd, kurwa, miałem wiedzieć?!

- Dobra, uspokój się, to naprawdę najbezpieczniejszy środek komunikacji.

- Najbezpieczniejszy dopóki nie pierdolnie o ziemię!

Nagle samolotem zatrzęsło.

Markowski pobladł i złapał za oparcie fotela.

- Co to, kurwa, było?!

- Tylko turbulencje, nic groźnego.

- Turbukurwa co?! Ja wysiadam!

Senik uśmiechnął się, widząc przerażenie kolegi.

- Na zewnątrz jest minus pięćdziesiąt stopni. Obawiam się, że daleko nie zajdziesz. Poczekaj, poproszę stewardesę, żeby dała ci coś na uspokojenie, bo ty chyba rzeczywiście tego nie przetrzymasz.

Wcisnął przycisk wzywający personel pokładowy. Markowski chciał zaprotestować, ale kolejna fala turbulencji sprawiła, że tylko burknął pod nosem o pierdolonych puszkach z metalu, które nie powinny fruwać, bo to sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem.

Bez sprzeciwu przyjął podaną przez stewardesę pastylkę i popił szklanką wody.

Samolot podszedł do lądowania na Tegel. Markowski bał się, że znieśie je równie źle jak start, bo przypomniał sobie, że najczęściej katastrof zdarza się przy starcie i lądowaniu, ale obydło się bez większych emocji. Może zadziałało lekarstwo albo uspokajała go świadomość, że lada moment znajdzie się na upragnionym stałym gruncie, a nie zawieszony gdzieś między chmurami bez możliwości podjęcia jakichkolwiek działań.

Odebrali bagaż i skierowali się do przejścia dla obywateli Unii Europejskiej. Podali paszporty. Znudzony urzędnik ledwie musnął je wzrokiem.

- Kulturka - zauważył Senik. - Jak byłem tu poprzednio, to jakiś czarnuch, taki Niemiec, jak ja Chińczyk, wypytywał mnie, dokąd, na ile, gdzie będę nocował i czy mam pieniądze. Łacnę mi robił, że mnie wpuszcza.

Wsiedli do autobusu i pojechali najpierw do Gasthausu, w którym mieli nocować, a potem do 42. Komisariatu Policji. Podlegała mu południowa część dzielnicy Schöneberg, gdzie mieszkał Kalinowski. Mąż ofiary już na nich czekał, ale naczelnik komisariatu najwyraźniej czuł się zaszczycony gośćmi z Polski i uparł się, żeby pokazać im swoją placówkę.

Oprowadzał ich, z dumą coś szwargocąc. Senik rozumiał go piąte przez dziesiąte, Markowski wcale. Mieli już dosyć, kiedy z opresji wybawił ich oficer dyżurny. Zaczął coś wołać i na posterunku zapanowało poruszenie.

Policjanci chwyтали swoje zielone czapki i wybiegali w pośpiechu.

Naczelnik szybko wskazał im pokój, w którym oczekiwał Kalinowski, i zostawił ich samych.

- Dzień dobry - siadając, przywitali się z pięćdziesięcioparoletnim szpakowatym mężczyzną, słusznej postury, ale nie grubym, w garniturze od Armaniego.

- Dzień dobry.

- Inspektor Markowski, komisarz Senik - przedstawił Senik siebie i kolegę. - Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa pana byłej żony, Beaty Paczkowskiej.

Kalinowski lekko się skrzywił, kiedy usłyszał nazwisko Paczkowska. Nie uszło to uwagi Senika.

- Dlaczego pana żona wróciła do panińskiego nazwiska? - zapytał.

- Bo była na mnie wściekła, normalne przy rozwodzie.

- Mimo to kobiety nieczęsto wracają do panińskiego nazwiska.

- Pewnie ze względu na dzieci albo nie chce im się załatwiać tych wszystkich papierków.

- Ale pańskiej żonie się chciało, dlaczego?

Kalinowski podniósł wzrok na komisarza i wzruszył ramionami.

- Nie wiem, miała taki zwyczaj. Nazwiska poprzedniego męża też sobie nie zostawiła.

Senik z Markowskim spojrzeli na siebie. To coś nowego, ofiara już wcześniej była zamężna. Nic dziwnego, że ten fakt nie wynikał z dokumentów, skoro drugi ślub brała pod panińskim na-zwiskiem. Najwyraźniej zataiła w polskim

USC, że jest rozwódką, a nie panną.

- Dlaczego nie zostawiła sobie nazwiska poprzedniego męża?

Kalinowski zaczął się wiercić. Nie ulegało wątpliwości, że kłopotczy go drażnienie tej kwestii.

- To jej prywatna sprawa. Nie rozumiem, jak miałyby to pomóc w złapaniu zabójcy.

Markowski podniósł się, walnął pięścią w stół.

- Słuchaj pan, wszystko może być ważne, nawet to, kiedy ostatni raz pierdnęła, a co dopiero dlaczego nie zostawiła nazwiska męża.

Kalinowski skulił się, przestraszony napastliwością policjanta.

- Zabrał jej dzieci, nienawidziła go.

- Jak to zabrał?

- Mieli dwójkę dzieci, syna i córkę. Po rozwodzie nie tylko dostał opiekę, ale odebrał jej prawa rodzicielskie. Miał cwanego adwokata, no i wiadomo, po czyjej stronie w konflikcie Polka-

- Niemiec stają niemieckie sądy i urzędy.

- Czyli był Niemcem?

- Tak wnioskuję z tej sytuacji, ona niechętnie o tym mówiła.

Chciałem jej pomóc, ale powiedziała, że sprawy zaszły za daleko i za dużo czasu minęło. Z początku walczyła, szczególnie zależało jej na odzyskaniu choćby córki, ale nic nie wskórała.

- Jak się nazywał jej poprzedni mąż?

- Nie wiem.

Markowski zrobił taki ruch, jakby chciał wstać.

- Naprawdę nie wiem - prawie krzyknął Kalinowski. - Kiedy się poznaliśmy, była to już historia sprzed ładnych paru lat.

Cierpiała z tego powodu, ale już nie walczyła, zrezygnowała,

nie chciała do tego wracać ani o tym mówić. Wszystko, co wiem, wiem z półsłówki, czasami coś jej się wymknęło i tak poukładałem tę historię, ale żadnych szczegółów nie znam.

- Dlaczego po rozwodzie z panem wróciła do Polski? - przesłuchanie znowu przejął Senik.

- Nie wiem, naprawdę.

- Pracowała tu w Niemczech?

- Tak, w firmie architektonicznej Gunter Bau. Poznaliśmy się właśnie przez pracę, ja jestem bankowcem i mój bank jest ich kredytodawcą. Od razu zwróciłem na nią uwagę, kiedy tam się pojawiła.

- A gdzie pracowała wcześniej?

- Z tego co wiem, cały czas w zawodzie, ale jakie to konkretnie były firmy, nie pamiętam. Oczywiście mówiła mi, ale teraz już wyleciało mi to z głowy.

Komisarz miał wprawdzie karierę zawodową Paczkowskiej wypunktowaną w jej CV, ale pytania, na które znało się odpowiedź, idealnie nadawały się do testowania prawdomówności przesłuchiwanego.

- Czy z okresu waszego małżeństwa jest pan w stanie wskazać kogoś, kto życzyłby jej śmierci?

- Nie, absolutnie nie. Nie należała do ludzi, którzy przysparzają sobie wrogów - Kalinowski pokręcił zdecydowanie głową.

- Nikt mi nie przychodzi na myśl, chyba że... - zawahał się.

- Chyba że kto?

- Nie, to bez znaczenia.

- Panie Kalinowski!

- Żona dostawała listy, raz w roku, w czerwcu, przychodził list bez nazwiska nadawcy. Ale ona doskonale wiedziała, kto nim był, bo pisała na kopercie adres zwrotny i odsyłała bez czytania.

Ale te listy w żaden sposób jej nie niepokoiły, nie była wytrącona z równowagi ani nic w tym rodzaju.

- No a kto je przysyłał?

- Nie powiedziała mi, a ja nie pytałem. Nasze małżeństwo opierało się na wzajemnym zaufaniu i na nieingerowaniu w sferę prywatności drugiej osoby. Panowie są żonaci? Małżeństwo, w którym mąż i żona nie mają prawa do własnych tajemnic, rozleci się wcześniej czy później. I tak rozleciało się nasze, przez to, że Beata naruszyła moją sferę prywatności.

- Czy pana zdradzała?

- Nie, to nie o to chodzi.

- Jest pan pewien, że nie miała kochanka?

- Czemu to takie ważne? Oczywiście tylko głupiec twierdzi, że ma stuprocentową pewność, że jego partner jest mu wierny, ale ja akurat jestem takim głupcem.

- Przepraszam, ale musimy pana o to zapytać. Nie był pan przypadkiem w Polsce w środę, 18 marca? Konkretnie w godzinach między szesnastą a dwudziestą.

Po przesłuchaniu prezesa Nowaka dochodzeniowcy zawężili czas morderstwa do tych czterech godzin. Paczkowska zakończyła rozmowę z nim dwadzieścia minut przed czwartą, bo miała spotkanie. Ludzie zazwyczaj umawiają się o pełnych godzinach, a dwadzieścia minut to akurat tyle, żeby poczynić ostatnie przy-gotowania przed przyjęciem gościa. Około szóstej Nowak dzwonił ponownie, ale Paczkowska nie odebrała, mimo że kazała mu o tej porze zadzwonić. Najwyraźniej spodziewała się, że do tego czasu gość wyjdzie. Nie odebrała również o ósmej. Uzasadnione było założenie, że jeśli nawet jeszcze żyła, w tych godzinach znajdowała się w rękach sprawcy.

Kalinowski spojrzał na policjantów, jakby nie rozumiał pytania, a potem wybuchnął śmiechem.

- Myślicie, żeja... ? Ha, ha... Nie pamiętam dokładnie, ale mogę pokazać panom mój terminarz z tego dnia. Z łatwością sprawdzicie, że między ostatnim spotkaniem w

środe po południu a pojawieniem się w pracy w czwartek rano nie miałbym czasu, żeby skoczyć do Polski i zadzgać eksmałżonkę. Z jakiego zresztą powodu?

- Zna pan tego człowieka? - komisarz pokazał mu portret pamięciowy grubasa.

-Nie, kto to jest?

- Jakbyśmy wiedzieli, tobym nie pytał.

Senik się podniósł.

- Dobrze, na razie panu dziękujemy, ale będziemy z panem w kontakcie, gdybyśmy mieli jeszcze jakieś pytania. I proszę nie zapomnieć o tym terminarzu.

Kalinowski skinął głową, po czym wyszedł. Senik wstał i z rękoma w kieszeniach przespacerował się po pokoju. Markowski zignorował tabliczkę z przekreślonym papierosem i zapalił.

- Nad czym medytujesz?

- Nad niczym. Musimy ustalić, kto był jej poprzednim mężem. Jeśli w Polsce zdołała wyjść za mąż jako panna, oznacza to, że poprzednie małżeństwo zawarła tu w Niemczech, a w Polsce go nie zarejestrowała.

- Betka. Mają pewnie jakieś swoje USC.

- No to chodźmy.

Senik łamaną niemczyzną, szukając w pamięci słówek, wyjaśnił naczelnikowi, czego potrzebują, i po chwili siedzieli w biało-zielonym radiowozie jadącym na sygnale.

- Czy on, kurwa, nie przesadza?

- Chyba rzadko miewa gości z zagranicy.

Podjechali pod biały secesyjny budynek, na którym widniał napis Standesamt Berlin, zapewne rzeczony urząd. Ponieważ kierowca nie wykazał chęci, by im towarzyszyć, poszli sami. W sekretariacie przywitała ich urzędniczka, uśmiechnięta młoda dziewczyna.

- Jaja, der Dienstgruppenleiter hat schon angerufen. Sie brau-chen die Heiratsurkunde von... wie war der Name?

- Ja, Heiratsurkunde, Beata Paczkowska - potwierdził Senik. Urzędniczka wpisała nazwisko na klawiaturze, ale pokręciła głową, robiąc zmartwioną minę.

- Es gibt keine Patschkovska.

- Co ona powiedziała?

- Chyba, że takiej nie ma - przetłumaczył Senik.

- Jak to nie ma? - zirytował się inspektor.

- Kalinowski mówił, że tamten był jej mężem, no to jak brali ślub, to musi być! Albo musimy spróbować w innym urzędzie.

- Nie, z tego co mówił naczelnik zrozumiałem, że każda filia ma dostęp do centralnej bazy danych. Może oni nie odnotowują panieńskiego nazwiska? - szukał wyjaśnienia komisarz.

- Jak nie odnotowują? Ta i ta wzięła ślub z tym i tym, nie da się nie odnotować.

- Może ona myśli, że Paczkowska to nazwisko po mężu i tak szuka. Dziewczyna przysłuchiwała się niezrozumialej dla niej wymianie

zdań, czekając na jej efekt. Markowski nachylił się do szyby i powiedział głośno i wyraźnie:

-Pacz-kow-ska. Nazwisko pa-nień-skie. Po mężu nicht. Nicht - pokręcił głową dla podkreślenia wagi swych słów.

- Patschkovska - potwierdziła z uśmiechem urzędniczka - gibfs nicht.

- Ona jakaś tępa jest - skonstatował inspektor - nie rozumie. Przetłumacz jej - polecił koledze.

- Nie wiem, jak jest nazwisko panieńskie po niemiecku - przyznał się Senik.

-A jak jest nazwisko? - nie dał za wygraną Markowski.

- Name.

- A panna?

Senik musiał się zastanowić.

- Jungfrau, chyba.

- Junkfraß - powtórzył sobie Markowski. - No to jak nie wiesz, jak wiesz? - zdziwił się i zwrócił z powrotem do urzędniczki. - Name junk- fraßnskie, Paczkowska, junkfraßnskie - wymówił z pewnym trudem. - Tfu, co za słowo.

Zdezorientowana dziewczyna rozłożyła ręce, demonstrując, że mimo szczerych chęci nie wie, o co pytają.

- Nie, czekaj, to będzie inaczej - pośpieszył mu w sukurs Senik. - Jungfrauname, Paczkowska ist eine Jungfrauname.

Urzędniczka potrzebowała kilku sekund, żeby skojarzyć, rozpromieniła się.

-Ach so, Mädchename. Patschkovska ist ihr Mädchename.

Ja, ich habe es so geprüft, aber es gibt keine Patschkovska.

Mina Senika wskazywała, że nie jest pewien, czy ją zrozumiał, ani czy ona rozumiała jego.

-I checked Patchkovska as maiden name, but we haven't any Patschkovska in our base.

- No, to już w ogóle dla mnie chińszczyzna - mruknął Senik.

Dziewczyna zorientowała się, że wybrała złą drogę, i wróciła do niemieckiego, który postarała się maksymalnie uprościć.

- Patschkovska, Mädchename, ja - skinęła głową - keine Patschkovska hier - wskazała na komputer i dla odmiany pokręciła głową.

- No to wszystko jasne - zrozumiał w końcu Senik.

-Co?

- Sprawdzała jako nazwisko panińskie i nie ma. Może wzięli ślub w innym mieście? Ale w jej życiorysie żadne inne miasto poza Berlinem się nie przewija.

Policjanci zeszli na dół. Przystanęli przy drzwiach, Markowski zapalił papierosa i wystawił twarz na kwietniowe słońce.

- Powinniśmy poszukać innego punktu zaczepienia, nie przez dokumenty.

- Rodzice nie żyją, o przyjaciółach nic nie wiemy, rodzeństwa nie miała - Senik wykluczył szukanie przez rodzinę i bliskich znajomych.

- Wygląda na to, że musimy odwiedzić jej poprzednie miejsca pracy.

- Mam inny pomysł - wbrew twierdzeniom naukowców dym tytoniowy najwyraźniej korzystnie wpływał na szare komórki Markowskiego. - Co robi Polak za granicą?

- Narzeka na Polskę - zażartował Senik.

-Ale z kim narzeka? Ze znajomymi Polakami! Prędej im przedstawiła swojego męża niż komuś w pracy. Może chodziła do jakichś polskich klubów, udzielała się w organizacji polonijnej, co tam jeszcze może być?

- Kościół. Polski kościół! Chociaż czy taka puszczalska chodziła do kościoła?

- A co jedno drugiemu przeszkadza?

- Też racja.

Wrócili do radiowozu i wyjaśnili kierowcy, dokąd chcieliby jechać. Niezbyt obszerny zasób słownictwa komisarza obejmował jednak wyrażenie „polnische Kirche”. Niemiec wprawdzie nie wiedział, gdzie takowy się znajduje, ale wystarczyły krótkie kon-sultacje z komisariatem przez radio, by rzecz ustalić. Kiedy miał już ruszać, Senik poklepał go po ramieniu.

- Kein Signal, kein Signal, niepotrzebny.

Kierowca zrozumiał i nie włączył sygnału. Mimo to jazda trwała krótko, gdyż Polska Misja Katolicka mieściła się w pobliskiej dzielnicy Kreuzberg. Zajechali pod wysoką neogotycką Bazylikę św. Jana Chrzciciela.

- O kurwa - po wejściu do środka inspektor w niezbyt ortodoksyjny sposób wyraził wrażenie, jakie zrobił na nim spoglądający z mozaiki nad ołtarzem Chrystus Król. -

Wygląda, jakby mi groził palcem.

- Wzrok ci się psuje, to jest gest błogosławieństwa.

- Wątpię, żeby mnie błogosławił - mruknął Markowski.

Rozglądali się po bazylice. W zasadzie nie było tu nic niezwykłego, ale przytłaczała ogromem: witraże, rzeźby, kropiel-nice, ołtarz, konfesjonały były większe, bogaciej zdobione niż na przykład w kościele, w którym zatrzymali Bendyka. Tamta świątynia w porównaniu z tą mogła uchodzić co najwyżej za ubogą krewną.

Przeszli główną nawą w stronę młodego księdza, który zapalał świece w wysokich świecznikach przy ołtarzu.

- Dzień dobry - przywitali się.

Ksiądz spojrział na nich z dezaprobatą.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

- Przepraszam, na wieki wieków - Senik spróbował zatrzeć złe wrażenie, a zarazem ledwie widocznym gestem dał znak Markowskiemu, który miał na końcu języka jakiś komentarz, żeby się nie odzywał. - Jesteśmy z polskiej policji, chcielibyśmy zapytać o pewną parafiankę, ale sprawa dotyczy dość odległych czasów, dwadzieścia, dwadzieścia kilka lat temu. Czy któryś z księży jest tu tak długo?

- W tym kościele nie, przenieśliśmy się tu stosunkowo niedawno, wcześniej nasza misja mieściła się w kościele św. Jana Kapistrana, ale samą misję od początku prowadzi proboszcz Zonik. Zaraz go poproszę.

Proboszcz okazał się zażywnym sześćdziesięcioletkiem o dobroduszej twarzy z podwójnym podbródkiem. Postawą wyrażał spokój ducha charakterystyczny dla osób głęboko wierzących, ale w oczach za grubymi szklami migotały wesołe iskierki.

- Słucham panów?

Senik podał mu zdjęcie ofiary i zreferował sprawę.

- Poznaję ksiądz albo przypomina sobie tę osobę?

- Jedno i drugie, niestety - westchnął proboszcz, a wesołe iskiereki zgasły. - Kojarzę po samym nazwisku, mimo że panowie znają tylko panięskie, bo miała dwuczłonowe. Paczkowska-Kinzel. Ze zdjęcia też rozpoznaję, nie zmieniła się tak bardzo, choć lata na nas wszystkich pozostawiają ślady. A dobrze ją zapamiętałem, bo miała problem, z którym nie umiała sobie poradzić. Podejrzewała męża, że molestuje córkę. Nie wiedziała, co z tym począć i zwróciła się do mnie o radę.

- Co jej ksiądz doradził?

- Najpierw chciałem z nim porozmawiać, myślałem, że jest Niemcem i dlatego nie przychodzi z nią do naszego kościoła, ale okazało się, że to Polak, tylko niewierzący.

- Polak? - zdumieni się policjanci.

- Tak, ktoś mówił panom coś innego? - spojrział na nich zza okularów.

- Mimo to dalej chciałem z nim porozmawiać. Gdzie jest powiedziane, że ateista nie może skorzystać z duchowej porady, ale odmówił.

- Czyli ksiądz go nie widział?

- Nie, nigdy. Przypuszczała też, że mimo jej podejrzeń nie za-prze stał swych grzesznych czynów. Tak to jest, jak człowiek nie ma Bożego kompasu. Poradziłem, by poszła z córką do psychologa.

Psycholog uznał, że dziewczynka nie była molestowana, ale pani Paczkowska mu nie uwierzyła. Postanowiła się rozwieść. Odra-dzałem jej, nie można jednego grzechu zwalczać drugim, i niestety miałem rację. Mąż wynajął prywatnego detektywa, a ten odkrył, że spotykała się z kochankiem, który na dodatek był karany. Jego adwokat przedstawił w sądzie sprawę tak, że ona chce odejść od męża, by związać się z tym drugim, który jako przestępca nie jest odpowiedni do wychowywania dzieci, więc żeby uzyskać opiekę nad córką i synem, rzuca fałszywe oskarżenia o molestowanie.

Wyolbrzymił fakt, że nie powiadomiła o tym policji. Nie powiadomiła, bo nie miała namacalnych dowodów i spodziewała się, że policja zgłoszenia nie przyjmie. Proszę pamiętać, że mówimy o latach osiemdziesiątych. Podejście organów ścigania do takich przestępstw było wówczas zupełnie inne niż dziś. Jednak według interpretacji adwokata te oskarżenia formułowała tylko na użytek sprawy rozwodowej. W efekcie przegrała. Sąd przyznał opiekę ojcu.

-Co było dalej?

- Próbowwała walczyć, jednak nic z tego nie wyszło. Rozważała powrót do Polski, ale w końcu została. Zaczęła pić. Kiedy znalazła się na samym dnie, jej były mąż to wykorzystał. Wystąpił o odebranie jej praw rodzicielskich i znowu wygrał. Wtedy się zreflektowała. Przyszła do mnie, powiedziała, że będzie się leczyć. Miała skierowanie do kliniki odwykowej, ale potrzebowała wsparcia duchowego, żeby ktoś do niej przychodził, pomógł jej wytrwać. Odwiedzałem ją więc regularnie. Udało się. Wyszła z nałogu. Potem więcej się nie widzieliśmy. Obawiam się, że straciła wiarę, że obwiniała Boga, prowadziliśmy długie rozmowy na ten temat. Tymczasem niezbadane są wyroki boskie, trzeba je przyjmować z pokorą, jak Hiob.

- Może czasem łatwiej je przyjmować, wiedząc, że za nimi stoi czysta biologia i zli ludzie, a nie dobry Bóg - powiedział Senik. Markowski aż otworzył usta ze zdumienia.

- Nie, proszę pana - proboszcz pokręcił głową-jak się wierzy, nie wszystko trzeba wyjaśniać, a wiara dodaje otuchy.

Senik nie polemizował.

- Jak jej mąż miał na imię?

- Niech pomyślę... - proboszcz splótł grube palce na rysującym się pod sutanną brzuchu. — Jerzy. Tak, Jerzy.

- Nie wie ksiądz, gdzie się pobrali?

- Wydaje mi się, że w Berlinie, to znaczy w ówczesnym Berlinie Zachodnim, ale pewien nie jestem, równie dobrze mogli przyjechać tu z innego miasta. Zwłaszcza że w naszym kościele ani nie brali ślubu, ani nie ochrzczili dzieci.

- Jak on był niewierzący, to mogli w ogóle nie mieć ślubu kościelnego.

- Słuszna uwaga.

Znowu na koniec pokazali portret pamięciowy, ale również proboszcz nie wiedział, kogo przedstawia. Podziękowali mu i wyszli przed bazylikę. Postanowili wybrać się na obiad i odprawili kierowcę, który rzucił krótkie Jawohl" i odjechał, bez wnikania, dlaczego nie odesłali go przed wejściem do kościoła. Poszli na piechotę, rozglądając się za jakąś restauracją, w której mogliby zjeść w miarę tanio. Zdecydowali się na turecką knajpkę. Zajęli dwuosobowy stolik przy samym bufecie i dopóki nie podeszła kelnerka, ciemnowłosa dziewczyna o śniadej cerze, rozglądali się po urządzonym w drewnie lokalu. Poza nimi była tylko jedna para, zajęta bardziej sobą niż jedzeniem. Dostali kartę. Markowski mruknął, że znowu po chińsku, ale Senik wskazał mu podświetlone tabliczki nad bufetem przedstawiające gotowe dania.

- To dla mnie ten kebab z frytkami pod trójką, tylko bez tej zieleniny. Nie jestem krowa, żebym zieleninę żarł. I kawę. Senik zamówił to samo, ale nie zrezygnował z surówki.

Po kilku minutach kelnerka podała im potrawy.

- Co to za siki? - Markowski zajął do kubka z kawą. - Powiedz jej, że chcę normalnie, po turecku.

Dziewczyna zapytała wzrokiem, co jest nie w porządku.

- Wir wollen türkische Kaffee - pokazał Senik na kubki.

- Türkischer Kaffee?

-Ja.

- Was ist türkischer Kaffee?

- Co ona mówi? - wtrącił się Markowski.

- Nie wie, co to jest kawa po turecku - powiedział Senik.
- Turecka knajpa i nie wiedzą, co to jest kawa po turecku?!
Senik starał się wytłumaczyć, w większości na migi, o co im chodzi. Oczy dziewczyny rozszerzyły się ze zdumienia. Nie była pewna, czy goście nie stroją sobie z niej żartów. Poprosiła komisarza do bufetu i kazała mu nadzorować kolejne czynności przy parzeniu kawy. Kiedy zadowolony Senik niósł do stolika parujące kubki, zaferowana opowiadała właścicielowi, który wychynął właśnie z zaplecza, o dziwnym sposobie picia kawy. Oboje zerkali podejrzliwie na Polaków.

Kiedy zjedli, Markowski oparł się o ścianę i zapalił.

- Chyba jesteśmy na złym tropie.

- Też mi się tak wydaje.

- Z tego co mówił klecha wynika, że raczej ona miała powód, by wykończyć jego niż odwrotnie - ciągnął swoją myśl inspektor.

- Jeśli nie zemściła się w inny sposób, na tyle dotkliwy, że ją zabił - komisarz znalazł kontrargument.

- Mściłaby się od razu, nie po tylu latach.

- Może wcześniej bała się o dzieci.

- Może.

Zamilkli. Czuli, że gonią w piętękę. Rzadko śledztwo zmuszało ich do sięgnięcia do tak odległej przeszłości ofiary i to bez żadnych wyników. Musieli rozstrzygnąć, czy szukać pierwszego męża Paczkowskiej, Jerzego Kincla, czy też skupić się na dotychczasowych ustaleniach, by znaleźć ewentualny błąd.

Przeanalizowali uzyskane dotąd informacje. Teoria zbrojenia przyprowadzonego z dyskoteki nie znajdowała potwierdzenia w faktach. W tygodniu Paczkowska nie wychodziła do lokalu.

Raczej wątpliwe było, żeby obcy człowiek przyłożył jej nóż do gardła na klatce schodowej i wepchnął do mieszkania.

Musiałby mieć jakiś motyw, a rabunek wykluczyli - z mieszkania nic wartościowego nie zginęło. Z zeznań prezesa Dedala wynikało, że feralnego dnia była z kimś umówiona, możliwe, że z mordercą, ale nie spodziewała się z jego strony zagrożenia. I ten Talmud.

Dlaczego tam się znalazł, otwarty na zaznaczonym krwią tekście mówiącym o niewiernej żonie? Okoliczność, że kupił go ten sam człowiek, który dwa dni przed zabójstwem dzwonił do ofiary, dawała wiele do myślenia. Zwłaszcza że potem jego telefon zamilkł.

Sęk w tym, że poszukiwania nie dały dotychczas rezultatu. Jej drugi mąż twierdził, że go nie zdradzała, poza tym wyglądało na to, że ma alibi. Pierwszy mąż był zdradzany, ale jeśli to on zabił, dlaczego zemścił się dopiero teraz?

Uznali, że muszą znaleźć Kincla, żeby wyjaśnić te wątpliwości i ewentualnie go wykluczyć. Tylko gdzie szukać?

- W kartotece policyjnej? - zaproponował Senik.

- Dlaczego miałyby tam figurować? Paczkowska nie wniosła oskarżenia, że molestuje córkę.

- Ale może wniosła je córka, później, jak dorosła.

-To jest myśl.

Wrócili do komisariatu autobusem, przy czym raz musieli się przesiąść, gdy zorientowali się, że jadą w kierunku przeciwnym do planowanego. Naczelnik z chęcią udostępnił im komputerową kartotekę i w kilka chwil ustalili, że żaden Kincel w niej nie figuruje.

- Mamy dzisiaj pecha do tych baz danych - zauważył Senik. Już chciał odejść od komputera, kiedy coś zwróciło jego uwagę. - Zobacz - pokazał Markowskiemu datę w prawym górnym rogu.

1995 rok. Czy w komputerze są dane dopiero od dziewięćdziesiątego piątego? - Markowski zwrócił się do naczelnika.

-Was?

Inspektor wskazał na rok.

- Komputer? A wcześniej? - starał się pokazać ręką, że chodzi mu o uprzedni okres.

Naczelnik zrozumiał.

- Ja, es stimmt, komputerdateien haben wir tatsächlich seit neunzehnhundertfünfundneunzig. Und früher... Folgt mir, bitte! - poprowadził ich przez komisariat do piwnicy i otworzył skrzypiące drzwi. Ukazało im się pomieszczenie w całości zastawione metalowymi regałami, na których zalegały stopy akt.

- O kurwa - powiedział Markowski i machinalnie sięgnął po papierosa.

- Nie pal teraz, puścisz im to wszystko z dymem. Na pewno jakoś to jest uporządkowane: alfabetycznie albo latami.

Komisarz miał rację. Poszukiwania zajęły im wprawdzie trochę więcej czasu niż przeglądanie bazy komputerowej, ale szybko odnaleźli właściwą teczkę. Bo Jerzy Kincel rzeczywiście był notowany. Zgłoszenia nie dokonała jednak córka, tylko dyrektorka ośrodka opiekuńczego, w którym Kincel pracował jako wycho-wawca. Udowodniono mu molestowanie jednej z podopiecznych, dziewięcioletniej dziewczynki, i trafił na dwa lata do więzienia.

Policjanci nie doszli do tego sami, chociaż próbowali. Musieli się poddać i poszukać tłumacza. Indagowany w tej sprawie naczelnik oświadczył:

- Kein Dolmetscher, Bartek ist Pole.

Bartkiem był dwudziestokilkuletni funkcjonariusz, jak się okazało, Polak urodzony w Niemczech. Jego przyszli rodzice w grudniu osiemdziesiątego pierwszego znajdowali się w Berlinie Zachodnim i kiedy w Polsce wprowadzono stan wojenny, poprosili o azyl. Bartek mówił płynnie po polsku z lekkim obcym akcentem.

- Jeśli można, wzięlibyśmy do Polski kartę z odciskami palców. Może dopasujemy je do tych znalezionych w

mieszkań - powiedział Senik.

- Ale mam pytanie: dlaczego nie ma fotografii tego Kincla? Sprawdziłem inne akta i zdjęcia przeważnie są.

Bartek przetłumaczył. Naczelnik coś zaszwargotał, wzruszył ramionami, po czym dodał:

- Tohuwaboju.

- Te akta były przenoszone - wyjaśnił Bartek. - Sięga się do nich w różnych sprawach, może ktoś potrzebował zdjęcia do jakiegoś dochodzenia, i nie zawsze wszystko wróci na miejsce.

- A ja myślałem, że u Szwabów Ordnung muss sein - mruknął Markowski, nie dostrzegając, że Bartek może uważać się za „Szwaba”.

Policjanci sprawdzili w aktach adres i zdecydowali się tam pojechać. Trafili na klasyczną sypialnię, osiedle dziesięciopiętrowych budynków, i z pewnym trudem odszukali właściwy blok.

Lokatorka, zła, że przeszkadzono jej w popołudniowym oglądaniu telewizji, nic nie wiedziała o Kinclu. A kiedy w końcu zorientowała się, że pytającym chodzi o lata osiemdziesiąte, popukała się znacząco w czoło.

- Es ist zwanzig Jahre her. Leute ziehen doch um - powiedziała i zatrzasnęła drzwi.

Obskurną windą zjechali na dół.

- Co nam pozostaje?

- Posadzić tego Bartka do telefonu, niech sprawdzi biura meldunkowe.

Bartek chętnie przystał na to, by pomóc im w ustaleniu adresu Kincla. Kiedy załatwili tę sprawę, Markowski ogłosił:

- Fajrant na dzisiaj. Czas na rozrywkę, tu niedaleko widziałem taki lokalik z napisem „Sexkino”.

- Ja idę do Pergamonmuseum - oznajmił Senik.

- Co? Burdel nazywa się muzeum? - zdziwił się Markowski.

- Nie idę do burdelu, tylko do muzeum.

- Ocipiałeś? Stary puścił nas za granicę, a ty się będziesz po muzeach walał?

- Sztuka starożytna, najsłynniejsze berlińskie muzeum. Nie miałem okazji zobaczyć, bo normalnie zamykają o piątej i nigdy się nie wyrobiłem, ale dzisiaj jest czwartek i mają otwarte do dwudziestej drugiej.

- Jak wolisz oglądać jakieś starocie zamiast gołych dup, twoja sprawa - machnął ręką Markowski.

- Tam też będą gołe dupy, tylko rzeźbione - uśmiechnął się Senik.

- Rób, co chcesz.

Rozstali się przed komisariatem. Markowski skierował się w stronę, gdzie widział lokal z zamalowaną na biało witryną.

- Hallo - przywitała go uśmiechem stojąca za kontuarem mocno umalowana kobieta o ciemnych włosach z blond pasemkami.

- Was wünschen Sie? Wir haben ein Kino, Privatkabinen oder Sie können mit einem der Mädchen aufs Zimmer gehen - wskazała na kanapkę, na której siedziały cztery rozneglizowane dziewczęta, w tym dwie o azjatyckich rysach. Markowski zrozumiał jedynie słowo „kino”, a że i taki napis widniał na szyldzie, powiedział „kino”.

- Bitte sehr, zehn Euro.

Markowski podał banknot o nominale 50 euro, modląc się w duchu, żeby wystarczył i żeby była jeszcze reszta. Ucieszył się, kiedy dostał z powrotem czterdzieści. Kobieta, widząc, że gość jest nieco zdezorientowany, wyszła zza kontuaru, demonstrując zgrabną sylwetkę w obcisłych spodniach, i zaprowadziła go. Markowski znalazł się w wąskim korytarzyku, w którym było kilkoro drzwi. Otworzył pierwsze z brzegu i zobaczył małą salkę kinową z jakąś całującą się parą na widowni. Kiedy długowłosa postać się odwróciła, spostrzegł, że wcale nie jest to dziewczyna, tylko chłopak. Na ekranie leciał gejowski film. Zniesmaczony Markowski

zatrzasnął drzwi.

- Kurwa, to jakiś pedalski lokal.

Otworzył następne, już szykując się do awantury i żądania zwrotu pieniędzy, ale w drugiej salce rozbrzmiały głośne jęki kobiet: na ekranie czterech młodzieńców w dość skomplikowanej konfiguracji obrabiała dwie dziewczyny o urodzie modelek.

Zadowolony Markowski usiadł w fotelu i dopiero wtedy uświadomił sobie, że widział już dziś mężczyznę, który całował się z tym długowłosym chłopakiem. Teraz domyślał się, w jaki sposób Paczkowska naruszyła sferę prywatności swojego męża: dowiedziała się pewnie o jego skłonnościach. Nic dziwnego, że związała do Polski - przeszło mu przez głowę - pierwszy mąż dobierał się do córki, a drugi lubił chłopców. Skupił się na filmie. Poza nim w sali było jeszcze dwóch widzów gmerających sobie w spodniach.

Scena zbiorowego seksu dobiegała właśnie końca, kiedy drzwi się otworzyły i weszła kolejna osoba. Markowski poczuł, że ktoś przy nim siada. Już chciał posłać natręta do diabła - nie bawiło go onanizowanie się przy facecie - gdy spostrzegł, że to jedna z Azja-tek. Uśmiechnęła się do niego, objęła ręką jego członek i zaczęła delikatnie masować.

- Ich heiße Mayura. Willst du mit mir aufs Zimmer? - zapytała.

- Nie rozumiem - odparł Markowski. Dziewczyna popatrzyła na niego, kiwnęła głową i pokazała na migi, że proponuje mu spotkanie tete-a- tete.

-Ile?

Teraz dziewczyna nie zrozumiała. Markowski wyjął portfel i pytającym gestem wskazał banknoty. Mayura wyjęła żadaną kwotę i zrobiła wachlarzyk. Markowski przeliczył, że jest drogo, zwłaszcza że w Polsce z usług prostytutek korzystał często za darmo, ale Azjatka mu się podobała i czuł, że jakąś kobietę musi mieć.

Podniósł się, dając do zrozumienia, że się zgadza.

6 kwietnia, poniedziałek

Ledwie Markowski usiadł tego ranka za biurkiem, zadzwonił telefon. Zgłosił się Gryszko, szef techników.

- Dostaliśmy billing rozmów przychodzących do Hieronima.

To biuro tłumaczeń, które znalazł młody. Strzał w dziesiątkę. Jest numer komórki, z której później dzwoniło do bukinisty i Paczkowskiej.

- Świetnie. Wszystko pasuje. Ten sam gość zlecił tłumaczenie tytułu i kupił książkę.

- Porównaliśmy też odciski, które przywieźliście z Niemiec.

-No i?

- Dobra wiadomość. Są na Talmudzie.

To była bardzo dobra wiadomość. Oznaczała, że człowiekiem, który kupił Talmud i zostawił go w mieszkaniu ofiary, a co za tym idzie, mordercą, mógł być eksmąż Paczkowskiej, Jerzy Kincel.

Kwestię motywu zabójstwa - jeśli przyjąć, że ten motyw ujawnił, zaznaczając krwią fragment tekstu - i szukanie odpowiedzi na pytanie, dlaczego zdecydował się zemścić na żonie za zdradę po tak długim czasie, musieli odłożyć do czasu jego ujęcia.

Dotarcie do Kincla nastęrczało bowiem nadspodziewanie dużo trudności. Niemieccy policjanci znaleźli jego obecny adres w Berlinie, ale okazało się, że mieszkanie, w którym jest zameldowany, podnajmuje. Lokatorom nie zostawił informacji o miejscu swojego pobytu. Nigdy go nawet nie widzieli. Wynajem załatwili przez pośrednika, a czynsz wpłacali na konto bankowe. W sumie stanowiło to dodatkową poszlakę: zabił byłą żonę i zniknął.

Markowski wezwał do siebie komisarza i aspiranta i

przekazał im najnowszą wiadomość. Rozważali, jakie działania mogą przedsięwziąć.

- Stawiam na to, że zadekował się w Polsce - powiedział Senik. - Pieniądze z wynajmu mieszkania w Niemczech starczą mu tutaj na przyzwoite życie, nie musi pracować, z lekarza korzysta prywatnie, czyli nie jest odnotowany w żadnym systemie.

Krajowy meldunek do niczego mu niepotrzebny. Nie podróżuje, bo na granicy łatwo by wpadł. Ergo, szukaj wiatru w polu.

- Korespondencja?

- Ma pewnie jakąś skrytkę pocztową. Teraz wprawdzie, skoro jest zasadnie podejrzany, możemy wystąpić do banku o ujawnienie numerów kart kredytowych i adresu, na jaki wysyła mu korespondencję. Tylko sam wiesz, jak jest. Po koleżeńsku tego nie załatwimy.

Musimy wystąpić do niemieckiej prokuratury o pomoc prawną, bo inaczej bank nic im nie da, a to zajmie długie miesiące. A może być tak, że facet kart kredytowych nie używa, wyciąga tylko pieniądze z bankomatu, za każdym razem innego. Nie jest też wykluczone, że założył sobie kilka skrytek, a korespondencji z banku w ogóle nie odbiera. Póki karty nie stracą ważności - a mogą być ważne i dwa lata - i bank nie przyśle mu nowych, nie ma w niej nic istotnego. Stan konta sprawdza sobie pewnie przez Internet. A jak tam jest jeszcze opcja „zmień adres korespondencyjny”, to tą drogą do niczego nie dojdziemy. Złożyć wniosek trzeba, może gość nie jest wcale taki ostrożny. Gdyby przestępcy nie popełniali błędów, nigdy byśmy ich nie łapali. Ale już przez sam fakt, że cała procedura zajmie kilka miesięcy, musimy poszukać innego rozwiązania.

- Lekarstwa!

-Co?

- Powiedziałeś, że z lekarza korzysta prywatnie -

przypomniał

Markowski. - Ale płacenie za leki to już inna bajka, przy niektórych chorobach może to być bardzo droga impreza. A prywatne ubezpieczenia nie dają prawa do refundowanych recept. Facet ma sześćdziesiąt lat i, jeśli to jego mamy na portrecie pamięciowym, jest potwornie otyły. W tym wieku przy takiej tuszy na sto procent coś łyka, co oznacza, że jeśli nie chciał płacić za leki albo nie było go stać, musiał się ubezpieczyć w NFZ.

- Przecież nie mógłby, w NFZ ubezpieczeni są tylko ci, którzy pracują w Polsce, i ich rodziny albo zarejestrowani bezrobotni.

Składka odliczana jest od podatku - wyraził wątpliwość Senik.

- No właśnie nie, można dobrowolnie ubezpieczyć się w NFZ i po prostu płacić składkę. NFZ nie wnika, skąd masz pieniądze. Tak robią na przykład prostytutki, które oficjalnie nigdzie nie pracują.

W sprawach prostytutek Markowski był ekspertem.

- A to nie wiedziałem - przyznał się Senik.

- Ale nie musiał ubezpieczać się w NFZ - wtrącił się Lepka.

- Może korzystać ze swojego niemieckiego ubezpieczenia w ramach Unii Europejskiej.

Burza mózgow na chwilę została przerwana. Zastanawiając się nad spostrzeżeniem aspiranta, zrobili sobie kawę.

- Racja - zgodził się w końcu Markowski. - Natomiast jeśli jest w Polsce, musi tu wykupywać recepty. Recepty są rejestrowane w RUM-ie i bez trudu namierzemy, w jakiej aptece je wykupuje.

- Chyba że za każdym razem jedzie do innej - aspirant wcielił się w rolę achocatus diaboli.

- To podobnie jak z bankomatami - zauważył Senik. - Powinien tak robić, ale kto wie, czy tego nie przegapił. Przestępcy nie myślą o wszystkim, a facet żadnym

geniuszem zbrodni nie jest, zostawił przecież odciski palców na Talmudzie.

- Łatwo to ustalimy - zakończył dyskusję inspektor. - Trzeba sprawdzić w NFZ, czyj est tam ubezpieczony. Może najzwyczajniej w świecie jest i po prostu dostaniemy jego adres. Jak powiedziałeś, przestępcy nie myślą o wszystkim. Jeśli nie, trzeba sprawdzić, czy wykupywał recepty i w jakich aptekach. Weź, Miłan, prześlij też na posterunki graniczne informację, że gość jest do zatrzymania, jakby chciał wyjechać z Polski. No i informację do Niemców - bo może wcale nie siedzi w Polsce - że teraz szukamy go już jako podejrzanego, a nie świadka.

- Obym miał rację, że zadekował się u nas, bo inaczej będzie kołomyjka z ekstradycją.

Witaj potworze! Dowiedziałem się, że byłaś w grudniu w Polsce. Nie masz już cywilnej odwagi spotkać się ze mną? Chociaż w gruncie rzeczy uzasadnione jest pytanie, po co. Żebyś miała powtórzyć to swoje bezwartościowe „przepraszam”, którym szastasz, ani przez moment nie zastanawiając się, co to słowo znaczy? Aja? Powinienem napluć Ci w twarz. Dzisiaj jest rocznica naszego spotkania, do którego doszło wyłącznie z Twojej inicjatywy. Mam Ci przypominać, co wtedy mówiłaś? A może powinienem Ci w ogóle przypomnieć, kim jestem i jakiego świństwa się wobec mnie dopuściłaś? Masz bowiem zadziwiajączą zdolność całkowitego wymazywania z pamięci rzeczy dla siebie niewygodnych.

Niewiarygodne. Nie widzieliśmy się blisko osiem lat, ale ani przez moment nie miałaś wątpliwości, że wciąż Cię kocham. Doskonale zdawałaś sobie sprawę, jaką miłością wzgardziłaś. Dla Ciebie moje uczucia nie ulegały kwestii, problemem było, czy zechcę Ci wybaczyć. Wyobraź sobie, że Ci uwierzyłem. Nie zdawałem sobie sprawy, że mam do czynienia z taką zwyrodnialczynią. Bo tylko zwyrodnialczyni może

spragnionemu człowiekowi na pustyni podać kubek, w którym zamiast wody jest kwas solny. Chciwie słucałem Twoich słów, rozkoszowałem się pocałunkami, na które przyszło mi czekać tyle lat. A to nie była orzeźwiająca woda, tylko kwas solny palący gardło i niszczący wnętrzości. Uniemożliwiłaś mi przeżycie tego, co jest istotą i sensem istnienia: miłości.

Zniszczyłaś mnie. Nie zrobiłaś tego przypadkiem, lecz w pełni świadomie.

Czasami miewam takie chwile, że wydaje mi się, iż to wszystko jest koszmarnym snem, że kiedy się obudzę, będziesz przy mnie i powiesz: „Już dobrze, to był tylko zły sen, przecież nie jestem potworem, żaden człowiek nie mógłby tak postąpić”. Ale Ty mogłaś. Ty uzurpujesz sobie prawo do zadawania innym ludziom nieograniczonych cierpień w zależności od własnych kaprysów i zachcianek, do traktowania mnie jak psa, którego można bezkarnie kopać. Odpowiedzialność za własne czyny, wyrzuty sumienia, ponoszenie konsekwencji - te pojęcia są Ci całkowicie obce.

9 kwietnia, czwartek

Jerzy Kincel przebywał w Polsce. Nie był ubezpieczony w NFZ, ale rzeczywiście leczył się i wykupywał recepty, korzystając ze swojego niemieckiego ubezpieczenia. Zażywał insulinę, co wskazywało na cukrzycę. Lek i paski kupował w dwóch aptekach, położonych niedaleko siebie. Przy jednej znajdował się gabinet lekarza rodzinnego. Początkowy opór lekarzy przed ujawnieniem, czy Kincel się u nich leczy, został złamany - policjanci nie chcieli wiedzieć, co jest w karcie pacjenta, tylko czy takową ma u nich założoną, a tej informacji tajemnica lekarska nie obejmowała. Leczył się, ale niestety w karcie wpisany był stały, niemiecki adres zameldowania. Mieszkał zapewne gdzieś w pobliżu drugiej

apteki. Wywiadowcy w cywilu penetrowali dzielnicę, ale jakoś nie mogli na niego natrafić. Kincel najwyraźniej rzadko wychodził.

Przynajmniej inspektor miał nadzieję, że przyczyną jest właśnie to, a nie błąd w założeniu, że portret pamięciowy przedstawia Kincla.

Ze zrealizowanych recept wynikało, że pojawiał się u lekarza co półtora miesiąca, jeśli nie miał innych dolegliwości. Zapas insuliny i pasków mu się właśnie kończył i na dniach powinien przyjść po nową receptę. Wywiadowcy mieli gabinet pod ścisłą obserwacją.

Pojawił się trzeciego dnia. Policjanci od razu rozpoznali otyłego mężczyznę, który wysiadł ze starego mercedesa na parkingu przed przychodnią i wolnym krokiem skierował się do wejścia.

Według wytycznych należało pozwolić mu na konsultację z lekarzem i wykupienie recepty, żeby po zatrzymaniu można go było od razu przesłuchać, zamiast wysyłać na badania. Wizyta u lekarza trwała krótko, najwidoczniej Kincel czuł się dobrze i przyszedł tylko po receptę. Potem od razu skierował się do apteki. Dwaj wywiadowcy weszli za nim. Kiedy zapłacił, zbliżyli się do niego.

- Pan Jerzy Kincel?

- Taak? - mężczyzna zdziwiony podniósł wzrok.

- Policja, jest pan zatrzymany w związku z podejrzeniem o zamordowanie Beaty Paczkowskiej. Proszę z nami.

- Beaty Paczkowskiej? To przecież moja była żona!

- Właśnie.

- Zamordowanej? To jakaś pomyłka!

- Wyjaśni pan tę pomyłkę na komisariacie.

Bez dalszych ceregieli nałożyli mu kajdanki i poprowadzili do nieoznakowanego radiowozu.

W komisariacie na podejrzanego czekali już Markowski z Senkiem. Wywiadowcy przekazali im, że Kincel jest

zaskoczony aresztowaniem. Najwyraźniej nie spodziewał się, że mogą do niego dotrzeć w ten sposób, i należało ów element zaskoczenia wykorzystać.

Ledwie Kincel usiadł na krześle w pokoju przesłuchań, Markowski z hukiem rzucił na stolik Talmud, zapakowany w folię.

- Poznajesz?

Kincel przyjrzał się grubej książce.

- Nie - pokręcił głową.

-No to odświeżę ci pamięć: to Talmud, który zostawiłeś swojej eks po tym, jak wysłałeś ją na tamten świat.

- Co?! Panowie, to jakaś pomyłka, nie zamordowałem Beaty.

Że nie żyje, dowiedziałem się dopiero od tych policjantów, którzy mnie zatrzymali. Nie widziałem jej od naszego rozvodu. Kiedy to się w ogóle stało?

- Nieźle - Senik usiadł okrakiem na krześle. - Wiemy, że ma pan zdolności aktorskie. Równie przekonująco zapewniał pan żonę, że nie dobiera się do córki. Ona panu nie uwierzyła i my nie wierzymy.

- Panowie!

- Dobra - to był Markowski. - Wyjaśnisz, skąd na tej książce są twoje odciski palców i wracasz do domu.

- Moje odciski?

- Tak.

Kincel wziął Talmud do ręki i dokładnie obejrzał. Zrobił zdumioną minę.

- Nie mam pojęcia, nigdy jej nie widziałem. Może laboratorium źle porównało.

- Mógłbyś wymyślić coś inteligentniejszego.

- Naprawdę nigdy nie miałem jej w rękach.

-Aha, a twoje odciski znalazły się tam metodą teleportacji?

Kincel nic nie powiedział. Policjanci spojrzeli na siebie. Nie zaskoczyli go na tyle, by skłonić do przyznania się, ale nie

zdołał na poczekaniu sklecić żadnego wiarygodnego kłamstwa. Na chwilę zapadła cisza. Przerwały jąotwierające się drzwi - do przesłuchujących dołączył Lepka.

— Gdzie pan był w środę 18 marca między godziną szesnastą a dwudziestą? - zaatakował Senik z innej pozycji.

— Wtedy została zamordowana? - Kincel raczej stwierdził, niż zapytał. Miał już doświadczenie z pytaniami o alibi. - Byłem pewnie w domu, rzadko gdzieś wychodzę, jestem domatorem.

— Ktoś to może potwierdzić?

— Nie, mieszkam sam.

—Rozmawiał pan przez telefon, przez gadu-gadu, mailował gdzieś?

—Nie sądzę, nie mam tu specjalnie znajomych, dopiero pół roku temu wróciłem z Niemiec.

—No, akurat za pomocą tych środków można komunikować się z całym światem.

— E-maile i gadu-gadu to są nowinki dla młodzieży, a telefony za granicę są za drogie. Raczej oglądałem telewizję, najczęściej oglądałem telewizję, albo coś majsterkowałem, to moje hobby.

— Odwiedził pana jakiś akwizytor albo żebrak?

— Nie otwieram takim drzwi.

— Jednym słowem, nie ma pan alibi?

— Byłem w domu - powtórzył Kincel.

Tę rundę wygrali policjanci.

Markowski sięgnął po przygotowany wydruk rozmów.

— 9 stycznia zadzwoniłeś do biura tłumaczeń Hieronim, 14 stycznia do gościa sprowadzającego książki z zagranicy, żeby zamówić ten Talmud, potem, 16 marca, do swojej byłej, żeby się z nią umówić na spotkanie. Wszystko z tego samego telefonu.

— Do nikogo nie dzwoniłem, możecie sobie sprawdzić.

Kincel sięgnął do zawieszzonego na pasku futerału, wyciągnął

srebrnego sagemy z kolorowym wyświetlaczem i podał inspektorowi. Ten wbił odpowiednią kombinację klawiszy, żeby sprawdzić numer telefonu, po czym porównał go z wydrukiem. Spojrzał na Senika i pokręcił głową. Senik wziął aparat do ręki i uważnie mu się przyjrzał.

- Wygląda na nowy. Od kiedy pan go ma?

- Od jakichś dwóch tygodni.

- Dokładniej się nie da? - zniecierpliwił się Markowski.

- Kupiłem go na giełdzie, giełda jest w niedzielę.

Senik sprawdził kalendarz.

- W niedzielę dwudziestego dziewiątego?

- Chyba tak.

- A co stało się z poprzednim?

- Ukradziono mi.

- Jak praktycznie. Zgłosiłeś to policji?

- Po co? I tak nie łapiecie złodziei komórek. Zresztą mogę podać wam ten poprzedni numer, to sobie sprawdzicie, że nigdzie nie dzwoniłem.

- Aha, a jak mamy zweryfikować, że podasz prawdziwy?

Masz rachunki za rozmowy?

- Nie, to był telefon na kartę, jak ten.

- I pewnie też kupiłeś go na giełdzie i nie masz faktury zakupu.

- Nie mam.

Na chwilę zapanowało milczenie.

- Jakie relacje łączyły pana z byłą żoną?

- Nie widzieliśmy się i nie rozmawialiśmy ze sobą ze dwadzieścia lat.

- Listów przypadkiem pan do niej nie pisał?

- Jakich listów?

- Pańska żona co roku w czerwcu dostawała list, a sprawdziliśmy, że rozwiedliście się właśnie w czerwcu. Co jej pan przypominał w rocznicę rozwodu?

- Nie pisałem do niej żadnych listów.

- Słyszeliśmy jednak, że nie rozstaliście się w przyjaźni.
- Ta kurwa oskarżała mnie, że molestuję córkę! Szmata się puszczala i... - Kincel urwał, uświadomiwszy sobie, że tym wy-buchem się pogrąża.

- Podsumujmy - Senik potarł podbródek. - Na Talmudzie, który znaleźliśmy w mieszkaniu ofiary, są pańskie odciski palców. Zaznaczony krwią fragment podaje motyw: zemsta za zdradę żony.

Mężczyzna, który kupował Talmud, odpowiada pańskiemu rysopisowi podanemu przez sprzedawcę - komisarz położył przed nim portret pamięciowy. - Zrobimy zresztą okazanie. Poza sprzedawcą mamy drugiego świadka, właściciela Hieronima, gdzie zlecił pan tłumaczenie tytułu. Komórka, z której zamawiano książkę i uma-wiano się z ofiarą, zamilkła w tym samym czasie, kiedy rzekomo skradziono panu telefon. Nie ma pan alibi. Dalsze zaprzeczanie jest bez sensu, pogorszy tylko pana sytuację, bo sądy są mniej łaskawe dla tych, co nie chcą się przyznać i wyrazić skruchy.

- Miałbym ją zamordować za zdradę? No to miałem poważniejszy powód, żeby zabić swoją drugą żonę. Nie tylko mnie zdradziła, ale i zabrała mi dzieci. A może ją też zabiłem, tylko jeszcze o tym nie wiem?

- Jak się nazywa pana druga żona i gdzie mieszka?

- Magdalena Ostrowska. Formalnie nie była moją żoną, żyliśmy w konkubinacie. Jak mnie wsadzili na podstawie tych fałszywych oskarżeń, uciekła z dziećmi do Polski.

Aspirant drgnął, usłyszawszy nazwisko konkubiny Kincla.

Chyba widział je na jakimś dokumencie. Ale na jakim? Zastanawiał się, ale nie potrafił sobie przypomnieć. Dręczyło go jednak poczucie, że to bardzo ważne. Sięgnął po leżącą na stole teczkę z aktami i przejrzał je. Nie, w sprawie zabójstwa Paczkowskiej Magdalena Ostrowska nie występowała. Podniósł się i wyszedł, żeby sprawdzić akta pozostałych spraw, przy których pracował.

Zaczął od zamordowanego rodzeństwa, zgodnie z żywionym od początku przekonaniem, że te trzy zabójstwa się ze sobą wiążą.

Od razu znalazł to, czego szukał: Magdalena Ostrowska-Elert była matką Adama i Izy.

Lepka wrócił do pokoju przesłuchań i dyskretnie wręczył Senikowi oba akty urodzenia. Ten przebiegł je wzrokiem i podał Markowskiemu.

- Czy Magdalena Ostrowska, pańska druga żona, i Magdalena Ostrowska-Elert, matka Adama Elerta i Izabeli Elert to ta sama osoba?

-Adam i Iza to moje dzieci, ale nazwisko mają po mnie: Kincel.

- Proszę podać daty urodzin pańskich dzieci.

- Iza urodziła się 31 października 1982 r., a Adam 22 kwietnia 1984 r.

Nie było wątpliwości, chodziło o te same osoby.

- To są dzieci, które miał pan z Magdaleną Ostrowską?

- Nie, z Beatą. Magda je tylko adoptowała, a potem uciekła z nimi do Polski.

Zdumieni czy wręcz zszokowani policjanci poderwali się z krzesel i wyszli na korytarz. Markowski zapalił papierosa.

- Co tu się, kurwa, dzieje?! - konsternacja Senika była tak wielka, że użył przekleństwa, po które normalnie nie sięgał.

- Nie tylko rodzeństwo, ale i ich matka - dla odmiany Markowski był zadziwiająco spokojny.

- Dlaczego nikt tego nie odkrył?! Młody - komisarz zwrócił się do Lepki - czy ty nie miałeś powiadomić Elertów, że ich dzieci zostały zabite? Przecież wtedy wyszłoby na jaw, że nie są ich biologicznymi rodzicami!

Aspirant pobladł. Po rozmowie z mężem Bieleckiej nie chciał dzwonić, tylko pójść osobiście, ale jakoś się nie zebrał. Ciągłe wypadały mu pilniejsze sprawy do załatwienia, może

podświadomie się ociągał, bojąc się, jak psychicznie znieśie rolę posłańca przyno-szącego rodzicom wiadomość o śmierci dzieci. Nie można chyba przekazać gorszej wiadomości. A nikt go nie ponaglił, nikt nie dopominał się wydania zwłok, które spokojnie spoczywały sobie w lodówkach zakładu medycyny sądowej. Teraz przypomniał sobie, że miał powiadomić Bieleckiego, kiedy będzie mógł zabrać ciało żony.

- Chciałem... osobiście... - wyjąkał, z przerażenia ledwie dobywając głosu.

-1 dlaczego przez tyle czasu nie poszedłeś?!

- Daj mu już spokój - nieoczekiwanie uratował go Markowski. - Wszyscy popełniliśmy błędy. Paczkowska w mieszkaniu na pewno miała zdjęcia dzieci, choćby jak były małe. Przegapiliśmy je, zasugerowaliśmy się zeznaniami sąsiadek, w pracy też nikt nie wspomniał, że mogła mieć męża i dzieci. Jakoś tak automatycznie przyjęliśmy, że była samotna, skoro nikt przez tydzień nie zainteresował się jej nieobecnością. A nie mieliśmy podstaw, żeby porównywać jej DNA z DNA pozostałych ofiar. No i morderstwa popełniono w dwóch różnych środowiskach, trudno było zakładać jakikolwiek związek. Może to tylko zbieg okoliczności.

- W zbieg okoliczności mogłem uwierzyć przy siostrze i bracie, przy całej rodzinie nie wierzę - powiedział już spokojniej komisarz. - Nic, chyba na razie trzeba go zamknąć, zrobić okazanie i ściągnąć tu tę Elert.

Przesłuchanie Magdaleny Ostrowskiej-Elert wyjaśniło przynajmniej do końca rodzinną odyseję. Kincla poznała z ogłoszenia matrymonialnego i wyjechała do niego do Niemiec. Swoją byłą żonę przedstawiał jako alkoholickę, która szkalowała go fałszy-wymi oskarżeniami o molestowanie córki. Chciał, żeby Magda adoptowała Iżę i Adama, stając się w świetle prawa ich matką. Nie miała nic

przeciwko temu, z dziećmi bardzo się zżyła, traktowała je jak własne. Kiedy Kincel trafił do więzienia za molestowanie wychowanki w ośrodku, zdała sobie sprawę, że oskarżenia były prawdziwe i że dziewczynka nie będzie bezpieczna, kiedy ojciec wyjdzie na wolność. Wystąpiła do sądu o pozbawienie go praw rodzicielskich. Ponieważ bała się, że w Niemczech Kinclowi łatwiej byłoby odebrać jej Izę i Adama, wróciła do Polski. Kincel jej tu nie szukał, najwyraźniej na dzieciach wcale mu nie zależało, były tylko narzędziem zemsty na byłej żonie. Potem wyszła za mąż za Piotra Elerta, który również adoptował dzieci i dał im swoje nazwisko.

To tłumaczyło akty urodzenia otrzymane w USC przez aspiranta: przy adopcji sporządza się nowe akty urodzenia i rodziców adopcyjnych wpisuje jako prawdziwych.

- No dobrze, ale to nie wyjaśnia, dlaczego pani córka została prostytutką, a syn narkomanem - zauważył Senik.

- Nie wiem, czy nie wyjaśnia. Czy pan myśli, że takie trauma-tyczne przeżycie znika po tym, jak sprawcę odetnie się od dziecka?

A chłopiec mógł być świadkiem tego, co spotykało siostrę. Wychowywałam ich dobrze, nie mam sobie nic do zarzucenia, ale nawet dzieci z najlepszych rodzin trafiają na ulicę, a co dopiero z takim obciążeniem!

- Czy po powrocie do Polski skontaktowała się pani z ich biologiczną matką?

- Nie, nawet nie wiedziałam, że też wróciła do Polski.

- Nie próbowała jej pani odnaleźć? - zapytał inspektor.

- Nie - ucieła twardo kobieta i zacisnęła usta. Nie uległa wątpliwości, że zdaje sobie sprawę, iż nie było to ładne postępowanie, ale nigdy się do tego nie przyzna.

- A same dzieci?

- Ledwie ją pamiętały, poza tym zostały do niej negatywnie nastawione przez ojca. Prawdziwą matką byłam dla nich ja. Do okazań policja wykorzystywała obecnie swój nowy

nabytek, pokój lustrzany, który umożliwiał także śledzenie przesłuchań.

Większy problem nastęczało znalezienie mężczyzn podobnych do Kincla, niskich, łysych i otyłych. Z pracowników komisariatu nadał się tylko jeden. Komisarz musiał obdzwonić inne komisariaty i z niemałym trudem skompletował brakującą trójkę: policjant, mąż księgowej i jeden z zatrzymanych.

Potem zadzwonił do bukinisty z informacją, że posyła po niego radiowóz.

- Fajnie, ale sąsiedzi gały wywałą, że mnie policja zabiera
- ucieszył się bukinista. Najwyraźniej należał do ludzi, którzy wścibskim sąsiadom lubią zagrać na nosie.

Właściciel Hieronima był daleko mniej zadowolony, narzekał, że musi na ten czas zamknąć biuro, że straci klientów, pytał, kto mu zwróci pieniądze.

Najpierw do pomieszczenia, w którym za lustrem stali w szeregu pozoranci i Kincel, trzymając w rękach tabliczki z numerami, wprowadzono bukinistę. Przyglądał się uważnie przez pół minuty, po czym powiedział:

- Czwórka.

Czwórkę miał Kincel.

- Jest pan pewien?

- Całkowicie. To on złożył zamówienie na Talmud.

- Dziękujemy panu, proszę jeszcze zaczekać, musi pan podpisać protokół z okazania.

Właściciel biura tłumaczeń nie okazał się równie pomocny.

Także wskazał czwórkę, ale z wielkim wahaniem i zastrzeżeniami „chyba”, „nie jestem pewien”, „na sto procent nie mogę powiedzieć”.

Po przesłuchaniu Ostrowskiej-Elert i okazaniu policjanci jeszcze raz przeanalizowali sytuację. Ktoś zamordował całą rodzinę - precyzyjniej rzecz biorąc, matkę i dwójkę jej dzieci. Dzieci wychowały się jednak w zupełnie innym domu.

Według zeznań macochy biologicznej matki nie widziały od lat, a ta z kolei przypuszczalnie nawet nie wiedziała, że są w Polsce. Patrząc z tego punktu widzenia, ofiarą padło rodzeństwo i obca im osoba. Morderca, który wziąłby na cel całą rodzinę, musiałby przede wszystkim wiedzieć, że Paczkowska była matką Izy i Adama, a krąg takich osób, mających przy tym jakikolwiek motyw, zawężał się do Kincla. Przynajmniej jeśli chodzi o matkę i córkę. Kincel nienawidził swojej byłej żony, a córka mogła mu na przykład grozić, że w końcu złoży na niego doniesienie, że w dzieciństwie ją molestował.

Pozostawało jedno „ale”: w przypadku córki wszystkie dowody wskazywały na księdza.

- Może zmusił klechę do morderstwa, szantażując, że ujawni jego pedofilskie skłonności - Markowski starał się rozwiązać to „ale”.

- A skąd by o nich wiedział? - zareplikował Senik.

- Sam jest pedofilem, mogli się zetknąć w swoim środowisku.

- Dlaczego w takim razie żonę i syna załatwił sam?

- Co do syna, to jeszcze nie wiemy. Może uznał, że trzy zlecenia to za dużo, za duże ryzyko, że któryś zleceniobiorca puści farbę. A tak nic go nie wiąże z morderstwem córki, więc chęć wykończenia całej rodziny odpada jako motyw, no a w przypadku żony liczył na to, że do niego nie dojdziemy. Jeśli dobrze rozumiemy, na morderstwo córki powinien mieć żelazne alibi, mimo że prawie w ogóle nie wychodzi z domu.

- Dlaczego nie zmusił księdza do zabicia całej trójki? - komisarz nadal miał wątpliwości.

- Teoria gier. Jest jakaś stawka, powyżej której graczowi nie opłaca się ryzykować. W przypadku klechy Kincel oceniał ją pewnie na jedno, góra dwa zabójstwa. Ponadto przy tym samym zabójcy automatycznie wpływa motyw,

że chodzi akurat o tę rodzinę.

- Zapominasz o kasecie, którą nagrała Bielecka. Podwójny szantaż, gdzie przypadkowo ksiądz jest szantażowany, żeby zabił drugiego swojego szantażystę... a Bielecka nie działałaby przecież w porozumieniu z ojcem, który ją molestował. Nie - pokręcił głową Senik - znowu nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

- Jednak bym tego nie wykluczał - upierał się przy swoim Markowski. - W środowisku Bieleckiej szantaż jest na porządku dziennym, a ksiądz, i do tego pedofil, jest łatwą ofiarą. To by też wyjaśniało, dlaczego klecha się zgodził: za jednym pociągnięciem spustu rozwiązywał dwa problemy.

Przed ponownym przesłuchaniem Kincla inspektor skontaktował się z Gryską, żeby dowiedzieć się, co dało przeszukanie mieszkania podejrzanego.

Wrócili do pokoju przesłuchań. Kincel pocił się, był znacznie bardziej zdenerwowany niż przed południem.

-Twoja sytuacja wygląda coraz gorzej - oznajmił mu Markowski. - Mamy powody przypuszczać, że stoisz też za morderstwem swoich dzieci.

- Moje dzieci nie żyją?! - wykrzyknął Kincel. Pochylił się w przód na krześle i ukrył twarz w dłoniach.

- Dobra, dobra, wiemy, jak je kochałeś, zwłaszcza córkę.

- Panowie, to jakaś straszliwa pomyłka, nie zabiłem ani swojej żony, ani dzieci. Z jakiego powodu? Już mówiłem, że to przecież druga żona mi je zabrała. Jeśli miałbym kogoś zabijać, to ją.

- Dzieci miałeś w dupie, służyły ci tylko do odgrywania się na pierwszej żonie, której naprawdę nienawidziłeś.

- Bzdura.

Kincel starał się mówić przekonująco, ale uwagi policjantów nie uszedł fałsz w jego głosie.

- Gdzie pan był w czwartek 5 marca od osiemnastej do drugiej w nocy?

- A kto wtedy zginął? - Kincel nie doczekał się odpowiedzi, więc dodał: - Pewnie też w domu, mówiłem, że rzadko wychodzę.

-Aw śró...

- Chociaż zaraz, na początku marca byłem w szpitalu, nie pa-miętam, czy akurat piątego, ale to łatwo sprawdzić. Miałem atak.

Zemdlałem, jak po południu szedłem do sklepu. Zabrała mnie karetka!

- Dobrze, proszę jeszcze podać, gdzie pan był w środę 18 marca w godzinach dziewięta-jedenasta rano - Kincel był pierwszym pytany o alibi na czas zabójstwa Adama. Dotychczas nie mieli w tej sprawie podejrzanego.

- Pewnie też w domu - odparł Kincel po krótkim zastanowieniu.

Markowski zapalił papierosa. Kincel spojrzał łapczywie i poprosił:

- Mógłby mnie pan poczęstować... miałem iść po papierosy, kiedy mnie zatrzymaliście i...

Inspektor podsunął mu paczkę i zapalki.

- Weź sobie.

Kincel obsłużył się drżącymi rękami.

- Bukinista bez żadnych wątpliwości rozpoznał cię jako kupującego Talmud. Wyjaśnisz to?

- To pomyłka, nie kupowałem żadnego Talmudu, nie znam żadnego bukinisty, nawet nie wiem, co to znaczy - zaciągnął się nerwowo papierosem.

- Zna pan niejakiego Edwarda Bendyka? - policjanci przeszli od drażenia tematu do taktyki atakowania z różnych stron.

-Nie, kto to jest?

- Pewien wikary.

- Nie znam żadnego wikarego, nie chodzę do kościoła.

- Nie mówimy, że poznałeś go w kościele, macie wspólne

zainteresowania. W twoim mieszkaniu znaleźliśmy ciekawą kolekcję w komputerze. I ładnych parę kontaktów, które już rozpracowuje-my. Rzekomo nie mailujesz, bo to dla młodzieży. Nie chciałeś, żebyśmy zaglądali do twojego komputera, co? No widzisz, a nasi ludzie byli tak mili i chcieli znaleźć ci alibi, ale znaleźli coś zupełnie innego. To wystarczy, żeby zapuszkować cię na pięć lat.

Sędziowie też mają małe córki i bardzo boją się myśli, że mogły-by one trafić na takie zdjęcia, jakie ty lubisz oglądać. A byłeś już w pierdlu i wiesz, że lepiej siedzieć piętnaście lat za morderstwo niż pięć za pedofilię. A może u szkopów jest inaczej i jeszcze nie zostałeś cwelem?

Kincel milczał przez długą chwilę. Coś rozważał, paląc papierosa.

Potem oświadczył:

- Nic więcej nie powiem. Chcę adwokata.

15 kwietnia, środa

Prokurator Mordarski rozsiadł się w wygodnym fotelu, z przyjemnością przesuwając ręką po gładkiej skórze. Powiódł wzrokiem po ścianach pomalowanych niedawno na kremowy kolor i po eleganckich szafkach, w których spoczywały akta prowadzonych przez niego spraw. Trzy teczki leżały przed nim na dębowym biurku. Rozkoszowanie się gabinetem przerwało wejście sekretarki. Ona jedna tu nie pasowała: miła kobieta, ale po pięćdziesiątce, i widać było, że nawet w latach młodości nie grzeszyła ani figurą, ani urodą. Mordarski westchnął: państwowa posada, nawet tak dobrze płatna jak jego, niosła ze sobą ograniczenia. Długonogie piersiaste blondynki mogli zatrudniać prezesi prywatnych firm, w prokuraturze obowiązywały takie nonsensy jak prawo pracy: sekretarkę odziedziczył po poprzedniku i ze zmianą na młodszy model musiał poczekać, aż ta

dobrowolnie odejście, co w tym przypadku oznaczało pewnie dopiero odejście na emeryturę. Chodziło mu przy tym wyłącznie o podniesienie reprezentacyjności gabinetu, jako że sam był gejem. Oczywiście się kamuflował, czemu służyły żona i dwie córki. W kraju panował taki klimat, że gdyby się ujawnił, nie mógłby liczyć na nic więcej niż stanowisko szeregowego prokuratora. A kto wie, czy za obecnego ministra sprawiedliwości - znanego homofoba, który zasłynął z zakazania demonstracji gejowskiej, kiedy jeszcze był prezydentem miasta - nie straciłby pod jakimś pretekstem pracy. Przypomniały mu się teorie psychologiczne, że homofobia jest często reakcją na utajone skłonności homoseksualne. Spróbował wyobrazić sobie scenę miłosną z ministrem, ale tylko wzdrygnął się na myśl o znalezieniu się w łóżku z tym grubiotkim pigmejem.

- Inspektor Markowski i komisarz Senik - zaanonsowała sekretarka.

Mordarski oczekiwał ich, ale mimo to się skrzywił.

Nie znosił tego chama Markowskiego, ordynusa w najgorszym wydaniu.

Usiłował nawet znaleźć jakieś haki, żeby zdegradować go na krawężnika, ale okazało się, że jakkolwiek haków by nie zabrakło, inspektor za dużo wiedział, przez co był nie do ruszenia.

- Dzień dobry panom - przywitał się Mordarski. - Proszę usiąść.

Senik odpowiedział dzień dobry, Markowski mruknął coś pod nosem. Usiedli na krzesłach przed biurkiem.

- Panowie, co jest? - prokurator bez wstępów przeszedł do rzeczy. - Mam trzy różne sprawy i co spostrzegam? Że ofiary są ze sobą spokrewnione! Nawet jeśli policja nie stwierdziła związków między tymi zabójstwami, to wypadałoby mnie poinformować o takim zbiegu okoliczności.

- Na jakiej drodze? - Markowski jak zwykle nastawiony był do Mordarskiego konfrontacyjnie. - Albo jest powiązanie, albo go nie ma. W tych sprawach nie ma. Pokrewieństwo ofiar jest tu bez znaczenia.

- Formalnie tak, ale to ja wnoszę akt oskarżenia i muszę o tym wiedzieć. Nie chcę, żeby obrona zaskakiwała mnie na sali sądowej taką informacją i grała na uzasadnionych wątpliwościach, że policja nie znalazła właściwego motywu. A telefon do prokuratury chyba pan ma?

- Przecież pan ustalił, że mamy do czynienia z rodziną. W czym problem?

- W tym, że gdyby te trzy sprawy nie trafiły akurat do mnie, niczego bym nie ustalił! I tak cud, że zwróciłem na to uwagę, przecież matka i dzieci mają inne nazwiska!

- Rzeczywiście powinniśmy poinformować - wtrącił się Senik, chcąc przerwać tę konfrontację - przepraszamy. Z drugiej strony wykluczyliśmy powiązanie, dowody są jednoznaczne, więc nawet gdyby któryś adwokat wyciągnął, że to rodzina, nic by nie osiągnął.

- Dowody są jednoznaczne - zgodził się Mordarski - ale nie ma przyznania się do winy, a sprawa chłopaka nie jest zamknięta: nie wiadomo, co przyniesie.

- Nie może przynieść żadnych rewelacji - starał się uspokoić prokuratora Senik. - Oczywiście najpierw też uznaliśmy, że zamordowanie całej rodziny nie może być przypadkowe i prowadziliśmy śledztwo w tym kierunku - komisarz przemilczał, że o tym, że wszystkie ofiary są ze sobą spokrewnione, dowiedzieli się pod koniec śledztwa.

- Musieliśmy to jednak wykluczyć.

Przede wszystkim matka była dla dzieci praktycznie obca, straciła je, jak były małe. Natomiast dzieci obracały się w patologicznych

środowiskach, gdzie zabójstwa zdarzają się częściej. Kincel miał wyraźny motyw, by zamordować żonę...

- Niby jaki? - przerwał mu prokurator. - Właśnie nie widzę motywu. Zemsta po latach? Trochę zbyt naciągane.

- Niekoniecznie. Zbadał go nasz policyjny psycholog. Kincel jest psychopata, który nienawidził swojej byłej żony, regularnie się na niej mścił, używając do tego dzieci, a zabójstwo było tylko kolejnym, ostatnim etapem tej zemsty. Psycholog wyciągnął z niego na przykład, że Paczkowska również później starała się skontaktować z dziećmi, natomiast Kincel nie wyjawiał jej, że są w Polsce, tylko utrzymywał w przekonaniu, że nadal mieszkają z nim, a on nie wyraża zgody na żadne kontakty.

- W porządku, brzmi sensownie - zgodził się Mordarski.

- Będę musiał zlecić biegłemu sporządzenie ekspertyzy, no bo opinia waszego psychologa ma wartość tylko roboczą.

- Do tego - ciągnął komisarz - Kincel nie miał żadnego motywu, by zamordować dzieci. Co więcej, ma jednoznaczne alibi na czas morderstwa córki - leżał w szpitalu.

Senik nie wspomniał, że alibi Kincel mógł sobie zapewnić, by nie być powiązany z morderstwem, które zlecił. A według doktora Gromowskiego dla cukrzyka nie stanowiło to najmniejszego problemu. Wystarczyło, że wziął insulinę, a potem „zapomniał” spożyć posiłek, doprowadzając do niedocukrzenia i utraty przytomności. Nie znaleźli jednak nic, co wskazywałoby na jakiegokolwiek powiązania wikarego z Kinclem, nie stwierdzili też, żeby Bielecka odezwała się do ojca, grożąc mu doniesieniem. Teoria zabójstwa córki na zlecenie upadła, więc nie było sensu powiększać wątpliwości Mordarskiego.

- Z kolei Bendyk miał motyw, by zabić Bielecką, szantażowała go. Mamy broń, z której została zabita, a którą ewidentnie on ukrył, natomiast nic nie wskazuje na to, by kiedykolwiek był w mieszkaniu Paczkowskiej albo że w ogóle ją znał.

- Ale alibi na ten czas nie ma? - Mordarski nadal był sceptyczny.

- No właśnie podejrzewamy, że ma, tylko nie chce go nam ujawnić.

-Słucham?!

- Podejrzewamy, że zabawiał się wtedy z jakąś nieletnią, więc oczywiście nie powoła jej na świadka w sprawie, w której nie jest oskarżony o morderstwo i nie musi mieć alibi. Zwłaszcza że dałby nam dowody na przestępstwo, którego w tej chwili nie jesteśmy w stanie mu udowodnić. A pytany, gdzie był w czasie, jak zabito Paczkowską, mówi, że nie pamięta.

Senik zamilkł i spojrzał na Markowskiego. Ten zreferował prokuratorowi, do jakich wniosków doszli wcześniej.

- Wydaje się to nieprawdopodobne, ale przyjmijmy taką sytuację: matka i córka padają ofiarą zabójcy, nie widziały się od kilkunastu lat, dziecko wychowała macocha. Gdyby jedna z nich mieszkała w Rzeszowie, a druga w Szczecinie, to przy takich dowodach i przy dwóch różnych sprawcach, których nic nie łączy, nie powstałoby najmniejsze podejrzenie, że w grę wchodzi coś więcej niż zbieg okoliczności.

- Tu mieszkają w jednym mieście, ale zbieg okoliczności nie jest wykluczony - podsumował Senik. - Wie pan, ile czasu po Bellu w urzędzie patentowym zgłosił się kolejny wynalazca telefonu?

- Nie wiem, co ma piernik do wiatraka.

- Dwie godziny! Jako hipotezę uznalby pan taki zbieg okoliczności za niewiarygodny, a jednak to fakt. Gdyby Bell wstał na przykład dwie godziny później, nie on byłby wynalazcą telefonu.

Efektowne porównanie spodobało się Mordarskiemu. Pomyślał, że dobrze zabrzmiałoby na sali sądowej. Ale na razie musiał ustalić, czy z takim materiałem może w ogóle na

tę salę wejść.

- Komisarzu, skupmy się na faktach, a nie telefonach. W porządku, mogę uwierzyć, że to przypadek, że matka i córka zostają zabite w odstępie dwóch tygodni przez dwóch różnych sprawców, ale jest jeszcze chłopak. A w tej sprawie nie widzę, żebyście panowie osiągnęli cokolwiek. Śledztwo stoi w martwym punkcie.

Chyba że chce mi pan powiedzieć, że trzeci gość wynalazł telefon tego samego dnia, tylko nic o nim wiemy.

Senik puścił tę ironię mimo uszu.

- Nic nie wskazuje na Kincla czy Bendyka. Tym razem ten drugi ma alibi, odprawiał mszę, co potwierdziło kilka babć. Kincel z kolei nie ma alibi, ale nie znaleźliśmy jego śladów na miejscu zbrodni. Co więcej, odkąd Ostrowska zabrała dzieci do Polski, Kincel się z nimi nie kontaktował, ani one z nim. Nie miał żadnego powodu, żeby wykończyć syna. Dajmy na to, wbrew naszej wiedzy, że ten zgłosił się do ojca i groził mu doniesieniem o mole-stowaniu siostry. Z całą pewnością jednak narkoman nie działałby z poczucia sprawiedliwości, tylko żeby zdobyć forszę na zakup działki. Kincel mógłby więc uciszyć go pieniędzmi, pewnie niezbyt wielkimi. Poza tym, jeśli już miałby kogoś z tego powodu zabijać, to córkę, bez jej zeznań oskarżenie byłoby gołosłowne.

Ale, jak mówię, nie ma śladu, by taki szantaż miał miejsce.

- A ze śledztwem stoimy - włączył się Markowski - bo według dotychczasowych ustaleń najbardziej prawdopodobny jest skin czyszczący miasto z ćpunów albo gimnazjalista, który rozbił mu łeb dla rozrywki, kiedy ten dał sobie w żyłę. Ostatnio się tego namnożyło. Mamy pod obserwacją smarkaczy z pobliskiej szkoły, informatorzy nadstawiają ucha, czy jakiś łysy nie pochwali się po pijaku, że usunął jednego śmiecia.

Mordarski niezdecydowanie postukał długopisem w dębowy

blat. Zastanawiał się. Markowskiego nie trawił, ale nie mógł nie przyznać, że ma do czynienia ze znakomitym fachowcem. Jeszcze nie przyniósł mu sprawy, która zakończyłaby się uniewinnieniem oskarżonego. Poza tym Senik prezentował identyczne stanowisko, a nie był to facet, który bał się wyrazić własne zdanie, jeśli miał odmienne niż szef. Zresztą mimo służbowej zależności relacja między nimi była przyjacielska. Z rozmowy wynikało też, że policjanci aspektu pokrewieństwa nie zlekceważyli, tylko dokładnie zbadali. Z drugiej strony musiał uważać. Na taką sprawę dziennikarze rzucą się jak szarańcza na pole uprawne. Jakiś adwokat zechce zaistnieć w prasie i naprawdę zajmie się obroną, zamiast przysypiać na rozprawie, i kłapa gotowa. A uniewinnienie w głośnym procesie to klęska, można pakować manatki. Zamiast reprezentacyjnego gabinetu dostałby klitkę, w której ślęczałby nad wyłudzeniami ubezpieczeń. No ale nie miał specjalnego wyboru, mógł zlecić policjantom dalsze czynności, ale żadne się nie nasuwały.

„Jakże naiwnajest myśl, że można zapomnieć, jak nedorzeczną wiara, że czas leczy rany.

Ten ogromny ból nie jest raną.

To ziarno, które padło gdzieś w zakątek serca i wschodzi, i rośnie przez lata, aż staje się drzewem rodzącym każdej wiosny gorzkie kwiaty”.

16 października, piątek

Z samego rana było pogodnie, ale później rozpadał się ulewny deszcz, jakby pogoda zapomniała, że po wrześniu jest jeszcze październik, a nie od razu listopad. Ludzie śpieszący do swoich zajęć rozkładali parasole bądź chowali się pod wiatami przystanków tramwajowych lub w samochodach. Ci, którzy dojechali już do pracy, a nie pomyśleli o parasolu, przebiegali szybko, nakrywając głowę gazetą, teczką albo

połą płaszcza.

Pracownicy Sądu Okręgowego musieli uważać, żeby nie ochlapały ich przejeżdżające samochody. Na jezdni potworzyły się kałuże, a chodnik przed wejściem był bardzo wąski.

„Dzień dobry, panie sędzio! Dzień dobry, panie mecenasie!”

- witano się z odpowiednią tytułaturą. Prawnicy nie musieli przechodzić przez bramkę do wykrywania metalu, którą obsługiwali dwaj antyterrorysty, skrupulatnie sprawdzając pozostałych wchodzących. Wiedzieli co prawda, że do Sądu Okręgowego można przejść korytarzem prowadzącym z Sądu Rejonowego, a tam * Karl Asplund, „Drzewo” wejścia nikt już nie pilnował i tym samym ich kontrola pozbawiona była sensu, ale z rozkazami nie dyskutowali.

Pod salą numer 101 Wydziału Karnego było pusto. Aspirant Lepka podszedł do drzwi i przeczytał wywieszoną wokandę. Na pierwszej pozycji widniało „Godzina rozpoznania sprawy 9.00. Oskarżony Jerzy Kincel” i podany był artykuł kodeksu karnego, z jakiego miał być sądzony. Do rozprawy pozostawał jeszcze kwadrans. Lepka, który znalazł się w sądzie po raz pierwszy w życiu, niepewnie zapukał i nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły, więc wszedł do środka. Ogarnął wzrokiem salę. Pod przeciwległą ścianą mieścił się stół sędziowski, za którym siedziało trzech starców w togach. Dwa środkowe miejsca pozostawały puste. Po prawej stronie znajdowała się dwustopniowa ława oskarżonych: górną część oddzielono kratą na dolnej siedział adwokat w todze z zielonym żabotem. Natomiast prokurator Mordarski po lewej stronie był jeszcze po cywilnemu, w garniturze, togę położył przed sobą na stole. Pośrodku znajdowało się podium dla świadków. Lepka trochę się zdziwił: wydawało mu się, że w sądzie zeznaje się na siedząco.

- Słucham pana? - przerwał jego obserwacje jeden z

ławników.

- Aspirant Lepka z policji, przyszedłem na rozprawę - Lepka koniecznie chciał zobaczyć proces pierwszego przestępcy, w którego złapaniu uczestniczył. Specjalnie poprosił o urlop na ten dzień.

- Jest pan świadkiem?

-Nie.

- To proszę.

Ławnik wskazał mu ręką miejsca dla publiczności i wrócił do przerwanej rozmowy, zwracając się do prokuratora:

- To co, Sławek, ile dla niego wołasz?

-A ile mam wołać? Dożywocie, jak bum-cyk-cyk.

- Spokojnie, panowie - odezwał się adwokat, wysoki szatyn po czterdziestce - najpierw trzeba udowodnić winę.

- Co tu udowadniać? - wtrącił się drugi ławnik. - Nie znasz akt swojego klienta? Pedofil, winien jak nic.

- Myślałem, że rozstrzygamy sprawę o morderstwo.

- Chyba nie wierzysz w jego niewinność? - zaperzył się starszek.

- Daj mu spokój - pierwszy ławnik przywołał kolegę do porządku. - Klient twierdzi, że jest niewinny, to co Rysiu ma mówić?

Oberwałby za złamanie etyki. Ale ci nie zazdrozczę - zwrócił się do adwokata. Gdyby się przyznał, mógłbyś powoływać się na okoliczności łagodzące i może dałoby się uzyskać te dwadzieścia pięć, a tak... cienko to widzę - pokręcił głową z miną wyrażającą dezaprobatę dla głupoty, która skończy się zamknięciem nie na ćwierć wieku, tylko na całe życie.

- Dwadzieścia pięć?! - zirytował się drugi ławnik. - Dla takich dożywocie to mało. Ty widziałeś, jak on tę babkę pocał?!

Karę śmierci... - urwał, bo drzwi, których Lepka wcześniej nie dostrzegł, schowane za załomem muru po lewej stronie stołu sędziowskiego, otworzyły się i weszły dwie kobiety oraz

mężczyzna.

Wnioskując ze strojów i akcesoriów, sędziowie i protokółantka.

Sędzia, przewodnicząca składu, mniej więcej czterdziestoletnia kobieta o surowym wyrazie twarzy, zajęła miejsce na środkowym krześle. Z dezaprobatą spojrzała na Lepkę i pochyliła się ku pierwszemu ławnikowi, o coś go pytając.

Ten zrobił uspokajający gest ręką, a aspirant wyczytał z jego ust słowo „policjant”. Wejście sędziów wyraźnie zmieniło atmosferę z towarzysko-plażowej na podniosłą. Prokurator w pośpiechu nałożył togę z czerwonym żabotem, ławnicy przybrali marsowo-zadumane miny, a adwokat, wstawszy, siadał tak powoli, jakby się zastanawiał, czy już mu wolno.

Po chwili otworzyły się główne drzwi i wszedł Kincel konwojowany przez dwóch policjantów. Był ubrany w granatowy sweter i szare spodnie, ręce miał skute kajdankami. Lepka zobaczył, że jest śmiertelnie przerażony i strasznie się poci. Wodził takim wzrokiem, jakby prowadzono go nie na rozprawę, ale już na szafot.

Na ławie oskarżonych konwojenci zdjęli mu kajdanki i usiedli po bokach.

Sędzia przewertowała akta, wyjęła jakąś kartkę i zwróciła się do protokółantki, która zajęła miejsce przy krótszym brzegu stołu:

- Proszę wywołać sprawę.

Protokółantka otworzyła drzwi na korytarz i lekko podnosząc głos, oznajmiła:

- Sprawa przeciwko oskarżonemu Jerzemu Kinclowi, świadkowie...

Na salę weszło osiem osób. Sędzia sprawdziła, czy wszyscy świadkowie się stawili. Nie było lekarza, doktora Gromowskiego.

- Zwrotkę dostaliśmy - sędzia zajrzała do akt. - Świadek

został prawidłowo wezwany.

- Z tego co wiem, już jedzie - odezwał się Markowski. - Rano miał wezwanie do jakiegoś trupa.

Ławnicy spojrzeli na siebie, zde gustowani do borem słownictwa.

Gryzko, profesor Wikliński, bukinista i biegły psycholog byli obecni. Sędzia zainteresowała się pozostałą trójką.

- Pana znam, panie Kiciński - zwróciła się do starszego mężczyzny ubranego w sprany prochowiec. - Pan nie ma nic cie-kawszego do roboty, tylko przychodzić na wszystkie rozprawy?

Mężczyzna skulił się, jakby przestraszony, ale ani myślał dać się wyrzucić.

- Rozprawy są jawne - zaprotestował półgębkiem.

- A pani? - Sędzia nie poświęcała mu więcej uwagi.

- Hanna Matych z „Kuriera Miejskiego” - dziennikarka przedstawiła się pewnym głosem. Mordarski zaniepokojony uniósł głowę, ale po chwili doszedł do wniosku, że była to rutynowa wizyta reportera sądowego. Tłum dziennikarzy się nie pojawił, nie zwąchali więc, że według policji i i prokuratury trzyosobowa rodzina w odstępie dwóch tygodni padła ofiarą trzech różnych morderców.

Zresztą jak. Procesy toczyły się osobno, w jednym ofiara nazywała się Paczkowska, w drugim Bielecka, a teczka Adama Elerta nadal spoczywała wśród spraw umorzonych.

Ostatni z widzów nie podał nazwiska, powiedział, że jest znajomym ofiary.

- Świadców proszę o opuszczenie sali - zarządziła sędzia, a kiedy polecenie zostało wykonane, spojrziała na Mordarskiego.

- Panie prokuratorze, proszę.

Mordarski podniósł się i odczytał akt oskarżenia. Tak szybko i niewyraźnie, że gdyby Lepka nie znał sprawy, miałby kłopot

ze zrozumieniem, jaki zarzut stawia się Kinclowi.

- Dziękuję. Czy oskarżony przyznaje się do winy i czy będzie składał wyjaśnienia?

Kincel podniósł się blady i z trudem wydobył z siebie:

- Nie, proszę pani.

- Do Wysokiego Sądu zwracamy się „proszę Wysokiego Sądu” - pouczyła go sędzia. - Nie przyznaje się i nie będzie składał wyjaśnień?

Zdruzgotany Kincel nie był już w stanie wydusić słowa. Wstał jego adwokat.

- Oskarżony nie przyznaje się do winy i skorzysta z prawa do odmowy składania zeznań.

- Dobrze, w takim razie proszę wezwać pierwszego świadka, doktora Gromowskiego, a jeśli jeszcze nie przyjechał, pana Adama Gryszkę - poleciła sędzia protokółantce.

Patolog jeszcze nie dotarł i miejsce dla świadków zajął szef techników. Musiał podać personalia i wiek, został pouczone o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań. Potem przystąpił do referowania ustaleń poczynionych na miejscu zbrodni.

- Ofiara została zabita nożem, śmierć nastąpiła...

- Kwestie medyczne proszę zostawić lekarzowi, proszę się skupić na narzędziu zbrodni.

- Nóż znaleźliśmy w mieszkaniu, pochodził z kompletu posiadane przez ofiarę.

- Czy były na nim odciski palców?

- Żadnych, został starannie wytarty.

Sędzia podyktowała odpowiedzi do protokołu.

- Proszę kontynuować.

- Na miejscu zbrodni został znaleziony otwarty Talmud z zaznaczonym krwią fragmentem. Zidentyfikowaliśmy odciski palców zostawione na okładce. Są to odciski oskarżonego. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

- Tak, ekspertyzę mamy w aktach - potwierdziła sędzia. -
Panie prokuratorze, panie mecenasie, pytania do świadka?
Mordarski pokręcił przecząco głową. Adwokat zajrzał do swoich notatek.

- Ja mam pytanie. Czy na Talmudzie znaleźliście jeszcze jakieś odciski palców poza odciskami oskarżonego?

-Tak.

-Czyje?

- Nie udało się nam ich zidentyfikować.

- Czy poza tym w mieszkaniu były odciski palców oskarżonego?

-Nie.

- Jego DNA?

- Nie stwierdziliśmy, ale oskarżony jest łysy i nie nosi zarostu, więc siłą rzeczy włosów nie mógł zostawić, no a zostawienie śliny, krwi czy spermy nie jest automatyczne.

- Czy inne ślady wskazują na obecność oskarżonego w mieszkaniu?

-Nie, chociaż...

- Dziękuję, to wszystko - przerwał mu adwokat.

- Czy w mieszkaniu ofiary znaleziono ciemnoszare włókna pasujące do opisu płaszcza w jodełkę, w jakim widziano oskarżonego? - Mordarski nie pozwolił adwokatowi na sztuczkę.

-Tak.

- Gdzie?

- Na kanapie, gdzie sprawca przypuszczalnie siedział, i na ubraniu ofiary. Zapewne znalazły się tam w chwili, gdy przytrzymał ją, żeby obezwładnić chloroformem.

- Ale tych włókien ani płaszcza nie znaleziono w mieszkaniu oskarżonego? - odparł cios obrońca.

- Nie, nie znaleziono.

Wezwano kolejnego świadka, tym razem doktora Gromowskiego, który w końcu dojechał. Patolog szczegółowo

przedstawił obrażenia, jakich doznała ofiara, i powtórzył to, co napisał w orzeczeniu: że bezpośrednią przyczyną zgonu było wykrwawienie.

Po wyjściu Gromowskiego poproszono bukinistę, który opisał znaną już Lepce transakcję.

- Niech świadek podejdzie do stołu - rozkazała sędzia. - Czy świadek jest całkowicie pewien, że sprzedał oskarżonemu akurat ten egzemplarz? - pokazała leżący wśród akt Talmud.

Bukinista powiedział to samo, co wcześniej aspirantowi: że książka ma charakterystyczne uszkodzenie grzbietu, po którym ją rozpoznaje.

Sędzia znowu podyktowała odpowiedzi do protokołu.

- Dobrze, proszę wrócić na miejsce. Czy świadek w oskarżonym rozpoznaje kupującego?

- Tak, bez najmniejszych wątpliwości.

Kincał zerwał się z ławy i zaczął płacząco wołać:

- Dlaczego mi pan to robi?! Przecież pan wie, że nie kupowałem tego Talmudu, ja w ogóle nie kupuję książek, nigdy pana nie widziałem! Co ja panu zrobiłem? - osunął się z powrotem i rozplakał.

Bukinista spojrzał na niego zdumiony, zamarł na chwilę, jakby chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się i pokręcił głową.

- Podtrzymuje pan swoje zeznanie?

- Tak, podtrzymuję.

- Ile razy widział pan oskarżonego? - to był adwokat.

- Przed okazaniem dwa razy - odparł bukinista. - Przy składaniu zlecenia i odbiorze książki.

- Ile trwały te wizyty?

- Oj, krótko.

- Pięć, dziesięć, piętnaście minut?

- Tak dokładnie nie pamiętam, ale raczej w tych dolnych granicach.

- A ile czasu minęło od transakcji do okazania?
- Około półtora miesiąca.
- Dużo ma pan klientów?
- Sporo, choć z większością kontaktuję się wyłącznie telefonicznie lub przez Internet.
- Ilu klientów w miesiącu odwiedza pana osobiście? Proszę się dobrze zastanowić, bo to ważne.

Bukinista przez dłuższą chwilę liczył w myślach.

- Powiedziałbym, że około dziesięciu.

- Dziękuję - adwokat odchylił się w tył i szepnął swojemu klientowi kilka słów.

Kolejnymi świadkami byli eksperci: biegły psycholog i profesor Wikliński jako hebraista. Psycholog zeznał, że Kincl jest wręcz podręcznikowym przykładem psychopaty, który uważa pociąg fizyczny do własnej córki za zupełnie naturalny, a ludzi usiłujących przeszkodzić mu w realizacji tego popędu nienawidzi.

Najsilniejszą nienawiść odczuwał wobec żony, która przeciwstawiła mu się jako pierwsza, mimo że, zdaniem Kincla, powinna mu się podporządkować i akceptować jego zachowania. Kincl postrzega podział ról w rodzinie w ekstremalnie patriarchalny sposób. Najpierw się na byłej żonie zemścił, odbierając jej dzieci, a potem, kiedy ta zemsta przestała go zaspokajać, zabił. Rozpiętość w czasie nie ma znaczenia, gdyż dla psychopatów czas jest absolutnie względny, reakcja może nastąpić po miesiącu albo po wielu latach.

- Zabił czy mógł zabić? - zapytał obrońca.

- Mógł zabić, oczywiście - poprawił się psycholog.

- To proszę być precyzyjnym, chyba nie chce pan, żeby skazano niewinnego człowieka tylko z tego powodu, że używa pan niewłaściwych sformułowań? - zauważył z przekąsem adwokat.

- Panie mecenasie! - przywołała go do porządku sędzia.

- Jak przedstawiony przez pana portret psychologiczny
- zwrócił się do świadka Mordarski - ma się do treści zaznaczonego w Talmudzie fragmentu, który mówi o niewiernej żonie? Czy oskarżony chciał zatuszować prawdziwy motyw?

- Ależ skąd. Odejście żony, kiedy we własnym mniemaniu nie zrobił nic złego, co by to odejście uzasadniało, potraktował jako zdradę. Do tego zdradziła go w klasycznym rozumieniu tego słowa, miała kochanka.

W trakcie zeznań Wiklińskiego Lepka, słysząc ponownie wykład o Talmudzie, zaczął się powoli nudzić. Musiał stwierdzić, że rozprawa jest daleko mniej emocjonująca, niż się spodziewał, i w znacznej mierze polega na powtarzaniu faktów ustalonych w śledztwie i przytaczaniu ekspertyz będących już w aktach.

Uciążliwa była też procedura protokolowania, polegająca na dyktowaniu przez sędzię wypowiedzi świadków, co wydłużało przesłuchania. Aspirant zastanawiał się, dlaczego protokółantka nie stenografuje.

- Czy ta wiedza, którą pan profesor nam tu przedstawił, jest powszechnie dostępna? - zapytał adwokat. - To znaczy, czy przeciętny Polak wie, czym jest Talmud?

- Nie sądzę, myślę, że większość potrafi prawidłowo przyporządkować go kulturze żydowskiej, ale na tym koniec.

- Zgadza się. Uchodzę za osobę o niemałej erudycji, ale przed tą rozprawą nie potrafiłbym powiedzieć o Talmudzie nic więcej.

Tym bardziej oskarżony, którego zainteresowania humanistyczne są raczej ograniczone.

- Jak brzmi pytanie, panie mecenasie? - sędzia znowu przywołała adwokata do porządku.

- Czy Talmud został przetłumaczony na język polski?

- Nie, Talmud Jerozolimski, z którym mamy tu do

czynienia, przełożono tylko na francuski.

Adwokat odwrócił się do swojego klienta.

- Zna pan francuski?

-Nie.

- Czyli mój klient - obrońca ponownie zwrócił się do profesora -

który hebrajskiego także nie zna, nie mógł rozłożyć sobie oryginału i tłumaczenia i przez porównanie odnaleźć właściwego fragmentu, żeby go zaznaczyć?

- To chyba jest pytanie retoryczne - zauważył Wikliński.

Adwokat ruchem głowy dał prokuratorowi znak, że może zadawać

pytania. Mordarski oparł się łokciami na stole.

- Panie profesorze, czy osoba, która zainteresuje się Talmuderri, będzie miała jakiegokolwiek kłopoty, by zasięgnąć o nim informacji?

- Najmniejszych, literatura przedmiotu jest bardzo bogata.

- Pan, zdaje się, sam napisał książkę o Talmudzie?

- Nawet kilka.

- Ale chodzi mi o tę, w której cytował pan zaznaczony przez mordercę fragment.

- „Talmud - nauczanie i prawodawstwo”. Faktycznie przytaczam tam rzeczony fragment wraz z wersją oryginalną, bo książka ma charakter raczej naukowy niż popularnonaukowy.

Obrońca, którego ta informacja wyraźnie zaskoczyła, uchwycił się ostatniego stwierdzenia, zapominając o kardynalnej zasadzie, że prawnikowi nie wolno zadawać pytań, na które nie zna odpowiedzi.

- Bardziej naukowy charakter? Czyli książka jest znana raczej w kręgach akademickich?

- Taki był zamysł, z założenia nie piszę dla szerszej publiczności, ale ta pozycja okazała się na tyle przystępna, że trafiła do komercyjnego wydawnictwa i całkiem dobrze

się sprzedała. Została też przełożona na niemiecki.

Mordarski już gratulował sobie zwycięstwa, kiedy adwokat dostrzegł ostatnią deskę ratunku.

- Chwileczkę. Wiemy, że ktoś skorzystał z usług biura tłumaczeń Hieronim, żeby uzyskać tłumaczenie tytułu. Po co mój klient miałby to robić, jeśli rzeczywiście oparł się na pana książce?

Skoro zamieścił pan oryginalne fragmenty, to z pewnością podał pan oryginalny tytuł?

- Niezupełnie - odparł profesor. - W swojej książce omawiam Talmud Babiloński, natomiast sprowadzony egzemplarz to Talmud Jerozolimski.

- Czyli tego zaznaczonego fragmentu nie mógł oskarżony wziąć z pana pracy, skoro omawiał pan inną wersję Talmudu?

- Mógł, bo ten fragment pochodzi z Miszny, która w obu wersjach jest praktycznie taka sama, różni się dopiero Gemarą.

-A dlaczego w takim razie nie sprowadził po prostu Talmudu Babilońskiego, tylko narażał się dodatkowo na rozpoznanie, zlecając tłumaczenie tytułu?

- Nie wiem - przyznał Wikliński. - Trudno mi mówić o czyichkolwiek motywacjach. Talmud Babiloński jest znacznie obszerniejszy, pełne wydanie obejmuje dwanaście tomów, może to jest wyjaśnienie, nie wiem.

Profesor wzruszył lekko ramionami, dając do zrozumienia, że nie jest psychologiem i wolałby się ograniczyć do faktów ze swojej dziedziny.

Adwokat stracił rezon. Deska okazała się nie tylko spróchniała, ale jeszcze złapał jątak niezręcznie, że uderzył się nią w głowę.

Prokurator wiwatował w duchu.

Podziękowano profesorowi, który, jak i poprzedni zeznający, musiał opuścić salę, i poproszono inspektora. Markowski

świadkiem był po raz n-ty, wstępną procedurę znał na pamięć, na rutynowe pytania odpowiadał bez zastanawiania się. Jako jedyny ze świadków nie włożył garnitur.

Markowski przedstawił ustalenia ze śledztwa, opisał, jak doszło do wykrycia i ujęcia sprawcy. Kiedy sędzia zakończyła zadawanie pytań, do ataku przystąpił adwokat.

- Panie inspektorze, czy prawdą jest, że w tym samym czasie ofiarą morderstw padły dzieci Beaty Paczkowskiej?

Dziennikarka podniosła głowę, wietrząc sensację, a prokurator Mordarski głośno jęknął.

- Tak, to prawda.

- Syn i córka?

- Tak.

- Czyli ktoś wymordował całą rodzinę?

- Nie ktoś. Paczkowską zamordował jej były mąż, córkę inny sprawca. Ustaliliśmy, że nie działali wspólnie i nie występują między nimi żadne powiązania.

- Czyli policja jest całkowicie pewna, że córki nie zamordował mój klient?

-Tak.

- Co z synem?

- Zabójcy syna jeszcze nie znaleźliśmy.

- Jeszcze? Dość eufemistyczne określenie, biorąc pod uwagę, że policja nie ma najdrobniejszego tropu.

Markowski zmeł w ustach uwagę o papugach.

- Czyli policja przyjęła hipotezę, że zabójstwo matki, córki i syna w tym samym czasie jest jedynie zbiegiem okoliczności?

- Policja niczego nie przyjęła, tylko ustaliła i sprawdziła fakty.

- Aha. A czy policja zbadała też na tyle przeszłość zamordowanej, by wykluczyć innego sprawcę, który miałby motyw, by wymordować całą rodzinę?

- Pańskim zdaniem do jakiego okresu mieliśmy się cofnąć,

do jej studiów uniwersyteckich czy może w ogóle do przedszkola?

- Czyli nie zbadaliście? - adwokat nie dał się wytrącić z równowagi ironią Markowskiego ani celowym pomijaniem formy „panie mecenasie”.

- Sięgnęliśmy w przeszłość, na ile okazało się to potrzebne do znalezienia sprawcy i obciążających go dowodów.

Adwokat rozłożył ręce w wymownym geście, że bardzo żałuje, iż nie dostał innej odpowiedzi, ale nie on odpowiada za nieudolność policji.

Oskarżenie nie miało więcej świadków, a obrona żadnych nie powoływała. Prokurator przystąpił do mowy końcowej. Wypunktował jeszcze raz dowody i poszlaki, które doprowadziły Kincla na ławę oskarżonych. Jednoznacznie zostało udowodnione, że oskarżony zakupił Talmud i zostawił go w mieszkaniu zamordowanej, co oznacza, że był na miejscu zbrodni. Potwierdzająco również znalezione tam włókna z ciemnoszarego płaszcza, w jakim świadkowie widzieli oskarżonego. Ekspertyza biegłego psychologa potwierdziła, że motyw, który zabójca sam wskazał, zaznaczając fragment tekstu w Talmudzie, idealnie pasuje do osobowości oskarżonego.

Ustalenie właściwego fragmentu nie wymagało specjalistycznej wiedzy, gdyż książka profesora Wiklińskiego jest powszechnie dostępna. Kto wie, czy pomysł na tę teatralną oprawę morderstwa nie nasunął się oskarżonemu właśnie po jej lekturze. Można przypuszczać, że oskarżony przyjechał do Polski po to, by zabić byłą żonę. Nie podjął tu bowiem żadnej pracy, nie nawiązał kontaktu z dziećmi, trudno więc wskazać inny cel przyjazdu. Unikał też rejestrowania się gdziekolwiek, nie zameldował się nawet na pobyt czasowy, co świadczy o tym, że się ukrywał. Teoria jednego sprawcy, który wymordował całą rodzinę, nie znajduje żadnego uzasadnienia w materiale dowodowym.

Pośrednio przeczy jej też okoliczność, że w tym przypadku o rodzinie można mówić tylko w kategoriach biologicznych, a nie społecznych, gdyż jej członkowie od dawna nie mieli ze sobą kontaktu. Przeciwno zabójcy córki prokuratura wniosła akt oskarżenia i, jak zeznał inspektor Markowski, jest to osoba, której z oskarżonym nic nie wiąże, a dowody są niezbita.

Prokurator zakończył mowę żądaniem wyroku dożywocia. Adwokat podniósł się z namaszczeniem, wygładził toę, odchrząknął.

- Wysoki Sądzie! Prokuratura przedstawiła szereg poszlak i tak zwanych dowodów, których w żadnym wypadku nie można uznać za niezbita. Zaczniemy od zakupu Talmudu. Sprzedawca widział kupującego tylko dwa razy w życiu, jak sam zeznał, w granicach pięciu minut. Do momentu okazania zetknął się jeszcze z kilkunastoma klientami. Trudno takie rozpoznanie uznać za jednoznaczne. Ale nawet jeśli oskarżony rzeczywiście zakupiłby Talmud, to z tego wcale nie wynika, że był w mieszkaniu i go tam zostawił - na książce są odciski palców osoby trzeciej. A innego dowodu na obecność oskarżonego na miejscu zbrodni nie ma, w całym mieszkaniu nie znaleziono jego odcisków palców ani śladów DNA. Skoro był na tyle przezorny, żeby wytrzeć inne odciski, dlaczego nie pomyślał o Talmudzie? Włókna, na które powołuje się prokuratura, nie mogą być dowodem, bo oskarżony płaszcza opisywanego przez świadka - nie przez świadków, panie prokuratorze, właściciel Hieronima nie rozpoznał jednoznacznie mojego klienta - nie posiada.

Co do motywu, proszę Wysokiego Sądu, to mamy jedynie spekulatywną teorię psychologiczną ale żadnych namacalnych dowodów ją potwierdzających. Czy oskarżony na przykład kontaktował się z byłą żoną i jej groził? Nie.

A dla wyjaśnienia panu prokuratorowi, do powrotu do Polski

zmusiła mojego klienta sytuacja życiowa. Nie mógł w Niemczech znaleźć pracy i był bez środków do życia, więc zdecydował się wynająć swoje mieszkanie i wyliczył sobie, że w Polsce zdoła się z tego utrzymać i doczekać do emerytury, i bynajmniej się w Polsce nie ukrywał, tylko nie miał potrzeby rejestrowania się gdziekolwiek. Dla podbudowania tego wątplęgo motywu oskarżenie przeprowadziło pseudodowód, że mój klient miał możliwość zaznaczenia właściwego fragmentu, a nie że zazaczył. To ogromna różnica, panie prokuratorze.

Mój klient nie jest Żydem, czemu miałby sięgać do żydowskich ksiąg, żeby obwieścić światu, z jakiego powodu zabił? Wystarczyłoby, żeby napisał krwią na ścianie „zdradziłaś mnie, dostałaś za swoje”.

I wreszcie ostatnia kwestia, proszę Wysokiego Sądu. Została zamordowana cała rodzina: matka, córka i syn, a policja jakby nigdy nic traktuje te zabójstwa jako trzy odrębne sprawy. Tymczasem natychmiast nasuwa się, że skoro w odstępie dwóch tygodni zginęła trzyosobowa rodzina, ktoś musiał ją mieć na celowniku, że się tak kolokwialnie wyrażę. Tym kimś nie mógł być mąż i ojciec, pan Kincel, gdyż inspektor Markowski zeznał, że policja wykluczyła, by to on zamordował córkę.

W świetle powyższego należy uznać, że wątpliwości co do winy oskarżonego są więcej niż uzasadnione i zgodnie z zasadą in dubio pro reo wnoszę o uniewinnienie.

- Dziękuję, panie mecenasie - sędzia przeniosła wzrok na Kincla. - Czy oskarżony chciałby coś powiedzieć? - zapytała sucho.

Kincel podniósł się, jakby zaskoczony, że w ogóle o coś go pytają. Stał tak chwilę, lekko się chwiejąc, potem odezwał się niewyraźnym głosem:

- Nie zabiłem jej, jestem niewinny, naprawdę. Proszę, uniewinnijcie mnie.

Ostatnie słowa ledwie wymamrotał, pociekły mu łzy. Opadł z powrotem na ławkę, jakby nogi odmówiły dalszego utrzymywania ciała w pozycji stojącej.

Sędzia odwróciła się do Mordarskiego.

- Panie prokuratorze, Sąd potrzebuje akt spraw dzieci ofiary, żeby móc obiektywnie ocenić fakty. Ten wątek nie jest bez znaczenia i dziwię się, że prokuratura całkowicie go pominęła. Proszę dostarczyć mi je do gabinetu w ciągu godziny. Odraczam rozprawę do piątnastej. Jeżeli te akta wniosą coś istotnego, Sąd wyznaczy termin nowej rozprawy, jeżeli nie, ogłosi wyrok.

Przed piątnastą prokurator Mordarski oczekiwał na wznowienie rozprawy. Tym razem nie miał ochoty na pogaduszki z ławnikami. Był nie w humorze z powodu przytyku, że prokuratura pominęła istotny wątek, choć wcale nie pominęła, tylko wykluczyła. Ale ta apodyktyczna sędzia zawsze musiała się do czegoś przyczepić. Bał się też, że rozprawa zostanie odroczone, bo jak ta pińdzia z „Kuriera” opublikuje jutro artykuł, to na następne posiedzenie zwali się tłum dziennikarzy. Ciekawe, co napisze.

Przyczepiła się oczywiście do niego i musiał jej udzielić wywiadu.

Starał się, jak mógł, zminimalizować znaczenie wątku rodzinnego, ale akurat to ją najbardziej interesowało, chociaż przecież dla czytelników Talmud i zakreszenie krwią fragmentu tekstu byłyby znacznie ciekawsze. Zresztą nieważne, co powiedział, pismaki i tak wszystko przekręcają, piszą, co chcą, a on potem musi tłumaczyć się przed przełożonymi. Że też ta hałastra ma tyle władzy - nawet nazywają się czwartą władzą! - skoro zazwyczaj piszą o rzeczach, o których nie mają większego pojęcia. Co tekst o prawnikach, to błąd na błędzie. Wyłapałby je student pierwszego roku prawa, ale nie zwykły czytelnik. Dlatego po artykułach góra często wzywała go na dywanik. „Ech, jak się

któremu noga powinie i wpadnie mi w ręce, może być pewien, że mu roczek ekstra dołożę. Rok odsiadki za bycie dziennikarzem, adekwatna kara" - uśmiechnęła się do siebie. Ten koncept poprawił mu humor.

Wejście składu sędziowskiego przerwało jego rozważania.

Wpuszczono na salę świadków, którzy byli zainteresowani dalszym ciągiem sprawy, czyli Markowskiego i Wiklińskiego - pozostali poszli już do domu - oraz widzów: stałego bywalca rozpraw Kicińskiego, mężczyznę, który się nie przedstawił, Lepkę i dziennikarkę.

Sędzia powiodła wzrokiem po sali i rozpoczęła przemówienie.

- Sąd po wnikliwym przeanalizowaniu akt w sprawach o zabójstwo Izabeli Bieleckiej i Adama Elerta doszedł do wniosku, że mimo więzów

pokrewieństwa łączących ofiary te sprawy nie wiążą się z rozpatrywaną na dzisiejszym posiedzeniu i tym samym nie ma przeszkód, by ogłosić wyrok - zawiesiła głos i sięgnęła po kartkę.

Mordarski odetchnął z ulgą. Może trochę za wcześnie, bo sąd mógł go jeszcze zaskoczyć wyrokiem uniewinniającym.

- W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej Sąd Okręgowy po rozpoznaniu sprawy Jerzego Kincla, oskarżonego o to, że w dniu 18 marca bieżącego roku zabił ze szczególnym okrucieństwem swoją byłą żonę Beatę Paczkowską, uznaje go za winnego...

- NeeeeH! - wrzask czy raczej ryk Kincla zmroził wszystkich.

Poza sędzią, która spojrzała na niego znad okularów i przywołała do porządku. - Albo się oskarżony natychmiast uspokoi, albo zostanie wyprowadzony z sali - po czym powróciła do odczytywania wyroku.

- ... popełnienia zarzucanego mu czynu z artykułu 148 paragraf 2 kodeksu karnego i skazuje na karę

dożywotniego pozbawienia wolności.

Kincel już się nie poruszył, był w szoku.

Sędzia przystąpiła do ustnego uzasadnienia.

- Sąd bardzo starannie przeanalizował wszystkie wątpliwości zgłoszone przez obronę. Przede wszystkim Sąd uznał, że zeznania świadka, który sprzedał oskarżonemu Talmud, są w pełni wiarygodne. Rzeczywiście widział go tylko dwa razy przez krótki czas, ale rozpoznał na okazaniu wśród czterech podobnych osób. Obrona nie była w stanie zakwestionować czy wyjaśnić faktu, że na Talmudzie znalazły się odciski palców oskarżonego. Pan mecenas był tego świadom, co wyraził w słowach „nawet jeśli oskarżony rzeczywiście zakupiłby Talmud”. Wersja sugerowana przez obronę, którą to wersję miałyby potwierdzać znajdujące się na okładce odciski palców osoby trzeciej, że ktoś odkupił od oskarżonego Talmud bądź go ukradł, jest nieprawdopodobna. Nie wyjaśnia, w jakim celu oskarżony sprowadził tę książkę: jak zauważył jego obrońca, nie jest on Żydem, nie ma zainteresowań humanistycz-nych, nie utrzymuje się z handlu książkami, tylko z wynajmu mieszkania, jak wynika ze słów oskarżonego, nie jest również miłośnikiem czy kolekcjonerem książek. Poza tym gdyby wersja o odkupieniu lub kradzieży była prawdziwa, oskarżony łatwo by to wykazał, podając, komu sprzedał Talmud bądź przedstawiając kopię zawiadomienia o przestępstwie. Książka jest XIX-wiecz-ny m białym krukiem, a nie harlequinem, i stanowi wartościowy przedmiot, a kradzieży takowego nie zgłasza policji tylko osoba mająca coś na sumieniu.

Nieostrożność oskarżonego, który zostawił odciski palców na Talmudzie, a usunął je z mieszkania i narzędzia zbrodni, nie jest niczym nadzwyczajnym. Zadziałał mechanizm psychologiczny polegający na przeoczeniu tego, co oczywiste; przestępca starannie wytarł odciski palców z przedmiotów,

których dotykał w mieszkaniu, ale nie pomyślał o przyniesionym przez siebie.

Po wejściu do mieszkania oskarżony zapewne maksymalnie się skoncentrował i pilnował się, by nie zostawiać odcisków palców bądź je wycierać. Prawdopodobna jest również taka wersja, że po skrępowaniu ofiary nałożył rękawiczki, wytarł zostawione odciski palców i później już o tym nie myślał. Przy obu modus operandi przeoczenie odcisków na Talmudzie jest z psychologicznego punktu widzenia w pełni wytłumaczalne. Co więcej, odciski palców niezidentyfikowanej osoby trzeciej również są tylko na Talmudzie, co paradoksalnie przemawia przeciwko oskarżonemu. Gdyby były w mieszkaniu, oznaczałoby to, że ktoś później, już po przyniesieniu Talmudu przez oskarżonego, odwiedził ofiarę i teoretycznie ten ktoś mógłby ją zamordować. Ponieważ Sąd dowiódł, że to oskarżony zakupił Talmud i nic nie wskazuje na to, że komuś go odstąpił, te odciski musiały pojawić się na przykład, gdy ktoś odwiedził oskarżonego i wziął książkę do ręki albo w podobnej sytuacji.

Odciski palców na pozostawionym w mieszkaniu ofiary Talmudzie, zakupionym, co dowiedziono, przez oskarżonego, w kontekście rozmów telefonicznych z biurem tłumaczeń, sprzedającym i ofiarą, zrealizowanych z tego samego telefonu, są jedynym i wystarczającym dowodem na bytność oskarżonego w mieszkaniu ofiary. Brak śladów DNA oraz znalezione włókna nie potwierdzają wersji ani oskarżenia, ani obrony. Obecność w danym miejscu nie oznacza automatycznego zostawienia śladów DNA, włókna mogły należeć do kogokolwiek, do innego odwiedzającego, ale równie dobrze do oskarżonego, który później obciążający go płaszcz wyrzucił. Sąd będzie więc wdzięczny zarówno panu prokuratorowi, jak i panu mecenasowi, jeśli na przyszłość

zechcą skupić się na faktach, a nie na domysłach. To samo dotyczy powodu przyjazdu do Polski. Udowodniwszy oskarżonemu zabójstwo, można wyciągnąć wniosek, że przyjechał do Polski w celu popełnienia przestępstwa, ale wskazywanie przyjazdu jako dowodu winy jest niedopuszczalne, panie prokuratorze.

Adwokat uśmiechnął się pod nosem - Mordarskiemu oberwało się po raz drugi, ale jego Schadenfreude nie trwała długo.

-Podobnie jak nazywanie ekspertyzy psychologicznej „spekulatywną teorią”, panie mecenasie. Jaki namacalny dowód na motyw zemsty wyobraża sobie obrona, jeśli oskarżony sam go nie ujawnia? Pan mecenas praktykuje na tyle długo, że powinien wiedzieć, iż groźby nie są dowodem. Przeciwnie, ci, którzy grożą, wcale nie zabijają. Poza tym wiadomo, że oskarżony mścił się na swojej żonie, więc nie mamy tu do czynienia z zaskakującą niespodziewaną zemstą, tylko z eskalacją zemsty. Obrona miała prawo powołać biegłego, który przedstawiłby kontrekspertryzę, czego jednak nie uczyniła, mając świadomość, że takiego biegłego nie znajdzie.

Sąd nie znalazł również podstaw, by uwzględnić argument obrony, że prokuratura nie przedstawiła dowodu, iż oskarżony zapoznał się z materiałami umożliwiającymi mu właściwe zaznaczenie inkryminowanego fragmentu Talmudu. W świetle dowodów jednoznacznie obciążających oskarżonego jego brak nie jest przesądający. Opracowanie profesora Wiklińskiego jest powszechnie dostępne, więc zakupu tej pozycji można dokonać, nie rzucając się w oczy. Nie jest również przesądzone, że oskarżony skorzystał akurat z tego opracowania - jak zeznał profesor Wikliński, literatura przedmiotu jest bardzo bogata. Pozbycie się opracowania po skorzystaniu z niego także nie nastęrczyłoby żadnych trudności.

Kwestię, dlaczego oskarżony zadał sobie trud, by sprowadzić XIX- wieczny Talmud i wykorzystać go do obwieszczenia świata motywu, łatwo wyjaśnić. Zabicie byłej żony stanowiło dlań pewien rytuał, a rytuał musi mieć stosowną oprawę. Atrybutem starych ksiąg żydowskich w naszej kulturze jest pewne sacrum, tajemniczość, podniosłość, które taką oprawę zapewniają, bez względu na światopogląd danej osoby.

Sędzia zakończyła wygłaszanie uzasadnienia. W sali zapanowała całkowita cisza. Wszyscy byli pod wrażeniem racjonalnego wywodu, w którym sędzia bezlitośnie rozprawiła się ze stanowi-skim obrony. Szczególnie wstrząśnięty był Lepka. Po wysłuchaniu mowy adwokata doszedł do wniosku, że jeśli nawet Kincel jest winny, to nie udało im się zebrać wystarczających dowodów i sąd będzie musiał go uniewinnić. Teraz dopiero zobaczył, jak słabe wątpliwości zgłosił obrońca, jak prześlizgnął się nad dowodami, których nie umiał obalić, jak uwypuklił rzeczy, które wcale nie były istotne. Że też prawdą i faktami można tak łatwo manipulować - on dałby się nabrać.

- W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej Sąd Okręgowy po rozpoznaniu sprawy Edwarda Bendyka, oskarżonego o to, że w dniu 5 marca bieżącego roku zabił, posługując się bronią palną, Izabelę Bielecką, uznaje go za winnego popełniania zarzucanego mu czynu z artykułu 148 paragraf 2 kodeksu karnego i skazuje na karę piętnastu lat pozbawienia wolności - sędzia w todzie z orłem na łańcuchu na piersi beznamiętnie odczytywał wyrok. Wikary poczuł, że uginają się pod nim nogi. Usiadł, ale pilnujący go na ławie oskarżonych konwojenci zmusili go do wstania.

Sędzia odczytywał uzasadnienie, że wina oskarżonego nie budzi wątpliwości. Na dodatek działał on z premedytacją starał się utrudnić znalezienie i identyfikację zwłok przez wrzucenie ich do rzeki oraz w bardzo przemyślny sposób ukrył narzędzie zbrodni.

Sąd uwzględnił jednak okoliczność łagodzącą, że oskarżony był szantażowany przez ofiarę i, zdaniem Sądu, nie wiedział, jak z tej sytuacji wybrnąć. Nie da się rozstrzygnąć, czy rozmowa na filmie, który stał się przedmiotem szantażu, jest wynikiem pedofilskich skłonności oskarżonego, czy też, jak sam twierdzi, prowokacją.

Takiej wersji nie da się wykluczyć, a policja nie znalazła żadnych dowodów, które by ją obalały. Korzystanie z usług prostytutki, zwłaszcza przez duchownego ślubującego celibat, jest wprawdzie moralnie naganne, ale nie stanowi przestępstwa ani wykroczenia.

Tym samym zabójstwo jest pierwszym i jedynym przestępstwem popełnionym przez oskarżonego, co Sąd też musiał wziąć pod uwagę. Uwzględniając wszystkie okoliczności, Sąd uznał, że kara dwudziestu pięciu lat czy dożywotniego pozbawienia wolności byłaby zbyt surowa, gdyż szanse oskarżonego na resocjalizację są spore.

Wikary nie słyszał, co sędzia mówi, widział tylko poruszające się usta. „Piętnaście lat - dzwoniło mu w głowie - piętnaście lat. Jak wyjdę, będę miał pięćdziesiąt, najlepsze lata w więzieniu.

Piętnaście lat. Jak ja to zniosę?”. Pomyślał o metalowej puszcze, którą współwięźniowie kazali mu zjeść, o tym, jak go zgwałcili.

W areszcie błyskawicznie rozeszła się plotka, że jest pedofilem. Podejrzewał, że była to zemsta tego Markowskiego za to, że nie chciał się przyznać. Ani podczas przesłuchań, ani później na procesie.

Zobaczył, że adwokat odwrócił się do niego i coś mówi. Doszły go strzępki zdań:

- ... nie martwić... apelację... zwolnienie warunkowe...

Konwojenci nałożyli mu kajdanki i wyprowadzili z sali sądowej. Jak przez mgłę zobaczył płaczącą matkę i księdza proboszcza, którzy przyszli na ogłoszenie wyroku wspomoć

go psychicznie.

Proboszcz sam miał niewyraźną minę, ale niezdarnie starał się pocieszyć zapłakaną staruszkę.

Usiadł na tylnym siedzeniu radiowozu z milczącymi konwojentami po bokach. Samochód ruszył. Z żalem patrzył na tętniące życiem miasto. Kiedy znowu będzie mógł wmieszać się w tłum, wejść do sklepu, odprawić mszę, kiedy znowu... Zaczął myśleć racjonalniej. W apelację nie wierzył chyba nawet jego adwokat, zapadł minimalny możliwy wyrok za takie przestępstwo. Zwolnienie warunkowe? Po odsiedzeniu dwóch trzecich, może połowy, jeśli władze kościelne będą naciskać na jego zwolnienie. Ale czy będą? Oficjalne stanowisko brzmiało, że wierzą w jego niewinność, ale od księdza proboszcza wiedział, że kuria skłania się ku temu, by możliwie szybko sprawę wyciszyć, gdyż szkodzi Kościołowi. A wszelkie zabiegi o skrócenie mu kary odbiłyby się głośnym echem w prasie. Już widział te nagłówki tabloidów:

„Kościół domaga się wypuszczenia księdza mordercy i pedofila”.

Nie, jego piętnaście lat więzienia za uniknięcie takich artykułów wcale nie było dla biskupów za wysoką ceną. A jeśli nawet, co z tego, że wyszedłby po ośmiu latach, kiedy śmiertelnym przerażeniem napawały go najbliższe miesiące. Zawsze panicznie bał się zamknięcia. Zdawał sobie sprawę, że więzienia nie przetrzyma, to dlatego był taki przesadnie ostrożny... Odprowadzono go do celi. Na szczęście w tej chwili była pusta.

Współaresztowani albo też mieli rozprawy, albo już przewieziono ich do więzień, a nowi jeszcze się nie pojawili. Nie wiedział, nie interesował go los pozostałych, grunt, że był sam. Tym, co w więzieniu doskwierało mu najbardziej, nie była dokuczliwa nuda, nie brak wolności, lecz konieczność współbywania na kilkunastu metrach kwadratowych z innymi mężczyznami. Ledwie przetrzymał seminarium, choć

tam miał tylko dwóch współlokatorów - a nie jak tutaj nawet siedmiu - i to w większym pomieszczeniu.

No i klerycy nie palili, nie brali narkotyków, a przede wszystkim go nie bili. I toaleta znajdowała się na zewnątrz. Załatwianie się w obecności innych stanowiło dla niego mękę. Wielokrotnie wchodził za zasłonkę i mimo parcia na pęcherz nie mógł się załatwić, co oczywiście stawało się tematem żartów i szyderstw pozostałych.

Nie mógł znieść ich odgłosów wypróżniania się i smrodu. Z żalem pomyślał o jednoosobowych celach amerykańskich więzień, jakie znał z filmów. W takiej celi wytrzymałby nawet dożywocie.

Położył się na piętrowej pryczy i wbił oczy w sufit. Na chwilę oderwał się od swoich myśli, wpatrując się tępo w zacieki i odpadający tynk. Potem powiódł wzrokiem po swojej klatce. Cztery dwupiętrowe łóżka zasłane szarymi kocami, brudne ściany oblepione wycinankami ze świerszczyków, półki ze czerniałego drewna, kulawy stolik, na którym wałała się talia zatłuszczonych kart. Sięgnął na półkę po Biblię. Może w Słowie Bożym znajdzie pocieszenie i ukojenie. Wertował strony Ewangelii i odczytywał sobie półgłosem wersety, ale nie oddziaływały na niego, nic mu nie mówiły Pismo Święte, z którego tyle czerpał, nagle stało się dla niego pustą opowieścią, która nie miała najmniejszego związku z prawdziwym życiem. „Miłujcie nieprzyjaciół waszych - także tych, którzy mnie zgwałcili i kazali zjeść puszkę?” - ze złością cisnął Biblię w kąt celi.

Wziął z półki papier i długopis, zsunął się z łóżka i usiadł przy stoliku. Zaczął pisać. Szybko, niecierpliwie, jakby bał się, że nie zdąży, że ktoś mu przeszkodzi. Przy słowach „kochalem je” pociekły mu łzy. Otarł twarz rękawem, wyczyścił nos i pisał dalej, teraz już spokojnie, bez wzruszeń. Podpisał się i położył list na swoim łóżku. Przytrzymał kartkę ręką, żeby nie zsunęła się z koca, i spod spodu wyciągnął prześcieradło.

Zaczął je metodycznie skręcać, a kiedy skończył, rozejrzył się po celi. Okno było za nisko.

Pod sufitem biegła rura. Ale czy z kolei nie za wysoko i czy wytrzyma? Przesunął stolik na środek i stanął na nim. Podniósł ręce - za wysoko, nie dosięgnie. Ocenił wzrokiem odległość z górnego łóżka do sufitu. Dosięgnie, trzeba było tak od razu. Z pewnym trudem przesunął nieruszany od lat piętrowy mebel, wdrapał się na górę, sprawdził wytrzymałość rury, wieszając się na niej rękami, po czym zamocował prześcieradło. Gruba biała lina zwiesiła się ku podłodze. Wrócił na stolik i okręcił ją sobie na szyi. Chciał już zeskoczyć, ale zawahał się. Przeżegnał się i wyszeptał: „Przebacz mi, Boże”. Potem kopnął stolik.

Tego wieczoru Lepka nie mógł zasnąć przez blisko pół nocy. Wsłuchiwał się w równy oddech Myszki i przewracał z boku na bok. Nadal przeżywał rozprawę. Przed oczami cały czas przesuwały mu się obrazy z sali sądowej, a w głowie rozbrzmiewały zeznania świadków i mowy prawników. Zastanawiał się, jak czuje się człowiek, który dostaje dożywocie, jak radzi sobie z tym sędzią, który zamyka kogoś w więzieniu na całe życie. W końcu zmorzył go sen, ale oczywiście przyśniła mu się rozprawa. Tym razem połączona z egzekucją. Po wyroku na środku sali postawiono krzesło elektryczne, posadzono na nim wyrrywającego się i wrzeszczącego Kincla, a Lepka miał włożyć wtyczkę do kontaktu.

Zawahał się, kiedy ogromna twarz adwokata przestrzegła go „on jest niewinny, zabijesz niewinnego”, ale zaraz sędzia, z oczami przesłoniętymi opaską, zmieła tę twarz w kulkę, rzuciła w kąt i powiedziała ostro: „Na co pan czeka? Sąd wydał wyrok”. Lepka rozejrzył się jeszcze niepewnie, ale ławnicy, prokurator, inspektor z profesorem, dziennikarka i Kiciński utworzyli wokół niego krąg, podskakiwali i klaskali rytmicznie w dłonie, wołając: win-ny, win-ny, win-ny! Lepka

wetknął wtyczkę do kontaktu i...

17 października, sobota

Usiadł na łóżku, przerażony, zlany potem. Potrzebował krótkiej chwili, by uświadomić sobie, gdzie jest i że to był tylko sen.

Spojrzał na budzik na nocnym stoliku - za dziesięć dziewiąta. Przestraszył się, że zasnął, ale zaraz zobaczył, że Myszka nadal śpi. Był wolny dzień.

Nałożył szlafrok i poszedł do kuchni, żeby nastawić ekspres do kawy i zrobić śniadanie. Wciąż lubił podać Myszce śniadanie do łóżka, jak w pierwszych miesiącach ich związku. Wyjął z lodówki margarynę, sery i rzodkiewkę, z przyjemnością wsłuchując się w bulgotanie ekspresu. Przepadał za takimi porankami: człowiek nigdzie się nie śpieszy, przez okno wpadają blade promienie słońca, za chwilę obudzi swoją dziewczynę i pocałuje ją na dzień dobry. Czegoż więcej chcieć od życia? Przekręcił gałkę radia, żeby posłuchać lokalnych wiadomości, i zaczął kroić chleb.

- ... skoda zderzyła się z tramwajem, kierowca nie odniósł żadnych obrażeń, ale był w szoku i został zabrany do szpitala na obserwację. Ruch w tym miejscu wstrzymano na dwie godziny.

Według wstępnych ustaleń policji winę ponosi motorniczy. Sąd Okręgowy skazał Jerzego K., obywatela polskiego zamieszkałego na stałe w Niemczech, na dożywocie za zamordowanie w marcu tego roku swojej byłej żony, architektki Beaty P.

Zabójca wykazał się niezwykłym okrucieństwem...

Lepka zaciął się w palec. Teraz sobie uświadomił. Czy to była uwaga bez znaczenia, czy też znał fakty z przeszłości? A jeśli tak, to skąd?

Rzucił nóż i nie zwracając uwagi na zakrwawiony palec, pobiegł do łazienki. Prysznic zajął mu pięć minut, zęby umył w trzydzieści sekund, ubrał się w takim tempie, jak w wojsku przy pobudce na ćwiczenia, i zwolnił dopiero włączwszy golarkę.

Strumienia elektronów nie dało się przyspieszyć. Wrócił do kuchni i zobaczył Myszkę stojącą w drzwiach w różowej piżamie w czerwone ciapki. Rozespana, spojrzała na niego zdziwiona, że szykuje się do wyjścia mimo rozpoczętych przygotowań do śniadania.

- Hej, kochanie! - pocałował ją. - Muszę lecieć, wysła ważna sprawa.

Później ci opowiem.

Pojechał do biblioteki uniwersyteckiej, ale czytelnia miała być otwarta dopiero po południu z powodu instalowania stanowisk internetowych. „Jakby nie mogli zrobić tego w wakacje - pomyślał - tylko akurat w trakcie roku akademickiego, typowo polskie”.

Wrócił do samochodu, zapalił silnik, ale nie wrzucił biegu. Uświadomił sobie, że nie ma dalszego planu działania. Powinien zacząć od czytelnii, nie chciał jednak wracać do domu i beczynnie czekać, aż ją otworzą. Zastanowił się. Jeżeli dobrze rozumował, musieli znać się dużo wcześniej, ale skąd? Słowa z rozprawy nasunęły mu pewną myśl, którą potwierdzało to, że wiek pasował.

Na politechnice nie miał szczęścia, poszukiwania w archiwum nie potwierdziły jego teorii. Za to na uniwersytecie potrzebował zaledwie pół godziny, by znaleźć, czego szukał. A jednak, kto by pomyślał...

Wynotował nazwiska dziewczyn, bo te chętniej się sobie zwierniają. Po namyśle wypisał też chłopaków, któryś mógł coś zaobserwować, a dziewczyny pewnie powychodziły za mąż i będzie miał trudności, żeby do nich dotrzeć.

Podjechał do kawiarenki internetowej, ale spisu abonentów

prywatnych Telekomunikacja nie zamieszczała ze względu na ustawę o ochronie danych osobowych. Skierował się do najbliższego BOK-u. Po odczekaniu w kolejce poprosił o książkę telefoniczną.

- Nie udostępniamy - burknęła pracownica.

- Jak to? - zdumiał się Lepka.

- Bo kradną. Następny.

- Jak Telekomunikacja może nie udostępniać książki telefonicznej? - aspirant nie dał za wygraną.

- Słyszał pan, bo kradną.

- Jestem z policji, nic pani nie ukradnę.

Pracownica spojrzała na niego krzywo.

- To proszę iść do dyrekcji, ja mam zakaz udostępniania.

Lepka poszedł. Dzwonienie na informację kosztowało prawie tyle, co numery 0-700, nie stać go było na taki wydatek. Poza tym żeby zapytać o numer, musiałyby znać adres. Policyjna legitymacja wzbudziła jednak respekt i nie tylko udostępniono mu książkę, ale w ramach zadośćuczynienia za niewłaściwe zachowanie pracownicy, która powinna rozróżniać między klientami uprzywilejowanymi a tłuścizną zaoferowano skorzystanie z firmowego telefonu.

Aspirant wyszukał w książce nazwiska, które pokrywały się z jego listą - tak jak przypuszczał, była tylko część - i zaczął dzwonić. Pierwsze dwa telefony okazały się nietrafione, zbieżność nazwisk. Za trzecim razem się udało. Mężczyzna, który odebrał, potwierdził, że studiował na tym kierunku. Nie pracował w zawodzie i nie utrzymywał kontaktu z nikim ze studiów, ale podał nazwisko jednego z kolegów.

- Ten to już wtedy plotkował gorzej niż baba, myślę, że będzie potrafił panu pomóc.

Lepka sprawdził, że ów kolega figurował w książce telefonicznej, i podziękował. Wybrał numer. Rozmówca odezwał się po dwóch sygnałach.

- Śledztwo w sprawie zamordowania Beaty? - zdziwił się.

- Przecież wczoraj zapadł wyrok.

Aspirant pomyślał, iż rzeczywiście jest świetnie poinformowany. Skojarzył, że musiał to być ów czwarty widz na rozprawie.

- Śledztwo musimy prowadzić aż do prawomocnego wyroku - skłamał, bo nie chciał ujawniać swoich podejrzeń, choć przyszło mu to z pewnym trudem. Nie nawykł do mijania się z prawdą.

- Rozumiem, ten wyrok tak na dwoje babka wróżyła, chcecie mieć mocniejsze argumenty przy apelacji? - wyjaśnił sam sobie okłamany.

Lepka westchnął z ulgą.

- Właśnie.

- Co mogę panu powiedzieć? Beatę dobrze pamiętam, choć była z nami tylko rok, ale tak atrakcyjnej dziewczyny się nie zapomina. Czy miała przyjaciółkę? Trzymała się z Olką Bernas.

Całkowite jej przeciwieństwo - brzydka, gruba. Olka liczyła może, że jak chłopaki tak lecała Beatę, to coś jej skapnie. No i skapnęło, bo pod koniec studiów wyszła za męża i do dziś jest szczęśliwą mężatką ma czwórkę dorosłych dzieci. Jak się nazywa po mężu?

Rostkowska. Chce pan telefon?

Aspirant postanowił, że nie będzie więcej odnosił się z niechęcią do swojej ciotki, zawodowej plotkary, skoro ta przypadłość okazywała się tak przydatna w jego pracy Panią Rostkowską zastał w domu. Z chęcią zgodziła się z nim porozmawiać o dawnej przyjaciółce, jeśli miało to pomóc w ukaraniu mordercy. Zaprosiła go do siebie na kawę i ciasto własnego wypieku. Rostkowscy mieszkali na willowym osiedlu na obrzeżach miasta, ale z dala od centrów handlowych, więc aspirant nie natknął się na żadne korki i szybko dojechał.

Gospodyni rzeczywiście była korpulentną kobietą, ale twarz z

podwójnym podbródkiem sprawiała wrażenie raczej dobrotliwej niż brzydkiej. Z całej jej obfitej postaci emanowało ciepło i zadowolenie z życia, choć teraz jakby przygaszone przez tragiczny los dawnej przyjaciółki. Małżonek z postury stanowił jej przeciwieństwo: chudy i o głowę niższy. Dopełniwszy obowiązku przeknięcia kilku łyków herbaty (kawa szkodziła mu na żołądek, wyjaśniła pani Rostkowska), wycofał się pod pretekstem, że „pan policjant pewnie chce zadać pytania na osobności, bo śledztwo jest sprawą poufną”. Aspirant nie miał wprawdzie nic przeciwko temu, by przysłuchiwał się rozmowie, ale dostrzegłszy w jego wzroku błagalny wyraz, przytaknął. Rostkowski uszczęśliwiony wrócił do swojego zajęcia, którym, wedle żony, było „zbijanie jakichś drewniek”.

- Muszę pana rozczarować - odpowiedziała gospodyni na pytanie aspiranta o życie uczuciowe przyjaciółki - przez ten rok, kiedy z nami studiowała, z nikim nie była. Ale chętnych nie brakowało.

Lepka zapytał o swego podejrzanego.

- O, ten to dopiero był zakochany. Cała grupa się z niego podśmiewała, świata poza nią nie widział. Kiedyś, jak byłam u niej, pokazała mi, że stoi pod oknem; nie wołał jej, po prostu stał, nawet niezbyt ostentacyjnie, pomiędzy drzewami. „Dlaczego on tak stoi?” - zapytałam. - „Pewnie mu się wydaje, że w ten sposób będzie bliżej mnie. Co mi tam, niech się gapi na cukierek za szybą, bo nigdy go nie dostanie - odpowiedziała z pogardą. - Zobacz, jak on jest ubrany, wstyd się z nim pokazać”. Nie chodziło o to, że był brudny, czy coś w tym rodzaju, tylko miał niemodne, wytarte ubranie. Pochodził z dość biednej rodziny. My po zajęciach szliśmy do kawiarni, a on się zawsze wykręcał. Kiedyś namawiałam go, żeby poszedł z nami, bo jest wesoło, a może będzie miał okazję porozmawiać z Beatą czy później ją na przykład odprowadzić; wiedziałam, że go unika

i chciałam mu pomóc, widziałam, że naprawdę ją kocha. Przyznał mi się, że popołudniami pracuje, ale nawet jakby miał czas, nie mógł sobie pozwolić na kawiarnię. Był to zbędny luksus. Kiedyś zemdlął na wykładzie. Boże, jak ja się wtedy przeraziłam. Wie pan, jakie to uczucie, kiedy ktoś obok pana nagle mdleje i osuwa się na podłogę? Ouculiśmy go, a ja wyszłam z nim, żeby zaprowadzić go do lekarza, ale na korytarzu mnie powstrzymał. - „Nie, nic mi nie jest - powiedział - to tylko z głodu”.

- „Kupię ci bułkę” - zaoferowałam. - „Nie - zaprotestował - nie jem, bo oszczędzam na prezent dla Beaty. Jak mi kupisz bułkę, to tak, jakbyś ty zrobiła jej prezent”. Co miałam powiedzieć? Dał jej kolczyki, srebrne, z cyrkoniami. Wzięła, podziękowała, ale nigdy ich nie włożyła. Stwierdziła, że są „obciachowe”.

- Czy to z jego powodu przeniosła się na politechnikę?

- Oj nie. Po prostu nie trafiła z kierunkiem, zresztą o architek-turze myślała od samego początku, ale przestraszyła się egzaminu z matematyki. A w tamtych czasach nie można było zdawać na kilka kierunków jednocześnie. Proszę się poczęstować ciastem, sama piekłam.

Aspirant chętnie sięgnął. Dopiero teraz poczuł, że wyszedł z domu bez śniadania.

- Znakomite - pochwalił.

- Chce pan zobaczyć ich zdjęcia ze studiów? - zapytała gospodyni, dolewając mu kawy.

Lepka przytaknęła skinieniem głowy, gdyż akurat miał pełne usta.

Z szeregu albumów stojących na półce Rostkowska wyciągnęła wyraźnie starszy, w niebieskiej płóciennej okładce. Fotografie były w większości czarno-białe.

- O tu - wskazała gospodyni - zdjęcie z wycieczki w górach, chyba jedyne, na którym są we dwojkę.

Aspirant przyjrzał się dziewczynie i chłopakowi, którzy przystanęli na stoku. Spoglądali w obiektyw z lekkim uśmiechem.

Nagle Lepka uświadomił sobie, że gdzieś widział to spojrzenie i ten uśmiech, na innym zdjęciu. A potem przypomniał sobie, jak w sali przesłuchań bawił się pistoletem. Poderwał się gwałtownie, potrącając stół i wylewając kawę.

- Jezu, najmocniej panią przepraszam, strasznie mi głupio, ale naprowadziła mnie pani na bardzo ważny trop, muszę iść.

Uśmiechnęła się mimo zalanego obrusu.

- Oj wy młodzi, w gorącej wodzie kąpani.

Aspirant jeszcze raz przeprosił i pożegnał się. Dopiero w samochodzie uświadomił sobie, że jest sobota i sąd nie pracuje, ale nie chciał czekać do poniedziałku. Przejechał przez miasto w szalonym tempie, żałując, że nie ma koguta. Chociaż na maluchu prezentowałyby się co najmniej dziwnie. Zgodnie z jego przypuszczeniami budynek nie był zamknięty na cztery spusty. Urzędował portier, a legitymacja policyjna okazała się wystarczającą przepustką. Sprawdził w notatkach, w jakiej sali miał się odbywać proces wikarego Bendyka. Wybierał się na obie rozprawy, ale pierwsza trwała tak długo, że w efekcie ze sobą kolidowały. Numer 120. Podszedł tam, mając nadzieję, że wokanda nadal wisi. Była. Albo zdejmowano ją dopiero w poniedziałek rano, wywieszając kolejną albo po prostu o niej zapomniano. Spisał sygnaturę akt i wrócił do portiera, żeby wpuścił go do biura dowodów rzeczowych. Ten z początku odmówił, powołując się na procedurę, że dowody udostępnia się wyłącznie pod nadzorem odpowiedzialnego pracownika, ale Lepka przekonał go, że sprawa jest niesłychanie pilna, a w rolę nadzorującego może przecież wcielić się on sam. Portier niechętnie na to przystał.

Znalazłszy się w biurze, pod czujnym okiem swego cerbera aspirant otworzył jedną z ogromnych szaf i zatrzymał się zdezorientowany na widok masy najrozmaitszych przedmiotów ułożonych pozornie bez ładu i składu. Dość szybko jednak zorientował się, według jakiego systemu były uporządkowane, i odnalazł dowody w sprawie Bendyka. Pistolet uzi, ubranie ofiary i kasetta wideo. Dokładnie obejrzał pistolet. Okazało się, że dobrze zapamiętał. W zasadzie ufał swojej pamięci, ale skoro minęło pół roku, wołał sprawdzić. Pozostawało pytanie, kto to był, że zdołał wprowadzić w błąd naoczego świadka. Lepka nie miał żadnego pomysłu. Jeszcze raz przeanalizował całe przesłuchanie. Ten moment zawahania...

Czym spowodowane? Przecież nic istotnego nie powiedział. Zaraz, nieważne co, ale jak! Tu tkwiła różnica! Czyli rzeczywiście był to ktoś inny. Ale kto? Sobowtór? Nonsens. Brat bliźniak? Nie, bliźniacy mają taki sam... Zaraz! Przypomniał mu się film „Mój Nikifor”: skoro kobieta mogła zagrać mężczyznę, tutaj wystarczyłby podobny wygląd, reszta jest kwestią charakteryzacji. Starał się skojarzyć z kina i telewizji, ale na próżno, musiał być mniej znany.

Zadzwoił do bukinisty, a ten potwierdził jego obserwację. Została mu jeszcze czytelnia, choć teraz już wyłącznie po to, żeby podbudować podejrzenia. Podjechał do biblioteki, bez trudu znalazł miejsce do parkowania, co w dzień powszedni było niewyobrażalne. Pchnął ciężkie dębowe drzwi i wszedł do prze-stronnego hallu. Najpierw skierował się do katalogu. Najprostsza metoda poszukiwania zawiodła - biblioteka gromadziła pozycje w obcych językach wybiórczo i niekoniecznie były to polonica.

W efekcie spędził tam dosyć dużo czasu, wyciągając liczne szufladki i zastanawiając się, gdzie może znaleźć potrzebne informacje.

Wypełniwszy rewersy, wrzucił je do skrzynki i poszedł do

czytelni. Nie była urządzona jak zwykle na wzór szkolnej sali z półkami pod ścianami, tylko siedziało się wokół prostokątnych ciemnozielonych stołów, które poprzedzielane były regałami z książkami.

Instalację stanowisk internetowych zakończono, więc usiadł przy jednym z komputerów, ale natychmiast pojawiła się przy nim bibliotekarka i pouczyła go, że musi zostawić legitymację i wziąć numerki tak samo jak przy zwykłym korzystaniu z czytelni. Kiedy dopełnił formalności, przejrzał strony o uzi. Wszystko się zgadzało. Przy okazji sprawdził, czy informacji, po które przyszedł do biblioteki, nie znajdzie w Internecie. Ale tak jak się spodziewał, na stronach polskich i anglojęzycznych nic nie znalazł, a z innymi językami nie umiał sobie poradzić.

Przesiadł się na miejsce przy ciemnozielonym stole. Czekając na przyniesienie zamówionych pozycji, dyskretnie przyglądał się współczytelnikom. Po lewej stronie miał około trzydziestoletniego mężczyznę w okularach, pewnie wykładowcę, naprzeciwko siebie studentkę. Zauważył, że wykładowca ją obserwuje. Była to szczupła szatynka o ciemnych oczach i długich rękach, ubrana w czarną bluzeczkę z krótkimi rękawami z wycięciem na ramionach. „Że jej nie zimno w październiku” - pomyślał Lepka, zanim dostrzegł przewieszony przez krzesło również czarny sweterek.

W pewnym momencie dziewczyna uśmiechnęła się do siebie - musiała ją rozbawić czytana książka - i aspirant dostrzegł, że ma aparat na zębach. Zdziwił się. Póki się nie uśmiechała, wyglądała poważniej, na studentkę przynajmniej czwartego lub piątego roku.

Choć może to wcale nie wykluczało noszenia aparatu.

Rozejrzał się po sali. Była raczej pusta - początek roku akademickiego, sesja poprawkowa już się skończyła, kolokwia jeszcze nie zaczęły. Przeniósł wzrok na

bibliotekarkę odbierającą książki z windy i próbował odgadnąć, czy są wśród nich te zamówione przez niego.

Studentka siedząca naprzeciwko zebrała swoje książki i poszła je oddać. Chwilę później to samo zrobił wykładowca. Lepka zobaczył, że przy kontuarze zagaduje dziewczynę. Z zainteresowaniem patrzył, jak ta zareaguje. Coś odpowiedziała, kiwając potakująco głową. Lepka zdumiał się, sam nigdy nie odważyłby się zaczepić obcej dziewczyny. Wydawało mu się, że reakcja, jakiej może się spodziewać, mieści się między pogardliwą odmową a uderzeniem w twarz. Jakie szczęście, że Myszkę poznał normalnie, chodzili razem na kurs angielskiego. „Ciekawe, co może wyniknąć z takiego spotkania” - pomyślał o tych dwojgu, którzy właśnie wyszli z czytelnicy. Rozstaną się po pierwszej rozmowie, stwierdzając, że nie mają sobie nic do powiedzenia, czy spędzą ze sobą resztę życia? A może tylko kilka tygodni, miesięcy lub lat, a potem któreś będzie cierpiało? Czy też dzisiejszej nocy pójdą do łóżka? E, nie, nie wyglądała na taką. „Takie” spotyka się raczej w dyskotekach, nie w bibliotece. Choć dla niego to i tak była całkowita abstrakcja.

Czasami słyszał, jak któryś z kolegów opowiadał beznamiętnie, że „wczoraj poznał dziewczynę i się z nią przespał”, i nieodmiennie wprawiało go to w osłupienie. Kiedyś zastanawiał się, czy byłby w stanie postępować tak jak oni, gdyby Myszka go porzuciła, i doszedł do wniosku, że nie. Zresztą wtedy najpewniej nie podejmowałby decyzji, jak żyć, tylko czy w ogóle żyć.

Z rozmyślań wyrwała go bibliotekarka, która przyniosła zamówione przez niego książki. Rozłożył materiały na stole i zabrał się do poszukiwań. Zmuszony był jeszcze dwukrotnie zamówić nowe książki, nim znalazł to, czego szukał. - „Francuski, włoski, rosyjski, litewski” - wymruczał, oddając partiami przejrzone pozycje, bo nie był w stanie wziąć ich na raz. No właśnie.

Po wyjściu z biblioteki postanowił zjeść w rynku obiad. Był przeraźliwie głodny, od rana zjadł tylko kawałek ciasta u pani Rostkowskiej. Musiał też postanowić, co począć ze swoją wiedzą.

Przebieg wydarzeń był dla niego jasny, ale tylko w zarysie. Wiele szczegółów pozostawało niewiadomą, na dodatek żaden z ustalonych faktów nie miał wartości dowodowej. Minął łukowato sklepienie przejście i zatrzymał się, by podjąć decyzję o wyborze lokalu. Uznał, że najlepsza będzie meksykańska knajpka w zachodniej pierzei. Lubił ostre potrawy, a ceny były na jego kieszeń.

Przecinając rynek, zobaczył wykładowcę i studentkę z czytelni przechodzących koło fontanny, którą zdobiły postrzępione tafle szkła. Rozmawiali ze sobą, bez ożywienia, bez uśmiechów, jakby mówili o czymś bardzo ważnym. Dziewczyna poruszała się lekko, wręcz tanecznie, miała teraz na sobie ciemnozieloną kurtkę, która tylko podkreślała jej zgrabną sylwetkę. W ich postawie, stylu rozmowy było coś takiego, że gdyby nie widział, jak przed niecałą godziną poznali się w bibliotece, wziąłby ich za parę. Sprawiali wrażenie, że są ze sobą od lat, mimo że nie szli nawet pod rękę.

Pałaszując burrito z kurczakiem i fasolą przy muzyce Maria-chi Los Amigos, rozpatrywał różne scenariusze działania. W końcu doszedł do wniosku, że rozmowy nie uniknie. Bał się tego człowieka, ale tylko skonfrontowanie go z faktami, które ustalił, mogło coś dać. Przejrzał jeszcze raz swoją myślową konstrukcję. Chwiej-na była, wystarczyło wyciągnąć jeden element, by się rozsypała.

Z drugiej strony nic nie wskazywało, by jakiś element łatwo dało się wyciągnąć. A może tylko nie potrafił go dostrzec? Westchnął.

Przez chwilę rozważał nawet, czy nie zrezygnować, ale potem przypomniał sobie o spoiwie, od którego zaczął i które nie

kruszyło się w żadnym miejscu: znał ją. Dlaczego w trakcie śledztwa to przemilczał?

Zapłacił rachunek, ignorując krzywą minę kelnera, że bez napiwku, i skierował się na parking. Postanowił nie czekać do poniedziałku. Bał się, że do tego czasu opuszczą go resztki odwagi i zdecydowania. Przypomniawszy sobie rozmowę na korytarzu w oczekiwaniu na wyrok. Musiał więc najpierw pojechać do komisariatu, żeby ustalić prywatny adres. Mimo późnego popołudnia w komisariacie panował spory ruch, choć punkt kulminacyjny był dopiero przed policjantami - sobotnia noc oznaczała pijanych kierowców, rodzinne libacje kończące się sięgnięciem po nóż, narkotyki i bójki na dyskotekach. Szybko znalazł to, czego potrzebował, ale znowu ogarnął go strach i podjął próbę uniknięcia konfrontacji. Niestety komisarza nie było w pracy, a indagowany dyżurny poinformował go, wykonując wulgarny gest palcami, że Senik „pojechał z tą dupą z księgowości gdzieś nad jezioro i będzie dopiero w poniedziałek”. Lepka poszedł do siebie, żeby zadzwonić do Myszki. Zaaferowany swoim śledztwem, nie pomyślał, żeby zrobić to wcześniej, a musiała się niepokoić. Spojrzał na wyświetlacz komórki, chcąc sprawdzić, czy nie próbowała się do niego dodzwonić, i wtedy spostrzegł, że po wyjściu z biblioteki zapomniał włączyć telefon. Po rozmowie, przeprosinach i zapewnieniu o swym uczuciu wrócił do samochodu.

Wyjechawszy z wąskich uliczek, zatrzymał się przed torami tramwajowymi, jak nakazywał znak stopu. Sprawdził, czy nie jedzie, i włączył się do ruchu. Trafiał na zieloną falę i szybko mijał poszczególne skrzyżowania. Dwupasmowa jezdnia przeszła w trzy-pasmową. Za McDonaldem skręcił w prawo i znalazł się na osiedlu szarych bloków. Z trudem znalazł miejsce do zaparkowania.

Odszukał właściwą klatkę. Domofon był zepsuty, a zamek w drzwiach wyłamany. Wszedł na trzecie piętro. Sięgnął ręką

do dzwonnka, ale ten nie działał. Kiedy miał zapukać, znowu opuściła go odwaga. Jeszcze raz przypomniał sobie zeznania z rozprawy.

- Architektury nie studiuje się przecież na uniwersytecie - mruknął i załomotał do drzwi. Otworzyły się po chwili i owionął go zaduch dawno niewietrzonego mieszkania. Mężczyzna w pomiętym podkoszulku spojrzał na niego zdziwiony.

- Czego tu, kurwa, synek, chcesz?

Najpierw nie odpowiadałaś na moje listy, potem przestałaś je odbierać. Zniszczyłaś kochającego Cię człowieka i uważasz, że możesz po prostu odwrócić się ze wzgardą na pięcie. Niech inni cierpią za Twoje błędy, bo dlaczego Ty miałabyś ponosić konsekwencje swoich działań. Kiedy w stanie wojennym wyjechałaś, uszanowałem Twoją decyzję, uznałem swoją porażkę. Nie szukałem z Tobą kontaktu, nie pisałem, nie mówiłem „wróc, nadal Cię kocham”. Ułożyłem sobie życie bez Ciebie. To Ty przyjechałaś do mnie, to Ty nalegałaś na spotkanie, to Ty prosiłaś o wybaczenie, to Ty wyznawałaś mi miłość. Przekonywałaś, że się zmieniłaś, że dojrzałaś, że żałujesz tego, co wtedy zrobiłaś. Postawiłaś mnie przed wyborem: albo Ci uwierzę, a Ty okażesz się podła, albo nie uwierzę i do końca swoich dni będę żałował, że zaprzepaściłem szansę na przeżycie miłości. Dlaczego uwierzyłem? Przekonałem sam siebie argumentem, że nikt nie jest na tyle podły, by kochającego człowieka skrzywdzić dwa razy, że skoro rozbiłaś moją rodzinę, nie odważysz się ode mnie odejść, nawet gdybyś następnego dnia zakochała się w kimś innym. Powiedziałaś mi, że wtedy to mnie kochałaś, nie jego, co zresztą czułem i widziałem. Jednak zdecydowałaś się być z tamtym, dla Ciebie miłość nie była kryterium wyboru. Pamiętasz, jak zareagowałem na Twoje słowa? Powiedziałem, że bym się z nim zamienił. Zachnęłaś się - „Och, Janek”. Ale co przyszło mi z tego, że mnie

kochałaś, skoro to z nim chodziłaś na randki?

Mówi się, że miłości nie można kupić, ale jakże wiele można kupić z tego, czym ona się objawia. Przecież nie demonstrowałaś mu na każdym kroku, że go nie kochasz. Przeciwnie. A w te same noce, które Ty spędzałaś z nim, ja płakałem i skręcałem się z bólu.

Myślałem, że powiedziałaś za dużo, żebyś mogła się wycofać. Nie dałoby się znaleźć usprawiedliwienia dla takiego kroku. Okazało się, że Ty nie potrzebujesz usprawiedliwień. Po prostu oświadczyłaś, że nic nie powiedziałaś. A kiedy wymogłem na Tobie prawdę, uznałaś, że nie musisz się tłumaczyć. Dla kaprysu, dla jakiejś gierki zmarnowałaś mi życie i odmawiasz nawet prawa do napisania listu.

Nie odczuwasz żadnych skrępułów. Zresztą czy Ty w ogóle masz sumienie? Przecież odrobina, resztki sumienia powstrzymałyby każdego przed tym, co Ty zrobiłaś, bo Twój postępek wykracza poza wszelkie granice podłości. Dla Ciebie granice podłości nie istnieją.

Ale mylisz się głęboko, sądząc, że mogłaś bezkarnie skrzywdzić, sponiewierać, zdeptać kogoś, kto pokochał Cię nad życie, zabrać mu wszystko w zamian za ochłap nadziei, potraktować jak psie gówno, w które nieopatrznie wdepnęłaś i które z obrzydzeniem musisz wytrzeć. Ja też długo sądziłem, że jedynie Bóg może wymierzyć Ci karę, myślałem, że pozostaje mi nadzieja, że będziesz się smażyć w ogniu piekielnym. Ale w pewnym momencie coś we mnie dojrzało albo pękło, niewyobrażalny czyn stał się realny. Postanowiłem Cię zabić i zabiję Cię. Przysięgam Ci to, jak przysięgałem Ci moją miłość.

Ponemiecka willa tonęła w mroku rozpraszanym przez światło latarni i okien. Smuga światła padła też na schody, gdy na progu stanął siwy mężczyzna z workiem śmieci w ręce. Za nim wyjrzały dwa owczarki niemieckie. Mężczyzna, ubrany w zapinany sweter, wyciągnął wolną rękę, żeby

sprawdzić, czy nadal pada. Niezbyt mocno, ale padało.

- Ben, Ariel, pobiegajcie sobie.

Psy, rade z pozwolenia, wybiegły do ogrodu. Ich właściciel rozłożył parasol, podszedł do furtki i wrzucił śmieci do kubła.

- Dobry wieczór, panie profesorze - powiedział ktoś niezbyt głośno.

Wikliński odwrócił się, żeby zobaczyć, kto się z nim wita.

- A, to pan - uśmiechnął się smutno.

- Tak myślałem, że to będzie pan- otworzył furtkę i zrobił zapraszający gest.

- Proszę wejść.

Stojący na chodniku zawahał się, patrząc na psy, które zbliżyły się, zaciekawione nieznajomym.

- Nie ugryzą?

- Nie, bo widzą, że pana wpuszczam. Co innego, gdyby sam pan sobie otworzył.

Profesor pogłaskał je, ale ponieważ gość nadal się wahał, polecił:

- Ben, Ariel, za dom!

Psy posłusznie pobiegły w głąb ogrodu. Lepka odetchnął z ulgą. Panicznie bał się psów, nawet jeśli właściciele zapewniali, że są niegroźne. W dzieciństwie został dotkliwie pogryziony.

Weszli po schodkach i przystanęli przed zamkniętymi drzwiami. Profesor nacisnął klamkę, ale nie ustąpiły.

- Nie zwolniłem zapadki, zatrzasnęły się. Potrzyma pan na chwilę? - podał Lepce parasol i obmacał się po kieszeniach w poszukiwaniu kluczy. - Mam. Dziękuję.

- Chyba najlepiej będzie, jak pójdziemy do mojego gabinetu - Wikliński pokazał aspirantowi, żeby kierował się na górę.

Wprowadził go do pokoju. Lepka przystanął zauroczony. Ściany od podłogi po sufit pokrywały półki wypełnione do ostatniego miejsca książkami. Komputer ustawiony był nie

na stoliku z Ikei, tylko na zabytkowym mahoniowym biurku. W drugim rogu znajdowały się dwa skórzane fotele rodem z brytyjskiego klubu dla gentlema-nów, pomiędzy nimi empirowy stolik też z mahoniem, na którym umieszczono mały barek i inkrustowane szachy z kości słoniowej.

Aspirant przyjrzał się rozstawionym figurom.

- Jakież takie posępne - zauważył.

- Kazałem je zrobić na wzór tych, jakimi Rycerz gra ze Śmiercią w „Siódmej pieczęci” Bergmana.

Widział pan ten film?

-Nie.

- Jeśli ma pan jakikolwiek osobisty stosunek do Boga, nieważne, wiary czy niewiary, to koniecznie musi go pan zobaczyć.

A w szachy pan gra?

- Bardzo słabo, zresztą nie lubię.

- Szkoda, przyjemnie byłoby zagrać z panem partyjkę. Pana obecność tutaj świadczy o dużej bystrości. Ale powinien pan potrenować. Szachy wyrabiają zdolność logicznego myślenia i dyscyplinują umysł. Szachy i matematyka, królowa nauk. Proszę usiąść.

Profesor wskazał mu fotel przy stoliku, a sam sięgnął po leżącą na biurku fajkę.

- Czy ma pan coś przeciwko temu, że zapalę?

Lepce wprowadzie dym tytoniowy przeszkadzał, ale nie miał śmiałości powiedzieć o tym gospodarzowi w jego własnym domu.

Pokręcił przecząco głową, zastanawiając się w duchu, czy dożyje czasów, kiedy palenie przy kimś będzie równie nietaktowne jak puszczanie bąków, czy też najpierw umrze na raka płuc.

Profesor nabił fajkę, usiadł w fotelu i sięgnął do barku.

- Napije się pan czegoś? To wszystko dla gości, ja jestem abstynentem. Polecam whisky, oryginalny Johnny Walker.

Chyba że woli pan Napoleona?

Lepka, którego praktyczna znajomość marek alkoholi ograniczała się do Żywca i Sophii, podziękował. Profesor oparł się wygodnie w fotelu, pykając fajkę.

- Co naprowadziło pana na mój ślad?

- Słucham? - Lepkę zdezorientowało tak bezpośrednie postawienie sprawy.

- No przecież uznał pan, że to ja jestem zabójcą. Poszedł pan z tym najpierw do zwierzchników, ale nic nie wskórał, bo nie ma pan dowodów. A teraz pojawił się u mnie, licząc na zdobycie jakiegoś dowodu. No więc?

- W sądzie powiedział pan, że pana książka „Talmud - nauczanie i prawodawstwo” została przetłumaczona na niemiecki.

Tymczasem nie było powodu, żeby informować o przekładach.

Zresztą sprawdziłem później, że przetłumaczono ją również na francuski, włoski, rosyjski i litewski. Dlaczego więc wymienił pan właśnie ten język? Odpowiedź była tylko jedna: żeby pokazać, że Kincel mógł zapoznać się z książką, jeśli nie po polsku, to po niemiecku. Ale skąd pan wiedział, że Kincel zna niemiecki, a nie na przykład angielski albo rosyjski? Musiał pan wiedzieć, że wcześniej mieszkał w Niemczech. Ale skąd? Z akt nie, bo jako świadek nie miał pan wglądu do akt. Nikt z nas też pana o tym nie informował. Czyli znał pan przeszłość Kincla, a skoro tak, nasuwało się pytanie, do jakiego momentu. Czy wiedział pan, że Beata Paczkowska była jego żoną? Zastanowiło mnie, że jest pan jej rówieśnikiem. Zwróciłem na to uwagę, bo kiedy podawał pan sędzi swój wiek, pomyślałem, że dokładnie tyle samo co ofiara. A w tym kontekście pytanie należało postawić inaczej: od jakiego momentu znał pan przeszłość Kincla. Czy nie od chwili, kiedy w jego życiu pojawiła się Beata Paczkowska?

- Brawo! Później, jak mniemam, pojechał pan na uczelnię i

ustalił, że razem studiowaliśmy.

- Tak, a z rozmowy z Aleksandrą Rostkowską dowiedziałem się, że była pana wielką miłością.

- Z kim?

- Jej panięskie nazwisko to Bernaś.

- A, Ola. Wyszła za męża? No proszę, a niby taka nieatrakcyjna. Ale to była dziewczyna o złotym sercu, starała mi się pomóc.

- Rozmawiałem też z bukinistą. Na rozprawie zawahał się po wybuchu Kincla. Najpierw oczywiście jak inni nie zwróciłem na to uwagi, skojarzyłem dopiero, gdy szukałem odpowiedzi na pytanie, jak nabrał pan naoczego świadka, że wskazał Kincla jako kupującego Talmud. No i właściciela Hieronima, bo wprawdzie jego rozpoznanie nie było stuprocentowe i nie miało dla sądu wartości dowodowej, ale przecież nie ulegało wątpliwości, że tłumaczenie zleciła ta sama osoba. Bukinista przyznał, że głos Kincla pamiętał inaczej. W pierwszym momencie chciał o tym powiedzieć sądowi, ale uznał, że może zawodzi go pamięć, może Kincel był wtedy akurat przeziębiony. Zresztą jako wzrokowiec potrzebował zwykle więcej niż dwóch spotkań, żeby zapamiętać czyjś głos. A wyglądu był całkowicie pewien.

- I jakie wysnuł pan z tego wnioski?

- Ten sam wygląd, ale inny głos; prawdopodobnie wynajął pan aktora podobnego do Kincla.

- Imponuje mi pan przenikliwością. To jednak nie wyjaśnia, jak na Talmudzie znalazły się odciski palców Kincla - profesor przesunął czarnego króla na szachownicy. - Król był pod szachem, ale uciekł, potrafi pan dać mata? Skąd wzięły się tam jego odciski palców?

- Nie wiem - przyznał Lepka.

- No to gramy dalej. Ma pan inną figurę, żeby mnie zaatakować?

- Tak. Pistolet uzi. Można go kupić na całym świecie, ale wersja eksportowa i rodzima różnią się literami oznaczającymi położenie przełącznika ognia: w wersji eksportowej są to litery łacińskie, w rodzimej hebrajskie. Uzi, z którego została zastrzelona Bielecka, ma hebrajskie litery. Zwróciłem na nie uwagę już za pierwszym razem, kiedy miałem ten pistolet w ręku. Wiedziałem też o tym zróżnicowaniu, bo wcześniej przeczytałem sobie o uzi w Internecie, ale wtedy tego nie skojarzyłem. Naprowadziły mnie za to na pytanie: skąd kupujący Talmud wiedział, jak zapisać oryginalny tytuł? Zresztą nawet gdybym skojarzył, pan i tak był poza wszelkim podejrzeniem. Izraelskie pochodzenie broni potwierdzałoby raczej teorię o zakulisowych działaniach Mossadu, gdybyśmy w chwili znalezienia broni nie mieli już podejrzanego.

- Kiedy pani Rostkowską pokazała mi zdjęcie z wycieczki w górach, na którym był pan z Beatą Paczkowską, przypomniało mi się, jak szukał pan tej książki o Talmudzie i natrafił na swoje zdjęcie z Amosem Ozem, i co pan wtedy powiedział: że był pan attache kulturalnym w Izraelu. Czyli dyplomatą! A bagaż dyplomatyczny nie podlega kontroli celnej! Mógł pan spokojnie przemyścić pistolet z Izraela. Samolotem oczywiście nie dałoby się go przewieźć, ale pewnie wrócił pan statkiem. Profesor nie zaprzeczył, tylko się uśmiechnął.

- Przed tym szachem łatwo mogę się zasłonić. Aten podejrzany, o którym pan wspomniał? Szantażowany ksiądz i pistolet ukryty w trumnie? Przyzna pan, że to daleko bardziej obciążające poszlaki niż teoretyczna możliwość przywiezienia broni z Izraela.

Zdeprimowany Lepka nic nie odpowiedział. Po co tu przyszedł? Na co liczył? Że profesor tak po prostu się przyzna?

- A co z trzecią ofiarą, Adamem Elertem?

- Nic, stoimy w miejscu.

- Trudno oprzeć się wrażeniu, że jak nie naprowadzi się policji na właściwy trop, to sama go nie znajdzie. A jak naprowadzi się na fałszywy, to nim pójdzie.

Zaskoczony aspirant uniósł głowę.

- Czyli jednak pan profesor się przyznaje?

- Tak, zabiłem całą trójkę i spreparowałem dowody, żebyście oskarżyli o morderstwo Kincla i Bendyka.

Aspirant miał naraz tyle pytań, że sformułował je w jednym „dlaczego?” i urwał, bo nie wiedział, które wybrać jako pierwsze.

- Dlaczego zabiłem, dlaczego spreparowałem dowody czy dlaczego się przyznaję?

- No właśnie, nie boi się pan profesor, że go nagrywam?

-Nie.

- Dlaczego nie? - pewność profesora zdumiała Lepkę.

- Wie pan, co powoduje, że słabo gra pan w szachy i nie sprawia to panu przyjemności? Nie ma pan planu gry i nie przewiduje ruchów

przeciwnika. Na tym polegają szachy, a nie na przesuwa-niu figur. Trzeba rozważyć, jakie możliwości odpowiedzi na nasz ruch ma przeciwnik, ustalić, jak możemy zareagować, i tak dalej.

Wygrywa ten, kto umie dalej policzyć. Arcymistrzowie potrafią rozpatrzeć różne warianty dwadzieścia kilka posunięć naprzód.

Stąd to długie myślenie, które laikom wydaje się bezowocnym dumaniem nad szachownicą. W rzeczywistości toczy się tam pasjonująca walka.

Przychodząc tutaj, nie miał pan planu gry, chciał pan zdobyć jakiś dowód, ale nie próbował określić jaki ani w jaki sposób. Nie przyszło panu do głowy, że mogę się przyznać. A taki ruch był do przewidzenia. W łapaniu zabójców pomagają ich psychika. Często zabójstwo jest dla nich tak wielkim

obciążeniem, że muszą to z siebie wyrzucić. Czytał pan „Zbrodnię i karę”?

- Czytałem, w liceum.

- Pewnie z niechęcią jako obowiązkową lekturę?

- Rzeczywiście, niezbyt mi się podobała.

- Bo z książkami jest jak z szachami: trzeba je zrozumieć - wygłosiwszy tę sentencję, profesor podniósł się i sięgnął na półkę po Dostojewskiego. Otworzył i przeczytał: „»Dlaczego tu salopa? - zastanowił się - przecie nie było jej tu przedtem.« Zbliżył się cicho i odgadł, że za salopą ktoś się ukrywa. Ostrożnie odchylił salopę ręką i zobaczył, że tu stoi krzesło, a na krześle w kąciku siedzi staruszka, zgięta w kabłąk, z głową przekrzywioną, tak że ani rusz nie mógł dojrzeć jej twarzy; lecz była to ona. Postał nad nią. »Boi się!« - pomyślał, ogłędnie wyjął z pętli siekiereę i grzmotnął starą po ciemieniu raz, drugi raz. Rzecz dziwna: stara ani drgnęła pod razami, jakby była zrobiona z drzewa. Przestraszył się, pochylił niżej i chciał zajrzeć; ale ona schyliła głowę jeszcze niżej. Wówczas przytknął głowę aż do podłogi, zajrzał od dołu w jej twarz, zajrzał i skamieniał: starowinka siedziała i śmiała się, aż się zanosila cichym, bezgłośnym śmiechem, krztu-szac się, by on nie słyszał. Nagle wydało mu się, że drzwi sypialni leciutko uchylono i że tam również śmieją się, rozmawiają szeptem. Porwała go furia: z całej siły jął bić staruchę po głowie, ale za każdym ciosem siekiery śmiech i szept dochodził z sypialni coraz wyraźniej, staruszka zaś aż się trzęsła z wesołości. Rzucił się do ucieczki, ale sień już pełna ludzi, drzwi na schody są pootwiera-ne, na podeście, na schodach, niżej - wszędzie ludzie, głowa przy głowie, wszyscy patrzą, ale wszyscy się czają, czekają, milczą...

Ścisnęło mu się serce, nogi nie chcą ruszyć, wrosły w ziemię...

Chciał krzyknąć - i zbudził się".

Lepka słuchał nieuważnie. Żałował, że w tak głupi sposób pozwolił profesorowi się wymknąć. Ile to było wziąć dyktafon, Myszka kupiła sobie niedawno, żeby nagrywać wykłady.

Skończywszy czytać, profesor położył książkę koło szachownicy. Przez długą chwilę panowało milczenie, które przerwał

Lepka.

- Skoro pan profesor się przyznaje, to chyba może mi powiedzieć, skąd na Talmudzie wzięły się odciski palców Kincla?

- Nie ma pan dowodów, ale chce mnie ukarać za zabójstwo, więc samodzielnie wymierza sprawiedliwość i mnie zabija. Musi pan wytrzeć swoje odciski palców. Proszę mi powiedzieć, gdzie je pan zostawił.

Aspirant zastanowił się.

- Tutaj w pokoju na fotelu, poza tym niczego więcej nie dotykałem. Wchodząc po schodach, trzymałem się poręczy. Wszystko.

Furtkę do ogrodu otworzył mi pan profesor.

- Na pewno wszystko?

Aspirant jeszcze raz przemyślał swoje wejście do domu.

- Parasol! Podał mi pan parasol do potrzymania, kiedy szukał kluczy.

- No właśnie. Ale zapomniałby pan o nim, gdybym nie dopytał. A musiał pan zrekonstruować wydarzenia niedawne i niezbyt liczne. Kinclowi podałem Talmud na pocztę. Stałem za nim w kolejce. Oczywiście najpierw musiałem zorientować się w je-go nawykach: na pocztę płacił rachunki w okolicach dziesiątego, pojawiał się tam zwykle godzinę przed zamknięciem. Włączyłem stoper w komórce, który uruchomił melodyjkę. Reakcja osoby stojącej przed tobą jest zazwyczaj taka, że mimowolnie odwraca się, by zobaczyć, gdzie to dzwoni. Nic bardziej

naturalnego, gdy w obu rękach trzyma się książki, jak podać jedną z nich odwracającemu się z prośbą: „Potrzyj mi pan na moment?” i wyjąć telefon. Nie było siły, żeby po miesiącu Kincel pamiętał tak błahe zdarzenie.

- A czyje były te drugie odciski palców?

- Moje.

- Pana?!

- Tak - Wikliński z wyraźną przyjemnością obserwował zdumienie aspiranta.

- Czemu ich pan nie wytarł?!

- Żeby sąd doszedł do takich wniosków, do jakich doszedł. To właśnie było arcymistrzowskie posunięcie, policzyłem do samego mata. Jest dowód, że Kincel kupił Talmud, więc - paradoksalnie, jak zauważył sąd - drugie odciski na Talmudzie, których nie było w mieszkaniu, wskazują na winę oskarżonego, bo jeśliby zamordował ją ktoś, kto przyszedł później, traktowałby Talmud jako element mieszkania i na pewno nie zostawiłby odcisków palców tylko na nim.

- Ale tak ryzykować?!

- W szachach nie ma ryzyka. Ten element występuje tylko w grze nowicjuszy. Wykonują posunięcie bez namysłu i patrzą, co z tego wyjdzie. Denerwują się, że przeciwnik zrobi jakiś nie-bezpieczny ruch. Moich odcisków nie ma w żadnych kartotekach, policja nie miała też powodu, żeby je ode mnie pobierać - w tej sprawie pojawiałem się wyłącznie jako ekspert.

- Ale jednak zrobił pan błąd - Lepka aż wyprostował się z wrażenia, że udało mu się znaleźć lukę w rozumowaniu profesora. - Bo teraz wystarczy pobrać pańskie odciski! I to nawet niekoniecznie od pana, przecież brał pan Talmud do ręki, kiedy rozmawialiśmy za pierwszym razem. Wystarczy zdjąć z niego odciski i porównać z tymi zabezpieczonymi!

- Zapomniał pan, że wyszedłem skserować stronę tytułową. To był tylko pretekst - włączyłem kserokopiarkę i spokojnie wytarłem Talmud. Nie bez kozery wróciłem do pana z całym naręczem książek z leżącym na wierzchu Talmudem - nie mogłem go już dotykać, a podanie go panu przez chusteczkę wyglądałoby co najmniej dziwnie. Widzę też, że nie docenia pan inercji systemu.

Policja zakończyła śledztwo, prokuratura złożyła akt oskarżenia, sąd wydał wyrok. Myśli pan, że którakolwiek z tych instytucji zechce zanegować swoje ustalenia na tak wątpliej podstawie, jak pańskie słowa niepoparte żadnymi dowodami? W najlepszym razie zostaną wzięte za próbę oczernienia szanowanego profesora.

Do tego dochodzi aspekt psychologiczny: człowiek przekonany o swojej racji, a pańscy przełożeni są pewni, że zamknęli właściwych ludzi, niechętnie zmienia poglądy nawet po usłyszeniu mocnych argumentów, a pan takowych nie ma. Zresztą zaczął pan od powiadomienia zwierzchników. U kogo pan był? U tego gburą Markowskiego? I co? Wyrzucił pana.

Lepka markotnie przytaknął skinieniem głowy, ale zaraz sobie coś przypomniał i ożywił się.

- Jest jeszcze ten aktor, on zezna...

- Nic nie zezna - przerwał aspirantowi Wikliński. - Wyłuszczyłem mu, że jeśli nie będzie trzymał języka za zębami, może zostać oskarżony o pomocnictwo w zbrodni. Przeraził się tak śmiertelnie, że wcześniej przyzna się do zabójstwa Palmego niż do kupienia Talmudu.

- Dostanie gwarancje jako świadek! - Lepka nie chciał się poddać.

- Od kogo? Od pana? Chyba nie sądzi pan, że zamieni obecne bezpieczeństwo na wątpliwe gwarancje? A póki nie zacznie mówić, nic mu nie grozi: jego odcisków palców nie ma na Talmudzie, nic go nie łączy z tą sprawą. Bardzo

wątpię, że jak postawi się go koło Kincla, to bukinista będzie potrafił wskazać, który z nich kupił

Talmud. Czy raczej wskaże Kincla, bo przecież to aktor upodobał się do niego, a nie odwrotnie.

-A jak w ogóle go pan znalazł?

- Kosztowało mnie to trochę pracy. Przeczytałem w „Polityce” artykuł o serialu „Na dobre i na złe”, podobno wszyscy w Polsce oglądają tego tasiemca. Pan też?

Lepka skinał potakująco głową. Zaczął za namową Myszki, a później tak się wciągnął, że oglądał dalej sam, kiedy Myszce serial dawno już się znudził.

- Też coś - Wikliński najwyraźniej nie przepadał za telenowelami.

- W każdym razie dziennikarz podał, że realizatorzy, dbając, by twarze się nie powtarzały, do ról pacjentów zatrudniają zewsząd aktorów, nawet z najpodrzedniejszych teatrów, i że powoli nie mają po kogo sięgać. Zamiast objeżdżać Polskę, wystarczyło przejrzeć odcinki serialu, żeby znaleźć mało znanego aktora odpowiadającego posturą i wyglądem Kinclowi. To znaczy łatwo się mówi „wystarczyło przejrzeć”. Nie zdzierzyłbym, gdyby nie wynalazek, jakim jest DVD. Aktor okazał się półamatorem z prowincjonalnego teatryku, a rolą w „Na dobre i na złe” osiągnął szczyt swojej kariery. Jak pan się domyśla, gaże na prowincji są groszowe, więc chętnie przystał na propozycję dodatkowego zarobku za rolę klienta bukinisty i biura tłumaczeń. Powiedziałem mu, że chodzi o zakład z Kincliem, że jestem w stanie sprowadzić książkę tak, by wszyscy myśleli, że zrobił to on. Czyli po części powiedziałem prawdę - zauważył profesor z sardonicznym uśmiechem.

Zapadła cisza, milczenie przeciągało się.

- Proszę wybaczyć - odezwał się w końcu Wikliński - mimo że się pana spodziewałem, ta wizyta jest dla mnie

przeżyciem i zapomniałem o swojej roli gospodarza. Może nie życzy pan sobie alkoholu, ale na przykład kawę albo herbatę? Podałbym też jakieś ciasteczka. A i tak muszę na chwilę pana opuścić, żeby zamknąć psy.

- W takim razie poproszę kawę.

Gospodarz skinął głową i wyszedł.

Aspirant wstał z fotela, żeby przyjrzeć się księgozbiorowi. Ten nawyk też przejął od Myszki, która przy każdej wizycie, nomen omen, myszkowała w cudzych książkach, zawsze coś pożyczając.

Natomiast rzadko kiedy oddawała.

Przejrzał klasykę polską i obcą pominął bogatą literaturę szachową, z tego co się zorientował, w większości po rosyjsku, i natrafił na znane sobie pozycje z kryminalistyki i medycyny sądowej.

- Widzę, że znalazł pan moje podręczniki. Przyzna pan, że dobrze się przygotowałem - profesor pojawił się w drzwiach z tacą, na której stały dzbanek z kawą, śmietanka, cukier i paterka z ciastkami. Rozstawił przyniesione rzeczy na stoliku.

- Proszę.

Lepka odłożył przegładaną książkę i z powrotem usiadł.

- No a ksiądz i uzi? - zapytał, kiedy profesor nalał kawy do filizanek.

- Na księdza trafiłem, śledząc Kincla. Mieli wspólne zainteresowania, choć Bendyk był szalenie ostrożny: pożyczzał od Kincla filmy i zaraz po obejrzeniu oddawał, jeszcze tego samego dnia. To dlatego nic u niego nie znaleźliście. Potem zazwyczaj brał sobie prostytutkę o dziewczęcym wyglądzie. Zgłosiłem się do Bieleckiej, przedstawiłem jako ojciec dziewczynki, którą ksiądz molestował na religii, na co niestety nie miałem dowodów, a chciałem, żeby łobuz znalazł się za kratkami. Oczywiście za zastawienie pułapki na Bendyka zaproponowałem jej

wynagrodzenie, ale nie pieniądze ją przekonały - pomagając mi złapać pedofila, mściła się pośrednio na swoim ojcu. Zaaranżowanie spotkania Wikarego z Bielecką nie nastąpiło żadnych trudności. Wystarczyło, że poleciła ją koleżanka, wspominając, że ma nie tylko bardzo dziewczęcy wygląd, ale i jest w stanie załatwić nieletnią. W ten sposób powstało nagranie, które uznaliście za motyw zabójstwa.

-A broń?

- To ja włożyłem ją do trumny.

- Jak? I jak pan to zrobił, że sataniści ją odkopali? Profesor się uśmiechnął.

- Sataniści wcale jej nie odkopali, ja ją odkopałem.

- Nic nie rozumiem - przyznał się Lepka.

- Pierwotny plan miałem zupełnie inny. Chciałem doprowadzić do ekshumacji, zgłaszając podejrzenie, że rodzina czy lekarze dokonali eutanazji, podając chorej truciznę. Akurat mamy katolic-kiego prokuratora generalnego, więc dyrektywy brzmią żeby takie przypadki bezwzględnie ścigać. Prowadziłem jednak wtedy badania nad elementami judaistycznymi, rzeczywistymi bądź niesłusznie uchodzącymi za żydowskie, w obrzędowości grup satanistycznych.

W tym celu czytywałem między innymi ich forum w Internecie i natknąłem się na - jak to się teraz mówi - info o czarnej mszy na cmentarzu przy świeżych grobach. Wtedy wpadłem na pomysł, żeby po prostu odkopać ten grób. Nie wątpiłem, że kiedy policja znajdzie przy nim ślady satanistów, uzna, że to ich sprawka.

- No ale mogli przecież odprawiać tę mszę przy innym grobie - zauważył Lepka.

- Mogli - zgodził się profesor.

- Wtedy wrzuciłbym parę butelek czy świec do wykopu i policja uznałaby, że z jakiegoś powodu wybrali do

rozkopania grób nieco oddalony od miejsca mszy. Większe trudności miałem przy chowaniu broni i ubrania.

Musiałem dać się zamknąć na noc w kaplicy pogrzebowej, a jedynym miejscem, w którym mogłem się ukryć, była trumna nieboszczki. Proszę mi wierzyć, że leżenie z trupem w objęciach jest mało przyjemne - profesor wzdrygnął się na to wspomnienie.

- A jak potem wyszedł pan z kaplicy?

- Zwyczajnie, przez okno. Niech się pan częstuje, ciastka wprawdzie kupne, ale smaczne.

Profesor sam dał przykład i sięgnął po ciastko.

- Powiedział pan, że się mnie spodziewał. Dlaczego?

- Zostawiłem trochę śladów, jak choćby ten uzi przywieziony z Izraela czy napomknienie w sądzie o przekładzie na niemiecki, które wcale nie było lapsusem. Nic, co stanowiłoby niezbity dowód, ale bystrego policjanta powinno do mnie doprowadzić.

A czemu stawiałem na pana? Coś panu opowiem. Wychodzę z moimi pupilami nad rzekę, żeby pobiały sobie na większej przestrzeni. W tych miejscach, gdzie na wały da się wjechać samochodem, odgrodzono je szlabanami, żeby to uniemożliwić. Piesi muszą je obchodzić, często wydeptując ścieżki, bo nie pomyślano, żeby zostawić dla nich miejsce. Ot, polska myśl techniczna. Kiedyś szlaban był otwarty, a ja mimo to machinalnie przeszedłem bokiem. Siła przyzwyczajenia. Zacząłem obserwować ludzi. Ci, których widywałem tam regularnie - rowerzyści, biegacze, właściciele psów - przejeżdżali lub przechodzili bokiem, mimo że przeszkoda zniknęła. Jak ktoś szedł środkiem, mogłem spokojnie założyć, że chodził tamtędy rzadko albo w ogóle był pierwszy raz i nie pamiętał bądź nie wiedział o istnieniu przeszkody. I podobnie w śledztwie. Pańscy przełożeni poszli utartą ścieżką, a że ja ją wytyczyłem, dali się wpuścić w maliny.

- A dlaczego w ogóle zostawił pan ślady?

- Hm, jednak młodość i niedoświadczenie nie zawsze są atu-tem. Myślę, że inspektor Markowski nie zadałby mi tego pytania.

Wikiński zamilkł, nie kwapiąc się do dalszych wyjaśnień, a zawstydzony Lepka nie śmiał się dopytywać.

- Pewnie interesuje pana - podjął profesor - dlaczego przy trzeciej ofierze nie zostawiłem fałszywych tropów, żebyście mogli kogoś złapać.

Aspirant przytaknął bliżej nieokreślonym dźwiękiem, bo właśnie przegryzał kawę ciastkiem.

- Asymetria. Asymetria jest naturalna, symetria sztuczna.

Poza tym trzech zabójców jednej rodziny zapewniających o swej niewinności to byłoby za dużo.

- A wie pan, czemu Adam Elert posługiwał się fałszywym dowodem?

- Wiem. Bo mu go dałem.

-Pan?!

- Tak. Nie chciałem, żebyście od razu wiedzieli, że są spokrewnieni, bo wtedy przyjęlibyście, że celem zamachu była cała rodzina, a nie każdy jej członek z osobna, i śledztwo poszłoby w niepożądanym, z mojego punktu widzenia, kierunku. Mogliście się o tym dowiedzieć dopiero wtedy, kiedy skryształizowały się podejrzenia, że w grę wchodzi różni sprawcy.

-I on ten dowód tak po prostu wziął?

- No tak po prostu to nie. Kupiłem od niego stary dowód, ale postawiłem warunek, że musi wziąć nowy, by w razie czego policja nie doszła, że on jest słupem, którego dokumenty posłużyły do założenia fikcyjnej firmy. Bo powiedziałem, że w tym celu potrzebuję autentycznego dowodu. Ale uzasadnienie mało go obeszło, chciał tylko mieć pieniądze na narkotyki.

- A skąd miał pan ten fałszywy?

- Panie aspirancie! Bo zacznę podejrzewać, że swój dyplom nabył pan w tym samym miejscu. Na bazarze Ludomira. Wystarczyło, żebym pokręcił się niezdecydowanie przez pięć minut, a już miałem oferty kupna benzyny po okazyjnej cenie, jakichś magne-sów, które oszukują liczniki prądu, no i lewego prawa jazdy. Ale potrzebowalem dowodu. Nawiasem mówiąc, fałszerz pożalił mi się, że musi się opłacać nie tylko mafii, ale i policji, a z opisu wynikało, że naszemu dobremu znajomemu, inspektorowi.

Słowa Wiklińskiego zszokowały Lepkę. Teraz uświadomił sobie, dlaczego przeszukanie u fałszerza zostało odwołane. Nie był informatorem

CBS, tylko płacił haracz Markowskiemu.

- Będę musiał to zgłosić.

- Nie radzę. Nic pan nie wskóra, a zrujnuje sobie karierę.

Wiem, że w młodości człowiek kieruje się ideałami, ale rzeczywistość skutecznie z nich leczy. Mówi to panu ktoś, kto też był idealistą w bolesny sposób te złudzenia stracił. Lepiej samemu od początku z nich zrezygnować.

- Przecież to cynizm.

- Tak. Jedyne filozofia, która pozwala w naszej rzeczywistości przeżyć - Wikliński westchnął, jakby konstatawał ten stan rzeczy, ale wcale go nie pochwalał. - Reszta była prosta. Zaprosiłem Bielecką do siebie pod pretekstem omówienia szczegółów drugiego nagrania z podstawioną dziewczynką, rzekomo miała ją u mnie poznać i wszystko ustalić. Kazałem jej przyjechać tramwajem, a nie samochodem czy taksówką, żeby nikt nie zobaczył samochodu pod domem albo żeby taksówkarz w razie czego nie przypomniał sobie, że ją tu przywiózł. Utrzymywanie naszych kontaktów w aż takiej tajemnicy nie miałyby wprawdzie większego sensu, gdyby rzeczywiście chodziło o zdemaskowanie pedofilskich

skłonności księdza, ale dziewczyna inteligencję czy raczej brak inteligencji odziedziczyła po ojcu, co zauważyłem już przy pierwszej rozmowie, i uznała te środki bezpieczeństwa za adekwatne. Zastrzeliłem ją z nienacka, nie chciałem, żeby przeżyła strach przed śmiercią.

Z bratem poszło równie gładko, był tak zamroczony narkotykami, że nie wiem, czy w ogóle zarejestrował moją obecność.

- A komórka? Co się z nią stało?

- Miałem dwie. Z jednej aktor dzwonił do bukinisty i Hieronima, i z tej zatelefonowałem później do Beaty, a z drugiej kontaktowałem się z jej córką. Czekałem, aż zacznie do mnie dzwonić, co oznaczałoby, że wiecie już, gdzie kupiono Talmud.

I wtedy obie komórki powędrowały na tory kolejowe. Intercity do Warszawy zrobił z nich miazgę.

- To pan ukradł Kinclowi komórkę?

- Ależ skąd. Przypadek, bynajmniej nie zaskakujący, bo kradzieże komórek są na porządku dziennym. Bez większego znaczenia dla sprawy. Gdyby nie ukradziono mi telefonu, przyjęlibyście, że na potrzeby przestępstwa sprawił sobie dodatkowy, tak jak ja to zrobiłem - profesor podniósł się.

- Przepraszam pana na chwilę, muszę umyć ręce - wyjaśnił eufemistycznie.

Aspiranta dobiegł skrzyp otwieranych drzwi łazienki.

Rozważał to, co dotąd usłyszał. Dostał wszystkie brakujące elementy układanki, odpowiedź na pytanie „jak?” była jasna, pozostawało...

- Dlaczego? - zapytał, kiedy Wikliński wrócił. - Dlaczego pan ich zabił? Dlaczego Beatę Paczkowską z takim okrucieństwem?

- Wymierzyłem karę.

- Karę?

- Czy pozwoli pan, że puszczę niezbyt głośno muzykę? Klasyczną. Wiem, że wy, młodzi, uznajecie ją za równą odgłosom piłowania, aleja popu i rocka nie jestem w stanie słuchać.

- Oczywiście - zgodził się bez zastrzeżeń Lepka, którego matka natura do tego stopnia pozbawiła słuchu muzycznego, że było mu obojętne, czy puszczają Bacha, czy techno. Myszka cierpiała, bo w tańcu poruszał się z gracją hipopotama z nadwagą.

Profesor wyszukał płytę i włączył odtwarzacz.

Popłynęły pierwsze takty.

- Wie pan, co to jest?

Lepka lekko wzruszył ramionami.

- Nie, nie znam się na muzyce.

- „Carmen” Bizeta. Wybrane arie. To jest aria „z kwiatkiem”.

Słuchali przez dobrą chwilę. A przynajmniej profesor, bo aspirant, nie potrafiąc skupić się na muzyce, od razu wrócił myślami do zabójstwa.

- Jak to wymierzył pan karę?

- Co panu opowiedziała Ola Bernaś?

- Że był pan szaleńczo zakochany w Beacie Paczkowskiej, ale pana odrzuciła.

- Z boku pewnie tak to wyglądało. Prawda jest trochę inna

- profesor ponownie nabił fajkę, zapalił i zaczął opowiadać.

- Jak pan wie, studiowaliśmy razem hebraistykę. Był to wąski kierunek, nasz rok liczył raptem kilkanaście osób. Pierwszy raz zwróciłem na nią uwagę przy wyczytywaniu listy obecności na zajęciach inauguracyjnych, bo okazało się, że źle zapisano jej nazwisko, Paczkowska zamiast Paczkowska. Musiała sprostować. Drobną blondynką, córka wdała się w nią z wyglądu. Nie zrobiła na mnie większego wrażenia, bardziej spodobały mi się inne dziewczyny.

Ale było w niej coś, co jednak pociągało. Z czasem coraz

częściej szukałem okazji do porozmawiania, łapałem się na tym, że na nią patrzę, z każdym dniem wydawała mi się ładniejsza. Grupa już podśmiewała się i plotkowała, że się w niej zakochałem, choć ja wtedy tak tego nie odczuwałem. Gdyby ktoś kazał mi zdefiniować, co czuję, powiedziałbym, że się w niej durzę. Aż nagle któregoś dnia, dokładnie wiem którego, to był osiemnasty grudnia, uświadomiłem sobie, że ją kocham. Pierwszy raz w życiu się zakochałem.

Był pan kiedyś zakochany, tak naprawdę?

Pytanie trochę zaskoczyło Lepkę, nastawił się już na dłuższą opowieść.

- Byłem... i jestem.

- To pan wie, jakie to uczucie. Nie mogłem się uczyć. Po kilku godzinach nad książkami odkrywałem, że nie przewróciłem ani jednej strony, bo myślami byłem przy Beacie. Nie jadłem - gdyby nie rodzice, umarłbym wtedy z głodu, bo w ogóle nie odczuwałem potrzeby jedzenia - chodziłem jak odurzony i myślałem tylko o niej. Zasypiałem, mając jej obraz pod powiekami, śniła mi się co noc. Te sny były piękne, że wyznaję jej miłość, a ona mówi, że czuje to samo. Marzyłem, że ją całuję. Na więcej sobie nie pozwalałem, nawet w marzeniach. To wy, młodzi, zaczynacie teraz związek od seksu, wtedy było inaczej. Zaprosiłem ją do kina. Strasznie się bałem, że się nie zgodzi, ale zarazem jakby takiej możliwości nie brałem pod uwagę. Przecież tak bardzo ją kochałem, najszczerzym uczuciem, była dla mnie wszystkimi, nie mogłem bez niej żyć. Jak mogła się nie zgodzić? Nie zgodziła się. Powiedziała, że źle ją zaprosiłem: nie powinienem pytać, czy pójdzie ze mną do kina, tylko kupić bilety na seans i poinformować, na jaki film idziemy.

Wyrzucałem sobie własną głupotę. Byłem tak bliski szczęścia, ale nie umiałem się zachować, nie wiedziałem, jak się zaprasza dziewczynę do kina. Mimo to spróbowałem jeszcze

raz: odczekałem tydzień - więcej nie byłem w stanie - kupiłem bilety i ponownie ją zaprosiłem. Powiedziała, że nie pójdzie, bo stawiam ją pod ścianą.

Uzasadnienia odmowy sprzed tygodnia nie pamiętała. Jakby ktoś wylał na mnie kubek zimnej wody. Zrozumiałem, że nie chce iść i bez względu na to, jak sformułuję zaproszenie, zawsze będzie źle.

Poszedłem oddać bilety - w mojej rodzinie się nie przelewało, rodzice mieli nas czwórkę i mimo że oboje pracowali, nie dawali rady - i, choć miałem ochotę, nie mogłem ich tak po prostu wyrzucić.

Lepka przypomniał sobie opowieść Rostkowskiej, jak Wikliński głodował, żeby móc kupić prezent, ale uznał, że lepiej będzie, jak się do swojej wiedzy nie przyzna.

- W kasie ich nie przyjęli, chociaż bilety na seans dawno zostały wyprzedane, a pod kinem kłębił się tłum ludzi. Nie wybrałem przecież radzieckiej produkcji, a na atrakcyjne filmy biletów zwykle brakło, jeśli człowiek nie pofatygował się odpowiednio wcześniej.

Sprzedalem je jakiejś parze. Wzięli mnie najpierw za konika i byli bardzo zdziwieni, że nie odsprzedają drożej, tylko za nominalną cenę. Dziękowali mi, jakbym dał im gwiazdkę z nieba, a do mnie te podziękowania nawet niespecjalnie docierały. Patrzyłem na nich i zastanawiałem się, jak on to zrobił, że poszła z nim do kina. Co jej powiedział? Czy znał jakąś tajemnicę, która pozostawała dla mnie niedostępna? Dlaczego on mógł pójść do kina z ukochaną dziewczyną, a ja nie? Tej nocy po raz pierwszy z jej powodu się popłakałem.

Nie zrezygnowałem. Nie dlatego, żebym był jakoś szczególnie uparty - należę do ludzi, których przeciwności dość szybko zniechęcają - po prostu nie umiałem inaczej. Przecież nie przestałem o niej myśleć. Nadal do niej tęskniłem, nadal marzyłem. Szukałem z nią kontaktu na uczelni, ale pilnowała się, żebyśmy nie zostali sam na sam.

Wtedy zacząłem pisać do niej listy, długie listy miłosne. Wkładałem jej do torby. Myślałem, że ich nie czyta, może wyrzuca, ale kiedyś zobaczyłem, że w torbie ma jeszcze stary list. Machinalnie wymieniałem go na nowy. Proszę sobie wyobrazić moją radość i zdumienie, kiedy okazało się, że koperta była rozdarta. Czytała je! Ale nie dość tego. Podkreślała sobie co ładniejsze wyrażenia! Wpadłem w euforię. Zakochanemu niewiele trzeba do szczęścia.

Tamtego wieczoru poszedłem pod jej okno, schowałem się w kępie drzew i patrzyłem na ten oświetlony prostokąt, za którym znajdowała się moja ukochana. Kiedy zgasła światło, powiedziałem „dobranoc, kochanie”. Stałem tam przez całą noc i wyobrażałem sobie ze sto sytuacji, jak zaproponuję jej chodzenie, a ona się zgodzi.

I jednocześnie wiedziałem, że w rzeczywistości będzie inaczej, że będzie to sto pierwsza sytuacja. Nie miałem racji, nigdy nie nastąpiła.

Chciałem zaproponować jej chodzenie, ale nie miałem jak.

Mimo zakreślanych wyrażen, mimo coraz częstszych spojrzeń, mimo że gdy staliśmy w grupie, potrafiła przysunąć się bardzo blisko mnie, zbyt blisko, nadal pilnowała, żeby ktoś zawsze przy nas był. Nic z tego nie rozumiałem. Kiedyś tematem dyskusji czy raczej plotek stała się nasza jedyna grupowa para. Beata powiedziała, że nie wyobraża sobie chodzenia z chłopakiem, który studiuje na tym samym kierunku, bo zanutziłaby się na śmierć, gdyby po zajęciach miała rozmawiać na tematy związane ze studiami. Poza tym ludzie nie mogą spędzać ze sobą okrągłej doby. Aluzja była aż nadto czytelna. Wszyscy patrzyli na mnie, a ja stałem czerwony i nie umiałem na to odpowiedzieć, rozpaczliwie szukałem jakiegoś konceptu, by obrócić sprawę w żart, ale w głowie miałem pustkę.

Nie dość tego: zamiast poczekać, aż ktoś skomentuje jej słowa, wyrazi inną opinię czy po prostu zmieni temat,

odwróciłem się i odszedłem.

Byłem w czarnej rozpacz - dała mi kosza, zanim zaproponowałem jej chodzenie. Nie miałem wątpliwości, że ten pogląd sformułowała wyłącznie na mój użytek. Gdybym zmienił kierunek studiów - dla niej gotów byłbym na każde poświęcenie - powiedziałaaby, że woli związać się z kimś ze swojego roku, bo to oznacza, że mają wspólne zainteresowania. Załamałem się całkowicie. Przestałem pisać listy, przestałem chodzić pod jej okno, co od pewnego czasu stało się moim zwyczajem. Funkcjonowałem jak automat: niby normalnie uczęszczałem na zajęcia, ale nic do mnie nie docierało. Siedziałem tylko i wpatrywałem się w ławkę, na przerwach zaszywałem się gdzieś w kącie.

Któregoś dnia na początku wiosny natknąłem się na nią po wyjściu z uczelni. Chciałem ją minąć, ale zatrzymała mnie pytaniem, czy nie widziałem Olki. Wszyscy troje mieszkaliśmy niedaleko siebie i zwykle one wracały razem. Powiedziałem, zgodnie z prawdą, że Ola pisze zaległe kolokwium. Myślałem, że znajdzie pretekst, żeby ze mną nie wracać, ale ku mojemu zdziwieniu zapytała, czy idę do domu. Kiedy przytaknąłem, poszła ze mną jakby nigdy nic. Nie chciałem jej zrazić wyznaniem, tylko próbowałem zabawić rozmową. I udawało mi się, żartowałem, ona się śmiała, przekomarzaliśmy się. Gdy mijaliśmy nadrzeczny park, zaproponowałem, żebyśmy poszli okrężną drogą, wałem.

Zgodziła się. Przy dębim koło schodków na plac zabaw wyznałem jej miłość. Po raz pierwszy na głos. Czy ty nie widzisz, że cię kocham? Tak mi się to sformułowało. Tylko się uśmiechnęła.

Zapytałem, czy mnie kocha. Powiedziała, że nie.

Ale od tego dnia spotykaliśmy się codziennie w drodze na uczelnię, a w niedzielę w drodze do kościoła, i razem wracaliśmy.

Ola gdzieś zniknęła. W tej przyjaźni rządziła Beata.

Wcześniej Ola musiała jej towarzyszyć, żeby uniemożliwić nam spotkanie sam na sam, teraz najwyraźniej miała nam nie przeszkadzać. Nie umawialiśmy się, niby te nasze ranne spotkania były przypadkowe, ale ja wychodziłem zawsze o tej samej porze, po wiadomościach w radio, i ona też. To wszystko ośmieliło mnie do tego stopnia, że zaproponowałem jej chodzenie. I spotkałem się z odmową. Nie powiem, że miałem pewność, że się zgodzi, ale było we mnie tyle nadziei...

Tego dnia przez resztę drogi milczałem zdruzgotany, a ona coś wesoło paplała. Przed wejściem na uczelnię zapytałem ją, dlaczego jest taka radosna. „A bo mi tak lekko na sercu” - odpowiedziała.

Ale nie przestała się ze mną rano spotykać. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. W kwietniu zaprosiła mnie na urodziny. Jakby chcąc podkreślić, że nie jest to żadne specjalne wyróżnienie, powiedziała, że będzie prawie cała nasza grupa. Wziąłem dodatkową pracę, żeby zarobić na kwiaty: pragnąłem jej kupić dwadzieścia czerwonych róż, tyle, ile lat kończyła. Nie miałem już w ogóle czasu na naukę: groźba, że zawałę rok, stawała się realna, ale mało mnie to obchodziło. Liczyła się tylko ona. Zabrakło mi pieniędzy na jedną różę. Powiedziałem o tym kwiaciarce, bynajmniej nie chciałem, żeby dała mi za darmo, obiecałem, że później na pewno zapłacę. Dzisiaj sprzedawca dołożyłby dodatkową gratis i jeszcze podziękował, że ktoś kupuje od niego naraz tyle kwiatów. Ale wtedy były inne czasy. Usłyszałem, że kwiaciarnia nie jest kasą zapomogowo-pożyczkową. Co miałem zrobić? Nie mogłem przecież kupić dziewiętnastu. Uratował mnie mężczyzna stojący za mną w kolejce. „Ja zapłacę - powiedział — niech pani da chłopakowi tę różę”. Kiedy poprosiłem go o adres, żebym mógł odnieść mu później pieniądze, tylko się uśmiechnął. „Jeśli przyniesie ci szczęście, możesz uznać dług za spłacony” - oznajmił. Z tego

punktu widzenia nadal jestem jego dłużnikiem. Choć na urodzinach było wspaniale. Dwadzieścia róż zrobiło na niej wrażenie. Nie odmawiała mi tańców, a że jestem bardzo dobrym tancerzem, tym też jej zaimponowałem. A gdy udało mi się poprosić ją do wolnego...

Ciepło jej ciała, miękkość, bliskość... Rozmawialiśmy półsłówkami, aluzjami, niedopowiedzeniami, ale treść była oczywista... ja mówiłem, że ją kocham, a ona mi odpowiadała, że odwzajemnia moje uczucie.

Tej nocy też nie zmrużyłem oka, ale ze szczęścia. Czyli tak miało się to odbyć. Nie propozycja, pytanie i odpowiedź twierdząca, tylko samo z siebie, naturalnie. Następnego dnia, idąc do kościoła, nie spotkałem jej. Pomyślałem, że pewnie zasnęła, zmęczona imprezą. Zobaczyłem ją jednak po mszy, podszedłem i wracaliśmy razem. Wziąłem ją za rękę, wyrwała się. Próbowałem objąć ramieniem, odsunęła się. „Co się stało? - zapytałem. - Przecież wczoraj...”. - „Wczoraj nic nie było” - ucięła. Jak to nie? Byłem zdumiony, ale żadnych jej słów nie mogłem przytoczyć, wprost nic nie powiedziała. Zacząłem się zastanawiać, czy nie projektuję własnych pragnień na rzeczywistość. Czy nie dostrzegam tego, co chcę widzieć? Nie zdawałem sobie sprawy, z jaką dziewczyną mam do czynienia. Wiele lat później przekonałem się, że gdybym nawet mógł powołać się na jej słowa, nic bym nie wskórał.

Później już wiele się nie wydarzyło. Ja przysiadłem fałdów, żeby jednak zaliczyć ten pierwszy rok, ona zdecydowała przenieść się na architekturę, uczyła się do egzaminów wstępnych i rzadko pokazywała się na uczelni. Przez wakacje w ogóle jej nie widziałem, miała rodzinę w Niemczech i spędziła tam całe lato. Ale przysłała mi kartkę.

Od października myślałem na politechnice. Wykłady spędzałem na zapisywaniu brudnopisów jej inicjałami, imieniem i słowami „kocham cię”. Zaraz po wykładach

wsiadałem w tramwaj i jechałem na politechnikę.

Plan jej zajęć miałem w małym palcu. Różnie na mnie reagowała: czasami miło rozmawialiśmy, czasami odwracała się niechętnie. Znowu zaproponowałem jej chodzenie i znowu odmówiła. Powiedziała, że nie chce mieć chłopaka i żebym na nią nie czekał. Było to głupie z mojej strony, ale o tyle uspokoiły mnie jej słowa, że przynajmniej nie będzie nikogo innego. Ogarniał mnie paniczny strach na myśl, że mogłaby związać się z kimś innym. O swojej głupocie szybko się przekonałem.

Ale najpierw były święta. Przyszła do mnie. Jakby nigdy nic. Pierwszy dzień świąt, jestem akurat sam w domu, ktoś dzwoni do drzwi - domofonów wtedy nie instalowano - otwieram. Myślałem, że upadnę, kiedy zobaczyłem, że to ona. W zasadzie nawet nie rozmawialiśmy, tylko siedzieliśmy razem. Miałem uczucie, że skoro ona jest przy mnie, cały świat może przestać istnieć. My dwoje byliśmy dla siebie całym światem. Kiedy wrócili moi rodzice, poszła. Tak samo bez słowa, jak przyszła.

Miesiąc później miała chłopaka. Pojechałem do niej jak zwykle na politechnikę i zobaczyłem ich wychodzących z zajęć - trzymali się za ręce. Wsiedli do samochodu, białego poloneza, i odjechali.

Nie da się opisać, jaki wtedy czułem ból, każde słowo będzie za słabe. Nawet nie wiem, co tego dnia i tej nocy robiłem, czy zdołałem wrócić do domu, czy wałęsałem się nad rzeką. Wiem jedno: nie płakałem. Byłem w szoku, nie potrafiłem ulżyć sobie płaczem.

Po kilku dniach napisałem do niej list, pierwszy od długiego czasu. Błagałem ją zaklinałem, żeby nie niszczyła naszej miłości, że przecież jąkocham i widzę, że odwzajemnia moje uczucie. Pytałem, dlaczego broni się przed miłością, dlaczego wybiera związek bez uczucia. Odpisała mi. Dowiedziałem się, że jestem bufonem, megalomanem, który ubzdurał sobie

niestworzone rzeczy, że mnie nie kocha, nigdy nie kochała, nie jest w ogóle w stanie wyobrazić sobie, żeby mogła pokochać kogoś takiego jak ja.

Uniosłem się honorem. Zaproponowałem chodzenie dziewczynie z pracy, która od dłuższego czasu robiła do mnie oczy.

Zgodziła się, choć miałem nadzieję, że się nie zgodzi. Nie mogłem zrozumieć, czemu w tym przypadku poszło tak łatwo, chociaż nawet nie próbowałem udawać, że ją kocham, a tam, gdzie żywiłem szczere uczucie, natrafiałem na mur.

To chodzenie było koszmarem, jakże inaczej, skoro stale myślałem o innej. Wytrzymałem trzy miesiące. Pod koniec robiło mi się niedobrze na samą myśl, że mam ją dotknąć.

Do dziś nie potrafię wybaczyć sobie tego kroku.

Mogę podać tylko jedną okoliczność łagodzącą: nie skłamałem, że jąkocham.

Później przyszły dni marazmu. Budziłem się każdego ranka z poczuciem, że nie mam po co wstawać. Często śniło mi się, że z nim zerwała i wróciła do mnie. Tak, wróciła. Przecież się kochaliśmy, to my powinniśmy być parą. Owo moje wewnętrzne przekonanie było tak głębokie, że gdy raz ktoś z grupy powiedział, że poprzedniego dnia widział w mieście Beatę z chłopakiem, moją pierwszą reakcją było zdumienie: jak to, przecież wczoraj się z nią nie spotkałem. Równie często śnili mi się we dwójkę, że on ją dotyka, całuje. Budziłem się zlany potem, chwila ulgi, że to tylko sen, ale zaraz przychodziła porażająca świadomość, że to także rzeczywistość. Najgorzej znosiłem, kiedy we śnie zapominałem, co się wydarzyło, mówiłem jej, że jąkocham, ona przytulała się do mnie i odpowiadała, że też mnie kocha. Ten jej facet nigdy nie istniał.

Przebudzenia były wtedy szczególnie bolesne - zderzenie rzeczywistości ze szczęściem ze snu nie mogło być bardziej okrutne.

Przestałem jeździć na politechnikę, ale czasami ich widywałem, mieszkała przecież koło mnie. Straszliwie to przeżywałem, ból był nie do zniesienia. Zacząłem bać się wychodzenia z domu.

Kiedyś zobaczyłem ich w tramwaju. Siedziała mu na kolanach.

Po prostu mnie sparaliżowało. Stałem w tyle wagonu i nie potrafiłem się odwrócić, nie potrafiłem wysiąść. Nie wiem, może była też w tym duma, żeby nie pokazać, jak mnie ten widok kaleczy, jakie rany wyszarpuje. Wysiadłem przystanek przed naszym. Był tam fryzjer, więc teoretycznie mogłem iść do fryzjera. Tramwaj odjechał, a ja zemdlałem na przystanku.

Często chodziłem pod ten dąb, przy którym po raz pierwszy wyznałem jej miłość. Siadałem na ławce, kulilem się i spędzałem tak długie godziny. Rozważałem, jak to się stało, że wybrała jego, nie mnie. Cały czas zastanawiałem się, co zrobiłem źle. Nadstawiałem ucha, kiedy znajomi i przyjaciele opowiadali, jak się zeszli w pary, ale w ich historiach nie znajdowałem odpowiedzi.

Szukałem w książkach i filmach. W życiorysach znanych mężczyzn często powtarzało się zdanie „zakochał się i ożenił”. Ale mnie interesowało, co było pośrodku! Ja też się zakochałem!

W powieściach ten odrzucony był zły, głupi, brzydki, a wybrany szlachetny i przystojny. Nijak się to miało do mojej sytuacji. Nie byłem przecież ani zły, ani głupi. Za przystojnego wprawdzie się nie uważałem, ale ten jej facet też się pod tym względem nie wyróżniał. Jeśli kobieta wychodziła za mąż za człowieka, którego nie kochała, to najczęściej wbrew swej woli, pod naciskiem rodziców, ale przecież teraz były inne czasy. Rodzice Beaty, zwłaszcza matka, patrzyli na mnie krzywo i niedwuznacznie dawali do zrozumienia, że nie jestem odpowiednią partią dla ich córki -

pochoziłem ze zbyt biednej rodziny, ale nie ulegało wątpliwości, że zadecyduje ona sama. Może czymś się jej naraziłem? Ale czym? Nie dopuszczałem do siebie myśli, że po prostu wołała bogatszego, który imponował jej samochodem i koneksjami tatusia. Nie chciałem tak źle myśleć o ubóstwianej dziewczynie. W książkach nie było też podpowiedzi, jak radzić sobie z bólem, beznadzieją, rozpaczą. Odrzucony w pełni zasługiwał na odrzucenie i jego odczuć nie opisywano.

Pewnego dnia ogarnęła mnie tak straszliwa tęsknota, że po prostu do niej poszedłem. Zapomniałem, że ma chłopaka, że od kilku miesięcy ze sobą rozmawialiśmy. Zadzwoiłem do drzwi, otworzyła mi jej matka. Spojrzała na mnie jak na przybłądę, ale poprosiła Beatę. Jąkając się, zacinając i czerwieniąc, zapytałem, czy nie poszłaby ze mną na spacer. Zgodziła się. Długo spacerowaliśmy. Czulem, że lubi moje towarzystwo, że też doskwierał jej brak kontaktu. Rozmawialiśmy o błahostkach, o studiach, o znajomych...

o tym jej facecie ani słowa, jakby w ogóle nie istniał.

Złapał nas deszcz, majowa ulewa. Przemoczeni dotarliśmy pod jej bramę. Nie poszła od razu na górę, mimo że milczałem. Nie wiedziałem, co powiedzieć, bałem się, że za chwilę odejdzie i znowu długo jej nie zobaczę. Co miałem zrobić, żebym następnego dnia też mógł wziąć ją na spacer, objąć, przytulić? Co się mówi dziewczynie, która cię kocha, a mimo to nie chce z tobą być? Zapytała mnie, czy nadal chodzę z tamtą. Wiedziała. Skądś wiedziała. Interesowała się mną. Powiedziałem, że już nie, że cały czas i tak myślałem o niej, że nadal myślę. Próbowałem ją przekonać, żeby go rzuciła, że przecież się kochamy. I znowu natrafiłem na mur. Wtedy jej zarzuciłem, że się sprzedała. Poniosło mnie, później żałowałem tych słów. Dyktowała mi je rozpacz, ale to mnie nie usprawiedliwiało.

Po tym spotkaniu się pochorowałem, miałem ponad

czterdzieści stopni gorączki. Deszcz nie był przyczyną, choć wtedy tak myślałem, zmokliśmy, ale nie przewiało nas, było ciepło. Dziś wiem, że nie zniosłem obciążenia psychicznego, organizm ratował się dolegliwościami fizycznymi. Wróciły ponure, beznadziejne dni.

Próbowałem do niej dzwonić, ale zawsze mówiła, że jest zajęta, że akurat rysuje bardzo ważny projekt i jej przeszkadzam. Albo odbierała jej matka i oświadczała - nie starając się wcale ukryć, że kłamie - że Beaty nie ma w domu. Nadzieje odżyły jesienią. Olka podeszła do mnie na przerwie i powiedziała: „Janek, ona z nim zerwała, spróbuj jeszcze raz”.

Kupiłem bukiet kwiatów i pojechałem do niej. Kiedy zobaczyła, że to ja, zatrzasnęła drzwi. Położyłem wiązankę na wycieraczkę i poszedłem stamtąd.

W grudniu, pięć dni po wprowadzeniu stanu wojennego, przekazała mi przez Olkę, że prosi wieczorem o spotkanie. Tysiące myśli przelatywały mi przez głowę, rozsądek nie potrafił zagłuszyć nadziei, że może jednak, że może w końcu przekonałem ją swoją miłością. Nadzieję potęgowała też data, osiemnasty grudnia, dzień, w którym się w niej zakochałem. Dostrzegalem w tym palec Boży, jej zgoda tego właśnie dnia miałyby swoją symbolikę (choć ona nie wiedziała, jak ważna to dla mnie data, nigdy jej o tym nie powiedziałem), stanowiłaby dla mnie dodatkowe zadośćuczynienie za dwa długie lata czekania. Ten dzień byłby nie tylko moim dniem, stałby się naszym dniem.

Powiedziała, że wychodzi za mąż i wyjeżdża. Za faceta, który mieszka w Niemczech. To był właśnie Kincel, choć wtedy oczywiście o tym nie wiedziałem. Najpierw był synek partyjne-go notabla, zaraz potem gość mieszkający za granicą. Tylko ja nie miałem szans, bo mogłem zaoferować jedynie miłość. Czystą, szczerą bezinteresowną miłość. Straszliwie mało. Powiedziałem jej, że jest szmatą.

Miesiąc później odbył się ich ślub. Dokładnie w moje urodziny. Widział pan „Absolwenta” z Dustinem Hoffmanem? Ta ostatnia scena, w której Benjamin wali w szybę w kościele, gdzie Elaine właśnie bierze ślub, i krzyczy jej imię, a ona biegnie do niego. Nie miałem wątpliwości, że gdybym nawet mógł pojechać do Niemiec i znaleźć się w tym kościele, ona spokojnie wzięłaby ślub, a jej mamusia wezwałaby policję, żeby mnie zamknęli za zakłócanie porządku.

Urodziny zazwyczaj się świętuje, rodzina i przyjaciele składają życzenia, gratulują. Czego mieli mi gratulować, największej tragedii w moim życiu? Poprzedzającej nocy zasnąłem dopiero nad ranem, oczywiście przyśnił mi się ich ślub, obudziłem się przerażony. Poszedłem do kościoła prosić Boga o cud, żeby nie dopuścił, by za niego wyszła. Pytałem, czemu mnie tak doświadcza, czym mu się naraziłem, wskazywałem, że jeśli miała to być próba, przeszedłem ją, nacierpiałem się, ale się od Niego nie odwróciłem.

Pytałem, dlaczego sprawił, że się kochamy, skoro nie chce nas połączyć. Nie wysłuchał mnie, czułem to, każdy nerw drgał z bólu.

W innym kościele przed tym samym Bogiem ślubowała fałszywie miłość. Nie wiedziałem, jak mam poradzić sobie ze świadomością, że ukochana kobieta wychodzi za innego. I nie poradziłem sobie. Zażyłem całą fiolkę tabletek nasennych. Ale nie próbo- wałem popełnić samobójstwa, chciałem jedynie bardzo mocno zasnąć, żeby nie czuć bólu i żeby nic mi się nie śniło. Oczywiście odratowano mnie. Nie zwykłem spać w dzień, więc rodzice zanie-pokoili się, co się dzieje. Zresztą musieli widzieć, że coś jest nie w porządku.

Znalazłem ucieczkę w nauce, w studiowaniu. Skupiłem się na przedmiotach normalnie przez studentów znieawidzonych: gramatyka opisowa, gramatyka historyczna, bo tam były

suche formuły, abstrakcyjne konstrukcje, dzięki którym mogłem zapomnieć o prawdziwym życiu. Zagłębiałem się w analizy starożytnych tekstów religijnych, bo nawet jeśli poruszano w nich sprawy dla mnie bolesne, to w sposób, który na współczesnym czytelniku tak naprawdę nie robi już wrażenia. W miarę możliwości starałem się z kolei unikać literatury. Powieściowy opis sceny miłosnej, przyjętego wyznania ranił, burzył tamy postawione przed falą rozpaczy, zwątpienia, bólu, tamy normalnie i tak kruche, dziura-we, przeciekające, które musiałem łątać każdego dnia. Ta ucieczka miała swoje dobre strony, szybko stałem się kandydatem do zostania na uczelni, otworzyła się przede mną kariera naukowa. Poza splendorem oznaczało to również bardzo przyzwoite zarobki, bo Izraelczycy różnymi grantami i stypendiami nader chętnie wspierali ludzi zajmujących się ich językiem.

Dwa lata później ożeniłem się. Nie kochałem swojej żony ani ona mnie, ale lubiliśmy się i szanowali. Agnieszka kończyła studia i koniecznie chciała wyjść za mąż, bo wtedy dziewczyna po studiach bez męża uchodziła za starą pannę, a mimo że była całkiem atrakcyjna, jakoś nie miała adoratorów. Mnie z kolei ciążyła samotność. Samotność wymaga siły, której mnie brakowało.

Wystarczyło, że bileterka w teatrze poprosiła o powtórzenie, ile biletów biorę, a ja dopatrywałem się w tym szyderstwa, że tylko jeden. Widok całującej się pary potrafił mi zepsuć humor na cały dzień. Unikałem imprez, żeby nie rzucało się w oczy, że przychodzę na nie sam. W efekcie nie miałem znajomych i przyjaciół. I tak dalej. W małżeństwie z Agnieszką nie byłem szczęśliwy, ale nie byłem też nieszczęśliwy. Uznałem, że w moim przypadku to i tak dużo. Później przysłała na świat córka. Daliśmy jej na imię Aurelia. Stała się dla mnie wszystkim, spędzałem z nią każdą wolną chwilę.

Czwarty czerwca 1989 roku był dla nas dniem szczególnym. Aurelia kończyła cztery lata, a jednocześnie odbywały się pierwsze częściowo wolne wybory, wielki sukces ludzi zaangażowanych w opozycję demokratyczną, w tym i mój. Ozdabiałem właśnie tort urodzinowy Aurelii czterema świeczkami, gdy zadzwonił telefon. Odebrałem. Nie poznałem dzwoniącej. Ponieważ nie chciała się przedstawić, tylko kazała mi zgadywać, już miałem odłożyć słuchawkę, kiedy jednak się przedstawiła: Beata. Nie myślałem, że jeszcze kiedyś w życiu ją usłyszę czy zobaczę. Chciała się ze mną spotkać. Powiedziałem, że się zastanowię i oddzwonię. Na urodzinach córki i wyborach byłem nieobecny duchem, cały czas zastanawiałem się, czego mogła chcieć. W następnych dniach dziesiątki razy podnosiłem słuchawkę telefonu i na powrót odkładałem. W końcu postanowiłem nie oddzwaniać. Ten rozdział mojego życia był zamknięty.

Zadzwoniła jeszcze raz, prosiła o spotkanie. Uległem. Umówiliśmy się w kawiarni. Dowiedziałem się, że rozwiodła się po burzliwym małżeństwie. Dziwne, ale ucieszyła mnie ta wiadomość, mimo że przecież nie myślałem, że moglibyśmy jeszcze być razem. Prosiła o przebaczenie tego, co zrobiła na studiach. Usiłowałem dociec, co nią kieruje. Całkiem poważnie pomyślałem, że jest śmiertelnie chora i chce przed śmiercią naprawić wyrządzone krzywdy. Wszystko wyjaśniło się, kiedy ją odprowadziłem. Staliśmy pod tą samą bramą, pod którą tyle razy bezskutecznie wyznawałem jej miłość. I nagle zaczęliśmy się całować. Powiedziała, że mnie kocha. Jej słów nie zapomnę do końca życia: „Tylko ty potrafisz dać mi miłość, jakiej potrzebuję”.

Profesor zamilkł. Pokój wypełniła nagle jakby głośniejsza muzyka, habanera Carmen.

- Nie wiedziałem, co mam myśleć, co zrobić. Nie miałem wątpliwości, że nadal ją kocham, ale ona? Już kiedyś powiedziała mi, choć nie wprost, że mnie kocha, a na drugi

dzień udawała, że o niczym nie wie.

Nie wiem, czy bym się do niej odezwał, nie chciałem usłyszeć „wczoraj nic nie było”. Ale nie musiałem rozstrzygać tego dylema-tu. Sama zadzwoniła. I najwyraźniej doskonale pamiętała ów dzień, wtedy, po swoich urodzinach, bo od razu zapewniła, że wyznanie uczynione poprzedniego wieczoru było szczere. Spotkaliśmy się ponownie. Powiedziała, że chce wrócić do Polski, jeśli tylko będę gotów jąprzyjąć. Nie ukrywałem przed nią, że się boję, że z jej strony to tylko gra, że się wycofa. Zapewniała mnie, że się nie wycofa, że na studiach była głupią smarkulą która nie potrafiła docenić prawdziwej miłości, jednak te osiem lat ją zmieniło, dojrzała. Przyznała, że kochała mnie już wtedy, ale nie potrafiła pójść za swoim uczuciem. Mówiła, że żałuje, znowu prosiła o wybaczenie.

Nie umiałem jej tak po prostu wybaczyć. Przeprasziny w tym przypadku nie wystarczały, zbyt wiele złego zrobiła, ale gotów byłem do tego dążyć. Nadal się spotykaliśmy, opowiedziała mi o swoim małżeństwie, że mąż zabrał jej dzieci, że molestował córkę. Pomyślałem o swojej księżniczce: zabiłbym faceta, który zrobiłby jej krzywdę. Ale przecież tym facetem miałem być ja, miałem opuścić rodzinę. Dla Aurelii rozstanie z tatusiem będzie tragedią. A może Agnieszka zostawiłaby mi córkę? Jak w ogóle Agnieszka przyjmie decyzję, że odchodzę?

Z drugiej strony, co da, jeśli zdecyduję się zostać z żoną? Na naszym małżeństwie już rysowały się pierwsze pęknięcia, związek bez uczucia wymaga bardzo dużej samodyscypliny. Czy mi jej starczy? Czy nie zacznę obwiniać Agnieszki, że stanęła mi na drodze do przeżycia prawdziwej miłości? Czy nie lepiej, żeby córka często widywała szczęśliwego tatę, niż miała go stale przy sobie zgorzkniałego i sfrustrowanego? Co będzie, jeśli Agnieszka oświadczy kóregoś dnia, że odchodzi, zabierając Aurelię, bo poznała miłość swego życia? Czy

miałbym prawo ją zatrzymywać?

Byliśmy wobec siebie uczciwi, nigdy nie deklarowaliśmy sobie uczucia, ale to inklinowało, że każde z nas może zakochać się w kimś innym. Czy miłość nie powinna być w życiu nadrzędnym drogowskazem? Przecież gdyby Beata kierowała się miłością, gdyby umiała powiedzieć „tak” we właściwym czasie, nie doszło by do tragedii dwóch dziewczynek, dwóch rodzin.

Zapytałem Beatę, jak wyobraża sobie naszą przyszłość. Powiedziała, że zależy to ode mnie. Będzie szczęśliwa, jeśli odejdę od żony, ale jeśli nie, zadowoli się rolą kochanki i będzie mi wdzięczna za każdą chwilę, którą zechcę z nią spędzić. „Sama jestem sobie winna - zakończyła - mogłam cię mieć tylko dla siebie i nie chciałam, nie mam więc prawa niczego od ciebie wymagać”.

Zdumiała mnie ta odpowiedź. O takim rozwiązaniu w ogóle nie pomyślałem. Pewnie dla tysięcy facetów byłoby ono najnaturalniejsze w świecie, ale nie dla mnie. Nie umiałbym żyć w kłamstwie.

Spotykaliśmy się prawie codziennie, z każdym dniem przełamывała moje obawy, zdobywała moje zaufanie. Po raz pierwszy też stanąłem na progu miłości, mając realną szansę jej przeżycia, a nie tylko nadzieję. Na razie przeżywałem namiastkę, był to dopiero wstęp, obietnica, przyrzeczenie. Na wszystkim kładł się cień niepewności, świadomość, że oszukuję żonę, koszmar czekającej mnie z nią rozmowy, rozvodu, rozstania z córką. Ale Beata potrafiła mi pokazać, jakie piękno mnie czeka, jakie doznania przyniesie ze sobą miłość, bycie z osobą, którą się kocha.

W końcu zdecydowałem się odbyć tę ostateczną rozmowę.

Powiadomiłem o tym Beatę, zapytałem, wcale nie żartem, czy dobrze przemyślała swoją decyzję, że chce ze mną być, bo jeszcze teraz może się wycofać, nie będę miał do niej pretensji, przeciwnie, z wdzięcznością zachowam w pamięci

kolorowe chwile, które mi dała. „Głuptasku - powiedziała — nie mam nad czym myśleć, bo cię Kocham”.

Agnieszka w pierwszym odruchu uderzyła mnie w twarz.

Należało mi się. Potem przesiedzieliśmy razem całą noc, na przemian to krzyczeliśmy na siebie, to płakaliśmy. Rano przyszła do nas Aurelia. W swojej ulubionej piżamce z małpkami popatrzyła na nas tymi swoimi mądrymi oczami i zapytała wyraźnie zaniepokojona, co się stało. To dziecko czuło, że coś jest nie w porządku!

Serce mi się krajało, że mam klęknąć przy mojej małej księżniczce i wytłumaczyć jej, że tatuś musi wyprowadzić się z domu, tak czasami jest, że rodzice się rozchodzą, ale nadal będzie ją kochał i ciągle do niej przychodził. Zapytała, czy już nie Kocham mamy.

Co miałem odpowiedzieć? Że nigdy nie Kochałem? Czulem się podle.

Przeżywałem to rozstanie przez następne dni. Jakby umarł mi ktoś bliski. Odreagowywałem na Beacie, po cichu obwiniałem ją o całą sytuację. Gdyby zgodziła się być ze mną wtedy, na studiach, Aurelia byłaby naszą córką, a ja nie musiałbym rozstać się z moją księżniczką. Nasz związek przechodził pierwszą poważną próbę. Wręcz na Beatę warczałem. Jednak ona stanęła na wysokości zadania. Odgadła, co myślę, ale nie próbowała się usprawiedliwiać, tylko rzeczywiście wzięła winę na siebie. I jeszcze raz przeprosiła. Zaproponowała, że na kilka tygodni zjeździe mi z oczu, bo i tak musi pojechać do Niemiec, żeby zamknąć wszystkie swoje sprawy, i jeśli przez ten czas nie zdołam się uporać ze swoją decyzją i zechcę wrócić do żony i dziecka, ona to zaakceptuje.

Sprzeciwiłem się. Nie chciałem, żeby wyjeżdżała. Do żony nie mogłem już wrócić, zresztą nie umiałbym żyć dalej w takim udawanym małżeństwie. Wobec Agnieszki odczuwałem wyrzuty sumienia, ale za nią nie tęskniłem. Emocjonalnie

dobijało mnie rozstanie z córką.

Beata upierała się, że mimo wszystko będzie lepiej, jeśli zdecydujemy się na taką przerwę między moim przejściem z jednego związku do drugiego, a ona doskonale może wykorzystać ten czas, by na dobre wyprowadzić się z Niemiec.

Nagle ogarnął mnie strach, że jak tam pojedzie, już nie wróci.

Podzieliłem się z nią swoimi obawami. Ujęła moją rękę i przyłożyła do serca: „Janek - powiedziała - to serce bije dla ciebie, zawsze dla ciebie biło, ale teraz jestem tego świadoma”. Widziała, że nie do końca przekonały mnie jej słowa. Wtedy zmieniła ton:

„Janek, jeśli uważasz mnie za potwora, który rozbija życie trojga ludzi, a potem sobie po prostu odjeżdża, to chyba rzeczywiście nie mam po co wracać”. Przeprosiłem ją. Żeby całkowicie mnie uspokoić, podała dokładną datę i godzinę powrotu. „Czekaj na dworcu, a potem jeszcze będziesz miał mnie dość, bo zamierzam zostać z tobą do końca życia”.

Czekałem na nią na dworcu. Nie przyjechała, ale, paradoksalnie, niezbyt mnie to zaniepokoiło. Przez te trzy tygodnie rzeczywiście doszedłem do jakiejś takiej równowagi psychicznej i między innymi uświadomiłem sobie, jak absurdalne były moje obawy. Poza tym brak wiadomości to dobra wiadomość. Uznałem, że pewnie spóźniła się na pociąg albo coś w tym rodzaju.

Wiadomość przyszła następnego dnia. Wychodząc do sklepu, wyjąłem ze skrzynki list. Zobaczyłem, że jest od niej i otworzyłem go trzęsącymi się rękami. Dlaczego pisała, dlaczego nie zadzwoniła? Już wiedziałem, że coś jest nie w porządku, choć jeszcze miałem nadzieję, że przyczyna okaże się banalna. Przeczytałem list i rozplakałem się. Kiedyś często płakałem z jej powodu, ale nigdy na ulicy. Teraz nie byłem w stanie powstrzymać łez.

Skreśliła ledwie kilka słów. Wzარły mi się w pamięć: „Cieszę się, że spotkałam Cię po tylu latach, że przewyciężyłeś to wielkie uczucie do mnie, którego nie byłam w stanie odwzajemnić, chociaż bardzo chciałam, i ułożyłeś sobie życie. Mam nadzieję, że jednak mi przebaczyłeś, że doceniłeś, iż specjalnie przyjechałam prosić Cię o wybaczenie, i przez resztę życia pozostaniemy przyjaciółmi. Życzę Ci szczęścia. Beata”.

Tyle. Nie było miłosnych wyznań z jej strony, miłosnych uścisków, nie odszedłem od żony, nie porzuciłem dziecka.

Nie miałem do niej telefonu, nie podała mi, mówiąc, że przecież rezygnuje z numeru i linia będzie nieczynna. Odpisałem jej jeszcze tego samego dnia. Przytaczałem jej słowa, zapewnienia, pytałem, jak może w ten sposób postępować wobec człowieka, który kochał ją przez całe swoje życie.

Dość szybko dostałem odpowiedź: „Nie wiem, o czym piszesz, nic Ci nie obiecywałam, nic nie wyznawałam. Nie sądzę też, żebyś mnie kochał, tylko tak Ci się wydaje”. Każde „nie” było podkreślone cztery razy!

Dziś jestem świadom, dlaczego przyjęła taką taktykę. Sama to powiedziała: tylko potwór mógłby postąpić w ten sposób. Wiedziała, że nie ma moralnego prawa mnie zawieść, że byłaby to skrajna podłość, której nie da się niczym usprawiedliwić. Że nie istniał powód, prawdziwy czy zmyślony, który uprawniałby ją do niedotrzymania złożonych obietnic. Zdecydowała się więc udawać, że nic się nie wydarzyło. Zaprzeczanie faktom było absurdalnym, ale jedynym wyjściem.

Udało mi się przez znajomych ustalić jej numer telefonu i zadzwoniłem. Z początku nadal zgrywała idiotkę, ale moja wręcz histeryczna reakcja ją przestraszyła. Chyba zdała sobie sprawę, że twierdzenie, iż o niczym nie wie, jednak się jej nie uda. Że nie zdoła mi wmówić, iż wszystko mi się przyśniło

albo uległem halucynacjom. Że jeśli będzie przy tym obstawała lub odłoży słuchawkę, gotów jestem przyjechać do niej do Berlina i wymóc prawdę. „No dobrze, rozmyślałam się. Przepraszam”.

Tyle miała do powiedzenia. Bezwartościowe „przepraszam”, którym szafowała bez chwili refleksji, że na przeprosiny składają się skrucha i zapewnienie, że po raz drugi nie popełni się niegodziwości. Niszczyła moje życie, teraz nie tylko moje, ale także mojej żony i córki, i kwitowała to słówkiem „przepraszam”, choć jeszcze nie przebrzmiało poprzednie. Raz okazała się podła, dostała drugą szansę i wykorzystała ją. Wykorzystała, by pokazać, że jest w stanie dopuścić się każdej podłości, że granice nikczemności dla niej nie istnieją. Degeneratka pozbawiona skrupułów i sumienia, dla której inni ludzie to śmiecie.

To niesamowite, ale kiedy na studiach wyjechała do Niemiec, całą winę wzięłam na siebie. Wyrzucałem sobie, że nie zaproponowałem jej chodzenia we właściwym momencie, wtedy w święta, gdy przyszła do mnie, i w ten sposób wepchnąłem ją w ramiona tamtego. Że nie dość mocno zapewniałem ją o swojej miłości, nie umiałem przekonać o swoim uczuciu.

Dopiero kiedy wróciła i zaczęła prosić mnie o przebaczenie, uświadomiłem sobie, jak bardzo się myliłem. Zrobiłem daleko więcej, niż normalnie musi zrobić chłopak starający się o względy dziewczyny. Nie widzieliśmy się i nie rozmawialiśmy ze sobą przez blisko osiem lat, a mimo to nie miała najmniejszych wątpliwości, że nadal ją kocham. Doskonale zdawała sobie sprawę ze szczerości i intensywności mojego uczucia, odwzajemniała je, ale nie był to dla niej powód, by ze mną zostać. Na pewno przeżywałbym, gdyby nie odwzajemniła mojej miłości, ale nie mógłbym mieć do niej pretensji, serce nie sługa. Tymczasem zachowała się wobec mnie podle, co sama przyznała.

Przyjechała po tylu latach i prosiła o wybaczenie, że odrzuciła tak wielką miłość, że chłopakowi, którego kochała, powiedziała nie. Paradoksalnie stanowiło to moją polisę ubezpieczeniową, bo kto dopuszcza się drugi raz podłości wobec kochającego człowieka, dostawszy szansę na wybaczenie? Tylko degenerat i zwyrodnialec. A przecież nie miałem jej za degeneratkę i zwyrodnialczynię. Jakżebym mógł?

„Tylko ty potrafisz dać mi miłość, jakiej potrzebuję”. Rzeczywiście potrzebowała mojej miłości i na studiach, i później. Bo to jest uczucie, którym chce być darzona każda kobieta, a ona doskonale zdawała sobie sprawę, że taką miłością jak ja nikt jej nie pokocha.

Tyle że tej degeneratki nie obchodziło, że z kolei ja potrzebuję jej miłości. Przyjechała rozbita po rozwodzie, stwierdziła, że opoka trwa, więc pokrzepiona mogła wrócić do swojego życia. Poprawienie sobie samopoczucia warte było dla niej tragedii trojga ludzi.

Na studiach po jej wyjeździe zebrałem wszystkie rzeczy, jakie mi po niej zostały. Jej zdjęcie z dedykacją „Kochanemu Jankowi”, zdjęcia ze studenckiej wycieczki i urodzin, tych, na które dałem jej dwadzieścia róż, pocztówki z wakacji, jakieś notatki, które od niej pożyczyłem, chcąc mieć na weekend coś, na czym został ślad jej zapachu, a o które już się nie upomniała, karteczkę od Olki podrzuconą mi na zajęciach, że „Beata zobaczyła cię pod salą, cofnęła się, uczesała i dopiero do was wyszła” i parę innych drobiazgów.

Niewiele tego było, strasznie mało jak na miłość życia. Te rzeczy stały się dla mnie najdroższą pamiątką, pudełko, w którym je przechowywałem, malutkim sanktuarium.

Teraz to wszystko zapakowałem, żeby jej odesłać. Długo po raz ostatni patrzyłem na jej zdjęcie i zadawałem sobie pytanie, jak to się dzieje, że w tak ślicznej dziewczynie kryje się takie bagno, taka degrengolada.

Proszę sobie wyobrazić, że przestraszyła się tej przesyłki. Zadzwoiła, żeby zapytać, co to jest. Myślała, że wysłałem jej bombę. Była w pełni świadoma, co zrobiła, że dopuściła się niktzemności, która całkowicie uprawniałaby taką moją reakcję.

Następne dwa lata miałem wyjęte z życiorysu. W dzień potrafiłem rozplakać się na ulicy, po nocach wyłem, tak, nie płakałem, tylko wyłem z bólu i upokorzenia. Zacząłem pić. Najpierw żeby móc zasnąć - same tabletki nasenne nie skutkowały, dopiero w kombinacji z alkoholem. Cud, że nie wysłałem się wtedy na tamten świat. Po pół roku przestałem chodzić do pracy i w ogóle już nie trzeźwiałem. Uratowali mnie rodzice. Umieścili w klinice odwykowej, ojciec załagodził, że bez wyjaśnienia nie pokazywałem się na uczelni i załatwił mi urlop bezpłatny. Po odwykównce przeszedłem leczenie psychiatryczne, lekarze końskimi dawkami antydepresantów postawili mnie na nogi. Wychodząc z zakładu, po raz pierwszy od dwóch lat przejrzałem się w lustrze. Zobaczyłem wychudzonego, smutnego człowieka o białych włosach. Najpierw pomyślałem, że ktoś koło mnie stanął. Dopiero po dłuższej chwili uświadomiłem sobie, że to ja. Miałem trzydzieści jeden lat i byłem siwy.

Prosto z zakładu pojechałem do córki. Otworzył mi jakiś mężczyzna. Byłem tak zaskoczony, że nie potrafiłem wydobyć słowa. „Słucham, czego pan chce?” - zapytał dość opryskliwie.

Wziął mnie pewnie za żebraka albo akwizytora. „Kochanie, kto to?” - dobiegło z głębi mieszkania. Poznałem Agnieszkę, która po chwili pojawiła się w przedpokoju. „O Boże, Janek!”. „Znasz go?”.

„Tak, to ojciec Aurelii”. Zamieszanie przy drzwiach ściągnęło też moją córeczkę. Spojrzała na mnie wystraszona i schowała się za Agnieszką. „Mamo, kto to jest?”. Płacz dławił mnie w

gardle. Nie poznała mnie moja ukochana córka, moja księżniczka, ale co się dziwić, nie widziała mnie przez jedną trzecią swego życia. „To ja, twój tatuś” - wyjąkałem. Wysunęła się zza Agnieszki, przyjrzała mi się zdumionym wzrokiem, pokręciła przecząco głową, potem pobiegła do pokoju.

Wróciła ze zdjęciem oprawionym w ramkę i pokazała na dowód. „Mój tatuś ma czarne włosy, a ty masz białe” - stwierdziła rezolutnie. „Tatuś miał dużo zmartwień i dlatego ma teraz siwe włosy” - pomogła mi Agnieszka.

Moja była żona okazała się wspaniałą kobietą. Aurelia wiedziała, że nowy partner mamy, który pojawił się rok po moim odejściu, nie jest jej ojcem, i nie mówiła do niego „tato”. Na ko-módce miała moją fotografię, tę, którą pokazała mi, żeby dowieść, że ja to nie ja. Agnieszka wiedziała od moich rodziców, co się ze mną dzieje. Była przekonana, że jak tylko dojdę do siebie, pojawię się u córki. „Przecież wiem, jak ją kochasz. Poza tym nie jesteś złym człowiekiem, tylko ta kobieta cię omotała”. Aurelii tłumaczyła, że choruję i dlatego nie mogę ich odwiedzać.

Odtąd regularnie odwiedzałem córkę, często zabierałem ją do siebie. Wróciłem do pracy na uczelni. Wydawało się, że jakoś posklejałem to swoje rozbite życie. Widać było wprawdzie, że zostały zeń skorupy, ale trzymały się razem.

Pierwszy kryzys przyszedł na święta Bożego Narodzenia. Dla mnie jako wierzącego katolika niezwykle ważne, wtedy jeszcze zresztą miały zupełnie inny wymiar niż obecnie, daleko bardziej duchowy i rodzinny niż handlowy. A ja nie miałem już rodziny. Na Wigilię mogłem oczywiście pójść do rodziców, ale dla dorosłego mężczyzny rodziną nie są przecież rodzice, tylko żona i dzieci.

Zaniósłem Agnieszce prezent dla Aurelii, żeby położyła jej pod choinkę. Z pierwszą gwiazdką poszedłem pod ich okno, żeby tego szczególnego dnia chociaż w ten sposób być bliżej

córeczki. Stałem tam, dopóki Agnieszka nie położyła Aurelii spać i nie zgasiła światła w jej pokoju. „Dobranoc, córuniu” - wyszeptalem. Wtedy przypomniałem sobie, jak wiele lat wcześniej stałem pod innym oknem i komu innemu mówiłem dobranoc.

Pojechałem do sklepu nocnego i kupiłem butelkę wódki.

W domu nie miałem literatek, ich usunięcie było elementem kuracji odwykowej. Nalałem wódkę do szklanki. Do połowy. Podniosłem ją do ust i... rzuciłem o ścianę. Szklanka rozprysła się. Wylałem resztę wódki do zlewu i zasiadłem do pisania listu. Do tej zwyrodnialczynie.

Opisałem jej, jak mnie zniszczyła, jak w zamian za ochłap - chwilę nadziei i bycia razem - zabrała mi córkę. Pytałem, w imię czego to zrobiła. Pytałem, czemu przeszkadzało jej, że jakoś ułożyłem sobie życie. Dlaczego dopuściła się skrajnej podłości wobec człowieka, który pokochał ją tak wielką miłością.

Nie odpisała. Ponieważ zrobiłem sobie kopię -jako naukowiec mam zwyczaj archiwizowania wszelkich papierów - wysłałem ten sam list jeszcze raz. Wtedy przyszła odpowiedź. Bardzo zdawkowa. „Przepraszam, jeśli Cię skrzywdziłam. Na pewno tego nie chciałam, bo krzywdzenie drugiego człowieka nie mieści się w mojej życiowej filozofii. Nie czekaj na mnie, bo na pewno nie wrócę”.

Dostrzega pan ten tryb warunkowy? „Jeśli skrzywdziłam”.

I jej przepiękną filozofię życiową? I to „nie czekaj na mnie”. Wcześniej potrafiła napisać, że jej nie kocham, tylko tak mi się wydaje. Na studiach był to jeden z jej ulubionych argumentów, jakim uzasadniała swoje odmowy. A tymczasem była przekonana, że nadal ją kocham, że moja miłość nie uległa zachwianiu nawet po tej demonstracji pogardy i lekceważenia, pokazaniu, że moje życie i uczucia znaczą dla niej nie więcej niż życie i uczucia ka-ralucha. Po tym, jak kochającego ją człowieka potraktowała jak psie

gównu, które przylepiło się do buta i którego z obrzydzeniem trzeba się pozbyć.

Zmusiło mnie to do postawienia sobie pytania, jakie teraz żywię do niej uczucia. Nie definiowałem ich, odkąd zacząłem pić.

Miałem świadomość, że nawet gdyby chciała do mnie wrócić, powrotu już nie było. Nie umiałbym jej zaufać, nikt by nie umiał.

Ale to nie wykluczało, że nadal ją Kocham. Przypomniałem sobie te przykre chwile, kiedy nie chciała pójść ze mną do kina, kiedy siedziała na kolanach innego w tramwaju. Zabolało. Wyobraziłem ją sobie z innym, bardzo zabolalo. Ale potem przywołałem w pamięci te dni, kiedy przyjechała, kiedy wyznawała mi miłość, kiedy trzymałem ją w ramionach. I okazało się, że nie zapamiętałem ich jako cudownych, na myśl o nich nie ogarniała mnie czułość, tkliwość ani radość, nie marzyłem, by ponownie je przeżyć. Pozostała pustka, wyrzut, że dałem się nabrać na jej grę, czułem niesmak i obrzydzenie na myśl o tym, że jej pocałunki i pieszczoty były fałszem. Zadałem sobie pytanie, co bym zrobił, gdyby stanęła mi na drodze. Nad odpowiedzią nie musiałem się zastanawiać: naplułbym jej w twarz; jadąc samochodem, nie zawahałbym się wcisnąć pedału gazu, zamiast hamulca. Nienawidziłem jej.

Niemniej jednak miałem prawo domagać się, by odpowiedziała na moje pytania. By wytłumaczyła się ze swojego przyjazdu, ze swojego postępków. Weszła w moje życie, zniszczyła je i uważała, że kilka linijek tekstu, rzucone od niechcenia „przepraszam” załatwia sprawę.

Mój kolejny list pozostał bez odpowiedzi. Podobnie jak następny i wszystkie inne. A potem listy wracały nieotwarte. Wysyłałem je już tylko w rocznicę naszego pierwszego spotkania po latach, 11 czerwca, w rocznicę tych znamienych słów: „Tylko ty potrafisz dać mi miłość, jakiej

potrzebuję". Przytaczałem je w każdym liście, bo chciałem, żeby się z nich wytłumaczyła.

Moje życie weszło w utarte koleiny. Poza spotkaniami z córką i pracą na uczelni powróciłem do działalności politycznej, żeby mieć dzień wypełniony do końca, żeby brakło czasu na myślenie, na roztrząsanie tego, co się stało. Zostałem nawet radnym. Do domu starałem się wracać jak najrzadziej i jak najpóźniej, brałem środki nasenne i kładłem się spać.

Nie umiałem ani nawet nie próbowałem ułożyć sobie życia prywatnego.

Dostrzegałem oczywiście czasami zainteresowane spojrzenia koleżanek z pracy albo studentek i niedwuznaczne sygnały, ale nie potrafiłem na nie odpowiedzieć. Pojawiał się potężny, paraliżujący strach, że to tylko gra, że jeśli się zaangażuję, znowu zostanę skrzywdzony. Ta blokada była nie do przezwyciężenia.

Beacie nie wystarczyło, że mnie odrzuciła, usatysfakcjonowało ją dopiero zrobienie ze mnie uczuciowego kaleki. Jakbym zakochując się w niej i doprowadzając do tego, że odwzajemniła moje uczucie, popełnił niewybaczalne przestępstwo.

Minęło jedenaście lat. Moja córka wyrosła i widywałem ją coraz rzadziej. Dla nastolatki spędzanie wolnego czasu z ojcem jest umiarkowaną atrakcją. Z polityki wypadłem, nie za bardzo umiałem podlizywać się wyborcom, a ci, których można przekonać racjonalnymi argumentami, nie zaś populistycznymi hasłami, są w Polsce nadal w zdecydowanej mniejszości. Nie wiem, czy potrzebowałem aż tylu lat, by się otrząsnąć, czy pragnienie miłości przekroczyło punkt krytyczny i przewyciężyło strach, faktem jest, że się zakochałem. Tym razem od pierwszego spojrzenia, a właściwie od pierwszej rozmowy. Była to moja uczennica z kursu hebrajskiego. Prowadziłem ich coraz więcej. W chwili gdy znajomość angielskiego stała się standardem, młodzi

ludzie za-częli się garnąć do nauki innych języków, żeby mieć przewagę nad konkurentami w staraniach o pracę. Hebrajski, mimo swej eg-zotyczności, a może właśnie dlatego, cieszył się całkiem sporym powodzeniem.

Spotkaliśmy się wzrokiem na korytarzu i zauroczyło mnie spojrzenie jej piwnych oczu. Nie wiedziałem wtedy, kim ta dziewczyna jest ani że będzie w mojej grupie. Kiedy przygotowywałem się do zajęć, to jej spojrzenie ciągle we mnie tkwiło. Gdy zobaczyłem ją wśród nowych kursantów, doznałem dziwnego uczucia.

Pomyślałem: „ona”. Wyczytując listę obecności, dowiedziałem się, że ma na imię Kamila.

Po zajęciach musiałem zostać, żeby wypełnić wszystkie papiery związane z rozpoczęciem kursu. Kiedy zszedłem na dół, zobaczyłem ją przy bramie. Wyraźnie na kogoś czekała. Podzieliłem się z nią tą obserwacją i stwierdziłem, że ten ktoś okazał się chyba niezbyt punktualny. Spodziewałem się odpowiedzi, że to typowe dla jej chłopaka, ale powiedziała, że umówiła się z koleżanką, która najwyraźniej wystawiła ją do wiatru. A miały uczcić podpisanie przez Kamilę umowy o pracę. „Mogę zaoferować swoje zastępstwo, na ogół nie zanudzam towarzystwa” - wyrwało mi się półzartem, ale nagle poczułem się ogromnie zażenowany. Starszy facet podrywa młodą dziewczynę, do tego nauczyciel uczennicę.

Przeprosiłem ją, mówiąc, że to chyba nie jest dobry pomysł. „Dlaczego nie? - zaproponowała - nastawiłam się na wyjście i nie mam zbytnej ochoty wracać do domu”.

Poszliśmy do kawiarni, a po rozmowie byłem w Kamili zakochany. Utonąłem w tych najpiękniejszych na świecie piwnych oczach. Miałem poczucie, że w końcu, późno, bardzo późno, odnalazłem swoją drugą połówkę. Odwiozłem ją do domu i zaproponowałem spotkanie w sobotę. Wysiadła już z samochodu, nachyliła się w drzwiach, wahając się z odpowiedzią. „Jeśli nie masz ochoty, powiedz po prostu nie”

- chciałem ułatwić jej odmowę. Ale zgodziła się. Napisała mi swój numer telefonu i powiedziała, żebym w piątek jeszcze zadzwonił.

Opamiętanie przyszło dopiero w domu. Co sobie wyobrażałem, czego się spodziewałem? Opowiedziała, że skończyła historię, przez rok bezskutecznie szukała pracy. Obliczyłem więc, że ma dwadzieścia pięć lat, ja miałem czterdzieści dwa. Siedemnaście lat różnicy! Byłem przekonany, że do soboty wycofa swoją zgodę - po to zostawiła sobie furtkę, każąc mi uprzednio zatelefonować.

Dzwoniąc, zacząłem więc od pytania, czy nadal ma ochotę się spotkać. Spodziewałem się odmowy w formie „tak, ale”. Chętnie się ze mną spotka, ale zawsze jakieś ważne sprawy będą stawały na przeszkodzie. Tymczasem powiedziała po prostu: „Tak, a ty?”.

Jakżebyem mógł dobrowolnie zrezygnować ze spotkania z dziewczyną o najpiękniejszych oczach na świecie!

Poszliśmy na wystawę malarstwa, potem do kina. Na „Amelię”. Kamila mówiła dużo mniej niż podczas pierwszego spotkania.

Najpierw pomyślałem, że może nie jest w nastroju do rozmowy, jednak potem zorientowałem się, że z natury była raczej małomówna. To w kawiarni mówiła więcej niż zwykle. Ale zauważyłem też, że nie trzeba nam wielu słów, byśmy się rozumieli. Film odebraliśmy tak samo. Obojgu nam się podobał, a do przekazania wrażeń i przemyśleń, skoro mieliśmy podobne, wystarczały półsłówka.

Kamila rzadko się śmiała. Kiedy opowiadałem jakąś zabawną historię, w miejscu, gdzie inne kobiety już dawno się śmiały, niektóre głośniejsze, niż trzeba, Kamila miała nadal poważną minę.

Ale gdy w końcu udało mi się ją rozbawić, jej śmiech brzmiał jak najpiękniejsza muzyka.

Spotykaliśmy się na kursie i poza nim. Nadal gnębiła mnie

kwestia wieku, ale Kamila nie pytała, ile mam lat, więc doszedłem do wniosku, że widocznie nie przykłada do tego większej wagi.

Musiała widzieć, że jestem dużo starszy od niej. Miałem przecież siwe włosy. Wprawdzie zachowałem szczupłą, wysportowaną sylwetkę, abstynencja, regularny basen i tenis zrobiły swoje, ale ile mogła mi odjąć? Dwa, trzy lata. A skoro piętnaście lat różnicy akceptowała, to dwa więcej nie byłyby chyba nieprzewycięzalną przeszkodą. Mówię „akceptowała”, bo nasze spotkania, choć ograniczały się do rozmów i uśmiechów, bez wątpienia były randkami.

Nie kryłem, że mi się podoba, często dawałem jej kwiaty - najbardziej lubiła pomarańczowe róże -powtarzałem jej, że jest ładna, że ma prześliczne oczy. Widziałem, że i ja się jej podobam, że dobrze się ze mną czuje, że lubi ze mną spędzać czas.

W którąś sobotę wybraliśmy się na jednodniową wycieczkę w góry. Okazało się, że obok książek są one naszą drugą wspólną pasją, choć ja nieczęsto mogłem ją realizować: samotne wędrówki zbyt sprzyjały roztrzęsaniu przeszłości, a nie zawsze znajdowałem chętnych na towarzyszenie mi w wyprawie. Jesień sprezentowała nam ciepły, pogodny dzień i wspaniałe widoki. Wspinaliśmy się powoli na szczyt. Kamila szła kilka kroków przede mną z przyjemnością patrzyłem na jej zgrabną sylwetkę. „Wiesz, że jesteś zgrabna?” - zapytałem. Zobaczyłem, że drżając ramiona. „Smie-jesz się?”. Dogoniłem ją. Śmiała się. Już wcześniej zauważyłem, że nie dostrzegała własnej urody, nie uważała się za ładną. Z jednej strony jakby nie do końca poważnie traktowała moje komplemen-ty, z drugiej robiły na niej wrażenie, stawała się świadoma swej atrakcyjności.

Dotarliśmy do ruin zamku na szczycie. Weszliśmy na wieżę i stamtąd spoglądaliśmy na kwadraty pól ścielące się u stóp góry, na rozrzucone domki z dymiącymi kominami, na

ciemne połacie lasów, prawdziwie sielski widok. „Kiedy człowiek nie ma już żadnej nadziei, życie potrafi go zaskoczyć - powiedziałem w za-myśleniu - od zawsze na ciebie czekałem, ale nie myślałem, że jeszcze cię spotkam”. Spojrzałem w te jej piwne oczy, które powiedziały mi, że czekaliśmy oboje. Pogłaskałem ją po policzku i delikatnie pocałowałem. Odwzajemniła pocałunek. Długo potem staliśmy przytuleni do siebie, a świat mógł nie istnieć, skoro ona była ze mną. Drugi raz w życiu miałem takie uczucie, drugi raz się zakochałem, ale tym razem byłem szczęśliwy. Schodziliśmy w dół w milczeniu, trzymając się za ręce. W milczeniu, które nie ciążyło. Między nami nie trzeba było słów.

W połowie drogi zatrzymaliśmy się, żeby odpocząć. Przysiedliśmy na zwałonym pniu drzewa. I znowu się całowaliśmy. Długo i namiętnie.

W schronisku, gdzie weszliśmy na obiad, ogarnęły ją wątpliwości.

Ale wątpliwości, które mnie ucieszyły. Z jej pytań i uwag wynikało, że boi się, iż wezmę ją za zbyt łatwą i że dla mnie takie wycieczki ze studentkami są na porządku dziennym. Przysiągłem, że jest pierwszą studentką, z którą się spotykam. Powiedziałem, że czekałem na nią całe swoje życie i z mojego punktu widzenia nie pocałowaliśmy się ani o dzień za wcześniej. Uśmiechnęła się.

Prześlicznie się uśmiechała.

Powrót z początku był mniej udany, bo zepsuł się nam samochód. Dużo czasu zajęło nam szukanie czynnego warsztatu, a jak już znaleźliśmy, okazało się, że awaria jest na tyle poważna, że naprawa od ręki nie wchodzi w grę. Umówiłem się z mechanikiem na odbiór samochodu za tydzień i poszliśmy na dworzec. Na pociąg też trochę czekaliśmy, tak że zrobiło się późno. Kamila była zmęczona i chciała się zdrzemnąć. Chociaż w przedziale byliśmy sami i

mogła położyć się na drugim siedzeniu, ułożyła się z głową na moich kolanach i zasnęła. Głaskałem ją po włosach, patrzyłem na gładką twarzyczkę, wsłuchiwałem się w równy oddech, chłonałem ciepło jej ciała i czułem się wybrańcem losu. Na którejś stacji wsiadła do naszego przedziału kobieta z kilkuletnią córką. Dziewczynka miała brązowe włosy i piwne oczy jak Kamila. Gdyby siadła obok nas, każdy wziąłby ją za nasze dziecko. Pomyślałem, że to znak od Boga, że stworzymy z Kamilą szczęśliwą rodzinę.

- Co się stało? - Lepka nie wytrzymał, jakby przeczuwał, że ta historia nie będzie mieć happy endu.

- Poszła do dziekanatu i wywiedziała się o moją datę urodzenia. Jednak było to dla niej ważne. Myślała albo wmawiała sobie, że mam trzydzieści pięć lat, dziesięć lat różnicy mogła zaakceptować, siedemnastu nie. Próbowałem ją do siebie przekonać, wskazywać, że znam takie pary, że są szczęśliwe. Przypominałem, jak dobrze się razem czuliśmy, jak lubiła spędzać ze mną czas, a przecież było to ledwie kilka dni wcześniej. Miałem wtedy tyle samo lat co teraz, nie postarzałem się. Wszystko na próżno. Bariera okazała się dla niej nie do przebycia. Co miałem począć? Spełniłbym każde jej życzenie, zrobił wszystko, co w ludzkiej mocy.

Różnicy wieku zmniejszyć nie mogłem.

Nie poddałem się od razu. Dzwoniłem do niej, ale starałem się nie narzucać, nie nalegałem, jeśli nie przyjmowała zaproszeń czy nie chciała

rozmawiać. No, może nalegałem, ale na pewno nie byłem natarczywy. Kiedyś, gdy zadzwoniłem, słuchała Co-hena. Była w melancholijnym nastroju, często jej się to zdarzało.

Wyszliśmy na spacer, na długi spacer. Z jej głosu, oczu, gestów wyczytałem, że chyba udało mi się ją przekonać, że nieważne, ile lat ludzi dzieli, ważne, ile ze sobą przeżyją. Spróbowałem pogłaskać ją po policzku. Odsunęła się. Nie

udało mi się skruszyć tego muru. Przypomniałem sobie podobną sytuację sprzed bardzo wielu lat. Wie pan, jak się czuje człowiek, gdy ukochana dziewczyna demonstruje, że jego dotyk jest dla niej nieprzyjemny? Jak trędowny. Czuję się trędowny.

Na walentynki wysłałem Kamili kartkę. Nie chciałem narzucać się jej ze swoimi uczuciami, ale nie mogłem do niej nie napisać, nie odezwać się w Dniu Zakochanych, przecież kochałem ją z całego serca. Wybrałem Salomonowe rozwiązanie, kartkę opatrzyłem żartobliwym tekstem. Nie przeczytała go. Odesłała nieotwartą kopertę. Zrozumiałem, że to koniec. I rzeczywiście, zrezygnowała z kursu, nie odpowiadała na moje telefony, już nigdy więcej jej nie zobaczyłem. Ale nie miałem do niej pretensji. Trochę żalu, że nie wybrała mniej drastycznej formy ostatecznej odmowy.

Po zwrocie walentynkowej kartki człowiek czuje się wart tyle, co psie gówno. Znowu cierpiałem, ale moja wściekłość skierowała się ku tamtej, która całe życie traktowała mnie jak psie gówno, która pierwsza odsyłała nieotwarte listy. Gdyby po prostu odmówiła, zamiast podsycać moje uczucie, choć nigdy nie miała zamiaru go odwzajemnić, spotkałbym wcześniej swoją drugą połówkę, nie stanąłbym przed niepokonalną dla człowieka barierą. Tego dnia postanowiłem, że ukarzę ją za wszystko, co zrobiła. A wymiar kary mógł być tylko jeden: śmierć.

Ostatnie słowo profesora wzmocniły tony arii „z kartami”, które przepowiadały Carmen tragiczny los.

- Ta decyzja dała mi, co mnie zaskoczyło, wewnętrzny spokój. Miałem jasno wytyczone zadanie, którego realizacja stałaby się dopełnieniem mojego życia. Musiałem wszystko starannie przemyśleć i przygotować. Nie chciałem trafić do więzienia, bo zniweczyłoby to idee mojego działania: nie popełniałem przestępstwa, tylko wymierzałem karę. Obecnie ludzkość jest na etapie karania

za fizyczne zniszczenie innego człowieka, zbrodnia zabójstwa psychicznego pozostaje bezkarna. Za pięćset lat to się zmieni.

Czy ta zwyrodnialczyni miała ujść karze tylko dlatego, że urodziłam się za wcześnie?

-Ale... - Lepka odruchowo zaprotestował, lecz spostrzegł, że musiałby się zastanowić nad argumentami burzącymi tę logiczną konstrukcję profesora.

- Wtedy dostałem propozycję wyjazdu na placówkę do Izraela jako attache kulturalny. W pierwszej chwili chciałem odmówić, oznaczałoby to odroczenie moich zamierzeń. Potem uznałem jednak, że nie muszę się śpieszyć - życiowe zadania realizuje się w perspektywie lat, nie miesięcy - i postanowiłem przyjąć inną taktykę: brać, co życie przyniesie, i podporządkowywać to nadrzędnemu celowi. Taktyka okazała się słuszna. Z Izraela przywiozłem uzi. Według pierwotnego planu miałem ją zastrzelić, nie sądziłem, że jestem w stanie zabić człowieka w sposób wymusza-jący bezpośredni kontakt. Ponadto wynagrodzenie dyplomaty jest na tyle wysokie, że odłożyłem sporą sumkę, dzięki której mogłem sfinansować całą operację. Po powrocie wynająłem detektywa, by ustalił wszystko o tej degeneratce od chwili, gdy wyjechała do Niemiec w stanie wojennym. Kiedy dostałem raport, przystąpiłem do opracowywania szczegółowego planu. Resztę pan zna.

-Ale dlaczego zabił pan jej dzieci? Przecież one nic panu nie zrobiły - Lepka był wzburzony.

- Podchodząc do sprawy technicznie, rzeczywiście ja je zabiłem. Jako okoliczności łagodzące mogę przytoczyć, że zadbałem, by nie przeżyły strachu przed śmiercią, no i ich życie niewiele było warte - narkoman i prostytutka.

- Przecież to hitleryzm! - Lepka aż podskoczył na fotelu.

- Życie każdego człowieka jest warte tyle samo!

- Tak? A co pan robił, jak umarł papież?

Wpatrywał się pewnie w skupieniu w telewizor i przeżywał żalobę. A co pan robi, jak podają informację, że bezdomny zamarł na działkach? Puszczają mimo uszu albo znudzony, że nie mówią nic ciekawego, przełącza na inny kanał. Hitlerizm zakładał, że ludzi według tej ideologii mniej wartych można mordować. To

niedopuszczalne. Ale ja nie zabiłem dzieci Beaty dlatego, że były mniej warte, tylko stwierdzam, że ich śmierć nie przyniosła większej szkody. Natomiast z moralnego punktu widzenia winna jest ich matka. Zniszczyła im życie już w chwili, gdy podjęła decyzję, że pedofil będzie ich ojcem.

- Nie mogła tego wiedzieć!

- A jakich kwalifikacji moralnych spodziewała się po człowieku, który kupuje sobie żonę? Nie musiał być pedofilem, mógł na przykład bić ją i dzieci, na jedno by wyszło. A gdyby nawet nie okazał się patologicznym typem, co to za ognisko domowe, jeśli rodzice nie pobrali się z miłości, tylko zawarli transakcję? Miała możliwość dania swoim dzieciom kochającego ojca, mogła mieć kochanego męża. Woląła sprzedać się za wygodniejsze życie, więc jest winna skutków tej transakcji.

- Sam nie ożenił się pan z miłości - zauważył Lepka.

Profesor długo nie odpowiadał, patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem.

- Wiem. I nic mnie nie usprawiedliwia. Nawet to, że kierowałem się nie względami materialnymi, tylko chęcią uniknięcia samotności. Ale łączenie dwóch samotności nie jest wcale dobrym antidotum na nią.

- To nadal nie wyjaśnia, dlaczego zabił pan Bielecką i Elerta - aspirant wrócił do właściwego tematu.

- Z dwóch powodów. Po pierwsze, chciałem, żeby ta degene-ratka cierpiała, a co może sprawić większy ból matce, nawet takiej zwyrodnialczynie jak ona, niż śmierć

dzieci? Wiedziałem, że po ich stracie się rozpiła, nie miałem wątpliwości, że nigdy nie przestała ich kochać. Po drugie gdybym tego nie zrobił, nie uwierzyłyby, że mam zamiar ją zabić. Proszę nie zapominać o jej najgłębszym przekonaniu, że będę ją kochał bez względu na wszystko. Kiedy oprzytomniała związana-obezwładniłem ją chloroformem - uznała to za jakiś idiotyczny wygłup z mojej strony. A gdy powiedziałem, że ją zabiję, szczerze się roześmiała. Dopiero kiedy zobaczyła zdjęcia martwych dzieci, w jej oczach pojawił się strach, strach przed śmiercią. Wtedy zrozumiała, że nie żartuję, że przyjdzie jej zapłacić za krzywdę, jaką mi wyrządziła.

-Ale miałem czas, chciałem, żeby jak najdłużej tłukło się jej w głowie „moje dzieci nie żyją”. Chciałem, żeby umierała w męczarniach, odczuwając ten ból, który mi zadawała. Najpierw przeczytałem jej wszystkie listy, jakie odesłała nieotwarte. Listy pełne nienawiści. Żeby uświadomiła sobie, że listy należy czytać, że zbrodnią jest popełnić niegodziwość i odciąć się od wszelkich konsekwencji, nawet od wysłuchania tego, co chce powiedzieć skrzywdzony człowiek. Żeby poniewczasie pożałowała, że ich nie otworzyła. Żeby pomyślała, że może wtedy udałoby się jej zapobiec tej sytuacji. Żeby uprzytomniła sobie, iż te listy były w rzeczywistości wentylem bezpieczeństwa, który zaczopowała, i moja nienawiść nie miała ujścia, kumulowała się we mnie, aż nastąpił wybuch.

- Obciąłem jej ucho. Wtedy zaczęła błagać o litość. Przypomniałem jej swoje wyznania, które pod koniec nie były niczym innym jak błaganiami o litość.

Błaganiami, żeby mnie nie krzywdziła.

„Nie chciałaś mnie wtedy wysłuchać, odwracałaś się wzgardliwie na pięcie, dlaczego ja mam wysłuchać ciebie?” - zapytałem. Zmieniła taktykę: rzuciła mi w twarz, że jestem żaloszny. Zgodziłem się z nią. „Tak, jestem żaloszny, bo na tym

świecie żałośni są ci, któ rzy nie idą po trupach, tylko naiwnie wierzą, że ludzkie uczucia są wyższymi uczuciami. Dopóki cię kochałem, byłem dla ciebie śmieciem. A teraz proszę, idę po trupach i nagle musisz się ze mną liczyć". Obciałem jej drugie ucho. Krzyczała i zanosila się płaczem. Powiedziałem: „Płacz i krzycz, boja całe życie przez ciebie płakałem i krzyczałem z bólu. Ty masz szczęście, bo długo to nie potrwa". Przyłożyłem jej nóż do szyi. Wtedy zrobiła pod siebie. Ze strachu. Nie pozwoliłem jej się umyć. Traktowała mnie jak gównu, niech siedzi w gównie.

- „Wytlumacz się, dlaczego przyjechałaś i prosiłaś o wybaczenie, żeby zaraz potem mnie skrzywdzić. Dla jakiego kaprysu zabrałaś mojej córce ojca?". Nic nie odrzekła. Więc ją torturowałem, wyrwałem paznokcie. Kiedy mdlała, cucilem uderzeniami w twarz. Miała zdawać sobie sprawę, co się z nią dzieje. W końcu dałem jej odpocząć. Przemyłem jej twarz wodą.

- „Tylko ty potrafisz dać mi miłość, jakiej potrzebuję - zacytowałem.

- Pamiętasz te słowa?" - nic nie odrzekła. - „Teraz umrzesz" - powiedziałem. Zbliżyłem nóż do przegubów i podciąłem jej żyły.

Próbowała się szarpać, ale bez skutku. Powoli się wykrwawiła.

- Czy te tortury były potrzebne? - Lepka przypomniał sobie widok martwej kobiety, który obrazował opowiadanie profesora i wykluczał konfabulację. - Nawet jeśli uznał pan, że zasługuje na śmierć, to przecież nie w taki sposób!

- Co jest istotą kary śmierci? Nieodwracalne wyeliminowanie ze społeczeństwa i strach przed bliską śmiercią. Ale ten strach przeżywa wielu ludzi, chorzy na raka i pasażerowie spadającego samolotu. Gdzie w samym akcie likwidacji odkupienie cierpienia ofiar?

- Kara nie może być zemstą!

- To politycznie poprawne stwierdzenie, które ma podbudo-wywać ułudę, że ludzkość, a przynajmniej jej część, osiągnęła wysoki stopień humanitaryzmu. Kara jest zemstą. Przy większości zabójstw popełnionych w afekcie, w kręgu rodzinnym, ma się pewność, że zabójca nie jest zwyrodnialcem, nie popełni kolejnych zbrodni. Mimo to zamyka się go na długie lata w więzieniu. W Stanach skazaniec ma być w pełni świadomy, że umiera, nie może być pod wpływem środków uspokajających czy narkotyków. Po co? Gdyby chodziło wyłącznie o wyeliminowanie go ze społeczeństwa, humanitarniej byłoby go zabić w stanie nieświadomości.

Lepka nic nie odrzekł. Był przekonany, że profesor nie ma racji, ale nie potrafił znaleźć kontrargumentów. Naraz przypomnieli mu się Bendyk i Kincl.

- Ale nie znajdzie pan uzasadnienia, dlaczego za pana zbrodnie mają odpowiadać niewinni! - powiedział z triumfem.

- Nie popełniłem zbrodni, wymierzyłem tylko karę - powtórzył profesor. - Najlepszy dowód, że nie czuję wyrzutów sumienia.

Człowiek, jeśli nie jest zwyrodnialcem, nie jest w stanie popełnić

zbrodni i pozostać niewzruszonym. To właśnie pokazał Dostojewski w „Zbrodni i karze”. A co do panów Bendyka i Kincla, o jakich niewinnych mówimy? Dwaj pedofile najgorszego rodzaju.

- No to powinni zostać skazani za pedofilię, a nie za morderstwo.

- Powinni, ale nie zostali, bo policja nie potrafiła im tego udowodnić. A w pańskiej profesji praktyka szukania pretekstu do zamknięcia sprawcy, jeśli nie potraficie udowodnić mu właściwego przestępstwa, jest na porządku dziennym.

-Ale za pedofilię kara jest niższa.

- U nas. W Stanach siedzieliby dłużej niż w Szwecji za morderstwo. Czyli wysokość kary jest sprawą całkowicie względną.

Ja uznałem, że na taką zasługują. Kincel molestował własną córkę, a Bendyk dzieci, które darzyły go szczególnym zaufaniem jako księdza. Molestowanie przez ojca czy duchownego powoduje znacznie większe spustoszenie w psychice dziecka niż przez obcego zbrojnika. Dziecko nie ma przystani, w której mogłoby się schronić, skoro krzywdzicielami są ludzie mający tę przystań tworzyć.

- Kincel odsiedział już karę w Niemczech.

- Za molestowanie wychowanki, nie córki.

Aspirant zamilkł. Był zaskoczony uwagą profesora na temat wysokości kar, nigdy o tym nie pomyślał. Nie zdziwiłyby go znacznie ostrzejsze kary w państwie muzułmańskim, ale różnice między krajami tego samego kręgu kulturowego? Oba demokratyczne, ta sama zachodnia cywilizacja oparta na filarach grecko-rzymskim i judeochrześcijańskim, reprezentująca te same wartości.

Judeochrześcijańskie korzenie skierowały jego myśli z powrotem ku sprawie.

- A dlaczego zaznaczył pan ten fragment w Talmudzie? Przecież nie można powiedzieć, że pana zdradziła - zapytał.

- Jeśli przez zdradę rozumie pan zdradę fizyczną, to rzeczywiście nie - przyznał Wikliński. - Ale czym, jeśli nie zdradą, gorszą od fizycznej, jest odrzucenie człowieka, którego się kocha? A ona zrobiła to dwa razy.

Na dłuższą chwilę zapanowało milczenie. Profesor ponownie nabił i zapalił fajkę.

-Nie tylko nie czuję wyrzutów sumienia-podjął- ale uważam, że to najlepsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem. Nie samo wymierzenie kary, lecz opisanie tego. Od marca pisałem książkę, która ukaże się po mojej śmierci. I jeśli ta książka

choć jedną zwyrodnialczynię powstrzyma od podobnego postępku, jeśli przestraszy choć jedną degeneratkę, której nie obchodzą konsekwencje własnych działań, rany zadane kochającemu człowiekowi, jeśli uświadomi jej, że nie można kogoś zniszczyć, a potem zachowywać się, jakby nic się nie stało, jeśli uzmysłowi jej, że kara, pozornie niewyobrażalna, jest realna i może ją osiągnąć nawet wiele lat później, wtedy będę mógł powiedzieć, że moje życie nie poszło na marne. Bo kiedy spoglądam wstecz, mam poczucie, że swoje życie przeżyłem. Nie zapewniłem żonie ani córce rodzinnego ogniska. Moja praca polegała na pisaniu rozpraw naukowych, których w większości nikt nie czyta - pokrywają się kurzem w bibliotekach. Uczyłem studentów mało przydatnego języka, pracę w zawodzie znajdują jedna, góra dwie osoby z roku, dla reszty studia hebraistyczne są stratą czasu.

Angażowałem się w „Solidarność”, w politykę, by przekonać się, że polskie społeczeństwo nie jest zainteresowane wolnością, na wybory chodzi połowa i na prezydenta wybiera komunistycznego aparatczyka, nie męża, tylko kolesia stanu, który hołd pomordowanym polskim oficerom oddaje po pijaku, albo oszołomów, którzy mając na ustach prawo i sprawiedliwość, wchodzą w układy z przestępcą, byleby móc rządzić.

To wszystko mógłbym uznać za drobne porażki, gdybym nie poniósł tej najdotkliwszej: nigdy nie zaznałem miłości. A w sumie było to moje największe, właściwie jedyne marzenie. Jeszcze w podstawówce, kiedy inni chłopcy zakładali się, że jak dorosną, wcale się nie ożenią, ja wiedziałem - choć się do tego nie przyznawałem, bo by mnie wyśmiali - że wręcz przeciwnie, ożenię się i będę miał szczęśliwą rodzinę. Kiedy zakochałem się w Beacie, zaskoczyła mnie siła własnego uczucia. Wydawało mi się, że skoro ona nic nie zrobiła, żebym się w niej zakochał, ja też niewiele mogę zrobić, by

odwzajemniła moją miłość. Zadawałem sobie pytanie, jak to się działo, że czasami tak wielka namiętność ogarniała jednocześnie obie strony. Kto o tym decydował, Bóg? Komu dawał to wielkie szczęście, wybrancom losu? Nasza rodzina zawsze była religijna, i ja też, ale nigdy nie modliłem się tyle, co wówczas.

Potem, kiedy zacząłem okazywać Beacie swoje względy, ze zdumieniem odkryłem, że to działa, że powoli, bardzo powoli, ale i ona zakochuje się we mnie. Tym bardziej nie mogłem zrozumieć bariery, która pojawiła się później, kiedy w moim mniemaniu największa przeszkoda znikła. Nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, że zakochałem się w degeneratce, jaka zdarza się może raz na milion albo jeszcze rzadziej.

Wie pan, jakie mam marzenie? Właściwie „marzenie” jest złym słowem, bo niczego już nie oczekuję, ale gdybym złowił złotą rybkę i mógł wyrazić trzy życzenia, miałbym tylko jedno: chciałbym przeżyć z ukochaną osobą chociaż kilka miesięcy, takich ze środka - oczywiście nie mając świadomości czasowego ograniczenia - żeby zaznać uczucia bycia kochanym, żeby chociaż raz usłyszeć, jak kobieta, którą darzę miłością, zwraca się do mnie „kochanie”. Beata nie użyła tego słowa nawet po swoim przyjeździe, symptomatyczne, prawda? Z żoną też nie zwracaliśmy się do siebie w ten sposób, nie graliśmy przed sobą. Dlatego kiedy usłyszałem, że tak mówi do swojego nowego partnera, od razu wiedziałem, że znalazła miłość, której ja nie mogłem jej dać. Ale dobrze, przychyliłbym Agnieszce nieba i cieszyłem się, również ze względu na córkę, że ojczym Aurelii okazał się bardzo porządnym czło...

Profesorowi przerwała melodyjka telefonu. Zakłopotany Lepka mruknął „przepraszam”, spojrział na wyświetlacz, na którym widniało słowo „Myszka”, i wcisnął przycisk z zieloną słuchawką.

- Tak, kochanie? - aspirant ponieważspozstrzegł, że to standardowe dla niego pytanie mogło w uszach Wiklińskiego za-brzmieć jak szyderstwo, i jeszcze bardziej się zmieszał. Myszka pytała, kiedy wróci do domu, bo za nim tęskni.

- Nie wiem, przepraszam cię, ale wyszła mi naprawdę ważna sprawa. Poza tym dzwoniłem kilka godzin temu, więc jeszcze za wcześnie, żebyś się stęskniła.

- Romantyk z ciebie żaden, ale i tak cię kocham.

Lepka już chciał odpowiedzieć tymi samymi słowy, ale w porę się powstrzymał.

- Ja też, wrócę najszybciej, jak będę mógł.

Rozłączył się. Profesor długo milczał, potem popatrzył smutno na Lepkę.

- Dziękuję, że bierze pan wzgląd na mnie, ale niepotrzebnie.

I niech pan nie mówi kobiecie, że za mało czasu minęło, żeby mogła się stęsknić, tylko doceni, jakim jest szczęściarzem. Wiem, że dla pana to coś powszedniego, ale są ludzie, w tym i ja, którzy wiele by dali za taką rozmowę. Często się zastanawiałem, jakie to uczucie, gdy człowiek mówi „kocham” i wie, że w odpowiedzi również usłyszy wyznanie.

Kiedy Beata przyjechała, nie powiedziałem jej, że jąkocham, co nie znaczy, że mogła mieć jakiegokolwiek wątpliwości co do moich uczuć. Chyba chciałem zaczekać, aż wszystko się rozwiąże, aż uzyskam całkowitąpewność, iż rzeczywiście wróciła, żeby na tym wyznaniu nie kładł się już żaden cień. Te słowa miały oznaczać wybaczenie, takie prawdziwe, z pełnym przekonaniem.

I podziękowanie, że wróciła. Myślałem, że w tym dniu pójde do kościoła i podziękuję za nią Bogu.

- No właśnie - uprzytomnił sobie Lepka - skoro jest pan katolikiem, to jak pogodził pan zabicie trojga ludzi z

piątym przykazaniem?

- Nie jestem katolikiem. Przestałem nim być, kiedy Bóg po raz drugi sobie ze mnie zakpił. Dał mi nadzieję, przedsmak miłości, a potem oznajmił: gówno dostaniesz. Postawił na mojej drodze Kamilę, nie tylko ładną i atrakcyjną dziewczynę, ale kobietę, z którą łączyło mnie coś, co nieco górnolotnie można nazwać pokrewieństwem dusz, tylko po to, by zademonstrować mi, kogo mi nie da, jakie szczęście nie stanie się moim udziałem. Miłość dojrzałego człowieka nie jest ślepa, w przeciwieństwie do miłości gołowąsa. Potrafiłem obiektywnie ocenić Kamilę, mimo że mnie odrzuciła, i dostrzec, że od Beaty dzieliła ją moralna przepaść, że ten, kto zyska jej względy, wygra los na loterii życia. Nawiasem mówiąc, przez chwilę miałem nadzieję, że tym szczęśliwym gra-czem będę ja, ale Bóg, pozwoliwszy mi wyciągnąć wygrywający los, oświadczył: pomyłka. Natomiast mając dwadzieścia lat, nie zdawałem sobie sprawy, że mogłem zakochać się w złej kobiecie.

Wydawało mi się, że skoro darzę Beatę miłością, musi ona być dobrym człowiekiem.

- Przestał pan wierzyć w Boga?

- Nie. Całe życie wierzyłem, nie umiem przestać wierzyć. Ale uświadomiłem sobie, kim jest. Złośliwą, okrutną bestią.

Kościół głosi, że Bóg stworzył ludzi na swój obraz i podobieństwo. A jacy są ludzie? Żli, podli i okrutni. Więc Bóg też taki musi być, lo-gicznie rzecz biorąc. A empirycznie można się o tym przekonać na każdym kroku. Staralem się żyć wedle przykazań i śmiem twierdzić, że mi się to udawało. Tymczasem Bóg doświadczał mnie bez umiaru, w perfidny sposób odmawiając mi tego, co dla mnie stanowiło sens życia: miłości.

- Hioba też doświadczał, a mimo to nie odwrócił się on od Boga.

Profesor spojrział na aspiranta z lekkim zdziwieniem.

- No proszę, a myślałem, że młodzi ludzie o Biblii nie mają już bladego pojęcia. Słusznie, Hiob nie odwrócił się od Boga. Tylko niech mi pan powie, w jakim celu Bóg go doświadczał. Żeby zobaczyć, co zrobi? Na tej samej zasadzie dziecko wrywa muszce nogi i skrzydełka, ale jakoś takie eksperymenty nie stają się kanwą budujących przypowieści. A ta o Hiobie doskonale pokazuje mentalność Boga.

Tym razem aspirant nie dał się zapędzić w kozi róg.

- Jak może być zły Bóg, który dał ludziom przykazania spra-wiające, że stają się lepsi? Bóg jest dobrocią i miłością, to szatan jest zły, od niego pochodzi całe zło. To przez szatana człowiek został wygnany z raju.

- Za drobne przewinienie. Coś stało na przeszkodzie, żeby Bóg wybaczył Adamowi i Ewie? Rzekomo jest miłosierny. Ponadto wszechmocny, więc mógłby unicestwić szatana z jego złem, ale tego nie robi. A przykazania? Kto ich przestrzega? Niech mi pan wyjaśni, skąd w katolickim narodzie tyle złodziejstwa, wrogości wobec bliźnich, egoizmu. Została tylko otoczka, pusty ceremoniał, istota wiary już dawno wyparowała. Mówiąc obrazowo, Polak klęczący w kościele główkuje, jak podłożyć sąsiadowi świnie.

- Mimo wszystko - upierał się aspirant - bez wiary i przykazań byłoby jeszcze gorzej, ludzie nie mieliby żadnego moralnego drogowskazu.

- „Niebo gwiaździste nade mną, prawo moralne we mnie”.

Wie pan, kto to powiedział?

Lepka poczuł się jak mający pustkę w głowie uczeń przed tablicą.

-Nie...

- Immanuel Kant. Jeżeli człowiek nie ma w sobie pewnej przyzwoitości, żadne przykazania mu nie pomogą. Agnieszka, moja żona, była niewierząca. A przecież nigdy

nie przyszłoby jej do głowy ukraść batonik w sklepie. Co więcej, przykładała wagę do tak, wydawałoby się, drobnych rzeczy, jak na przykład uśmiech i punktualność. Katolik wraca wieczorem do domu i uważa, że dzień spędził po bożemu, bo niczego nie ukradł i nikogo nie zabił.

Tego, że był opryskliwy, a na umówione spotkanie spóźnił się godzinę, narażając kontrahenta na nerwy i stratę czasu, w rachunku sumienia nie uwzględnia, bo nie ma przykazań „bądź miły” i „nie spóźniaj się”. Tymczasem z mordercą większość ludzi nigdy się nie zetknie - z gburami i spóźnialskimi mamy do czynienia na co dzień.

Beata i ja byliśmy katolikami. I co? Czy dopatrzył się pan w mojej opowieści, żeby ta zwyrodnialczyni miała z tego powodu jakieś zahamowania moralne? Wyrządzenie komuś krzywdy było dla niej drobnostką, nie odczuwała żadnych skrpułów. Agnieszkę powstrzymałoby sumienie. Ona kierowała się zasadą, mówiąc znowu Kantem, nigdy nie traktuj drugiego człowieka tylko jako środka. Bardziej uniwersalną niż religijne przykazania, bo od-powiadającą na zmieniającą się rzeczywistość i daleko bardziej życiową niż miłowanie nieprzyjaciół. Ja z kolei nie zawahałem się zabić trojga ludzi, skoro mogłem to usprawiedliwić. I znowu Agnieszka nie byłaby do tego zdolna. Według jej przekonania po tamtej stronie nic już nie ma, śmierć oznacza definitywny koniec, a nie przejście w inny stan, więc życie jest najwyższym dobrem i nie można go nikomu odbierać. Chrześcijanie mają wyjątki: woj-na, kara śmierci... papież wprowadził jej zakazał, ale ilu katolików bierze sobie do serca słowa papieża?

- A pan nadal wierzy, że coś jest po tamtej stronie?

-Tak.

-I nie boi się pan kary?

- Spodziewam się, że Bóg, czy raczej ta parodia Boga, zechce mnie ukarać. Wprawdzie nie za to, za co

powiniennem zostać ukarany - skrzywdziłem żonę, córkę i tę dziewczynę na studiach, z którą na krótko się związałem - ale skoro jestem winny, na jedno wychodzi. A samej kary się nie boję, nie sędzę, żeby Bóg był w stanie zadać mi większe cierpienia, niż zadał już w tym życiu.

Choć może nie doceniam jego wyobraźni i sadyzmu.

Lepka uznał, że nie zdoła się przeciwstawić tej fali goryczy niosącej argumenty profesora. Spojrzał na zegarek i uniósł się lekko na fotelu.

- Pożegnaj się już.

Profesor też się podniósł.

- Proszę nie traktować tej sprawy jako porażki. W szachach decyduje doświadczenie. To nie piłka nożna, gdzie słabeusz może sprawić niespodziankę i wygrać ze zdecydowanym faworytem.

A jak na nowicjusza rozegrał pan nadspodziewanie dobrą partię.

Można powiedzieć, że zagrałem z wami symultankę: inspektor i komisarz dostali mata po kilkunastu posunięciach, pan pomimo mojej przewagi bronił się do samej końcówki.

Lepka nie wiedział, co to jest symultanka, ale Wikliński sam się domyślił, że owo szachowe pojęcie jest aspirantowi obce.

- Symultanka polega na tym, że jeden szachista gra z wieloma przeciwnikami naraz na osobnych szachownicach. Oczywiście zazwyczaj znacznie przewyższa ich klasą, na przykład arcymistrz gra przeciwko członkom lokalnego klubu szachowego.

Profesor rozważał coś przez chwilę.

- Nie sędzę, żebym pana przekonał do swojego punktu widzenia, zresztą nie ma takiej konieczności, każdy ma prawo do własnych poglądów. Pan na dodatek jest policjantem, co też musi determinować pański osąd, według którego - bez względu na okoliczności -jestem

mordercą. Nie wiem więc, czy zechce mi pan podać rękę, a wolałbym uniknąć upokorzenia, że nie zauważy pan mojej. Lepka zawahał się, czy będąc policjantem ma w ogóle prawo podać rękę zabójcy. Profesor zinterpretował jego wahanie jako odmowę.

- Rozumiem. Wybacz pan, że nie odprowadzę go do wyjścia. Psów proszę się nie bać, nie wyjdą.

Lepka skinął głową że sam trafi i zszedł po schodach. Przygniatała go odbyta rozmowa i niezręczna sytuacja na zakończenie, toteż ubierał się niespiesznie, niewidzącym wzrokiem patrząc na ubrania na wieszaku. Coś zobaczył, ale uświadomił to sobie dopiero po chwili. Zlustrował jeszcze raz okrycia. Ciemnoszary zimowy płaszcz w jodełkę! Dokładnie według opisu bukinisty! Pewnie Wikliński pożyczył go aktorowi, a później włożył, idąc do Paczkowskiej, żeby włókna z płaszcza, który zapamiętali świadkowie, znalazły się w mieszkaniu ofiary. Ale czy byłby tak lekkomyślny, żeby nie zniszczyć płaszcza, który miał na sobie, kiedy zabił? Aspirant uznał, że w każdym razie musi to sprawdzić.

Nie miał prawa się poddać: dwóch ludzi siedziało w więzieniu za niepopelnione przestępstwo, a zabójca pozostawał na wolności. Zdjął płaszcz z wieszaka i zwinął w rulon. Wprawdzie nie bardzo przystało zdobywać dowody, po prostu kradnąc, ale chociaż mógł go oficjalnie zabrać, miał świadomość, że gdyby profesor odmówił, posłuchałby.

Czuł się przy nim jak kilkuletni chłopiec, jak uczeń.

Wyszedł na dwór. Kiedy znalazł się przy furtce, uświadomił sobie, że Wikliński może odprowadzać go wzrokiem i zobaczyć, że coś wynosi. Spojrzał w górę na oświetlone okno gabinetu. Wtedy padł strzał.

18 kwietnia, sobota

Około pięćdziesięcioletni mężczyzna przesunął czarnego

hetmana na pole między białymi skoczkami i oznajmił: szach mat.

Przeciwnik jeszcze raz z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Wspaniała kombinacja, majstersztyk. Widziałem, co planujesz, ale myślałem, że uda mi się temu przeszkodzić. Policzyłeś o ruch dalej - pochylił się nad szachownicą, kontemplując układ figur. - Naprawdę, gratuluję - podniósł głowę i wskazując na czarną żałobną opaskę na ramieniu przyjaciela, zmienił temat.

-I jak?

Zapytany westchnął i wyraźnie posmutniał.

- Pół roku minęło, a ja nadal nie mogę się pozbierać. Bóg gra nie fair. Dlaczego nie zabrał mnie?

- Niezbadane są wyroki boskie.

- Banał, który niczego nie wyjaśnia.

Zamilkli, złożyli figury do pudełka.

- Muszę iść - mężczyzna w żałobie podniósł się. - Córka czeka z obiadem, a jeszcze chciałem zajrzeć na grób. W przyszłym tygodniu o tej samej porze?

- Chętnie, teraz ja spróbuję zaskoczyć cię jakimś nieznanym wariantem Sycylijki.

Uśmiechnęli się obaj i pożegnali mocnym uściskiem dłoni.

Kiedy mężczyzna opuścił klub, owionęło go ciepłe kwietniowe powietrze, więc nie zapinając płaszcza, ruszył w stronę cmentarza.

Minął bramę, za którą śpiew ptaków umilkł - a może po prostu przestał je słyszeć - i wszedł na zagrabione alejki. Grób był uporządkowany

- przychodził tu prawie codziennie - ale spostrzegł, że w nocy wandale wyrwali litery L i P z nazwiska na kamiennym nagrobku. Reszta nie dała się pewnie obluzować. Przysiadł na ławeczce. Choć ta dewastacja sprawiła mu przykrość, odsunęła jego zwykle w tym miejscu myśli o Bogu, śmierci i cierpieniu na rzecz

praktycznych rozważań, jak tę szkodę naprawić.

W końcu przypomniał sobie, że obiecał córce nie spóźnić się na obiad. Wstał i wolno skierował się do wyjścia. Przystanął za bramą, rozważając, czy pójść przez park, czy wzdłuż pasażu handlowego.

Zdecydował się na to drugie, może w księgarni będą jakieś nowości. Szedł, starając się nie patrzeć na ludzi, zwłaszcza na pary i rodziny. Ich widok przysparzał mu dodatkowego bólu. Zatrzymał się przed witryną księgarni. Wyeksponowana nowość rzucała się w oczy, ale szokująca okładka sugerowała thriller lub powieść sensacyjną, których nie lubił. Już miał odwrócić wzrok, kiedy zobaczył nazwisko autora napisane znacznie mniejszą czcionką niż krzykliwy tytuł. Trudno się było dziwić, czytelnikom nic ono nie mówiło, toteż wydawca starał się zwrócić ich uwagę w inny sposób.

Miał ostatni brakujący element puzzli, których układanie zaczął ćwierć wieku temu. Właściwie się go spodziewał. Przed miesiącem sędziwy Jerzy Kincel wyszedł na zwolnienie warunkowe po odsiedzeniu dwudziestu pięciu lat z dożywotniego wyroku.

Choć wtedy, gdy stojąc przy furtce, usłyszał strzał, nie przyszło mu do głowy, że na ostateczne zamknięcie sprawy przyjdzie czekać tak długo. Wbiegł z powrotem do willi. Przeskakiwał po trzy stopnie, by stanąć jak wryty w drzwiach gabinetu. Profesor siedział nadal w fotelu. Strzelił sobie w skroń. Na stoliku leżały dwa listy: jeden był zaadresowany do córki, do Aurelii, drugi do niego. Rozerwał kopertę ozdobnej papeterii i wyjął kartkę. „Tego ruchu też Pan nie przewidział. Szach mat”.

Rzeczywiście Lepka przegrał wówczas partię. Inspektor Markowski, wysłuchawszy ledwie początku relacji aspiranta, oświadczył, że sentymentalne bzdury go nie interesują i jeśli podwładny nie dysponuje dowodami, ma przestać bredzić. Komisarz Senik pomógł mu o tyle, że nieformalnie załatwił

badanie płaszcza, ale kiedy okazało się, że włókna z miejsca zbrodni nie pasują, odmówił dalszego drążenia sprawy. Aspirant poniewczasie zorientował się, że profesor świadomie podsunął mu inny płaszcz, by skompromitować jego wysiłki mające na celu dowiedzenie, że za morderstwem stoi szanowany naukowiec. W tej sytuacji nie było mowy o uzyskaniu zgody na przeszukanie willi, w której musiały zostać ślady krwi po zastrzeleniu Bieleckiej, czy na ekshumację, żeby pobrać odciski palców Wiklińskiego i dowieść, że właśnie on zostawił je na Talmudzie. Lepka odnalazł aktora, który wcielił się w rolę Kincla u bukinisty i w biurze tłumaczeń, ale ten stanowczo zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek podjął się takiego zlecenia.

Adwokat Kincla po usłyszeniu tezy, że jego klient jest niewinny, szczerze się roześmiał, a kiedy dowiedział się, jakie uzasadnienie miałby przedstawić w apelacji, popukał się wymownie w czoło.

Zdesperowany Lepka zwrócił się do prasy, ale pierwszy dziennikarz, z którym rozmawiał, wysłuchawszy relacji, zapytał:

- A w Klewkach wylądowali talibowie?

I odłożył słuchawkę.

Aspirant był przybity. Wiedział o wszystkim, a nic nie mógł zrobić. Potem jednak przypomniał sobie o książce. Profesor zapowiedział, że po jego śmierci ukaże się książka, w której wszystko opisał! Komuś musiał zlecić, by zajął się wydaniem, ktoś był w posiadaniu maszynopisu, który stanowił dowód niewinności Kincla!

Wikary, niestety, popełnił w więzieniu samobójstwo. Lepka pomyślał najpierw o córce, ale Aurelia Wiklińska żadnego maszynopisu po ojcu nie odziedziczyła. Powiedziała mu za to, że wykonawcą testamentu jest notariusz Grzegorz Litwin. Ten potwierdził, iż rzeczywiście zajmuje się sprawami zmarłego, ale odmówił udzielenia jakichkolwiek informacji,

powołując się na tajemnicę zawodową.

Lepka znalazł się w ślepych zaułku. Nie pozostało mu nic innego, jak czekać na wydanie książki.

Od tego dnia uważnie śledził wszystkie nowości wydawnicze, zaprenumerował sobie „Nowe Książki”, ale poza tym, że na bieżąco dowiadywał się o ciekawych tytułach, których nie recenzowano w prasie komercyjnej, nic mu to nie dało. Książka się nie ukazała.

Z czasem doszedł do wniosku, że „po śmierci” nie znaczyło „zaraz po śmierci”. Albo profesor wyznaczył notariuszowi określoną karencję, albo musiało nastąpić jeszcze jakieś wydarzenie. W grę wchodziły dwa: wyjście Kincla z więzienia lub śmierć córki, żeby nie dowiedziała się prawdy o ojcu.

Minęło ćwierć wieku. Nadinspektor Krzysztof Lepka oceniał teraz profesora zupełnie inaczej niż wtedy, gdy pełen młodzieńczej pryncypialności i naiwnego idealizmu słuchał jego spowiedzi.

A pół roku temu, kiedy stracił ukochaną Myszkę, kiedy zabrała ją potworna choroba, zrozumiał, co profesor czuł. Zrozumiał, co czuje człowiek, który nie ma przy sobie kochanej osoby i nie ma żadnej nadziei, że to się zmieni.

On też przeklinał dobrego Boga.

Za to, że zesłał na jego żonę chorobę zzerającą ją podstępnie od środka, że spokojnie patrzył, jak skręca się w męczarniach - pod koniec nie pomagała jej nawet morfina, wyła z bólu. A przecież mógł podziękować Bogu za dwadzieścia osiem lat spędzonych z Myszką, za dwójkę wspaniałych dzieci. Profesor nie miał za co dziękować.

Wszedł do księgarni i kupił książkę. Spojrzał na zegarek. Musiał się pośpieszyć, jeśli miał zdążyć na obiad.

- Byłeś na grobie mamy? - przywitała go córka pytaniem.

- Tak, ktoś wyrwał dwie litery z nazwiska na nagrobku, trzeba będzie uzupełnić - powiedział, zdejmując płaszcz. - Jarek już jest?

- Zaraz będzie - zaczęła nakrywać do stołu.
- Tato, martwimy się z Jarkiem o ciebie, musisz chodzić codziennie na cmentarz?
- Musieć nie muszę, ale chcę. Tęsknię za nią.
- My też tęsknimy.

Spojrzał na córkę smutnymi oczami. Była taka podobna do matki.

- Pomóc ci?
- Nie trzeba, dziękuję. Za to jutro ty gotujesz, a ja będę sobie siedziała jak królowna - uśmiechnęła się. Zamek w drzwiach wejściowych zazgrzytał.
- O, jest Jarek.

Jasnowłosy młodzieniec zrzucił w przedpokoju adidasy, nie dbając o schowanie ich do szafki, i w kurtce wszedł do kuchni.

- Głodny jestem jak wilk. Co dasz, siostrzyczko, na obiadek?
- Zrazy nelsonskie z młodymi ziemniakami i surówkę z nowalijek.
- Mniam, mniam.

- Rozbierz się, tylko kurtkę powieś w szafie, zamiast rzucać na kanapę, jak to masz w zwyczaju.

- Tak jest, pani generał - huknął młodzieniec, będący najwyraźniej w wyśmienitym nastroju.

Rzeczywiście, przy obiedzie mówił głównie on, opisując wydarzenia i wrażenia dnia. Dziewczyna słuchała brata z życzliwym zainteresowaniem, jednak co jakiś czas spoglądała niespokojnie na ojca, który myślami zdawał się być gdzieś daleko.

Gdy tylko skończyli jeść, przeprosił ich i zamknął się w swoim pokoju. Usiadł w fotelu i nałożył okulary. Ostatnio pogorszył mu się wzrok, musiał zmienić szkła. W ogóle czuł się źle. Dokuczały mu na przemian silne bóle brzucha i głowy. Przez ostatnie pół roku schudł aż dziesięć kilo, mimo

że nigdy nie należał do grubych.

Lekarze zdiagnozowali depresję. Przepisali mu jakieś środki, ale ich nie zażywał. Nie chciał zagłuszać chemią żaloby po odejściu Myszk. Uważał, że byłby wobec niej nie w porządku.

Wziął do ręki zakupioną książkę. Na okładce mężczyzna z nożem w ręce stał nad związaną na krześle kobietą. W ostrze noża wpisano nazwisko autora: Jan Wikliński. Z podciętych żył na przegubach rąk kobiety kapłała krew, tworząc czerwone litery tytułu: KANALIA. Otworzył na pierwszej stronie i zaczął czytać.

KONIEC

Fala zbrodni: młoda kobieta zostaje wyłowiona z Wisły - ktoś wcześniej wpakował jej kulę w potylicę. W praskich slumsach znaleziono narkomana, któremu tęnym narzędziem roztrzaskano głowę, a pewna pani architekt, we własnym mieszkaniu, zostaje bestialsko zamordowana. Sprawca torturuje ją i zostawia Talmud, zaznaczając krwią ofiary wersy mówiące o "sprawiedliwej zemście" - wszystko wskazuje na mord rytualny.

Pozornie te trzy śmierci nie mają ze sobą związku, bo cóż może łączyć bogatą architekt, narkomana i zastrzeloną dziewczynę. Ale kula w jej głowie pochodzi z izraelskiego uzi, a ona sama okazuje się być prostytutką... Ustalenie tożsamości narkomana przynosi nieoczekiwane sensacje... Przeszłość pani architekt także jest bardzo interesująca...

Trwa śledztwo. Cyniczny inspektor Markowski, komisarz Senik oraz asystent Lepka, zupełny żółtodziób, muszą rozwiązać tę sprawę, która coraz bardziej przypomina partię

Paweł Pollak

Skandynawista, tłumacz literatury szwedzkiej, przekładał m.in. twórczość Hjalmara Söderberga i Johnny Nilsson. Powieść kryminalno-miłosna "Kanalía", jest jego debiutem literackim.

Ali-Baba

merlin.pl
SKLEP Z WYOBRAZNIAMI

PRZE
KROJ

jazz
Pradio
WARSZAWA 100,2 / BRANÓW 101 / OSTRA -

ISBN 978-83-60207-87-9



Cena 29,90 zł

9 788360 207871